



KONRAD T. LEWANDOWSKI

# CZAS EGZORCYSTÓW

KONRAD T. LEWANDOWSKI

# CZAS EGZORCYSTÓW



*Psychjatrja zna potężny wpływ poddania (tzw. sugestji) na umysł ludzki, który jest tak dalece silny, że np. umysłowo chory może niemal zarazić swoją chorobą umysłową ludzi zdrowych ze swojego otoczenia. (...) Twórcy nowo powstających sekt i ich prozelici są zawsze psychopatami, najczęściej z wyraźnymi znamionami hysterji.*

Leon Wachholz, Jan Olbrycht, *Medycyna kryminalna*,  
Warszawa 1924

Gdzie można uciec, kiedy skryte lęki materializują się nagle w falę żrącej prawdy nie do zniesienia i uderzają w umysł całą siłą realności, choć jeszcze mgnienie oka temu były ledwie ułudą, złym przecuciem? Czyż może być inna droga ucieczki z tak gwałcącego zmysły koszmaru niż śmierć?

Zapewne dlatego niektórzy boją się mgły. Nigdy nie wiadomo, czy wyłaniające się z niej kształty będą iluzją bez znaczenia, o której zapomnimy już po paru sekundach, czy nieodwracalnie zmienią nasze życie lub wręcz je zerwą. Kiedy zaciera się granica między jawą a podświadomością, nastaje najgłębszy z możliwych stanów atawistycznej niepewności. Ten, przed którym od tysiący lat miały nas chronić: magia, religia, filozofia, nauka. Lecz czasem te osłony duszy topnieją i rozplývają się we mgłę, z której wychodzą demony...

Właśnie w takiej jak ta, która listopadowym zmierzchem zasnęła zachodnią Warszawę, splezając ze stoków wąwozu z torami kolejowymi, biegnącymi na pograniczu Woli i Bemowa, sprawiając, że leżące na dnie szyny znikły zupełnie pod drgającym, szaromlecznym kożuchem.

Tutaj, na odcinku Koło–Odolany, linia kolejowa mija po lewej puste place zakładów przemysłowych o płotach z betonowych płyt, pokrytych wyblakłymi graffiti, z prawej zaś mroczne ogródki działkowe z cieniami bezdomnych i szerokim łukiem sunie wzdłuż szpaleru bezlistnych topoli, posadzonych na krawędziach ziemnej rynny, pociętej w poprzek prostokątnymi klamrami słupów sieci trakcyjnej, tkwiącymi tu niczym bezsilne chirurgiczne klamry w ranie, której nie udało się zszyc. W efekcie, choć to jeszcze środek Warszawy, w świetlistej tkance miasta pojawia się ciemna dolina, którą mgła na dodatek pozbawia dna, a sunące tędy pociągi, spiętrzając lepki opar przed czołem lokomotywy, wydają się zapadać pod ziemię, ryć w niej coraz głębszą brudę, pograżać się z każdym stukotem kół.

Pociąg osobowy Kolei Mazowieckich znalazł się tu przypadkiem. Wskutek awarii na linii obwodowej, łączącej Dworzec Gdański z Zachodnim, skierowano go tędy, objazdem na Włochy. Szereg zielono-żółtych, rzęsiście i żywo oświetlonych wagonów, pełnych ludzi z nosami utkwionymi w kolorowych ekranach smartfonów

i tableatów, sunął więc przez krajobraz z całkiem innego świata, samą swą obecnością drażniąc nienazwane.

Szybkość nie była wielka, nie przekraczała czterdziestu kilometrów na godzinę, zgodnie z ograniczeniami dotyczącymi ruchu kolejowego wewnątrz miasta. Tak miało być bezpieczniej, ale to dodatkowo pogarszało sprawę.

Starszy maszynista, Henryk Kowalik, stokroć bardziej wolałby przyśpieszyć do maksymalnej prędkości, czym prędzej przemknąć przez ten ponury odcinek, mieć to już za sobą i wydostać się wreszcie na wysokie nasypy za Dworcem Zachodnim, gdzie pociągi zdawały się przemykać nad ziemią, ledwie jej dotykając. Tymczasem tutaj zmierzali wprost w głąbę Hadesu.

Światła lokomotywy nie radziły sobie z wciąż gęstniejącą mgłą. Widoczność malała z każdą chwilą. W zamian w głowie maszynisty Kowalika budziły się upórczywie wypierane wspomnienia... On całkiem niedawno jechał podobnym wąwozem, przeciętym w poprzek wiaduktem, na którym ktoś stał. Ludzka sylwetka z oddali przykuwała wzrok i niepokoiła bardziej z każdym metrem malejącej odległości, aż wreszcie stało się jasne, że ten człowiek stoi po zewnętrznej stronie bariery, trzymając się jej wyciągniętymi do tyłu rękami. Od stwierdzenia tego faktu zostały trzy, cztery sekundy, podczas których zupełnie nic nie można było z tą wiedzą zrobić. Pociąg prowadzony przez Kowalika jechał wtedy ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Pozostawało tylko stać i patrzeć otwierającymi się coraz szerzej oczami.

Samobójca skoczył. Może trochę za wcześnie. Nie było wysoko, więc spadłszy na tory, najwyżej coś sobie zwichnął, albo i nie. Odruchowo zaczął wstawać, otrząpał nawet spodnie na kolanie. Kowalik na niego zatrąbił, ale tamten, zamiast rzucić się w bok, tylko schował głowę w ramiona. I poszło to szybko. Zatrzymali się dopiero pół kilometra dalej. W ciągu tej minuty Henryk Kowalik posunął się w latach o dobre ćwierć wieku. Na końcu drogi hamowania dotąd energiczny czterdziestolatek był już wypalonym człowiekiem w wieku przedemerytalnym. Tak bywa. Podobno każdy maszynista musi zaliczyć samobójcę przynajmniej raz w karierze i potem żyć z tym, wypatrując kolejnej ludzkiej sylwetki w każdym pojawiającym się w zasięgu wzroku krzaku lub w każdym tumanie mgły.

Tutaj też zaraz miał być wiadukt nad ulicą Wolską, a właściwie trzy równoległe wiadukty w niewielkich odstępach od siebie – pierwszy z samymi torami tramwajowymi, drugi, najszerszy, z chodnikami i jezdniami w obu kierunkach, oraz trzeci z opatulonymi grubo rurami z gorącą wodą z elektrociepłowni „Wola”. Na

każdym z nich mógł ktoś stać...

Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Coraz wolniej. Wspomnienia i teraźniejszość, przeszłość i przyszłość zbiegały się w jeden punkt na coraz leniwszych stop-klatkach. Zdawało się, że pociąg zwalnia, ale to tylko zatrzymywał się świat.

Na posiwiałe skronie maszynisty Kowalika wystąpił pot. Nie śmiał spojrzeć przed siebie, tam, gdzie za chwilę z mgły miał wyłonić się górujący nad torami wiadukt. Ten najpierw objawił się pod postacią dwóch plam, rozdzielonych równą poziomą linią – czerni tunelu w dole oraz powyżej jasnej magmy, nasyconej rozproszonym światłem ulicznych latarni.

Kowalik wolał patrzeć na boki. Liczył skrycie, że może ze stoków wąwozu stoczyć się wprost pod koła jakiś pijany menel. Tak byłoby lepiej, bo inaczej. Odmienny bieg wypadków, niepokrywający się dokładnie z gorączkową imaginacją, byłby łatwiejszy do zniesienia. A przede wszystkim mógłby z tego powodu zatrzymać się wcześniej i nie dojeżdżać TAM.

Pojawiły się zarysy wiaduktu. Udręczony maszynista wyteńczył wzrok, starając się wypatrzyć jakiś ruch w ciemnym kącie u zbiegu stoku wąwozu i spodu jezdni, gdzie zwykle nocowali żule. W żadnym natomiast razie, absolutnie za nic w świecie, Kowalik nie chciał spojrzeć wprost przed siebie i w górę, żadna siła nie mogła go do tego zmusić. Był już bowiem absolutnie, przeraźliwie, dojmująco pewien, że zobaczy tam gotującego się do skoku na tory kolejnego samobójcę.

W końcu jednak zewnętrzna krawędź pierwszego wiaduktu nieuchronnie znalazła się w jego polu widzenia.

Nie było tam nikogo.

Kowalik nie uwierzył własnym oczom. I słusznie.

Kilkadziesiąt metrów dalej był drugi, znacznie szerszy wiadukt z chodnikiem dla pieszych i jezdniami. Ten z torami tramwajowymi osłonił go przed wzrokiem nadjeżdżającego maszynisty tak dokładnie i z bliska, że niewielka prędkość pociągu okazała się bez znaczenia. Krawędź drugiego wiaduktu stała się dla Kowalika widoczna dopiero po wyjeździe spod pierwszego, zaledwie trzy, cztery sekundy wcześniej, zanim czoło lokomotywy znalazło się pod nią.

Było zatem dokładnie tak samo jak wtedy... Powtórka żywych obrazów. Doskonałe zmaterializowane *déjà vu*.

Na drugim wiadukcie, też poza barierką, na tle podwyższonej osłony, która teoretycznie miała przed takim wypadkiem zabezpieczać, dokładnie nad torem,

którym prowadził swój pociąg maszynista Kowalik, stał człowiek z rozkrzyżowanymi szeroko ramionami. Nie poruszał się, więc jeszcze przez sekundę jawił się przywidzeniem, potem pochylił się i zaczął spadać z szeroko rozłożonymi ramionami tuż przed pociągiem, nadjeżdżającym wprawdzie powoli, ale będącym już zbyt blisko, aby maszynista mógł cokolwiek zrobić.

Szarpiące umysł Kowalika wspomnienie-wyobrażenie stało się ciałem. Martwym ciałem.

Spadający twarzą w dół człowiek zaczępił o przewód trakcji elektrycznej. Na ułamek sekundy błysnął mały, żółtawy łuk wyładowania, sprawiając, że rozmazana w ruchu sylwetka skurczyła się w precel.

Nieszczęśnik powinien być martwy w chwili, kiedy spadł na tory, ale – o dziwo – nawet nie stracił przytomności, ewentualnie ocucił go wstrząs lub ból zbitych na podkładach piszczeli. Jakimś cudem zaczął się podnosić. Zdołał nawet wpełz kłęknąć na jedno kolano, podpierając się jednym z wciąż szeroko rozłożonych ramion, niczym Chrystus na drodze krzyżowej powstający po upadku. I podobnie jak Zbawiciel najwyraźniej nie myślał o ratunku.

Ofiara zadarła i obróciła głowę, aby jeszcze w ostatniej chwili spojrzeć na kogoś, kto stał na wiadukcie. Porażony grozą Kowalik odruchowo podążył wzrokiem za tym spojrzeniem. Być może dlatego wciąż nie zaczął hamować.

Zahipnotyzowały go patrzące z góry oczy.

Przy tej prędkości śmierć nie mogła być szybkim ciosem łaski, lecz stała się przeraźliwie powolnym procesem, podzielonym na kolejne, dające się dokładnie policzyć etapy, jak niespieszne obroty maszynki do mięsa.

Najpierw wyraźny tępy łomot pierwszego uderzenia, potem trzask miazdżonej pod kołem kości, coś jakby krzyk, drugi trzask, trzeci, odleglejszy, lecz wciąż wyraźny i znów miarowy stukot kół.

Pociąg wjechał w ciemność pod tunelem.

Kowalik nadal nie hamował. Też był już martwy, tylko że jeszcze oddychał.

– Przejechaliśmy kogoś?! – zapytał wesoło drugi maszynista Biernacki, nadchodząc z tyłu lokomotywy. – Czy to gówniarze na torach deskę położyli...?

Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył martwy wzrok Kowalika. Zrozumiał wszystko w jednej chwili.

– Hamuj! – zawołał, a ponieważ partner nie posłuchał, zajął się tym sam.

Pociąg zwolnił z piskiem i zatrzymał się zaraz po drugiej stronie wiaduktu.

Z lokomotywy wyskoczył Biernacki i zawrócił biegiem na miejsce wypadku. Po chwili wysiadł także Kowalik, ale on zamiast na tył składu ruszył w przeciwną stronę, wzdłuż torów. Szedł machinalnie, potykając się o stopy leżącego na poboczu chrustu, a potem zaczął się wspinać na stok wąwozu. Zaaferowany Biernacki zupełnie nie zwrócił na to uwagi ani się nie obejrzał.

Kowalik dotarł do dzikiej śliwy – rozwichrzonej, garbatej kępy, ni to krzaka, ni drzewa, rosnącego u szczytu zbocza, dokładnie w miejscu przełamania krawędzi. Być może wskutek tej deformacji podłoża zatarł się tu naturalny podział na korzenie i koronę. Oprócz rozwidlonych pni, poskręcanych chaotycznie konarów z mnóstwem pędów, sterczących jak igły jeżozwierza, w całym tym gąszczu wiły się jeszcze przedziwne odrosty korzeniowe – grube na dwa palce, elastyczne jak liany, przypominające wpółdrewniałe węże.

Jeden z nich oplatał pochylony ku torom suchy kikut złamanej gałęzi, tworząc na nim naturalną pętlę, która wyrokiem losu znalazła się dokładnie na wysokości szyi podchodzącego z dołu Kowalika, kiedy ten stanął pod drzewem.

Maszynista chciał posłużyć się paskiem od spodni, ale widząc, że wszystko tutaj czeka na niego już od dawna gotowe, poprzestał jedynie na dodatkowym skręceniu pędu i owinięciu go jeszcze raz wkoło konaru.

Mokry i śliski stok umknął mu spod buta, osypały się grudy wilgotnej ziemi. Kowalik zdołał jednak zachować równowagę. Przecisnął głowę przez pętlę i puścił pęd, który rozkręcając się, pewnie uchwycił szyję. Maszynista obrócił się plecami do drzewa i bez wahania ugiął kolana. Pociemniało mu w oczach, a wraz z gęstniejącym mrokiem nadeszła nareszcie upragniona ulga.

Wydostał się, uciekł!

Henryka Kowalika znaleziono dopiero o świcie, kiedy mgła zrzędła na tyle, że wiszące ciało przestało w oczach patrzących z daleka ludzi wyglądać jak łachman, zaplątany przypadkiem w gałęziach bezlistnego drzewa.



## ROZDZIAŁ 1

### PRZERWANY WYWIAD

Komisarz stołecznej policji, Krzysztof Louvain, starannie wystudowanym ruchem miarowo obracał na palcu srebrny pierścień z różańcem.

Nie za szybko, by nie wyglądało to na nerwowy tik, bezmyślną zabawę poświęconym przedmiotem, ale też i nie za wolno, aby rozmówca nie pomyślał sobie, że to niewczesny pokaz kabotyńskiej dewocji, albowiem wywiad udzielany w kawiarni na trzecim piętrze warszawskich Żółtych Tarasów to zdecydowanie nie była pora ani miejsce na modlitwę. Prędkość rotacji pierścienia wokół palca była więc w sam raz taka, by zasugerować, iż niebiorąca udziału w rozmowie część umysłu pana komisarza trwa w nieustającym kontakcie z wyższą rzeczywistością, a odpowiedzi na pytania przychodzą, jeśli nie wprost z nieba, to co najmniej sływa stamtąd łaska uświęcająca każdą wypowiedź.

Louvain, zażywny pięćdziesięciolatek o twarzy zawodowego śledczego, czyli niewyrażającej nigdy niekontrolowanych emocji, dobrze pamiętał czasy panowania jedynie słusznej doktryny. Na tyle dobrze, że bez pudła rozpoznał ducha czasu, kiedy ten wrócił po niespełna dwudziestu latach z makijażem zmienionym z czerwonego na purpurowo-czarny, i nie stawiał mu się jak kto głupi. Ta wiedza pozytywnie odróżniała starego wygę Louvaina od kolegów młodszych o jedną generację – trzydziestolatków bez umiaru, na każdym kroku wyklinających pazernych i bezczelnych klechów. Pampersom dorastającym za demokracji durna wiara w wolność słowa zmąciła trzeźwy osąd sytuacji i zaprawdę nie poznali oni nowego pana, kiedy ów nadszedł. Krzysztof Louvain pamiętał oraz zachował dość rozsądku, aby nie narażać się bez sensu ludziom, którzy naprawdę dużo mogli i chętnie z tych możliwości korzystali. Nie bo po co, doprawdy, skoro dla świętego spokoju wystarczało regularnie wygłaszać hasła, które tamci chcieli słyszeć, i zaliczać trochę niezbyt kosztownych niedzielno-świętecznych serwitutów. Nowomowa też nie różniła się zbytnio, więcej trzeba było sobie przypomnieć, aniżeli się nauczyć.

Konformizm, powiecie? Oportunizm? Ależ skąd! Zdecydowana nadinterpretacja, jak mawiają kardynałowie. To jest zwykła higiena psychiczna, niezbędna w stresującej policyjnej robocie. Kto kamieniuje niebo, musi w końcu dostać kamieniem w łeb, no więc po co? Grunt robić swoje. W zamian każdy, kto chciałby pominąć Krzysztofa Louvaina w awansie, posłać go na emeryturę, albo choćby tylko odebrać mu premię, wołał się przeżegnać na samą tę myśl.

Z drugiej strony był jeszcze zakład Pascala – a nuż coś w tym jest, więc solidna podkładka nie zaszkodzi. Życiowy pragmatyzm stopniowo stał się nawykiem. Podobno nie można zbyt długo udawać choroby psychicznej, bo ona w końcu naprawdę przyjdzie. Z wiarą najwyraźniej było tak samo. Komisarz Louvain sam sobie nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy jest wierzący. Wobec tego nie zadawał go sobie, bo z powodów profesjonalnych cholernie nie lubił pytań bez odpowiedzi. To nie był cynizm, tylko naprawdę coś głębszego. Nosił w duszy metafizyczną zdrę, której wołał nie dotykać, i tyle. Racjonalizował więc, robił swoje po swojemu.

Jego aktualny rozmówca, niejaki Marcin Bilecki, publicysta katolickiego miesięcznika „Przyjaciel Egzorcysty”, kupił numer z różańcem bez zastrzeżeń. Znac to było choćby po tym, że co chwila skupiał zafascynowany wzrok na ruchu palców Louvaina, jakby upewniał się, że za słowami komisarza idą czyny, i każdorazowo uzyskiwał pożądane potwierdzenie.

Słowem, socjotechnika była skuteczna, ale w tym przypadku chyba jednak zbyt subtelna. No kogoś takiego jak Bilecki, który, czy stał czy siedział, jednakowo sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz ukłęknąć z tępo natchnionym wyrazem twarzy, a pytania zadawał równie inteligentne, jak własne oblicze, w zupełności wystarczyłoby parę zwykłych bogosmoleńskich hasel, wygłoszonych ze wzrokiem utkwionym głęboko w oczach przedstawiciela jedynie słusznych mediów.

Tytuł wywiadu ustalili już na wstępie: „Pies, który nie wstydzi się Jezusa”. Redaktor Bilecki cieszył się z niego jak dziecko, taka to była swojska synteza kolokwialnego profanum i uwznioślającego sacrum. Urzędujący w redakcji asystent kościelny powinien klepnąć nagłówek bez zastrzeżeń. Może nawet pójdzie na okładkę. Bilecki powtórzył to już ze trzy razy.

– Zatem uważa pan komisarz, że zły duch objawia się osobiście na miejscu każdego ciężkiego przestępstwa? – zadał kolejne pytanie.

– Oczywiście – przytaknął Louvain i z namaszczeniem obrócił różaniec na palcu, zanim rozwinął wypowiedź. – Na miejscach przestępstw my, policjanci, wielokrotnie

spotykamy ślady, których nie mógł zostawić człowiek, albo przebieg zdarzeń wskazuje wręcz na bezpośrednią nadnaturalną ingerencję. Przykłady można mnożyć, podam więc całkiem świeży ze śledztwa, które od paru dni prowadzę... – zawiesił głos na czas kolejnego obrotu różańca. – Cóż, właściwie na tym etapie śledztwa nie powinienem tego ujawniać nikomu oprócz prokuratora, ale uważam, że zachodzi tu stan wyższej konieczności, ludzi trzeba przestrzec... Jednak to, co teraz panu powiem, musimy potem roztropnie autoryzować... Rozumiemy się, prawda?

Redaktor Bilecki z przejęcia przełknął ślinę i przytaknął niemo.

– Słyszał pan może o tym wypadku kolejowym na Woli, kiedy to powiesił się maszynista, który chwilę wcześniej przejechał człowieka?

– Słyszałem, panie komisarzu. Wiem, że istnieją wątpliwości co do przebiegu tego zajścia... Podobno to nie było samobójstwo?

– Zależy czyje. Powiem to wprost, w przypadku tego przejechanego przez pociąg podejrzewamy mord rytualny. Ofiara pod kurtką, na plecach, miała wciśnięty krzyż z metalowych rurek. Poziome ramię przechodziło przez oba rękawy, co skutecznie uniemożliwiło wszelką obronę.

– Ukrzyżowano go? – Dziennikarz zbladł.

– Można tak powiedzieć, choć ran kłutych na nadgarstkach i dłoniach nie udało się stwierdzić. Uneruchomioną w ten sposób ofiarę zrzucano następnie z wiaduktu pod nadjeżdżający pociąg.

– Straszna zbrodnia... – Bilecki zrobił kciukiem znak krzyża na piersiach.

– Nie to jednak, panie redaktorze, jest w tym wszystkim najbardziej niesamowite. Samobójstwo maszynisty pociągu powiązane z tym morderstwem jest znacznie dziwniejsze.

– Ktoś go powiesił?

– No właśnie to nie jest dla nas jasne. Po pierwsze, ten człowiek powiesił się bez pętli. Nie było tam żadnego sznura, linki, kabla ani chusty, zupełnie nic. Pasek był w spodniach ofiary normalnie zapięty.

– Zatem co się stało?

– Drzewo udusiło go gałęziami.

– Pan chyba żartuje!

Louvain z wyniosłą godnością nie skomentował zarzutu, ale tym razem jego milczenie trwało przez trzy pełne obroty pierścienia, żeby redaktor miał czas ochłonąć i się pomiarkować.

– Świadkowie, którzy znaleźli ciało, zeznali, że głowa maszynisty tkwiła zaplątana w gałęziach – wyjaśnił w końcu. – Można to porównać do przypadku biblijnego Absaloma, ale ten był jednak o wiele łatwiejszy do racjonalnego wytłumaczenia. Podczas jazdy rydwanem długie włosy faktycznie mogły zaplątać się o gałąź mijanego drzewa i spowodować, że syn króla Dawida na nich zawisł. Maszynistę Kowalika natomiast drzewo jakby chwyciło wprost za gardło...

– Nazwiska zmarłego nie ujawniamy. – Wstrząśnięty Bilecki zdobył się na profesjonalizm.

– Oczywiście, że nie, ale do rzeczy! Otóż powinien pan wiedzieć, redaktorze, że jeśli chodzi o powieszenie, to przeważnie jest to samobójstwo lub formalna egzekucja. Bardzo rzadko spotyka się morderstwo przez powieszenie, a praktycznie w ogóle nie ma przypadków powieszenia się w wyniku nieszczęśliwego wypadku, kiedy to głowa ofiary zbiegiem okoliczności utyka w jakiejś szparze pomiędzy deskami lub konarami drzewa, a próba uwolnienia kończy się obsunięciem i zaduszeniem. Takie zbiegi okoliczności w całej światowej historii kryminalistyki można policzyć na palcach jednej ręki.

– Jednak świętej pamięci Kowalik chyba właśnie się tak zaplątał – wyraził przypuszczenie dziennikarz.

– Na pewno nie został przez nikogo powieszony. Z kolei on sam, jak już mówiłem, nie miał na czym się powiesić, chociaż miał motyw, aby popełnić samobójstwo. To nie był pierwszy wypadek śmiertelny z jego udziałem, każdy mógłby się załamać. Trzeba jednak przyjąć, że nasz maszynista raczej nie zamierzał się zabić. Można zrozumieć, że powodowany szokiem zrobił coś irracjonalnego, chciał gdzieś uciekać, wydostać się z torowiska kolejowego na biegnącą powyżej ulicę, ale nie wiemy po co, może zamierzał tam wezwać pomoc, zatrzymywać samochody lub po prostu po tym wszystkim złapać oddech, trochę ochłoniąć. Wspiął się więc na skarpe i znalazł pod tym drzewem... Do tego momentu rekonstrukcja zdarzeń ma sens, ale dalej już nic się nie trzyma kupy, bo przeszkody się obchodzi, a nie wchodzi wprost na nie! Po co Kowalik wchodził pod to piekielne drzewo, po co próbował się przedzierać przez gąszcz gałęzi, zamiast to wszystko po prostu ominąć?

– Podobno był w szoku.

– To raczej nie ulega wątpliwości. Jednak mimo wszystko taki wypadek w takich okolicznościach jest skrajnie mało prawdopodobny.

– Wyklucza pan komisarz zbieg okoliczności?

– Wykluczyć tego nie mogę, ale ustalmy proste fakty, panie redaktorze. Oto

chwile wcześniej odbył się mord rytualny o niewątpliwie satanistycznym podłożu. Przyzwano złego ducha. Obaj, jako ludzie wiary, nie powinniśmy mieć wątpliwości, że on się tam wtedy pojawił. Zaraz potem nieumyślny sprawca śmierci biegnie przed siebie w szoku, po czym ginie zaplątany i uduszony w konarach drzewa. Proszę sobie przypomnieć, co mówiłem wcześniej. Przebieg tych zdarzeń wskazuje wyraźnie na demoniczną ingerencję. Oczywiście, jednoznacznych dowodów nie ma i zawsze można powiedzieć, że maszynista Kowalik trafił na rzadki los w wielkiej loterii pecha...

– Czy pan komisarz sugeruje, że szatan wcielił się w to drzewo? Ożywił je...?

– Nietrudno uwierzyć w taką wersję, jeżeli się je zobaczy z bliska. Jak pan chce, mogę pokazać panu zdjęcia. – Louvain sięgnął pod marynarkę. – Doprawdy osobliwość przyrody...

– Może później. – Dziennikarz wyraźnie się przestraszył.

– Tak, faktycznie, takie artefakty powinien najpierw zobaczyć doświadczony egzorcysta, na wszelki wypadek... – Louvain zgodził się z powagą i zrezygnował z prezentacji. – Podsumujmy zatem, panie redaktorze. Otóż naturalny bieg zdarzeń jest w tym przypadku o wiele mniej prawdopodobny niż bezpośrednia manifestacja działań złego ducha. Takie są fakty. Coś się tam objawiło i wybrało sobie jeszcze jedną ofiarę...

– Czy widziano sprawcę? Czy byli jacyś świadkowie albo może monitoring uliczny coś wykrył...?

– Była mgła i środek nocy, panie redaktorze. W tej mgle kamera na dachu pobliskiego supermarketu „Fort Wola” zarejestrowała jedynie jakiś cień oddalający się od miejsca zdarzenia, jakby ludzką sylwetkę...

– Czy udało się powiększyć ten obraz?

– Niestety nie, panie redaktorze. Kiedy podjęto taką próbę, zarys postaci rozpadł się na piksele. Pojawiła się ruchoma plama czerni.

Bilecki przeżegnał się znowu.

Komisarz mógł wprawdzie dodać, że nie należało spodziewać się innego efektu w sytuacji, gdy powiększało się daleki fragment tła monochromatycznego obrazu z przeciętnej jakości kamery przemysłowej, której ostrość wyregulowano tak, by widzieć dobrze tylko pobliski parking, ale wówczas jego relacja zbytby straciła na barwności. Ponadto, gdyby dziennikarz złamał dżentelmeńską umowę i wydrukował za dużo, jawna bzdura w tekście stanowiła alibi Louvaina, dowodząc, że pismak konfabulował i włożył w usta komisarza plotki zasłyszane od kogoś

innego. Błogosławieni roztropni i dupy swoje chroniący, amen!

Zapadła chwila ciszy. Louvain miarowo obracał różaniec, a Bilecki myślał nad następnym pytaniem, jednak nie zdążył go zadać.

– Czy mógłbym pana przeprosić?! – Człowiek, który stanął właśnie obok ich stolika, bynajmniej nie pytał ani nie prosił. Jego ton głosu i naglące spojrzenie jednoznacznie sugerowały dziennikarzowi, że jeżeli natychmiast się stąd nie ruszy, zostanie oskarżony o utrudnianie śledztwa. – Sprawa służbowa!

Bilecki nie próbował sprawdzać, co się wydarzy, jeśli odmówi. Czym prędzej chwycił dyktafon i swoją filiżankę kawy, po czym odskoczył jak oparzony trzy stoliki dalej.

Michał Rafalski, podkomisarz, z którym Louvain pracował nad sprawą, o której przed chwilą opowiadał, był właśnie klasycznym typem pampersa, poczętego w mrokach stanu wojennego, co najwyraźniej zostało mu na resztę życia. Zawsze reagował zdecydowanie zbyt ostro i bez wycucia, olewał wszystkich świętych, skutkiem czego fakt, że przykładał się do roboty, znaczył coraz mniej i mniej, a niedawny awans na podkomisarza był najprawdopodobniej ostatnim w jego karierze. Szklany sufit już się nad nim zasunął, z czego młodszy kolega jeszcze nie zdawał sobie sprawy, a Louvain trzymał to domniemanie wyłącznie dla siebie.

– Znów się lansujesz wśród moherów? – Zniesmaczony Rafalski rzucił aktówkę na blat.

– Nie mogłeś z tym zaczekać? – odparł Louvain z ojcowską przyganą w głosie. – Albo przynajmniej zadzwonić. – Zdjął z palca pierścień różańcowy i schował go do kieszeni marynarki. Oczywiście, tej na sercu.

– Nie. Sprawa zrobiła się zbyt gorąca.

– Nie ona pierwsza...

– Nie aż tak! – Podkomisarz obejrzał się, upewniając się, czy dziennikarz usiadł wystarczająco daleko, i zajął jego miejsce.

– Coś wyszło z wywiadu środowiskowego? – domyślił się Louvain.

– Jak cholera! Zgadnij, kim był ten Piaskowski...? – Mowa była o ofierze zrzuconej z wiaduktu na tory. Rafalski jeszcze raz obejrzał się na Bileckiego.

– Zamierzasz trzymać mnie w niepewności? – Louvain uśmiechnął się ironicznie.

Podkomisarz najwyraźniej miał taki zamiar.

– Mam nadzieję, że o tej sprawie jeszcze żadnej farby do katolickiej prasy nie puściłeś?

– Nic, co mogłoby mieć znaczenie dla śledztwa.

– Więc jednak! – obruszył się Rafalski. – Wobec tego ty powiedz mi najpierw co, bo ja bardzo ciekaw jestem twojej miny, kiedy się dowiesz, co mam...

– Zasugerowałem, że w samobójstwie maszynisty Kowalika maczały palce moce piekielne. Że to nie mogło być samobójstwo, bo denat nie miał się na czym powiesić, zatem został uduszony przez drzewo, w które wstąpił zły duch. – Louvain z kamienną twarzą streścił rozmowę.

Reakcja partnera go rozczarowała. Rafalski, choć powinien, nie osłupiał.

– Przecież to bzdura. – Podkomisarz poprzestał tylko na wzruszeniu ramionami. – Mamy zabezpieczone ślady i jednoznaczną ekspertyzę wskazującą, że pętla wisielcza została wykonana z elastycznego pędu korzenia, rosnącego wprawdzie dość nietypowo, bo półtora metra nad ziemią, ale nic w tym egzotycznego. Dzikie bzy tak mają. Kowalik, jak wielu samobójców, skorzystał po prostu z tego, co miał pod ręką. Jedyne, co zdziwiło ekspertów, to że ta odrośl utrzymała dorosłego mężczyznę. Drewno bzowe jest z natury dosyć kruche, ale widać o tej porze roku stwardniało wystarczająco...

– Mnie tego nie musisz wyjaśniać – nastroszył się Louvain. – Jednak z prasą warto dobrze żyć, a oni muszą mieć o czym pisać i lepiej dać im newsa, niżby mieli go sami szukać, bo wtedy chuj wie co wygrzebią. Dlatego sprzedałem legendę, która powinna być, za przeproszeniem, nośna medialnie, a jednocześnie nie zdradza istotnych szczegółów śledztwa. Jeżeli temat podchwycą tabloidy, to w końcu, na zasadzie głuchego telefonu, wyjdzie im, że w Warszawie grasują enty-zabójcy, co jest skutkiem nieodpowiedzialnych zabaw młodzieży w okultystyczne gry RPG i czytania Tolkiena... – Komisarz wychylił się zza ramienia kolegi i uśmiechnął serdecznie do Bileckiego, który nie spuszczał wzroku z policjantów. – A więc zagrożenia duchowe, upierdliwe wałkowanie tematu, czy literatura fantasy to satanizm, i tak dalej. Medioci polecą kupą po wywiady do klechów, a my, psy, będziemy mieli święty spokój.

Rafalski uśmiechnął się sardonicznie, ale bynajmniej nie był to podziw dla przebiegłości partnera. Ten grymas mówił: „mam cię!”.

– Taki kit możesz wciskać naczałstwu na dywaniku – skwitował głośno – choć wątpię, czy nawet oni to kupią. A firmowy rzecznik będzie zazdrosny, że go wyręczasz. Z kolei te mohery też się kiedyś połapią, że robisz sobie z nich jaja, i skończysz jako dusza potępiona na obu końcach. Tylko, szczerze mówiąc, nie sądziłem, że to będzie tak szybko...

Louvain milczał zbity z tropu.

– Przecież ty, Krzysiek, tak w gruncie rzeczy wierzysz w te klesze zabobony. – Rafalski z lubością kontynuował psychiczną wiwecykę partnera. – Idę o zakład, że na pewno pomyślałeś sobie, że to nie mógł być przypadek, żeby takie dziwaczne drzewo wyrosło właśnie w takim miejscu. Tylko jeszcze szkoda, że to bez, nie brzoza...

– Dobra, gadaj wreszcie, co masz! – zdenerwował się komisarz.

– Świętej pamięci Mieczysław Piaskowski, wzorowy student trzeciego roku teologii Uniwersytetu Wszechnickiego, dodatkowo udzielał się jako katolicki wolontariusz.

– Doprawdy, rzadki zbieg okoliczności – zakpił Louvain.

– Dokładniej mówiąc, był pomocnikiem egzorcysty. – Rafalski stopniowo dawkował napięcie. – Jak to się tam u nich fachowo nazywa?

– Członek grupy wsparcia modlitewnego – wyjaśnił Louvain, starając się odzyskać profesjonalny spokój. – Modlą się razem z egzorcystą i gdy trzeba, pomagają przytrzymać siłą miotających się pacjentów. Chcesz powiedzieć, że mamy motyw zabójstwa?

– Gorzej. Członkami tej samej grupy wsparcia były ofiary dwóch innych zabójstw, do których doszło na terenie Warszawy w ciągu ostatniego tygodnia.

– Zatem mamy seryjnego? – zadumał się Louvain.

Rafalski wyjmował kolejno akta z teczek.

– Pierwszym był Edward Pilch z Mokotowa, lat dwadzieścia pięć, pchnięty trzykrotnie nożem w brzuch w parku Morskie Oko późnym wieczorem dwunastego listopada. Pierwszymi podejrzanymi, wobec słusznych katolicko-narodowych poglądów denata, byli aktywiści Antify, ale śledztwo w tym kierunku nie wypaliło. Innych potencjalnych sprawców nie wytypowano. Następny trup trzy dni później, Zbigniew Kunic, lat dwadzieścia dwa, rówieśnik Piaskowskiego, skopany na śmierć na Pradze, w zaułku przy Tarchomińskiej. Niby porachunki albo napad rabunkowy, ale nie wiadomo, dlaczego się tam znalazł, bo mieszkał na Ochocie i nie miał żadnych szemranych interesów w okolicach bazaru Różyckiego, ani w ogóle znajomości na prawym brzegu Wisły. Zatem tu też żadnych punktów zaczepienia dla śledztwa. Dzień później mieliśmy to zdarzenie na Woli. Trzej młodzi, spokojni ludzie, bez konfliktów z prawem, z zupełnie różnych środowisk – pracownik fizyczny w supermarkecie, kierowca w firmie kurierskiej, student. Nic ich nie łączy, z wyjątkiem osoby księdza Jana Ryby, diecezjalnego egzorcysty.



– Znam z widzenia. – Louvain skinął głową. – Są jakieś zbieżności w sposobie działania sprawcy?

– Na oko nic. Kopie akt dostał już nasz profiler, może on coś znajdzie, ma się odezwać pojutrze. Poza tym dałem znać na toksykologię, bo ofiary chyba wcale się nie broniły przed śmiercią. W przypadku Piaskowskiego ślady walki w samoobronie trudno będzie stwierdzić po tym, co z niego zostało, ale pozostali bez wątplenia poszli na rzeź jak barany, przepraszam, baranki boże... Żaden z nich nie był ułomkiem, więc zaleciłem sprawdzenie, czy nie zaaplikowano im jakiejś pigułki gwałtu, i od razu przyleciałem do ciebie, żeby cię ostrzec, byś czego nie chlapnął tym twoim znajomym z moherowej prasy. Ale jak widzę, mleko się już rozlało. Będziesz teraz sławny, Krzysiu, jak chciałeś, gratuluję!

Komisarz nie skomentował przytyku. Zachował też pokerowy wyraz twarzy.

– A teraz ciekaw jestem, jak odkręcisz ten pasztet... – Rafalski zerknął znacząco na publicystę z „Przyjaciela Egzorcysty” i schował papiery. – Jutro opowiesz mi to w robocie. Siema! – Ruszył w kierunku schodów.

Redaktor Bilecki natychmiast wrócił na swoje miejsce. Może nie był geniuszem, ale nie potrzebował nim być, znał się na swojej robocie wystarczająco dobrze, by zauważyć, że stało się coś szczególnego. Tak ważnego, że aż pan komisarz z wrażenia zapomniał wyjąć z kieszeni różańca...

– Jakież nowe fakty pojawiły się w naszej sprawie? – zapytał konfidencjonalnie.

Louvain popatrzył na niego ciężkim wzrokiem.

– Panie redaktorze – zaczął mówić powoli, cedząc słowa. – Musimy się na coś umówić. W zamian gwarantuję panu całkowitą wyłączność, ale teraz, tylko na kilka dni, musi pan redaktor zapomnieć o naszej rozmowie. Odezwę się do pana.

Bilecki z wrażenia otworzył usta.

– Przecież mieliśmy ostrzec ludzi...

– Tego spotkania nie było! – Komisarz Louvain powstał energicznie. – Rozumiemy się?!

## LISTA PODEJRZANYCH

– To ogromnie bolesne doświadczenie. Cała nasza wspólnota jest niezmiernie poruszona i modli się za dusze tych chłopców. Nie wątpię, że rychło dostąpią światłości wiekuistej.

Ksiądz Jan Ryba był lekko przygarbionym mężczyzną w wieku czterdziestu pięciu lat, o mocno pobrużdżonej twarzy. Nosił krótką i wąską, lekko szpakowatą brodę, całkowicie mieszczącą się pod ustami. Ubrany w zwykłą czarną sutannę bez żadnych dystynkcji, choć formalnie był kanonikiem i przysługiwały mu purpurowe guziki i obwódki rękawów. Cała jego sylwetka, pochylona nieco do przodu, jakby szedł pod wiatr, razem z charakterystycznymi rysami twarzy upodabiała go raczej do starego marynarza niż duchownego, choć z kościelną emfazą można by rzec, że nic w tym dziwnego, skoro ksiądz Jan nie raz stawiał czoła duchowym sztormom. Mówił powoli, z namysłem, jakby nieśmiało, co przez kontrast musiało potęgować efekt egzorcyzmów w jego wykonaniu. Jak nagle zagrział, to nie tylko szatanowi dusza poszła w pięty.

I był psychopatą. Zimnym drapieźnikiem bez skrupułów i emocji.

Komisarz Louvain pierwszy raz rozmawiał z księdzem Janem. Widywał go wcześniej z oddali na kilku mszach z okazji większych świąt diecezjalno-państwowych, ale nigdy jeszcze nie spojrział mu z bliska w oczy, więc teraz aż ścierpła mu skóra. Naprawdę dobrze znał ten dreszcz. Wieloletnie gliniarskie doświadczenie Louvaina nie pozostawiało tu żadnych wątpliwości. Przed nim stał podręcznikowy wręcz model osobnika *moral insanity*, istoty tylko imitującej człowieka, dla której wszystkie wyższe wartości były jedynie wyuczoną konwencją, zmienną w każdej chwili, jak ubranie.

Psychopatów było w populacji dość dużo, od jednego do dwóch procent, oczywiście nie każdy z nich zostawał zaraz seryjnym mordercą. W większości przypadków potrafili oni wdrożyć się do takiego postępowania, by nie zaszkodzić zbyt wiele sobie i innym, a przynajmniej nie na tyle, żeby przekroczyć granice wyznaczone przez kodeks karny. Bywali więc bezwzględny menadżerami, adwokatami i, o dziwo, często też lekarzami. Wyróżniali się w zawodach, w których

potrzebna była zimna krew i opanowanie emocji oraz odporność na psychiczne zmęczenie. Mało kto zdołał zauważyć, że ich spokój wynika po prostu z zupełnego braku uczuć. Owszem, w większości przypadków uczyli się je udawać – kiedy jakie słowa wypowiedzieć oraz jakie gesty w danej sytuacji wykonać, aby otoczenie zareagowało pozytywnie. Było to dla nich jak mówienie w obcym języku i często osiągali w nim wielką biegłość. Manipulowali z równą łatwością, jak oddychali.

Kiedy jakimś trafem wybierali karierę duchowną, po niedługim czasie zaczęli wyróżniać się w praktykach pobożnościowych, bowiem nuda i potrzeba odmiany monotonnych, powtarzalnych czynności są uczuciami, a te ich nie dotyczyły. Łatwo więc zyskiwali opinię „kapłanów o szczególnym charyzmacie”, spośród których biskupi wybierali egzorcystów. Ci zaś bardzo dobrze sprawdzali się w tej roli. Przede wszystkim dlatego, że byli odporni na paranoję indukowaną, której nieuchronnie ulegali ludzie o normalnej psychice. Głęboka wiara w to, że podczas egzorcyzmów objawia się prawdziwy szatan, wyzwała bardzo silne emocje, a wieloletnie życie w takim stresie prowadzi do rozwoju swoistej choroby zawodowej. Dotknięci paranoją indukowaną księża stopniowo zaczęli widzieć diabła wszędzie i popadali w manię wyklinania wszystkiego na prawo i lewo. Psychopaci powołani do posługi egzorcysty nie robili nigdy publicznych skandali ani obciachu na YouTube, z którego potem rechotała cała Polska, nie wypowiadali posłuszeństwa swoim zwierzchnikom i nie trzeba było ich w końcu suspendować. Byli idealni.

A teraz jeden z nich patrzył prosto w oczy Krzysztofa Louvain, którego żółądek i można zareagowały na to mimowolnym skurczem. Czysty atawizm, odziedziczony po praprzodkach z afrykańskiej sawanny, obserwujących wynurzającego się z zarośli wielkiego, drapieżnego kota... Ten charakterystyczny ruch, jakby wzór cętek, błysk ślepi... Komisarz od razu pożałował, że nie przyszedł na tę rozmowę z Rafalskim. A pokłócili się o to. Podkomisarz chciał, ale Louvain mu nie pozwolił, aby nonszalancja i niewyparzony język partnera nie zraziły przypadkiem księdza Jana. Teraz, psiakrew, komisarzowi ogromnie brakowało tutaj kogoś, kogo mógłby zapytać, czy widzi na pewno to samo co on.

No trudno! Louvain wziął się w garść i ze swej strony darował sobie socjotechniczne sztuczki. Wiedział, że jego obecny rozmówca jest w tej dyscyplinie arcy mistrzem. Rozsądnie było więc nie stawać z nim do zawodów, tylko ograniczyć się do prostych, podstawowych pytań, demonstrując przy tym cały należyty szacunek i pokorę. Należało mieć na uwadze, że ksiądz Jan natychmiast dostrzeże każde, nawet najdrobniejsze uchybienie obowiązującym formom i nie okaże

dystansu ani poczucia humoru, nie będzie „ponad to”, lecz metodycznie wygłosi oficjalne pouczenia, po czym utnie rozmowę, i zrobi się kłopot, bo trzeba będzie przebijać się do niego mozolną i niepewną ścieżką służbową przez kurie.

Komisarz zapadł się więc w siebie, okazując całą postawą, że jest tylko nędznym przedstawicielem znikomej władzy świeckiej. Przybrał wygląd „liczy i gamoniowaty”, zgodnie z instrukcją dla carskich urzędników, stanowiącą, iż właśnie tak mają się oni prezentować przed obliczem swego zwierzchnika. Tego ksiądz Jan bez wątpienia oczekiwał. Szczerość owej postawy nie miała znaczenia, ważne, żeby konwencja się zgadzała. Tę zaś narzucała przede wszystkim okoliczność, że niniejsza rozmowa toczyła się w kaplicy, służącej księdzu Janowi za gabinet zabiegowy. Wskazywał na to leżący pod ścianą materac i kilka poduszek, pomiędzy którymi poniewierały się rolki bandaża elastycznego do krępowania opętanych.

– Proszę księdza, czy ci młodzieńcy mieli jakichś nieprzyjaciół? – zaczął Louvain.

– Ich nieprzyjacielem był zły duch.

– Miałem na myśli doczesnych wrogów.

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie komisarzy.

– Może groził im któryś z... – Louvain ugryzł się w język i przezornie nie powiedział „pacjentów”. – ...zniewolonych ludzi. Wiadomo mi, że podczas rytuału oni często zachowują się dość agresywnie.

– To zły trop, panie komisarzy.

– Dlaczego, proszę księdza? Ci trzej przecież w trakcie zabiegu nie tylko wspierali księdza swoją modlitwą, ale na pewno musieli często używać siły fizycznej, aby przytrzymać miotających się opętanych. Któryś z nich mógł im potem mieć to za złe.

– Użycie siły jest niezbędne w niemal każdym przypadku, który jest do mnie kierowany. Jednak powtarzam, panie komisarzy, że kieruje pan swoje podejrzenia w złym kierunku.

– Jednak mogły paść jakieś groźby...

– Padały nawet często, panie komisarzy, ale w takich chwilach groził im zawsze demon, a nigdy człowiek. Ani jedna z osób, którym pomogłem uwolnić się spod wpływu szatana, nie żywiła potem żadnych złych uczuć wobec moich pomocników, wręcz przeciwnie, wszyscy uwolnieni zawsze odchodzili przepelnieni głęboką wdzięcznością.

– Ale ów demon...

– Jest bezsilny! – przerwał mu stanowczo ksiądz Jan. – Sprawujący egzorcyzm kapłan, jak również osoby wspomagające go w tym podniosłym obrzędzie, odnowionym przez samego Jana Pawła II, są szczególnie chronione przez Ducha Świętego, na mocy sukcesji apostoelskiej. Dlatego żaden demon nie może nikogo z nas skrzywdzić! Natomiast ludzie nie mają powodu.

– A jednak mimo to trzech pomocników księdza kanonika nie żyje.

– Myślałem o tym wiele, panie komisarzu, i podzielię się moją refleksją. Ponieważ jest absolutnie wykluczone, aby sprawowane przeze mnie rytuały, ustanowione, podkreślam to z mocą, przez naszego świętego papieża, mogły mieć jakikolwiek związek z tymi okrutnymi zdarzeniami, trzeba uznać tę tragiczną zbieżność za całkowicie przypadkową. Opatrzność Boża w swym niezgłębionym zamyśle dopuściła do potrójnego zbiegu okoliczności. Ludzie bez sumienia wciąż dokonują zamachów na życie swoich bliźnich. Tak się złożyło, że akurat byli to moi asystenci.

– Przykro mi, ale zmuszony jestem stwierdzić, że ksiądz kanonik się myli. To nie była przypadkowa seria zdarzeń. Sprawca we wszystkich trzech sytuacjach był jeden i ten sam, tego już jesteśmy pewni. Musiał więc wcześniej znać swoje ofiary, a jedyna okoliczność, kiedy mógł je widywać razem, to była posługa u boku księdza kanonika. Nic poza tym ich ze sobą nie łączyło, zmarli nie spotykali się w innych okolicznościach.

– Jest pan tego pewien, komisarzu?

– Niestety, tak.

Szczegółów Louvain nie mógł ujawnić, ale ich profiler, toksykolog i lekarz sądowy doszli do tych samych wniosków niezależnie od siebie. Sprawca był jeden. Zabijał wprawdzie na różne sposoby, ale tak samo obojętnie. Wszystkie trzy ofiary zostały najpierw porażone paralizatorem przystawionym do pleców, mniej więcej na wysokości połowy kręgosłupa. Potem zaaplikowano im zastrzyk zwiotczający, w dwóch przypadkach było to Cisatrakurium, w jednym Pavulon, co wskazywało, że zabójca ma jedynie okazjonalny kontakt ze służbą zdrowia. Po takim przygotowaniu ofiary były mordowane z zimną krwią, metodycznie, z wyrachowaniem godnym głównego bohatera serialu „Dexter”. To też było niezależne skojarzenie profilerów i anatomopatologa, który przeprowadzał obdukcje. Ten pierwszy ponadto był zdania, że sprawca mieszka w śródmieściu lub północnych dzielnicach Warszawy. Wskazywało na to rozmieszczenie miejsc zdarzeń. Przede wszystkim jednak było więcej niż pewne, że na tej trójce ta seria morderstw się nie skończy. Motyw wyglądał na zdecydowanie religijny, ale aż „za dobrze wygląda”,

jak podsumował profiler. Co to miało znaczyć, pokażą kolejne przypadki...

– Chciałbym prosić księdza kanonika o listę osób, które były egzorcyzmowane w obecności wszystkich trzech zmarłych.

– Nie było takiej sytuacji, panie komisarzu.

Twarz księdza Jana oczywiście nie zdradzała żadnych uczuć, ale Louvain uznał, że duchowny chce się wycofać z rozmowy, więc postanowił być twardszy.

– Proszę księdza, utrudnianie śledztwa w sprawie potrójnego morderstwa stawia mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji...

– Proszę mi nie grozić.

– Ja proszę o pomoc.

– Nie odmawiam panu pomocy. Stwierdzam jedynie, że nie pamiętam sytuacji, w której w rytuale uczestniczylibyśmy wszyscy czterej.

– W takim razie jestem zmuszony przesłuchać wszystkich księdza pomocników oraz podopiecznych.

– Mogę podać adresy dziewiątki żyjących członków grupy wsparcia.

– Było ich dwanaścioro?

– Zawsze się starałem, panie komisarzu, aby było ich dokładnie tyle co apostołów, nie wykluczając przy tym pobożnych panien i niewiast. Jeżeli coś im zagraża, udzielę panu pomocy tym chętniej. Jednak ujawnienie imion osób egzorcyzmowanych wzbudza we mnie sprzeciw sumienia. To prawie jak zdrada tajemnicy spowiedzi i lekarskiej w jednym.

– Prawie... – powtórzył jak echo Louvain. – Różnica jest zasadnicza. – Darował sobie dosłowne wygłaszanie wiadomego hasła reklamowego, wiedząc, że jego rozmówca nie zareaguje na to z dystansem. – Musimy przynajmniej sprawdzić alibi osób uwalnianych od wpływu złego ducha. Obiecuję, że przeprowadzimy te czynności oględnie, i proszę, aby ksiądz oddał cesarzowi, co cesarskie...

Egzorcysta milczał długą chwilę.

– Rozumiem, że jeśli panu teraz odmówię – powiedział wreszcie – pan uda się do mojego zwierzchnika, stawiając Kościół święty w kłopotliwej sytuacji.

– Dlatego lepiej będzie, proszę księdza, jeżeli załatwimy rzecz teraz polubownie. Mogę zapewnić, że dołożę wszelkich starań, aby prowadzić śledztwo wobec tych osób jak najdelikatniej.

– Jak długi okres mojej posługi zamierza pan zbadać?

– Ostatnie pół roku. Mam nadzieję, że to wystarczy.

– Dobrze. – Egzorcysta ustąpił. – Otrzyma pan listę nazwisk i adresów dziś wieczorem. Specjalnie zaznaczę na niej te osoby, wobec których egzorcyzmy są jeszcze kontynuowane, oraz te, które szczęśliwie mają uwolnienie już za sobą.

– Dziękuję.

– Uczynię to tylko dlatego, że słyszałem o panu komisarzu wiele dobrego. Daje pan rzadkie w swoim zawodzie świadectwo pobożności i umiłowania wiary, czego sam nieraz byłem świadkiem. Dlatego ufam, że nie nadużyje pan mojego zaufania ani w żaden sposób nie skrzywdzi nikogo z tych ludzi.

Louvain nie pokazał po sobie ani cienia uśmiechu. Naprawdę szkoda, że Rafalskiego tutaj nie było. Ciekawe, jaką minę miałyby pan podkomisarz, gdyby to usłyszał. Cała ta demonstracyjna dewocja starzejącego się gliniarza, z której Rafalski robił sobie nieustanną polewkę, na coś się jednak przydawała. Gdyby nie to, łatwo można sobie wyobrazić, że sprawę trzeba byłoby przepychać przez Komisję Wspólną Rządu i Episkopatu... Znaczy, Rafalski tak by sobie uroił i pewnie nawet serio się za to zabrał, w niezmiernym zaufaniu, że wszystko da się zrobić praworzędnie, według procedur i po sprawiedliwości. Wszak mamy demokrację! Rozczulające dziecko pampersów i państwa prawa. Louvain wiedział, że na sto procent rzecz została by załatwiona w starym stylu – telefonem z góry i krótkim jasnym poleceniem odpiardolenia się od dobrodziejów. Dalej mieliby już tak łapać, żeby nikogo nie złapać, a najlepiej przyklepać zarzut jakiemuś oprychowi, za którym nie ujmie się nikt, z wyjątkiem monitoringu w celi. Kamera dyskretnie spuści obiektyw akurat w chwili, kiedy delikwent będzie się wieszać na sznurku od spłuczki, który na zdrowy rozum za chińskiego boga nie powinien utrzymać dorosłego chłopca nad podłogą. Toż to rzecz niemożliwa – tak się wszystkim, co do jednego, zainteresowanym klawiszom wydawało, Bóg im świadkiem! Zero podejrzeń i przypuszczeń, a tu ich zaskoczył niezmiernie postęp w technologii włókien sztucznych. Ech, ten zadziwiający wiek dwudziesty pierwszy!

Tak, oczywiście, że będą kolejne morderstwa, co skomplikuje trochę oficjalny obraz sprawy. Może nawet ktoś wyrazi publiczne przypuszczenie, że skazany samobójca był niewinny. Gdyby jednak coś miało z tego wyniknąć, to się wynajmie agencję PR, która najpierw uwypukli cierpienie i żałobę rodzin ofiar, a potem uruchomi rozliczne medialne autorytety. Ci na dzień dobry zasieją mnóstwo wątpliwości, a dalej będą „rozważać aspekty”, czyli jałowo roztrząsać marginalne kwestie, pieprząc kotka młotkiem do zbiorowego wyrzgu. Na koniec weźmie się miotłę ze świeżych newsów i nią do czysta w głowach opinii publicznej pozamiata.

Tyle będzie postępu w ponowoczesności.

– Niech Jezus Chrystus księdzu kanonikowi wynagrodzi – powiedział komisarz głośno.

Szczerze mówiąc, był wdzięczny. Tak, temu psychopacie. Louvain naprawdę miał ochotę jeszcze trochę pociągnąć to śledztwo zgodnie z regułami sztuki kryminalnej, bez konieczności rżnięcia totalnego głupa jak w sprawie Olewnika.



Beata Potocka, rekruterka.

To nazwisko figurowało na obu listach przygotowanych przez księdza Jana. Nawrócona satanistka, która po pomyślnych egzorcyzmach przeszła na słuszną stronę mocy i dołączyła do grupy wsparcia. Szczególny przypadek, dlatego od niej zaczęli.

Pracowała w dziale zasobów ludzkich „Heute Qou”, znaczącej światowej korporacji, której polska filia miała siedzibę w czterdziestopiętrowym biurcu przy Rondzie ONZ 1. Pierwsza myśl Louvain była więc taka, że te egzorcyzmy chyba niezupełnie na pannę Beatę podziały, skoro ona po wszystkim nie zmieniła fachu. Wszak jako satanistka też zajmowała się pozyskiwaniem dusz dla swojej firmy. A mówiąc serio, to mimochodem potwierdzała się podstawowa zasada kryminalnego profilowania, że ludzie bardzo rzadko zmieniają nawyki. Nawet tak traumatyczne przeżycia, jak opętanie i proces uwalniania od demonów, najwyraźniej nie były w stanie tego zmienić. To chyba powinna być interesująca konstatacja dla ich wydziałowego profilerów. Trzeba będzie „Ciepłemu” o tym wspomnieć, pomyślał Louvain, w chwili gdy pokazywał legitymację służbową ochroniarzowi przy bramce na parterze.

Tym razem przyszedł z Rafalskim. Przez wzgląd na prośbę księdza Jana Louvain zamierzał przynajmniej na razie działać dyskretnie, zatem obaj wmieszali się w grupę osób zaproszonych na rozmowę kwalifikacyjną, tak by jak najmniej ludzi w firmie zwróciło na nich uwagę. Uprzedzona wcześniej Potocka zaaranżowała spotkanie tak, żeby obaj śledczy weszli do niej na samym końcu.

Jak powinna wyglądać osoba po egzorcyzmach? A przy tym jeszcze kościelna aktywistka? Louvain w głębi duszy spodziewał się czegoś w rodzaju oazowiczki – dziewczyny niezbyt ładnej, grubokościstej, tryskającej neofickim entuzjazmem, a ponadto chodzącej reklamy szczęścia z odzyskanej relacji z Bogiem. Oczywiście ten wizerunek musiał zostać zmodyfikowany przez korporacyjny *dress code*, wykluczający ubranie się w powyciągany, wełniany sweter, maskujący kształty ciała, aby nikomu nie przyszły do głowy żadne nieczyste myśli. Ale bez wątpienia musiał

być krzyżyk na szyi, rozmiar nawet ciut większy niż dyskretny. To akurat się sprawdziło, podobnie jak przewidywania odnośnie do reszty stroju i umiarkowanej urody. Potocka była pospolitą ciemną blondyną o zaniedbanym zgryzie. Korporacyjnej kariery z pewnością nie zaczynała jako hostessa lub asystentka. Mimo tak dużej trafności przewidywań zaskoczenie po wejściu do jej pokoju było jednak jeszcze większe.

– Ćpunka... – mruknął zniesmaczony Rafalski, werbalizując tym słowem także odczucia partnera.

Faktycznie, panna Beata wyglądała, jakby przed chwilą dała sobie w żyłę albo przyjęła całą garść prozaku i odleciała w pozagalaktyczne rejony transcendentalnego uszczęśliwienia. Louvain odruchowo spojrział na jej ręce, czy nie ma na nich nakłuć. Jeśli tak, to skrywały je rękawy ciemnogrnatowego żakietu o odcieniu wpadającym w żalobną czerń.

Wzrok miała senny, zupełnie nieobecny. Wstała zza biurka i podeszła do policjantów jak lunatyczka. Aż wydało się dziwne, że ona chce się z nimi przywitać, a nie po prostu ominąć i wyjść przez okno na spacer po gzymsie.

– Jestem Beata Potocka, w czym mogę panom pomóc?

Oż kurwa... Niewiele brakowało, aby Louvain powiedział to na głos. Rafalski też zmełł pod nosem jakieś grubsze słowo. Rekruterka wbrew pierwszemu wrażeniu mówiła zupełnie normalnie – energicznie, z profesjonalną swadą i pewnością siebie. Jednocześnie, kiedy się odezwała, jej zmulony wzrok nie ożywił się ani trochę, a dłoń wyciągnęła się na powitanie o dobre trzy sekundy zbyt wolno. Jeżeli oczy są zwierciadłem duszy, to stojąca przed nimi dziewczyna składała się z dwóch zupełnie różnych osób – jedna z nich patrzyła i wykonywała gesty, a druga mówiła. Co więcej, granica pomiędzy nimi przebiegała w poprzek twarzy. Powyżej ruchliwych, uśmiechających się nieustannie ust patrzyły ślepiea zombie.

Efekt finalny był do głębi schizofreniczny. Dysonans poznawczy momentalnie, jakby kto szarpnął za dywan, zabierał spod nóg racjonalny grunt, porażając rozum nagłą falą niepewności i zabobonnego wręcz lęku. To nie był człowiek... Ludzie tak nie wyglądali...

Kiedy Louvain otrząsnął się z początkowego szoku, jego pierwsza trzeźwa myśl okazała się konstatacją, że to chyba dlatego panna Potocka została zatrudniona akurat na tym stanowisku. Była chodzącym testem odporności na stres i sprawności działania w nieoczekiwanych sytuacjach. Wypadało przyznać, że mogła naprawdę skutecznie selekcjonować kandydatów do pracy, eliminując najsłabszych

psychicznie w przeciągu pierwszej minuty rozmowy. Tacy zapewne uciekali stąd natychmiast, bredząc coś o czajniku na gazie lub nadreaktywnym pęcherzu. Ktoś, kto wpadł na ten pomysł, musiał wykazać naprawdę wielką, żeby nie powiedzieć szatańską, inteligencję. I zarazem diablo mało oporów etycznych, bo jeśli ta dziewczyna naprawdę miała coś z głową, wykorzystywanie jej choroby psychicznej do celów komercyjno-biznesowych wołało o pomstę do nieba.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie nagłej śmierci pani znajomych... – Louvain ze zdumieniem stwierdził, że głos mu drży. Wiek i policyjne doświadczenie swoją drogą, ale zdetonowana podświadomość nie dawała się tak łatwo przywołać do porządku. I tak z nim było dobrze, bo Rafalski najwyraźniej w ogóle nie zamierzał się odzywać.

– To ogromnie bolesne doświadczenie. Jesteśmy niezmiernie poruszeni, cała nasza wspólnota modli się za dusze tych chłopców. Na pewno prędko dostąpią światłości...

Cholera jasna, jeszcze tylko *déjà vu* z rozmowy z księdzem Janem tutaj brakowało! Louvain poczuł, że zaczynają mu puszczać nerwy. Nagląco popatrzył na partnera, dając do zrozumienia, by to on dalej poprowadził przesłuchanie. Sam musiał usiąść, koniecznie wypić szklankę wody i zebrać do kupy rozbiegane myśli. Rafalski oczywiście nie wiedział, co starego durnia tak poruszyło, no i trudno, w zamian niech się kurna teraz pampers jeden do czegoś przyda!

Podkomisarz nieznacznie wzruszył ramionami i zaczął od pytań o alibi. Rekruterka nie miała go w pierwszym oraz w ostatnim przypadku, ale za to w drugim żelazne – w czasie zabójstwa uczestniczyła w telekonferencji z centralą w Filadelfii. Nie dość, że widziało ją wtedy i dyskutowało z nią prawie dwadzieścia osób, to jeszcze ze względu na różnicę czasu została w pracy prawie do północy, co mogli potwierdzić członkowie ochrony i personelu sprzątającego. Skoro więc zabójca był jeden, jak to już wcześniej ustalili, Beata Potocka wydawała się czysta, pomijając trudny do zniesienia fakt, że z natury własnej była wygadanyym żywym trupem.

– Proszę nam opowiedzieć, jak trafiła pani do grupy księdza Jana.

– Byłam opętana – odparła wprost. – A ojciec Jan mnie uwolnił...

Teraz dopiero jej głos się zmienił, zgrywając się lepiej z mową ciała. Znikła dotychczasowa stanowczość oraz ekspresyjna pasja wypowiedzi. Słowa wypowiadała znacznie wolniej, matowo, z wyraźną rutyną i elementami kościelnej nowomowy. Wyglądało to, jakby mechanicznie przełączyła się w tryb „dawania świadectwa”, co zapewne robiła już wielokrotnie na religijnych mitingach.

– W moim domu rodzinnym nie działa się najlepiej...

– Proszę pani! – stanowczo przerwał jej Louvain. – Nie jesteśmy na parafiadzie! To jest oficjalne przesłuchanie świadka w sprawie o potrójne morderstwo.

– Przepraszam, panie komisarzu. – Natychmiast wróciła do poprzedniej manieri, skutkiem czego Louvain pożałował, że się odezwał. Skoro jednak już to zrobił, postanowił kontynuować.

– Proszę oszczędzić nam opowieści o tym, jak z braku rodzicielskiej czułości związała się pani z chłopakiem o dziwnych zainteresowaniach, potem podpisała cyrograf własną krwią, spożywała sproszkowane kości zmarłych, a pani ciało służyło za ołtarz podczas czarnych mszy. – Komisarz słyszał już w kościołach wystarczająco wiele takich świadectw, by znać je na pamięć.

– To nie było całkiem tak... – zaproponowała, ale poirytowany Louvain nie dopuścił jej do głosu.

– Proszę nam powiedzieć, czy podczas egzorcyzmów, w których uczestniczyła pani wspólnie z zabitymi kolegami, wydarzyło się coś szczególnego. Szczególnego jak na egzorcyzmy – podkreślił z naciskiem.

– Czy leczyła się pani psychiatrycznie? – Rafalski nie dał się odstawić na boczny tor.

– Cierpię na narkolepsję – odpowiedziała. – Jednak dzięki lekom mogę normalnie pracować...

Na tym w zasadzie mogli zakończyć tę rozmowę i się pożegnać. Alibi sprawdzili, zaś reszta zeznań świruski była warta funta kłaków. Prokurator sam by ich wysłał do czubków, gdyby przynieśli mu taki materiał dowodowy. Ewentualnie mogło to mieć sens jako wiedza operacyjna. Jednak Louvaina zaintrygowało coś innego.

– Jak w takim razie może pani być członkiem grupy wsparcia egzorcyzmy? – zapytał. – Jak pani wytrzymuje bez utraty świadomości tak potężny stres?

– Duch Święty i charyzma księdza Jana dodają mi siły. Wtedy nawet nie muszę brać leków. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale podczas obrzędów uwolnienia czuję się bardzo dobrze. Myślę, że to dlatego, że w ten sposób wypełniam swoje prawdziwe powołanie, bowiem taka właśnie jest moja rola w planie bożym.

– Czy ma pani może zamiar zostać dziewczicą konsekrowaną?

– Myślałam o tym, ale wciąż jeszcze trwa dla mnie okres próby i pokuty.

Teraz z kolei Rafalski wyglądał, jakby miał zamiar wyskoczyć stąd oknem. I to szybko.

– Czy może pani odpowiedzieć na moje pierwsze pytanie? – Louvain definitywnie przejął inicjatywę. – Szczególne wypadki podczas egzorcyzmów... – przypomniał.

– Trudno powiedzieć. – Pokręciła powoli głową. – Wtedy zawsze dużo się dzieje i właściwie nigdy nie jest tak samo. Ale może przypadek Henryka...

– Co takiego się wówczas wydarzyło?

– On za pierwszym razem nas pogryzł do krwi. Mnie i Edka Pilcha... – Podwinęła lewy rękaw i pokazała owalną bliznę na przedramieniu, kilka centymetrów poniżej łokcia. – Tu wyrwał mi zębami kawałek skóry. Byłam nieostrożna i zbyt pyszna.

– Czy chodzi może o Henryka Damięckiego? – Podkomisarz odzyskał profesjonalne podejście. To nazwisko figurowało na przekazanej im liście, w grupie pacjentów księdza Jana.

– Tak, to jest mój były szef – odparła. – Ale ciągle jeszcze pracuje w tej firmie.

– Tego nie wiedzieliśmy – powiedział Rafalski do Louvaina. – Mamy tylko jego numer komórki.

– Henryk jest w pracy, widziałam go dzisiaj na korytarzu.

– Dziękuję, skorzystamy z okazji, aby i z nim porozmawiać – oznajmił komisarz.

– Proszę mi jednak powiedzieć, jak to się stało, że pani szef trafił wraz z panią na egzorcyzmy u księdza Jana.

– Nie razem ze mną – sprostowała. – Ja byłam już wtedy w grupie wsparcia.

– Czy to pani go tam przyprowadziła?

– Tak.

– Z jakiego powodu?

– Henryk był zniewolony przez demona żądzy cielesnej. Wcześniej mnie molestował seksualnie. Nie wiem, co takiego we mnie widział, ale był naprawdę natarczywy. Być może drażniła go moja religijność.

– To w jaki sposób przekonała go pani, aby się poddał egzorcyzmom?

– Powiedziałam, że złożę formalne zawiadomienie do centrali naszej firmy, mają tam specjalną komórkę od *harassmentu*, jeżeli on nie spróbuje modlitwy o uwolnienie u księdza Jana. Henryk mnie najpierw wyśmiał, a potem zaproponował mi zakład. Stwierdził, że zrobi wszystko, co zechcę, podda się nawet pełnym egzorcyzmom, wytrwa do końca całego rytuału rzymskiego, ale potem, jeśli wciąż będzie miał na mnie ochotę, ja mam mu się oddać. Udałam, że się zgadzam.

– Co na to ksiądz Jan? – zapytał Louvain.

– Napomniał mnie, że zgrzeszyłam, ponieważ ośmieliłam się wystawić Pana Boga na próbę. Sprawiedliwą karą było to ukąszenie. Wskutek popełnionego grzechu osłaniająca mnie tarcza bożej opieki okazała się zbyt mała i zły duch znalazł dostęp. Jednak ja w głębi duszy czułam i wiedziałam, że większy grzech nieczystości mi nie grozi, bo Henryk nie ma szans zakpić sobie z bożej mocy. Byłam pewna, że jego zadufanie zostanie poskromione, i tak się stało. Początkowo zareagował na modlitwę ojca Jana naprawdę strasznie. Gorzej niż wszyscy, których dotąd widziałam. Ludzie zwykle miotają się, szarpią, krzyczą, a Henryk wyglądał tak, jakby zaraz miał przemienić się w wilkołaka, ale nie mógł, i to złościło go jeszcze bardziej. Pogryzł mnie i Edwarda, jak mówiłam, jednak mimo początkowej gwałtowności demon opuścił go szybko. Do pełnego uwolnienia wystarczyły dwie sesje. Od tej pory Henryk bardzo się zmienił, nie mam wątpliwości, że na lepsze. Przeprosił mnie i powiedział, że zapisał się na terapię seksoholizmu.

– Sprawdźmy... – skwitował lakonicznie Rafalski.

Louvain znał partnera na tyle dobrze, by wiedzieć, że podkomisarz właśnie upatrzył sobie głównego podejrzanego. Sam też był ciekaw, czy przypadkiem minione mitingi terapeutyczne seksoholików nie wypadały w tych samych dniach co wszystkie trzy zabójstwa, kończąc się późnym wieczorem, niedługo przed znanym albo domniemanym czasem zejścia ofiar.

– Czy była pani obecna podczas obu obrzędów, którym podlegał pan Damięcki? – zapytał komisarz.

– Oczywiście. Skoro wzięłam na siebie ten krzyż, musiałam wytrwać przy nim do końca. Chociaż za drugim razem trzymałam się trochę z tyłu, bo ręka mi się jeszcze nie zagoiła. Ojciec Jan nie miał o to do mnie pretensji.

– Rozumiem, ale czy podczas tych obu sesji byli obecni wszyscy pani zmarli koledzy?

– Tak – odpowiedziała bez wahania.

Bingo! Oznajmiła intuicja Louvaina. Wprawdzie nie sprawdzili jeszcze podejrzanego, ale brak alibi jawił się w tej chwili logiczną wręcz koniecznością. Gość był niewąsko popapwany, więc należało wątpić, żeby podwójny egzorcyzm wystarczył do wyleczenia go z głęboko uwewnętrznionej skłonności do agresji i wrodzonego skurwysyństwa. Raczej należało przyjąć, że pan Henio okazał się człowiekiem wystarczająco cwany, aby się tanio wyłgać od kłopotów w pracy i jeszcze na dodatek bezkarnie dać upust tłumionemu, zapewne od lat, pragnieniu gryzienia ludzi do krwi. Nawiasem mówiąc, egzorcyzmy to wspaniała rzecz dla

zaprzysięgłych antyklerykałów. W trakcie obrzędu mogą oni zdemolować kościół, nawymyślać klechom od ostatnich, a nawet przy odrobinie fartu trafić dobrodzieja w zęby, i nikt im za to złego słowa nie powie, wręcz przeciwnie. Następni w kolejce byli mitomani, spragnieni bycia w centrum zainteresowania, gotowi na naukę kontrolowanego opróżniania żołądka i kupno wszystkich gwoździ w sklepie żelaznym, żeby mieć potem czym pluć podczas zabiegu.

– Proszę mi powiedzieć jeszcze jedno. – Louvain podniósł się z krzesła. – Czy członkowie grupy wsparcia spotykali się towarzysko poza służbą?

– Nie, panie komisarzu. Ojciec Jan zabronił nam utrzymywania płochych relacji. Mogła nas łączyć wyłącznie głęboka wspólnota posługi duchowej.

– Ale z osobami egzorcyzmowanymi mogliście się spotykać?

– O każdej porze dnia i nocy, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Bardzo pani dziękujemy! – Rafalski skoczył do drzwi.

Był tak nakręcony, że aż zapomniał się pożegnać. Louvain zrobił to za niego.

– Dzwonić po patrol już czy jeszcze zaczekać? – zapytał podkomisarz na korytarzu.

– Dzwon, panie Michale! – odparł Louvain bez namysłu.

Naprawdę miło było pomyśleć, że tak paskudnie zapowiadająca się sprawa skończy się tu i teraz, bez żadnych dalszych, psujących krew komplikacji. Lepsze od śledztwa robionego ze wszystkimi prawidłami sztuki kryminalnej było śledztwo szybko i solidnie zamknięte. Sprawa o seryjne zabójstwo, niczym o kradzież kury, załatwiona od ręki. To naprawdę było coś! Z czegoś takiego cieszyli się zwłaszcza szefowie, bo potem zostawała kupa czasu, by poprawić statystki wykrywalności innych przypadków i zapunktować u samej góry.

No doprawdy, Henryk Damięcki nie mógł być aż takim skurwysynem, żeby pokazać im teraz niepodważalne alibi. Za taki numer należało się pięć lat bez wyroku!

Tym razem Rafalski z Louvainem się nie opierniczali i nie udawali już leszczy szukających pracy ani innych cichych, dyskretnych interesantów. Obaj mieli jednakową ochotę odreagować przyprawiającą o obłęd rozmowę z panną Beatą.

Weszli więc z buta na firmową recepcję, postawili na baczność urzędującą tam dziunię, tak że ta najpierw mało się nie posikała z wrażenia, po czym w dwie minuty znalazła im Damięckiego.

Facet okazał się typowym korporacyjnym zgredkiem. Niski, łysiejący, acz – co

warto odnotować – nie chuderlawy. Zapewne w młodości uganiające się za wyrosniętymi przystojniakami rówieśniczki kwalifikowały go do kategorii „kurdupel niewywrotny” i wyśmiewały niemiłosiernie. On zaś odczekał spokojnie, kiedy to im będzie zależęć na pracy i karierze, a wtedy nadszedł dla niego czas odpłaty. Wredne zdziury kolejno dostawały za swoje. Zbyt wysocy przystojniacy też. Wszyscy zabici mieli około metr osiemdziesiąt wzrostu...

Akurat teraz stał obok biurka jakiegoś pracownika i rozmawiał z nim bardzo stanowczym tonem, jednak na widok zmierzających ku niemu policjantów w okamgnieniu zamienił się w roztrzęsioną galarete. Zbladł jak trup, wyleciały mu z rąk papiery. Niewątpliwie od jakiegoś czasu oczekiwał takiej wizyty. Śnił o niej w najgorszych snach, które właśnie okazały się prorocze.

– Pan Damięcki, policja, gdzie możemy porozmawiać?! – zaczął obcesowo Rafalski, bezbłędnie wyczuwając nastrój klienta.

– Proszę... tam... Tam jest mój gabinet... – Autentycznie szczerknął zębami.

Podkomisarz chwycił go za łokieć i poprowadził we wskazanym kierunku.

Louvain wszedł ostatni. Zanim zamknął przeszklone drzwi, stanowczo rozgonił tworzące się już zbiegowisko, każąc ludziom wracać do pracy. O dziwo, posłuchali. Poza tym komisarz się nie wtrącał. Rafalski był w tej chwili prawdziwym psem na tropie i nie należało wybijać go z rytmu. Krojenie psychiki rozmaitych obwiesiów na preparaty mikroskopowe to specjalność i osobiste hobby podkomisarza. W tym przypadku Rafalski zastosował metodę „mniej znaczy więcej”.

– Dlaczego? – zapytał tylko.

Informacja „wiemy już wszystko” znalazła się w podtekście, zbyt oczywistym, by w ogóle o tym wspominać. W zamian w głosie podkomisarza zabrzmiały wyraźnie surowość oraz współczucie zatroskanego ojca.

Damięcki prawie że się rozplakał. Żalosa, przerażona gnida, zawsze bezwzględna dla podwładnych i płaszcząca się bez krzty godności przed każdym wyżej od siebie postawionym, ujawniła całą swoją naturę. Setki tysięcy stron napisano o takich typach oraz ich destrukcyjnym wpływie na środowisko pracy, fluktuację kadr i efektywność firmy. Potrafiono dokładnie wyliczyć wielkość powodowanych przez nich strat. Jednego tylko jeszcze nie odkryto – jak to możliwe, aby pomimo tej całej wiedzy ich populacja w korporacjach utrzymywała się na stałym poziomie od połowy do dwóch trzecich menedżmentu.

– Przez niego byłem bezsilny... – wyznał przesłuchiwany łamiących się głosem.  
– Ja nie znoszę tego uczucia... Nie znoszę, nienawidzę być bezsilny...



– Zabiłeś go więc dlatego, że on cię trzymał podczas egzorcyzmów.

– Wtedy... wszystko się we mnie zagotowało... Nawet nie słyszałem, co ten klecha do mnie gada, zresztą i tak nie rozumiem po łacinie... Ten gnojek mnie trzymał i nie mogłem nic zrobić... Inni też mu pomagali, ale on się uśmiechał... Śmiał się ze mnie... To było najgorsze... Musiałem zobaczyć, czy jemu będzie tak samo wesoło, kiedy role się odwróci... więc patrzyłem mu w oczy, kiedy...

– Kiedy wbijałeś mu nóż w brzuch – dokończył Rafalski, trafnie odgadując, że mowa jest o Edwardzie Pilchu. W przypadku pozostałych ofiar trudno było w momencie śmierci zaglądać im w oczy.

– Tak.

Eskalacja działań też pasowała – najpierw zęby, potem nóż, wreszcie cały pociąg. Wilkołak się rozkręcał...

Teraz jednak, kiedy kamień został już zrzucony z serca, przysła ulga, a wraz z nią zaczął przejaśniać się umysł przesłuchiwanego. Zbudził się instynkt samozachowawczy i Damięcki zdał sobie sprawę z wagi poczynionego wyznania.

– Ja nie chciałem go zabić – dodał pospiesznie. – Chciałem tylko, żeby on poczuł prawdziwy strach, żeby więcej się z nikogo tak głupio nie śmiał... – Najwyraźniej źle zinterpretował uduchowiony wyraz twarzy swej ofiary. – Nie wiedziałem, że on od tego umrze...

– Naprawdę? – zakpił jawnie Rafalski. – Po trzech pchnięciach nożem w brzuch raczej należało się tego spodziewać!

– Ukłułem go tylko raz.

Louvain z uznaniem popatrzył na partnera. Podkomisarz naprawdę dobrze wyczuł moment słabości podejrzanego. Lecz przecież Damięcki nie był idiotą, tacy nie robią karier kierowniczych w wielkich firmach. Być może miał narąbane we łbie jak katowski pieniek, ale umiał planować i przewidywać. Psychopatą nie był, dlatego zjadły go nerwy, jednak stan zagubienia minął mu szybko. Dał się wziąć z zaskoczenia i tego już nie mógł odkręcić. W zamian zaczął szukać sposobów wyjścia z matni, albo przynajmniej złagodzenia wyroku.

– Zadałeś mu trzy pchnięcia w brzuch, układające się w odwrócony trójkąt równoboczny – kontynuował Rafalski. – I wszystkie trzy były śmiertelne. Przebiły wątrobę, lewą nerkę, prawą gałąź tętnicy udowej.

– Nie...

– Gdzie się nauczyłeś tak dźgać? Próbowaleś tego na kimś wcześniej?

- Chcę się skontaktować z moim adwokatem.
- Kunic i Piaskowski też się do ciebie krzywo uśmiechali?
- Nie zabiłem ich.
- A skąd wiesz, że zostali zabici?
- Od Beaty.

- Ją też chciałeś zabić? Czy tylko zerznąć? I najlepiej, żeby w trakcie głośno odmawiała litanię, co?

- Nic więcej nie powiem!

Louvain oczami duszy widział trybiki obracające się coraz szybciej w głowie Damięckiego. Całą jego tworzącą się właśnie kalkulację procesową. Wielokrotne zabójstwo oznaczało dożywocie. Pojedyncze – kilkanaście do dwudziestu lat odsiadki, usiłowanie już tylko kilka. Natomiast skuteczne odegranie czubka, który w stanie załamania nerwowego nie odczytał prawidłowo intencji uśmiechającego się doń życzliwie człowieka, przy odrobinie fartu mogło skończyć się na półrocznym pobycie w psychiatryku. No, powiedzmy, półtora roku. Niewątpliwie skurwiel miał o co walczyć. Czekają ich zatem jeszcze sporo roboty, ale błyskotliwa szarża Rafalskiego oszczędziła im naprawdę dużego kawału żmudnego i upierdliwego postępowania dowodowego. Ten pampers doprawdy miał talent! Szkoda tylko, że równie wielką skłonność do zadzierania z ludźmi wszechmogącymi, przynajmniej jak na ten doczesny, nadwiślański padół.

W biurze pojawili się wezwani wcześniej mundurowi, prowadzeni przez dziewczynę z recepcji. Louvain dał im znak, by tu do nich weszli.

- Jest pan zatrzymany – zakomunikował Rafalski podejrzanemu. – Jutro przedstawimy panu szczegółowe zarzuty i wystąpimy o areszt na trzy miesiące.

- Nie zabiłem tamtych dwu! – warknął desperacko Damięcki.

- Będziemy mieli dużo czasu, by o tym porozmawiać – skwitował podkomisarz.

Wyprowadzili podejrzanego w kajdankach, nie bawiąc się w ukrywanie obrączek pod płaszczem. Louvain tym razem nie rozganiał ludzi, którzy zbiegli się zewsząd na ten widok. Nie mogli wiedzieć, pod jakim zarzutem zatrzymano ich szefa, ale zdziwienia ani głosów sprzeciwu nie było. Raczej ogólne, radosne niedowierzanie.

Ktoś zaczął bić brawo.

Zrazu nieśmiało, potem coraz głośniej. Za chwilę dołączyła kolejna, dwie, trzy osoby, i dalej poszło to jak lawina. Zanim wyszli z sali, towarzyszył im już ogólny aplauz, którym wręcz wbijano Damięckiego w podłogę, wyklaskiwano go z firmy,

jednocześnie kreując policjantów na wybawicieli.

– I jak chłopaki – filuternie zagadnął mundurowych Louvain. – Miło jest czasem być stróżem prawa i porządku, co nie?

Młode krawężniki, świeżo po szkole policyjnej, nie dostrzegli kpiny ani nie zdołali zachować profesjonalnego dystansu, więc aż spuchli z dumy. Komisarz darował sobie sarkastyczny komentarz z pozycji doświadczonego, pozbawionego złudzeń resortowego zgreda. Niewiele było w tej robocie pozytywnej motywacji, zatem niech się koledzy posterunkowi cieszą, póki od nadmiaru kontaktów z mroczną stroną natury ludzkiej nie zaczną ich ciągnąć do kieliszka.

W tym momencie oklaski niespodziewanie przycichły. W zamian rozległ się gniewny pomruk i do policjantów dotarły odgłosy jakiejś szamotaniny.

– Zaczekajcie, panowie! – zawołał ktoś. – Mamy drugiego!

Przez tłum przepchnęli się dwaj mężczyźni, którzy dokonali właśnie obywatelskiego aresztowania. Prowadzili za wykręcone do tyłu ręce jakiegoś pozieleniałego na twarzy szczurowatego chudzielca.

– To Malicki! – oznajmili zaskoczonym policjantom. – Schował się na wasz widok w pokoju gospodarczym!

Tłum gapiów zareagował licznymi głosami poparcia.

Rafalski popatrzył na Louvain, a Louvain na Rafalskiego. W milczeniu upewnili się nawzajem, że takiego numeru jeszcze nigdy w życiu nie widzieli.

– Nic do tego pana nie mamy – oznajmił komisarz.

– Jak to?! – Tamci nie chcieli uwierzyć własnym uszom. – Przecież Damięcki i Malicki razem robili te wszystkie przekręty...

– To nas nie interesuje – odpowiedział Rafalski.

– Zaraz, zaraz! To za co właściwie zgarniacie Damięckiego?!

– Nie możemy udzielać takich informacji – odrzekł stanowczo Louvain. – Proszę puścić tego człowieka! To jest niedopuszczalne naruszenie nietykalności.

Uwolniony menadżer momentalnie zmienił się na twarzy, przybierając bardzo nieprzyjemny grymas. Stało się jasne, że wybiła dla niego godzina zemsty i natychmiast po wyjściu policji zaczną się tutaj rzeź personalna...

Rozległ się ogólny jęk rozczarowania, ale zamiast tonów paniki i strachu, których należałoby się spodziewać w tej sytuacji, zdominowały go coraz liczniejsze głosy sprzeciwu!

– To nie może tak być! – zawołał ktoś z desperacją.

– Zabierzcie go! – Jakaś kobieta nie przyjęła odmowy do wiadomości. – Zabierzcie go stąd!

Coś w tych ludziach pękło i już nie chcieli się skleić z powrotem. Atmosfera w tej firmie musiała być mocno przegrzana już od dłuższego czasu, teraz wystarczył jeden wstrząs, by wszystko wykypiało.

Louvain dał znak i ruszyli dalej z aresztowanym.

– Strajk! – krzyknął ktoś za nimi i ta propozycja spotkała się z powszechnym aplauzem. – Strajk! Strajk! Strajk! – Zaczęło się skandowanie.

Kiedy policjanci wychodzili za korytarz, jakiś co bardziej rozentuzjasmowany pracownik korporacji demonstracyjnie zrzucił z biurka monitor. Zaraz też inni poszli w jego ślady, a sądząc po kolejnych coraz głośniejszych hałasach, poleciały też jakieś szafki czy krzesła. Wyzwolony od toksycznego kierownictwa wydział „Heute Qou” zaczął jako żywo odgrywać pierwszą scenę z filmu Monty Pythona „Sens życia”, czyli bunt uciemiężonych pracowników biurów.

Formalnie rzecz biorąc, wobec ewidentnych przejawów niszczenia mienia wypadałoby wrócić i zainterweniować. Jednak umówmy się, że gliniarz też człowiek i rozumie, że ludziom postawionym pod ścianą mogą w końcu puścić nerwy. Przymknęli więc oko. Niech się martwi tutejsza ochrona.

Nastrój dnia gniewu i odpłaty oraz ogólnego odkorkowania mąciła jedynie Beata Potocka, która modliła się, klęcząc na progu swojego gabinetu.

Redaktor Marcin Bilecki nie był takim idiotą, za jakiego go brano.

Wolał myśleć o sobie, że jest człowiekiem przyszłości, przynależnym do nowych nadchodzących czasów, to znaczy drugiego średniowiecza. W tej odrodzonej epoce wiary i metafizycznego porządku on zamierzał odegrać znaczącą rolę i poważnie się do tego przygotowywał. Zarówno profesjonalnie, jak i duchowo. Solidny początek miał już za sobą. Bilecki był „rydzykantem”, czyli absolwentem toruńskiej Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej. Temu zawdzięczał etat w redakcji „Przyjaciela Egzorcysty”, acz w dalszej karierze wyprzedzili go koledzy gorliwsi w okazywaniu lojalności wobec Ojca Dyrektora. Gorliwsi, co nie znaczy, że bardziej szczerzy. Bilecki podchodził do tego z chrześcijańską cierpliwością i zrozumieniem. Oni wybrali wyścig szczurów, on przyjął strategię wytrwałego żółwia. Nie wątpił, że prędzej czy później na kolejnych politycznych zakrętach odpadną kłaki z farbowanych lisów i wtedy okaże się, kto jest naprawdę wierny. Zresztą już teraz nie miał powodów do narzekań. W końcu doceniano go na tyle, że dostał stałą pracę w branży, w której o jeden etat walczyły setki bezrobotnych absolwentów dziennikarstwa. Cóż z tego, że było to zajęcie nader skromne? W zamian można się było zaprawiać w umiarkowaniu i pokorze, doskonalić cnoty osobiste oraz profesjonalne, w oczekiwaniu aż jego fachowość, a przede wszystkim oddanie zostaną lepiej dostrzeżone i spożytkowane. W skrytości ducha Bilecki liczył na stanowisko świeckiego asystenta u boku rzecznika prasowego episkopatu. No, a jeśli taka byłaby woła boża, to może nawet coś w samym Rzymie...

Za swój główny atut – znak dostąpienia szczególnej łaski – Marcin Bilecki poczytywał sobie jasne rozeznanie znaków czasu. Chodziło o to drugie średniowiecze, termin znany nielicznym erudytom, którym mówiło coś nazwisko Bierdiajew, przy czym nawet oni rozprawiali o tym zwykle z lekkim przymrużeniem oka. Dla Bileckiego było oczywiste, że nowa epoka wiary nadchodzi nieuchronnie, a właściwie to już nadeszła, tylko jeszcze tego powszechnie nie dostrzeżono. Za jej symboliczny początek można by uznać zamachy z 11 września 2001 roku. Odtąd coraz wyraźniej widać było zmierzch czasów pysznego rozumu, a wraz z nim także

nieuznającej praw boskich nauki. W zamian nadchodziły czasy zmagania duchowych. Święta katolicka wiara z coraz większą mocą stała się przeciwko wszelkiej fałszywej wierze oraz brakowi wiary. Należało tylko opowiedzieć się po właściwej stronie, dochować wierności i spokojnie czekać, aż konieczności dziejowe wyniosą pobożnych na najwyższe szczyty. Na razie nie było to jeszcze łatwe. Należało zmagać się ze śmiechem i pogardą głupich ludzi, nieświadomych, że ich uczynki już policzono, zważono i podzielono według ostatecznego przeznaczenia. Zaślepieni grzesznicy nie dostrzegali, że wydany został nieuchronny wyrok przemijania na wszelkie ich dzieła oraz nich samych. Jeszcze szydzili i nadymali się pychą. W zamian jednak tym większa nagroda dla pierwszych roztropnych i wytrwałych. Albowiem nie próżni celebryci, nie rozpasani konsumenci, nie cyniczni medialni manipulatorzy, lecz cisi i pokorni posiadają tę ziemię!

Krótko mówiąc, redaktor Bilecki w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, swoimi kanałami, ustalił, jaką to informację chciał ukryć przed nim komisarz Louvain. Tę mianowicie, że ofiary zabójstw były pomocnikami księdza Jana Ryby, wspaniałego charyzmatycznego kapłana, sprawującego posługę egzorcysty w diecezji warszawsko-praskiej. Do tej pory Bilecki w „Przyjacielu Egzorcysty” zamieścił trzy artykuły, a właściwie peany na temat ojca Jana i jego „duchowych komandosów”, jak sam redaktor ich nazwał, może z lekką przesadą, ale popkultura ma jeszcze swoje prawa. W kurii na biskupie *imprimatur* czekał czwarty najważniejszy tekst Bileckiego – wywiad z samym ojcem Janem.

Właśnie w związku z tą planowaną publikacją z pałacu biskupiego przyszedł pierwszy znak i wskazówka pozwalająca odgadnąć, co się dzieje na mieście. Kilka godzin po rozmowie z komisarzem Louvainem do Bileckiego zadzwonił ksiądz Piotr, osobisty sekretarz Jego Ekscelencji, komunikując nieoficjalnie, że z drukiem przedłożonego wywiadu na razie trzeba będzie się wstrzymać, nie wiadomo jak długo, ale okazanie cierpliwości w tej mierze na pewno zostanie dostrzeżone i pozytywnie zapamiętane. Bilecki natychmiast zapewnił o swoim synowskim posłuszeństwie, po czym w te pędy zadzwonił do panny Lucyny Sawickiej, członkini grupy wsparcia księdza Jana, z którą podczas robienia dotychczasowych reportaży złapał najlepszy osobisty kontakt. Jeśli Bóg pozwoli, może wyniknie z tego coś więcej... Panna Lucyna, choć mocno poruszona, okazała się rozmowna na tyle, że Bilecki, pokojarzywszy fakty, ujrzał całą powagę sytuacji.

Ktoś mordował członków grupy wsparcia ojca Jana!

Już samo seryjne zabójstwo byłoby wystarczająco straszne i odrażające, ale tutaj

nad wszystkim unosiło się wyraźne *odium fidei* – nienawiść wiary, którą zwykli okazywać podrażnione złe duchy. Zabójca ponad wszelką wątpliwość musiał być opętany przez szatana, który najwyraźniej postanowił się zemścić na ojcu Janie za jego dotychczasowe duchowe przewagi, atakując jego oddanych pomocników i drwiąc ze szczególnej bożej opieki, której ci ludzie podlegali. Bóg wystawiał wiernych na próbę zwątpienia, to dla Bileckiego nie ulegało wątpliwości. Należało więc stawić czoła metafizycznej nocy ciemnej i wytrwać w wierze, krzepiąc się tym gorliwszą modlitwą, ale w laickim wymiarze sprawy zanosilo się na potężny skandal, na miarę sprawy Anneliese Michel, który znów zachwieje powagą posługi księży egzorcyistów.

Łatwo było zgadnąć, jak zareagują liberalne publikatory, kiedy się o tym dowiedzą, a właściwie gdy zyskają wiarygodne podstawy do przypuszczeń, że egzorcyizmy księdza Jana wywołały morderczy szal. Będzie gorzej niż w przypadku tej młodej Niemki, niewątpliwie przyszłej świętej, której egzorcyistów oskarżono o nieumyślne spowodowanie śmierci i skazano. Świecki sąd nie wziął pod uwagę, że Anneliese Michel, idąc za przykładem największych chrześcijańskich męczenników, bohaterko przyjęła na siebie opętanie, by odkupić grzechy tych, którzy nie wiedzieli, co czynią, i ziemscy lekarze nie mogli jej w niczym pomóc. Ofiara musiała się wypełnić. Noc ciemna przemienie i czas pokaże wielkość tej młodej dziewczyny oraz odda sprawiedliwość kapłanom, którzy ją prowadzili – to pewne! Jednak teraz problem był większy. Szatan zamierzał uderzyć w Polskę znacznie mocniej niż w Niemcy!

W powietrzu wisiał kolejny bezpardonowy atak na Kościół, być może nawet na światową skalę, ale jednocześnie wielkiemu zagrożeniu towarzyszyła równie wielka szansa. Nadarzała się wspaniała okazja, by zawczasu stanąć w obronie Matki Kościoła. Oto skromny dziennikarz „Przyjaciela Egzorcyisty” przeciw całej medialnej potędze cywilizacji śmierci. Zaprawdę niczym Dawid wobec Goliata... Ta myśl przepełniła Bileckiego wdzięcznością i determinacją. Oby tylko okazać się godnym takiego dzieła!

Należało koniecznie obmyślić roztropny plan działania. Pierwsza, być może największa przeszkoda w tej kwestii polegała na tym, że jak na razie redaktor Bilecki nie był w stanie rozgryźć pana komisarza Louvaina, to znaczy rozeznac się w jego intencjach. Rzecz jasna, że zaraz po tym, kiedy się poznali, Bilecki, skojarzywszy przytomnie wiek i zawód rozmówcy, czym prędzej udał się do Instytutu Pamięci Narodowej, gdzie, korzystając z uprawnień dziennikarskich, poszperał trochę

w teczkach.

Długo szukać nie musiał. Rok 1984, podporucznik SB, Krzysztof Louvain, wykazał się w śledztwie przeciwko współpracownikom paryskiej „Kultury” – zapadły wyroki od pół roku do trzech lat więzienia. Louvain dostał za to awans na porucznika i srebrny medal „Za Zasługi dla Obronności Kraju”. W dalszej kolejności Bilecki ustalił aktualne adresy represjonowanych, którzy jeszcze żyli, i przygotował piękną „wrzutę” dla kolegów z „Naszego Dziennika”, „Gazety Polskiej” oraz największych tabloidów, czekającą teraz w folderze „kopie robocze” na jedno kliknięcie myszy.

Jednak redaktor Bilecki nie kliknął.

Następny bowiem fakt, jaki ustalił, to była prośba Louvaina o przeniesienie z SB do MO, złożona dwa tygodnie po zabójstwie księdza Popiełuszki, rozpatrzona pozytywnie. Ewidentnie wyglądało to na kryzys sumienia. Redaktor poszperał więc głębiej, sprawdził rodziców komisarza, i tu też rezultaty okazały się moralnie ambiwalentne. Louvain był typowym „resortowym dzieckiem”, ale z drugiej strony matka Krystyna, dobrze zapowiadająca się aplikantka w stalinowskiej prokuraturze, w 1957 roku zrezygnowała z kariery i wyszła za mąż za świeżo zwolnionego z więzienia byłego żołnierza AK, którego parę lat wcześniej oskarżał jej bezpośredni przełożony. Ojciec komisarza, z pochodzenia prawosławny Poleszuk, w 1936 roku zmienił wiarę i nazwisko. Na fali ówczesnej popularności tomizmu reformowanego przybrał nazwisko Louvain, od siedziby uniwersytetu będącego centrum tej doktryny katolickiej.

Ślub wzięli kościelny, poprzedzony chrztem panny młodej, na co zachował się odrębny donos. A jednak resort jej za tę apostazję nie wyklął! Urodzony rok później syn Krzysztof kształcił się potem i rozpoczął bezpieczniacką karierę bez najmniejszych przeszkód. Inna rzecz, że jego ojciec już wtedy nie żył. Doprawdy nie wiadomo, dokąd iść z taką historią! Prasa kobieca nadawała się tu równie dobrze co „Uważam Rze”...

Bezpośredni kontakt z Louvainem też nie rozstrzygnął wątpliwości. Bilecki widział już w życiu wielu ludzi pobożnych oraz pobożność udających, ale pan komisarz nie dawał się jednoznacznie zakwalifikować do żadnej z tych kategorii. Z całą pewnością wiedział, jak posługiwać się pierścieniem różańcowym, i nie była to dla niego zabawka na pokaz. To, a także pozostałe znane fakty z życia Louvaina układały się w budującą opowieść o moralnym wstrząsie, przejrzeniu na oczy, nawróceniu i czerpaniu z wiary sił do służby w zawodzie szczególnie narażonym na



kontakt ze złem. Ba, nawrócony ubek stanowił znaczący przyczynek do świadectwa świętości błogosławionego księdza Jerzego.

Rzeczywiście mogło tak być, ale Bilecki po prostu staremu sukinsynowi nie ufał ani za grosz! Boże, wybacz gniew i małą wiarę, ale po prostu wszystko w środku burzyło się w redaktorze na myśl, że komisarz Louvain jest lub tylko mógłby być autentycznym świadkiem świętej wiary!

Choć znów z trzeciej strony patrząc, przeszkód, jeśli chodzi o życie osobiste komisarza, nie było. Louvain był wdowcem. Żona zginęła w wypadku samochodowym, zostawiając go z pięcioletnią córką, która obecnie kończyła studia. Po śmierci żony Louvain nie związał się z żadną kobietą, choć córkę wychowywała raczej dalsza rodzina niż on.

Pozostawało zatem modlić się o światło i rozpocząć niezależne dziennikarskie śledztwo dla większej chwały bożej.

To drugie zamierzenie stanęło pod dużym znakiem zapytania, kiedy Bilecki, dokonawszy pierwszych własnych ustaleń, włączył telewizor. Dla profesjonalnej zasady śledził wrogie stacje, choć wymagało to potem pokuty i regularnego poddawania się praktykom odnowy duchowej.

Rewolucja i demolka, które objęły w sumie trzy piętra biurowca przy Rondzie ONZ 1, okazały się dla mediów głównego nurtu tak wielką gratką, że zagościły we wszystkich programach informacyjnych. Rozprawiano na ten temat głównie od rzeczy, jako o „korporacyjnym Majdanie”. Poza tym dyskusja w studiach skupiała się na toksycznych warunkach pracy biurowej, eksploatacji pracowników ponad siły psychiczne, wyścigu szczurów, nadużyciach władzy ze strony menedżmentu i środkach zaradczych, które należałoby przedsięwziąć. W kolejnych dniach non stop produkowali się eksperci od zarządzania, alterglobaliści, coacherzy i psychologowie pracy, jeden przez drugiego, starając się wykorzystać swoje pięć minut, aby przekonać świat, że to oni właśnie mają jedynie pewną metodę naprawy relacji w pracy. O Bogu i miłości bliźniego nikt się oczywiście nie zająknął. Jednak w całym tym panoptikum próżności nie uszedł uwagi fakt, od którego się wszystko zaczęło, czyli aresztowanie ogólnie znienawidzonego menadżera, i zainteresowano się za co... Wątek ten zrazu poboczny, z dnia na dzień, w miarę dezaktualizowania się głównego newsa, coraz bardziej stawał w centrum uwagi.

I tu komisarz Louvain przyprowadził redaktora Bileckiego o kolejny dysonans poznawczy, co gorsza, pozytywny. Nie dało się ukryć, że chodzi o zabójstwo „pewnego młodego mężczyzny w parku Morskie Oko”, a stąd był już tylko krok do

ustalenia, czym się zabity zajmował po godzinach pracy. Starczyło popytać rodzinę i przyjaciół, by trafić do ojca Jana. Jednak Pan Bóg za sprawą komisarza Louvaina do tego nie dopuścił!

Komisarz zdybany gdzieś na korytarzu pałacu Mostowskich przez podnieconą hordę mediotów z kamerami i sitkami zachował zimną krew, po czym, wykazując autentyczny przebłysk geniuszu, posłał całą tę szukającą sensacji bandę w ślepy zaułek, nadmienając od niechcenia, że podejrzanemu oprócz zabójstwa zarzuca się też molestowanie seksualne. Co do szczegółów zasłonił się dobrem śledztwa, ale nieznaczne mrugnięcie okiem dało wszystkim zainteresowanym do zrozumienia, że tu właśnie kryje się motyw morderstwa. Natychmiast padło pytanie, czy zabity nie był przypadkiem osobiście związany z którąś z ofiar molestowania. Na co Louvain odparł, że nie może tego wykluczyć...

Krew i seks! Czyż współczesnym mediom trzeba było czegoś więcej? Oczywiście więc, że wszyscy dziennikarze w Warszawie zaczęli natychmiast szukać kobiet molestowanych przez Damięckiego i niebawem znaleźli ich tyle, że zapewniło im to zajęcie na całe tygodnie czasu antenowego. Istniało wprawdzie pewne ryzyko, że dotrą do Potockiej, o której wcześniejszych przejściach Bilecki wiedział. Ona mogła, istotnie, wskutek świętej naiwności powiedzieć za dużo, ale zrządzeniem Opatrzności rekruterka z „Heute Qou” fatalnie wypadła przed kamerami, więc jej świadectwo pominięto, a do studiów zapraszano dziewczyny młodsze i ładniejsze od niej, a przede wszystkim umiające się rozpłakać już po trzech słowach, czyli wzbudzające współczucie zwiększające pożądaną oglądalność. W następnej kolejności w obecności szlochających ofiar zaczęło się maglowanie przedstawicieli centrali firmy, którzy wreszcie dotarli do Warszawy, by posprzątać bałagan, zaczynając, ma się rozumieć, od nowej kampanii wizerunkowej.

Ojciec Jan oraz jego grupa byli więc chronieni od natarczywych pytań oraz wszelkich pomówień i insynuacji. Była to, nie da się ukryć, osobista zasługa komisarza Louvaina, który – w przeciwieństwie do Bileckiego, wykazującego li tylko dobre chęci – w realnej chwili próby okazał się prawdziwym rycerzem i obrońcą Kościoła. Skonfundowany redaktor sam nie wiedział, czy powinien się bardziej wstydzić swej małej zazdrości, czy cieszyć, że Bóg zesłał mu takiego sojusznika.

Jednak na to, żeby znów umówić się z komisarzem i otworzyć przed nim serce, redaktor się nie zdobył. Cierń nieufności wciąż tkwił w jego duszy, okazując się w końcu jęczyczkiem u wagi.

Bilecki po kilkudniowym wahaniu postanowił jednak podjąć niezależne śledztwo i ponownie zadzwonił do panny Sawickiej. Tym razem już nie owijał w bawełnę, tylko wprost zaproponował jej współpracę.

– Ależ, panie redaktorze, przecież jest już po wszystkim – zaproponowała od razu. Głos miała naprawdę miły, emanujący duchową siłą. Przyjemnie było jej słuchać niezależnie od tego, co mówiła... – Mordercę schwytano, jesteśmy bezpieczni!

– Panno Lucyno, ja najbardziej obawiam się konsekwencji publicznego ujawnienia faktu, że zabójca był egzorcyzmowany przez ojca Jana, a mimo to wkrótce potem dokonał zbrodni.

– To prawda, że nasz ojciec duchowy uznał tego człowieka za uwolnionego – przyznała z wahaniem.

– Przykro mi to przyznać, ale tym razem zły duch najwyraźniej zwiódł ojca Jana. Jestem jednak przekonany, że jedna przegrana duchowa bitwa nie stanowi o końcu wojny – zastrzegł się szybko Bilecki. – Proszę jednak zważyć, pani Lucyno, że gdyby ta rzecz się rozniosła, mogłoby to doprowadzić do zawieszenia ojca Jana w posłudze egzorcyisty. Są wyrachowani ludzie, którzy natychmiast rozdmuchaliby ten wypadek w aurę skandalu i doprowadzili do publicznego zgorszenia.

– Jeśli taka będzie wola boża... – odparła z rezygnacją. – Weźmiemy ten krzyż.

– Ja mam pomysł, by tego uniknąć! – odpowiedział za szybko i poniewczasie zdał sobie sprawę z wygłoszonej niezręczności. Jakżeż chrześcijanin mógłby unikać wzięcia na siebie krzyża?

Na szczęście panna Lucyna okazała wielkoduszność.

– Co pan redaktor ma na myśli? – zapytała po prostu.

– Reportaż na wyłączność – odrzekł bez wahania. – Gdyby jakiś inny przedstawiciel mediów dotarł do ojca Jana, usłyszy, że tym tematem zajmuje się już konkurencja, czyli redakcja „Przyjaciela Egzorcyisty”. Jest duże prawdopodobieństwo, że otrzymawszy taką odpowiedź, ów dziennikarz zrezygnuje z szukania sensacji. Oni nie lubią być drudzy w kolejce.

– Ale pan to też w końcu wydrukuje, i co wtedy?

– Nie ja będę o tym decydował. Nasza redakcja czyni wszystko w porozumieniu z władzami kościelnymi. Powiedzmy, że będę zbierał materiały prasowe tak długo, dopóki sprawa nie ucichnie, a potem redakcja wraz z jej kierownikiem duchowym zastanowi się, co z nimi dalej zrobić... Ja ze swej strony na pewno nie będę nalegać na druk dla próżnej sławy. Na pewno nie będę zabiegał o rozgłos kosztem godności ojca Jana.

– Niech panu Bóg wynagrodzi, panie Marcinie.

Pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. Bilecki poczuł miłe ciepło w okolicach żołądka.

– Trzeba poprosić o zgodę ojca Jana – dodała po namyśle. – Skoro to ma być artykuł na wyłączość...

– Na tym etapie nie trzeba ojca kłopotać – odparł stanowczo Bilecki. – Powinniśmy ustalić wstępne fakty i propozycje konkretnych działań, zanim się o to zwrócimy. Może przecież być i tak, że cała ta burza przejdzie bokiem i z bożą pomocą nic złego się nie stanie. Dlatego nie zaczynajmy od siania niepokoju. Bądźmy najpierw czujni.

– Co właściwie pan redaktor ma na myśli? – W jej głosie zabrzmiała nieufność.

– Musimy ustalić, czy tylko ten jeden egzorcyzm nie podziałał. – Starł się mówić stanowczo, z całkowitą pewnością siebie. – Jeżeli, co nie daj Bóg, takich przypadków byłoby więcej, ojciec Jan powinien dowiedzieć się o tym od nas jako pierwszy i samemu podjąć decyzję, jak postąpić dalej.

– Co ja mam zrobić? – spytała stanowczo.

– Proszę dotrzeć po kolei do wszystkich egzorcyzmowanych i porozmawiać z nimi. Jeżeli okaże się, że ktoś z nich wciąż potrzebuje pomocy...

– Przekonał mnie pan, zgoda! – zdecydowała się, nim dokończył zdanie.

– Powinniśmy teraz ustalić system spotkań, podczas których będzie mi pani przekazywać zdobytą wiedzę. I może lepiej... – zająknął się lekko – aby te spotkania wyglądały na trochę bardziej prywatne...

Zaśmiała się cicho.

– Czy tylko na takie mają wyglądać, panie redaktorze? – W jej głosie zabrzmiała nieskrywana kokieteria. – Jestem również kobietą, a nie tylko członkinią grupy wsparcia.

– Ja... – zaczął i urwał. Głupia sprawa, ale zawodowy dziennikarz i publicysta zapomniał języka w gębie.

– Jeżeli pan Marcin ma wobec mnie uczciwe zamiary, ja nie mam powodu odmawiać.

– Dziękuję – wykrztusił Bilecki.

– Zatem do zobaczenia. Dam znać, kiedy się czegoś dowiem. – Rozłączyła się.

Kiedy Bilecki odkładał swoją komórkę, zdał sobie sprawę, że pieką go uszy. To zapewne był skutek promieniowania telefonu, ale czuł się jak sztubak.

I jak katolicki James Bond...

Psiakrew! A dlaczego właściwie nie?! Przecież popkultura wciąż jeszcze ma swoje prawa!

## LUKA W ROZUMOWANIU

Prokurator Witecki, co rzadkie w jego zawodzie, mimo kilkunastu lat praktyki zachował poczucie humoru, acz trzeba przyznać dość specyficzne. W rozmowach z kolegami po fachu na tematy zawodowe z lubością stosował terminologię rzeźniczą. Zwykł więc mawiać, że swoich „klientów oprawia”, zaczynając rzecz jasna od wypatroszenia. Potem mięso rozbierał na ćwierci, solił, przyrządzał i rozwieszał na hakach paragrafów, a na koniec wyceniał je, zatykał metki i sprzedawał sądowi. Przykładowo, „oskórowanie” w jego terminologii oznaczało zdemaskowanie i obalenie linii obrony oskarżonego. Potem w zależności od wagi sprawy następowało wędzenie żeberek, duszenie podrobów na salceson albo parzenie szynki.

W chwilach szczerości mawiał, że takie podejście do oskarżonych zapewnia mu równowagę psychiczną i niezbędne odreagowanie emocjonalne. Najlepiej było być zupełnie ponad to, z czym miał do czynienia w godzinach pracy. Zatem on po prostu robił w mięsie – przerabiał je i porcjował. Od doszukiwania się w mięsie człowieka był adwokat i sąd, on nie. Poza tym był ascetycznym wegetarianinem i uważał, że mięso, jak już musi, powinno zjadać się samo.

W tej rozmowie, w gabinecie prokuratora Witeckiego, oprócz gospodarza brali udział Rafalski i Louvain oraz adwokat podejrzanego Damięckiego, mecenas Ząbecki, od którego właśnie wyszła propozycja tego spotkania.

Członkowie palestry z racji wykonywanego zawodu musieli psuć krew przedstawicielom organów ścigania, taki los, ale Ząbecki do swojego powołania dodawał jeszcze wyjątkowo wkurzający rozmówcę wygląd zewnętrzny. Konkretnie fryzurę bazującą na jego osobliwej skłonności do łysienia. Dwa zakola skroniowe łączyły mu się na ciemieniu, ale tak, że na wysokości czterech palców nad nosem pozostała mała kępka włosów, których nie golił, tylko przycinał w finezyjny trójkącik. W efekcie na pierwszy rzut oka zdawało się, że panu mecenasowi siedzi na czole duża mucha, i trzeba było się dobrze pilnować, by go nie palnąć w czoło otwartą dłońią. Kiedy zaś nieco później Ząbecki otwierał usta, przychodziła chęć uzyć czegoś znacznie cięższego, choćby łopaty.

– Zatem pański klient chciałby się sam wytrybować? – Prokurator Witecki rozpoczął dyskusję w swoim stylu.

– Dobrowolnie poddać się karze – uściślił wyniośle znieścaczony adwokat. – Pod warunkiem, że zarzuty ograniczą się tylko do jednego zabójstwa.

– Łaskawca! – Rafalski roześmiał się w kułak.

– Brak alibi to jeszcze nie dowód, tylko poszlaka, a w pozostałych dwu przypadkach zabójstw wy nic więcej na mojego klienta nie macie – odparował Ząbecki, zachowując zimną krew.

– Z ekspertyz wynika jasno, że zabójca był jeden. Działał tak samo!

– To też tylko poszlaka, panie podkomisarzu.

– Ale mocna i dobrze pasująca do całej reszty obrazu sprawy.

– Nie całkiem dobrze. Z analizy toksykologicznej wynika, że Edward Pilch został obezwładniony Pavulonem, podczas gdy dwaj pozostali lekiem o nazwie Cisatrakurium.

– Widocznie więcej dawek Pavulonu na Allegro nie mieli – wzruszył ramionami Rafalski. – Więc Damięcki dokupił sobie zamiennik.

– Moim zdaniem jest to przesłanka wskazująca, że ktoś naśladował metodę mojego klienta.

– Bardzo wątpliwa – skwitował prokurator. – Jeżeli tylko czymś takim zamierza pan mecenas zabierać nam cenny czas...

– Proponuję, aby panowie zapoznali się z całą linią obrony mojego klienta i wtedy rozważyli, czy nie warto przyjmując jego dobrowolnego poddania się karze.

– Słuchamy, mecenasie – łaskawie zgodził się Witecki.

Adwokat odwrócił się jednak od niego i skierował wzrok na milczącego Louvaina, który siedział w rogu pokoju.

– Mój klient w okresie wczesnej młodości padł ofiarą traumy, która rzutowała na całe jego przyszłe życie. Pana Damięckiego w grupie rówieśniczej dręczono w pewien bardzo okrutny i charakterystyczny sposób. Silniejsi koledzy chwyтали go, kładli na ziemi lub szkolnej ławce, przytrzymywali i znęcali się nad nim. Często wiązało się to z seksualnym upokorzeniem. Zdejmowano mu spodnie i bieliznę, zachęcano przechodzące dziewczęta, by się temu przyglądały. Wkładano mu w odbyty długopisy, a w jednym przypadku oparzone rozżarzonym papierosem w czubek penisa...

– Co było powodem tych prześladowań? – zapytał prokurator.

– Wykazywane od najmłodszych lat poczucie praworządności i legalizm działań mojego klienta.

– Kapował znaczy – skwitował Rafalski.

Adwokat wyniośle zmilczał drwinę i znów wbił wzrok w komisarza, dając do zrozumienia, że oczekuje od niego specjalnej uwagi.

– Do czego pan zmierza? – odezwał się wreszcie Louvain.

– Mój klient cierpi na wieloletnie nieleczone PTSD, czyli zespół posttraumatyczny. Ta przypadłość najpierw rzutowała na jego stosunek do kobiet, a ostatnio pod wpływem nowych nieprzyjemnych przeżyć przekształciła się w psychozę.

– Jakie przeżycia Damięckiego pan mecenas ma na myśli? – zapytał komisarz.

– Zmuszono go do poddania się egzorcyzmom.

– Zmuszono? – Louvain szczerze się zdziwił.

– Szantażem – odparł adwokat bez mrugnienia okiem. – Gdyby tego nie zrobił, miały zostać ujawnione jego niegodne zachowania w stosunku do kobiet. W tej sytuacji mój klient poczuł się zmuszony poddać się temu barbarzyńskiemu, średniowiecznemu obrzędowi, podczas którego niefrasobliwie zbudzono i ponownie rozjątrzone dawne traumatyczne wspomnienia. Mój klient zapragnął za wszelką cenę zemścić się za upokorzenia doznane w młodości. To psychotyczne pragnienie spowodowało ograniczoną poczytalność mojego klienta.

– Damięcki działał z pełnym wyrachowaniem – zaprzeczył mu Rafalski. – Kupił paralizator, preparaty zwiotczające, zaplanował czas i miejsce zbrodni, zwabił tam ofiarę. Czy tak działają ludzie niepoczytalni, panie mecenasie?

– Pomroczość jasna, afekt odroczony – odparował adwokat bez namysłu. – Poza tym paralizator i Pavulon mój klient nabył znacznie wcześniej. Miał zamiar użyć tych środków w kontaktach z kobietami, ale się wzbraniał. Toczył ze swoimi mrocznymi skłonnościami zwycięską, wewnętrzną walkę, dopóki emocjonalny wstrząs doznany podczas egzorcyzmów nie pozbawił go resztek samokontroli. Dodam jeszcze, że w przypadku mojego klienta pominięto formalnie obowiązującą procedurę, to znaczy przed egzorcyzmami nie skonsultowano się z psychologiem. To poważne zaniedbanie okazało się mieć fatalne następstwa...

– Zatem zamierza pan zawnioskować o skierowanie swojego klienta na obserwację psychiatryczną? – zapytał prokurator.

– Natychmiast, jeśli moja propozycja zostanie odrzucona.



– Proszę więc ją przedstawić, mecenasie.

– Mój klient uważa, że nie zabił pana Pilcha. Chciał go tylko zranić i nastraszyć. Wydaje mu się, że ukłuł swoją ofiarę tylko raz, i to niezbyt głęboko, po czym odszedł, zostawiając nóż tkwiący w ranie. Ponieważ jednak mój klient znajdował się w stanie silnego wzburzenia i ograniczonej poczytalności, nie może ręczyć, że faktycznie tak było i nie zaszło coś jeszcze poza jego świadomością. Dlatego pan Damięcki jest skłonny wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystkie trzy pchnięcia, które spowodowały zgon ofiary. Pod warunkiem, że na tym akt oskarżenia się skończy. Co do molestowania seksualnego, mój klient poniósł już konsekwencje służbowe.

– Ile? – rzucił zniecierpliwiony prokurator.

– Osiem lat. Ponadto wyrażenie skruchy, finansowe zadośćuczynienie rodzinie zmarłego oraz zgoda na każdą formę terapii.

– Łaskawca! – powtórzył Rafalski. Widać było, że cały aż gotuje się w środku. – A my mamy zostać z dwoma niewyjaśnionymi przypadkami zabójstw na tle rytualnym?!

– Przyklepcie je komu innemu – odparł zimno Ząbecki. – Może ten drugi będzie miał gorszego adwokata...

Louvain szybko wstał i stanął pomiędzy podkomisarzem a mecenasem. Tylko dzięki temu nie doszło do rękoczynów w obecności prokuratora.

– Skurwysyn! – wydyszał przez zęby rozwścieczony Rafalski.

– Daję panom tydzień do namysłu, potem składam wniosek o obserwację psychiatryczną. I żegnam! – Adwokat ruszył do drzwi. – Życzę panom, aby reszta tego dnia była dla panów lepsza.

– Do zobaczenia – rzucił za nim Witecki, po czym zwrócił się do obu policjantów. – To mięso jest stanowczo za chude, jeśli mam zrobić z niego wędliny na najwyższe haki. W przypadku śmierci Kunica i Piaskowskiego faktycznie muszę mieć lepsze powiązanie z Damięckim, niż sam brak alibi i *modus operandi*. Znajdźcie mi jeden dowód, choćby jedną poszlakę łączącą Damięckiego ze śmiercią któregoś z tych dwóch chłopaków, a oprawię go tak, żeby starczyło na trzy szynki. Jak nie, przyjmę ugodę.

– Mamy cały tydzień, damy radę! – zapewnił energicznie Rafalski.

– To nie my dostaliśmy te siedem dni. – Louvain zgasił jego zapał. – Gdyby tylko o nas chodziło, Ząbecki wstrzymałby się ze swoim wnioskiem najwyżej czterdzieści osiem godzin. Na pewno nie dawałby nam czasu na poprawienie

śledztwa.

Prokurator Witecki uśmiechnął się na znak zgody i melancholijnie pokiwał głową.

– To o co tu chodzi?! – zirytował się Rafalski.

– O kościelne młyny, które, jak wiadomo, miały powoli, więc potrzebują więcej czasu. Ząbecki koleguje się z fachowcami od kościelnych rozwodów i pewnie tędy puści cynk.

– Chodzi o te całe egzorcyzmy? – domyślił się podkomisarz i demonstracyjnie wzruszył ramionami.

– O kolejny publiczny skandal godzący w powagę Kościoła.

– Przecież chyba kuria nie wmiesza nam się do śledztwa!

– Pewnie, że się nie wmiesza. Kuria tylko wyrazi zatroskanie.

– No i co z tego?

Prokurator z rezygnacją wzniosł oczy ku niebu.

– Chodź młody, później ci to wytłumaczę. – Louvain wyholował partnera na korytarz i zasalutował na pożegnanie Witeckiemu.

– Weźcie się nie wygłupiajcie! – Rafalski nie dawał się spacyfikować. – Przecież to nie aż tak! W końcu chyba żyjemy w państwie prawa...

– Kanonicznego.

Podkomisarz z wrażeń nareszcie się zamknął.

– Kiedy do ciebie, młody, wreszcie dotrze, że to oni tu rządzą? – zniecierpliwił się Louvain. – Niby z ciebie taki bystry pampers po szkołach, a nie zauważyłeś jeszcze, że aby ruszyło jakiegokolwiek postępowanie przeciwko księdzu, media muszą wpierv międlić sprawę co najmniej przez pół roku? A potem wyroki zapadają symboliczne, obowiązkowo w zawiasach, podczas gdy zwykły gnojek za to samo kończy z dupą wyrwaną przy samych uszach. Wydedukuj więc wnioski, Sherlocku! Jeżeli nasze śledztwo im się nie spodoba, to zobaczysz taki cud papieski, że ci oko zbieleje.

– Masz obsesję! – warknął Rafalski, ale nie rozwinął dalej tej myśli. – To co robimy? – Przygryzł wargę.

– Mądre pytanie i warto się nad nim zastanowić.

– Może rzeczywiście w naszym rozumowaniu jest luka. – Podkomisarz odetchnął głębiej. – Załóżmy więc, że ktoś obserwował Damięckiego w parku. Potem poprawił po nim nożową robotę, a następnie zaczął naśladować jego styl działania w kolejnych przypadkach.

- Teoretycznie istnieje taka możliwość – stwierdził Louvain.
- To od czego zaczynamy?
- Tak sobie myślę. – Komisarz zmarszczył brwi. – Czy tutaj też przypadkiem nie było jakiegoś trzynastego apostoła...
- Wracamy zatem do sprawdzania ludzi z listy księdza Ryby?
- Nie. Myślę, że najistotniejszego nazwiska na tej liście nie ma.
- Może powinniśmy drugi raz pogadać z Potocką?
- Obawiam się, że nie będzie zbyt skłonna do współpracy. Obiecywaliśmy jej dyskrecję, a przez nas cały biurowiec omal nie poszedł z dymem i skończył jak wieża WTC... Skorzystajmy lepiej z tropu, który podsunął nam sam pan mecenas.
- Masz na myśli psychiatrę? – Rafalski odzyskał przytomność umysłu.
- Uhm... – Louvain energicznie obejrzał się za policjantką, która przed chwilą ich ominęła. – Pani aspirant Łosiewska! – zawołał za nią. – Możemy koleżankę prosić o chwilę rozmowy?
- Słucham, panie komisarzu. – Blondynka w mundurze zawróciła.
- Czołem, Halinka. – Rafalski kiwnął jej głową.
- Cześć, Michał – odpowiedziała.
- Znacie się? To dobrze... – skwitował Louvain i filuternie zwrócił się do policjantki. – Czy szanowna koleżanka nie zechciałaby popaść w opętanie?
- Prywatnie czy służbowo? – Uśmiechnęła się szeroko.
- Służbowo. – Komisarz spowaźniał. – Mamy do zrobienia małą grę operacyjną. Chyba że pani aspirant jest czymś pilnie zajęta?
- Chętnie się wyrwę z za biurka. Kim miałabym być? – zapytała, okazując już czysto fachowe zainteresowanie.

Louvain namyślał się chwilę nad legendą.

- Właścicielką prywatnej firmy, która, chcąc osiągnąć lepszą jakość zarządzania, zapisała się na warsztaty programowania umysłu metodą Silvy. Wydawało ci się, że to jedyny sposób, żeby sprostać wyzwaniom konkurencji, ale coś poszło nie tak. Od tej pory zaczęły się dziać z tobą dziwne rzeczy, to znaczy bezsenność, rozkojarzenie i poczucie obcej obecności. Najpierw stale gdzieś za tobą, potem w twojej głowie. Ostatnio zaczęłaś słyszeć głosy, koniecznie bluźniercze.

- OK. – Skinęła głową. – Doczytam sobie resztę objawów schizofrenii w Internecie.

- Masz na to godzinę. A ty, Michał, wejdź na stronę kurii i znajdź telefon

kontaktowy z kapłanem sprawującym modlitwy o uwolnienie. Halina, zadzwonisz tam, jak tylko się przygotujesz. Musisz im podać kilka podręcznikowych objawów choroby psychicznej, ale też koniecznie wspomnieć, że pojawiła się u ciebie niechęć do rzeczy świętych. Na przykład, że kiedy masz minąć jakiś kościół, strasznie korci cię, żeby przejść na drugą stronę ulicy albo zawrócić.

– A jak nazywała się moja firma? – zapytała rzeczowo.

– Wybierz sobie coś ze spisu firm, które ostatnio zawiesiły działalność. Co tam ci się spodoba. Nikt nie powinien tego dokładniej sprawdzać. W razie czego przyświrujesz.

– Tak jest, panie komisarzu.

– Do roboty, dzieciaki!

Pampersy uwinęły się szybko. Jeszcze przed końcem dnia Halina załatwiła sobie skierowanie na konsultacje psychiatryczne u poleconego przez kurię warszawsko-praską profesora Edmunda Kępskiego. Odegrała swoją rolę tak dobrze, że polecono się jej stawić już jutro o dziesiątej. W roli towarzyszącego zatroskanego narzeczonego miał wystąpić Rafalski. Teraz przydał się fakt, że Louvain nie wziął podkomisarza ze sobą na rozmowę do księdza Jana.

Sam komisarz ze swej strony zabrał się za sprawdzanie profesora Kępskiego. Na początek odkrył, że jego tytuł był czysto grzecznościowy. Facet okazał się typowym „marcowym docentem”, awansowanym na ten stopień na fali partyjnych czystek w listopadzie 1968 roku. Faktycznie zrobił tylko doktorat, w którym opiewał sukcesy przodującej psychiatrii radzieckiej i próbował przemycić na polski grunt ideę schizofrenii bezobjawowej. Reżymową karierę naukową zakończył osiem lat później, wylany z pracy za romans z pacjentką. Miał szczęście, że był to akurat gorący czerwiec 1976 roku i wszyscy uwierzyli w jego tłumaczenia, że padł ofiarą prowokacji i szykan SB. Odtąd z braku laku przykleił się do KOR-u i zaczął robić skromną karierę w opozycji. Na politykę był chyba jednak za mało rozgarnięty, więc stopniowo zdryfował pod skrzydła Kościoła. Najpierw przeżył spektakularne nawrócenie podczas pierwszej pielgrzymki papieża Polaka, a w 1981 dał świadectwo prawdzie w sprawie schizofrenii bezobjawowej, której głównym objawem był brak miłości do komunizmu, za co zaliczył internat w stanie wojennym. Od tej pory jego marcową przeszłość uznano za zrehabilitowaną, grzechy młodości wybaczone i zapomniano. Nikt już nie tytułował go inaczej jak „profesorem”. W 1989 został nawet ekspertem episkopatu do spraw zdrowia psychicznego narodu, ale z racji nikłych kompetencji fachowych, ograniczających się w zasadzie tylko do

znajomości represyjnej psychiatrii radzieckiej, odstawiono go dość szybko na boczny tor. Ponieważ jednak Kościół swoim ludziom krzywdy nie robi, Kępski dostał fuchę konsultanta przy kilku kościelnych ośrodkach leczenia alkoholizmu. Tak dotrwał sobie do emerytury, śmierci papieża Polaka oraz wybuchu mody na egzorcyzmy. Ta ostatnia okoliczność sprawiła, że przykościelna kariera Kępskiego dwa lata temu nabrała kolejnego przyspieszenia. Przeszedł tułać się po prowincji, ściągnięto go do Warszawy i dano mieszkanie z zasobów kurii. W jednym z pokoi urządzono gabinet, w którym profesor Kępski orzekał o stanie zdrowia psychicznego osób zgłaszających się z problemami duchowymi, a stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość, że dany przypadek wykracza poza kompetencje współczesnej nauki, diagnozował opętanie i kierował delikwenta lub delikwentkę do egzorcysty. Za wizytę należało się dwieście złotych.

Była już późna noc, kiedy komisarz Louvain skończył wydobywanie powyższych informacji z poślizniętych teczek starych zasobów archiwalnych oraz najnowszych baz danych. Intuicja podpowiadała mu, że to nie wszystko, że powinien poszperać jeszcze trochę głębiej, ale był już na to zbyt zmęczony.

Na ten moment komisarz poprzestał jedynie na konkluzji, że pan profesor Kępski jest chyba jego bratnią duszą...

## ROZDZIAŁ 6

### ZAUROCZENIE

Odpowiedź na pytanie, gdzie umówić się z Lucyną Sawicką, stanowiła dla redaktora Bileckiego niejaki kłopot. Najmniej podejrzane byłoby spotkanie w miejscu świętym, jakimś kościele lub kaplicy, ale to zdecydowanie nie uchodziło, skoro nie mieli zamiaru się tam modlić. Cmentarz byłby dobry, gdyby nie romantyczny podtekst... Z kolei w parku widzieliby ich zbyt wielu ludzi. Mogli się przytrafić znajomi z jakiejś religijnej wspólnoty, oboje znali ich wielu, co fatalnie skomplikowałoby zamierzone śledztwo.

Pozostawał więc jakiś lokal gastronomiczny, ale w tym zakresie redaktor Bilecki nie miał należytego rozeznania, a wybierając na chybił trafił, obawiał się, że przyprowadzi porządną dziewczynę do jakiejś mordowni lub, co gorsza, do pełnego zbrodni przybytku cywilizacji śmierci. Z jego znajomością Warszawy, jakby nie było typowego przyjezdnego „słoika”, pozostawały Złote Tarasy obok Dworca Centralnego. Miejsce może nieco zbyt światowe, ale z braku laku... Żeby zaś uczynić zadość zasadom konspiracji, wybrał inną kafejkę niż ta, w której rozmawiał z komisarzem Louvainem. Na szczęście z wyborem napoju nie było takiego problemu. W grę wchodziła tylko herbata, dla panny owocowa!

Teoretycznie miało to być dyskretne spotkanie robocze, wskazane były więc stroje codzienne, ale panna Sawicka wystroiła się jak na randkę i nie zamierzała stwarzać pod tym względem jakichkolwiek pozorów. Włosy o kasztanowym odcieniu miała świeżo ufarbowane i ułożone w trochę staroświeckim, lecz wymakowanym stylu, a zielono-niebieska sukienka, która wyłoniła się spod jesiennego płaszcza, była po prostu elegancka, bez żadnej przesadnej ekspresji. Dekolt tylko na tyle głęboki, aby dobrze wyeksponować wiszący na szyi złoty krzyżyk. Ten sam błysk poświęconego złota skrzył się również w jej piwnych oczach.

Bilecki nie miał jej za złe, że ubrała się tak odświętnie. Powinien, bo przyciągała wzrok wszystkich przechodzących w pobliżu mężczyzn, ale po prostu nie był w stanie. Sam nie mógł oderwać od niej wzroku. Naprawdę mu się podobała. Idealna katolicka narzeczona, zarazem kobieta i promiennie czysta... Poza tym Lucyna od

razu w wstępie nadmieniała, że dziewicą konsekrowaną, w przeciwieństwie do reszty siostr z grupy ojca Jana, zostawać nie zamierza.

– To dlaczego pani się tam znalazła? – spytał wtedy Bilecki.

– Interesują mnie silni i pobożni mężczyźni – odparła bez ogródek. – Uznałam, że w tej wspólnotie znajdę odpowiedniego kandydata na męża.

– Rozumiem... – Redaktor po raz kolejny musiał dołożyć starań, by ukryć zmieszanie. – Czy któryś z tragicznie zmarłych był pani szczególnie bliski?

W milczeniu pokręciła głową.

– Panie Marcinie, modłę się gorąco za ich dusze, ale szczerze mówiąc, to byli jeszcze chłopcy. Trochę się nimi rozczarowałam, muszę przyznać. Myślałam, że to będą, tak jak pan redaktor pisał, prawdziwi „duchowi komandosi”, tymczasem wszyscy oni okazali się jacyś tacy... naiwni. Niby poważni, a tak naprawdę wcale nie.

– Zgłosiła się pani do ojca Jana po przeczytaniu któregoś z moich artykułów?

– Tego pierwszego.

– Przepraszam panią, jeśli zbyt podkoloryzowałem rzeczywistość.

– Być może teraz ma pan szansę coś naprawić... – Rzuciła mu takie spojrzenie, że Bileckiemu naprawdę zrobiło się gorąco.

Bądź co bądź był to najwyższy czas, aby poszukać żony. Wszyscy koledzy w redakcji mieli już rodziny i gdyby nie jego regularny udział w kolejnych rekolekcjach ignacjańskich, służących rozpoznaniu powołania do życia zakonnego, współpracownicy dawno zaczęliby go podejrzewać o przeciwną naturze orientację płciową. Czas jednak mijał i należało albo rozpocząć postulat, albo przedstawić redaktorowi naczelnemu oraz księdzu asystentowi odpowiednią narzeczoną. Panna Lucyna jak najbardziej mogłaby nią być! Pytanie, kiedy wypadałoby się oświadczyć, ile powinno trwać narzeczeństwo, żeby nie za długo ani za krótko...

– Pan się zamyślił. – Dotknęła jego dłoni.

– Przepraszam... – Bilecki przyłapał się na tym, że szacuje już termin ślubu, a właściwie nocy po... Czym prędzej zgromił się w duchu za, no może niekoniecznie nieczyste, ale zdecydowanie przedwczesne myśli. Odchrząknął głośno. – Może przejdźmy do rzeczy! – powiedział.

– Zatem tak... – Wyjęła notes z torebki. – Na razie sprawdziłam trzy uwolnione osoby. Przepraszam, że tak mało, ale miałam trochę innych zajęć.

– Nic nie szkodzi! – Uśmiechnął się najuprzejmiej, jak umiał.

– Myślę, że w tych przypadkach nie powinniśmy mieć powodów do niepokoju.

To ludzie szczęśliwi i wdzięczni Bogu. U nikogo nie wyczułam nieszczerości. Są pełni wdzięczności dla ojca Jana i myślę, że gdyby zaszła taka potrzeba, można by zwrócić się do nich o pomoc w naszej sprawie.

– Poproszę o te nazwiska.

Podawała mu kartkę.

– Ale zachowała pani jakieś „ale”, nieprawdaż? – zapytał, przebiegając wzrokiem nazwiska i kontakty zarówno telefoniczne, jak i adresy domowe osób szczęśliwie wyrwanych z mocy demonów.

Panna Lucyna pokiwała w zadumie głową.

– Bo widzi pan re... – Wyraźnie zawahała się, czy wypowiedzieć jego imię czy tytuł zawodowy. Kolejny dobry znak! – Ja najpierw chciałam przygotować sobie listę osób do sprawdzenia. Trochę sama pamiętałam, miałam też grafik spotkań naszej wspólnoty. I tu, widzi pan, wyszła mi jakaś nieścisłość...

– To znaczy? – zapytał czujnie.

– Nie zgadza mi się liczba uwolnionych osób. Jak pan wie, ojciec Jan na samych egzorcyzmach nie poprzestaje. Potem są jeszcze specjalne msze dziękczynne, na których obecność uwolnionych jest usilnie zalecana. Jako próba i świadectwo. Liturgia odbywa się w asyście dodatkowo wystawionych na ołtarzu relikwii świętych, dla szczególnego wzmocnienia siły sacrum. Sprawdzana jest wtedy trwałość uwolnienia.

– Wiem. – Bilecki kiwnął głową. – Oprócz osób uwolnionych powinni też być obecni członkowie grupy wsparcia zaangażowani w dany przypadek.

– I właśnie podczas tych liturgii miałam okazję widywać wszystkich uwolnionych. A także tych z nas, którzy im towarzyszyli. Jako nauczycielka mam dobrą pamięć do twarzy. Reszta to kwestia podstawowej kombinatoryki... Wie pan, tak się składa, że uczę w gimnazjum matematyki.

– Jestem pełen podziwu! – oznajmił Bilecki. Przezornie ugryzł się w język i nie wyznał, że zawsze był z tego przedmiotu kiepem.

– To naprawdę nic trudnego, panie Marcinie – odpowiedziała, jakby czytała mu w myślach. – Ale ja ciągle nie powiedziałam panu najważniejszego, otóż było co najmniej pięć sesji egzorcyzmów, po których uwalniano ani razu nie przyszedł na mszę dziękczynną.

– Może to ten schwytywany zabójca?

– Też o tym pomyślałam, ale nie. On był na dwóch sesjach i potem na jednej



mszy. Wszystko się zgadza. Zaliczył, że tak powiem, program minimum.

– Zapewne to dlatego... – Bilecki nie dokończył myśli.

– Ja jednak nie o tym człowieku chciałam panu opowiedzieć. No więc, kiedy wszystko sobie zestawiałam, porównywałam z grafikami i przeliczyłam, wyszło mi, że nie mogę ustalić, ile było dokładnie osób uwalnianych w okresie ostatnich sześciu miesięcy. Czterdzieści dwoje albo czterdzieści troje. Wychodzi na to, że jedna osoba była egzorcyzmowana w tajemnicy albo na specjalnych zasadach. Nie mogę dojść, kto to był.

– A kto asystował?

– Muszę to dopiero ustalić, panie Marcinie, ale już wiem jak. W niektórych dniach bywały po dwie lub trzy sesje, członkowie grupy wsparcia się wymieniali. Nie mijamy się wtedy tak po prostu, lecz spotykamy na krótkich adoracjach, żeby ci, którzy przyszli, mieli czas się przygotować duchowo, odchodzący uspokoić nerwy, a wszyscy razem wzajemnie umocnić. Dzięki temu mogę więc stwierdzić, kto z kim się w te dni spotkał.

– Wypyta pani członków grupy? Musiałaby się pani z nimi umówić na spotkanie, a wiem, że nie wolno wam się kontaktować prywatnie.

– Zrobię to za pośrednictwem uwolnionych. Poproszę, aby oni zapytali swoje osoby asystujące o to, kogo potem spotkali w kaplicy, i przekazali mi te informacje. Z uwalnianymi możemy rozmawiać o wszystkim, co dotyczy egzorcyzmów. W ten sposób nie złamię zakazu ojca Jana.

– Naprawdę panią podziwiam! – oznajmił Bilecki całkiem szczerze. – Zaimponowała mi pani swoimi umiejętnościami i... – Powstrzymał się, by nie powiedzieć „sprytem”. – I pomysłowością!

– Mam jeszcze inne ukryte zalety, panie Marcinie... – Zatrzepotała rękami.

Bilecki dobrze wiedział, że powinien teraz wstać, pożegnać się i odejść, prosząc ją, aby jeszcze chwilę tu posiedziała, zanim sama pójdzie. Tego wymagały względy ostrożności, ale te stawały się coraz mniej istotne z każdą upływającą sekundą, podczas której spoglądał we wpatrzone w niego piwne oczy po drugiej stronie stolika.

– Może pójdziemy na spacer? – Ze zdumieniem usłyszał swój własny głos. – Bo słońce właśnie wyszło...

– Bardzo chętnie. – Podniosła się z kocim wdziękiem. – Poda mi pan płaszcz?

Zasady konspiracji diabli wzięli! Redaktor Bilecki opuścił Złote Tarasy, prowadząc pannę Lucynę Sawicką pod rękę.

Wyszli na ulicę Emilii Plater i przeszli na drugą stronę Alei Jerozolimskich. W przejściu podziemnym Bilecki kupił towarzyszcze bukietki miniaturowych goździków, a kiedy znów wynurzyli się na powierzchnię ulicy, oboje sprawiali wrażenie, jakby znali się od wielu lat.

Minęli hotel Marriott i ulicę Nowogrodzką. Redaktor zupełnie nie wiedział, dokąd ich ten spacer zaprowadzi, po prostu szedł przed siebie, prowadząc roześmianą pannę u boku. Wiedział tylko, że mógłby tak iść bez końca. Właśnie zaczynał zdawać sobie sprawę z wielkości zauroczenia, które tak niespodziewanie na niego spadło.

Spacer ów nie trwał bez końca, a właściwie całkiem krótko, do momentu, gdy dotarli do kościoła św. Barbary.

– Wstąpimy się pomodlić? – zapytała panna Lucyna.

– Oczywiście – odrzekł natychmiast i weszli do świątyni.

W pierwszej chwili Bilecki zamierzał poprowadzić pannę wprost do ołtarza, jakby to była próba ich ślubu, czyniąc rozmyślną aluzję w tej mierze, ale ledwie minęli kruchtę, natychmiast skręcił w prawo, w boczną nawę. Lucyna niczego nie zauważyła, ale on aż zagotował się w sobie.

Mniej więcej pośrodku kościoła, samotnie, przy krańcu ławy dla wiernych, klęczał na posadzce komisarz Louvain. Modlił się w skupieniu i chyba raczej szczerze, nie na pokaz, bowiem prócz ich trojga była tu tylko jeszcze jakaś staruszka. Jednak ten niespodziewany widok nie wywołał ani krzty sympatii Bileckiego, wręcz przeciwnie. Dawny esbek był zdecydowanie ostatnią osobą, którą redaktor chciałby spotkać w tak romantycznej chwili, a już zupełnie nie do przyjęcia była myśl, że miałyby teraz przedstawić mu pannę Lucynę. Bilecki poczuł się wręcz odarty z intymności. Zręcznie manewrując nieświadomą, lecz potulną towarzyszką, poprowadził ją za filar, w miejsce, gdzie byli dobrze zasłonięci przed przypadkowym spojrzaniem Louvaina.

Lucyna nie spytała o nic. Nie okazała zdziwienia, dlaczego akurat to, a nie inne miejsce zostało przez jej towarzysza wybrane. Po prostu stanęła tam, gdzie on dał jej znak, aby się zatrzymali, po czym natychmiast przyklękła, położyła przed sobą czerwone kwiaty i zaczęła odmawiać różaniec.

Redaktor Bilecki też ukląkł obok niej, ale przez dłuższą chwilę nie mógł się skupić na modlitwie. Zupełnie rozstrojony i zdeprymowany nasłuchiwał, co robi komisarz. Dopiero kiedy Louvain wstał i w ciszy kościoła rozległy się powolne, oddalające się kroki policjanta, redaktor dyskretnie odetchnął z ulgą.

I spojrzął na swoją dziewczynę...

Tak, już na pewno mógł nazywać pannę Lucynę swoją dziewczyną! Wyglądała naprawdę uroczo, klęcząc z tym białym różańcem w dłoniach. Była taka jasna, taka uduchowiona.

Redaktor Bilecki postanowił, że zapamięta ten widok do końca życia, i z głębi serca zaczął dziękować za niego Bogu.

## NIEBEZPIECZNI DLA OTOCZENIA

- Mikrofon działa? – upewnił się Louvain.
- Halina, powiedz coś! – polecił Rafalski.
- *Jestem szalona...* – zanuciła policjantka.
- W porządku! – oznajmił podkomisarz.
- Może to tylko stary dureń, ale go nie lekceważcie – przestrzegł ich Louvain. – Bez wygłupów, dzieciaki, i bez odbioru. – Rozłączył się.

Halina i Rafalski przeszli przez żelazną furtkę posesji przy Styki – cichej uliczce na warszawskiej Saskiej Kępie. Dom był piętrowym bliźniakiem z ogrodem, ale do profesora wchodziło się osobnym wejściem. Wiosną musiało tu być naprawdę ładnie. Teraz jednak, choć tegoroczny listopad był wyjątkowo ciepły i słoneczny, legendarny urok Saskiej Kępy gdzieś się ulotnił. W zamian rzucało się w oczy, że dom wymaga remontu, ogród jest zaniedbany i zdziczały, a przycinanie wszystkiego jak leci, stanowiło tu od dawna jedyną formę pielęgnacji zieleni. Czarne, bezlistne drzewo pod płotem, bodajże klon, wręcz zachęcało, aby się na nim powiesić. Poetycki *genius loci* skonał tu dawno temu, niepostrzeżenie, być może razem z Agnieszką Osiecką, a zastąpił go pozostały po niej, na poły zmaterializowany, drapiący połamanymi paznokciami bruki i mury, poranny kac poetki-alkoholiczki.

Rafalski zapukał. Otworzyła im jakaś starsza kobieta – szorstka, małomówna, o czujnym spojrzeniu, oszczędna w ruchach. Sprawiała wrażenie emerytowanej pielęgniarki i wzbudzała ostrożne zaufanie.

– Ja nie chcę, nie chcę! Nie trzeba! – Halina zrobiła scenę na progu poczekalni profesora Kępskiego.

– Kochanie, uspokój się, to naprawdę dla twojego dobra! – Rafalski ze swej strony odegrał zaplanowaną rolę cierpliwego i stanowczego narzeczonego.

– Proszę, niech państwo chwilę zaczekają. – Kobieta popatrzyła na miotającą się dziewczynę obojętnie, jakby widziała to setki razy, i znikła w gabinecie. Po niecałej minucie pojawiła się znowu, prosząc Halinę do środka.

Pokój przyjęć przypominał bardziej zakrystię niż gabinet lekarski. Wisiały tu trzy krucyfiksy – nad drzwiami, nad oknem i na ścianie za biurkiem. Do tego z tuzin

świętych obrazów, bodaj co do jednego kupionych na wiejskim odpuszczeniu w miejscowości reprezentującej omszałą podmurówkę polskiej Ściany Wschodniej. Słowem, jeden bardziej kiczowaty od drugiego. Wszystkie w krzykliwych kolorach i ewidentnie komiksowej konwencji przedstawiały płomienie, ogniste miecze oraz wykrzywione diabły deptane przez anioły lub inne święte osoby. Każdy schizofrenik na taki widok od razu poczułby się gorzej. Halina schowała głowę w ramiona i wbiła wzrok w podłogę. Gospodarz skwitował jej zachowanie domyślnym uśmiechem.

Profesor Kępski był niski, łysiejący, aparycją przypominał bardziej małomiasteczkowego kościelnego niż warszawskiego inteligenta starej daty. Nie pofatygował się, aby na przyjęcie gości założyć marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła za biurkiem. Minione pół wieku zdecydowanie nie wystarczyło, by wypłenić z jego stylu bycia atrybuty awansu społecznego, zaznanego w zamierzonych początkach PRL. Nie zareagował na „dzień dobry” wchodzących. Zdawało się, że oczekiwał słów „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a wszelkie inne formy grzecznościowe były poniżej jego godności. Kiedy wreszcie się odezwał, wrażenie, że mają do czynienia z kościelnym, jeszcze bardziej się pogłębiło.

– Proszę zostawić nas samych na czas rozeznania. – Droga dedukcji należało ustalić, że polecenie zostało skierowane do podkomisarza, ponieważ gospodarz nawet na niego nie spojrział.

– Chciałbym pomóc, jakby co... – zaproponował nieśmiało Rafalski.

– Poradzimy sobie z bożą pomocą. – Profesor wyczekująco spojrział na Halinę.

Ona zorientowawszy się, że badanie już się zaczęło, demonstracyjnie skrzywiła się na wzmiankę o Bogu.

– Będziemy oboje w poczekalni – odezwała się asystentka profesora, dając Rafalskiemu znak, by wyszedł wraz z nią, po czym zamknęła drzwi i usiadła pod ścianą. Podkomisarz stanął przy oknie, odwracając głowę tak, aby towarzysząca mu kobieta nie zauważyła słuchawki w jego uchu. Całą uwagę skupił na rozmowie w sąsiednim pokoju.

– Proszę, proszę, niech pani siada – polecił profesor i od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy w tym pokoju jest coś, co wzbudza pani niepokój?

– Nie... Nie wiem... – wybąkała Halina.

– Proszę się rozejrzeć dookoła. Co pani sądzi o tych obrazach?

– Są brzydkie – stwierdziła, wychodząc z roli, ponieważ powiedziała to całkiem szczerze.

– Zatem święte obrazy robią na pani odpychające wrażenie? – podsunął jej

gotową odpowiedź. – Widok pokonanych demonów wywołuje w pani lęk... – raczej już stwierdził, niż zapytał.

– Są brzydkie – powtórzyła z uporem Halina, przybierając zacięty wyraz twarzy.

– Proszę nie uciekać wzrokiem i lepiej im się przyjrzeć. Choćby tu, proszę spojrzeć na ten triumf Michała Archanioła nad szatanem. Jakie uczucia wzbudza w pani ten wizerunek?

– To jest bohomaz... Wszystkie one to kicze i bohomazy!

– *Odium fidei...* czyli nienawiść do wiary oraz wszelkich rzeczy świętych – zdiagnozował profesor Kępski, po czym usiadł za biurkiem i zaczął coś pisać. – Do kościoła pani nie uczęszcza, to już wiemy.

– Coś mnie stamtąd odpycha – wyznała policjantka zgodnie z planem.

– Tak, to by się zgadzało... – mruknął profesor Kępski. – Czy miała pani masonów w rodzinie?

– Słucham?! – Kompletnie zaskoczona pytaniem Halina znowu wyszła z roli. Po tonie jej głosu znać było, że zupełnie nie wie, co na to odpowiedzieć. Przygotowywała się do typowego badania psychiatrycznego, które w pierwszej kolejności powinno ustalić jej zorientowanie w czasie, miejscu, własnej sytuacji i samopoczuciu. Zamierzała dawać nie do końca sensowne odpowiedzi na pytania typu: czym się różni rzeka od stawu? Kiedy jechali tutaj, pochwaliła się Rafalskiemu, że w takim przypadku powie, że kolorem, bo stawy są bardziej niebieskie.

Tymczasem profesora Kępskiego najwyraźniej metodyka diagnostyczna zupełnie nie interesowała. Szedł na skróty, by wykazać opętanie.

– Pomogę pani – zakomunikował. – Czy w pani rodzinie byli członkowie partii komunistycznej, ateiści?

– Owszem, zdarzali się...

– Zatem możemy przyjąć, że masoni też byli. – Zapisał wniosek i zadał kolejne pytanie. – Czy ktoś w pani rodzinie zajmował się wróżbiarstwem? Albo chodził do wróżki?

– Moja babcia – odparła zmieszana Halina. – Kiedyś wspominała, że dała sobie powróżyć Cygance, może nawet kilka razy. Mama lubiła stawiać pasjanse...

– Dziedziczne obciążenie okultyzmem – skwitował profesor.

– Przepraszam, jaki to ma związek ze mną?! – zirytowała się całkiem serio.

– Szukam głębszych przyczyn pani problemów duchowych – odparł oschle

Kępski. – One nie biorą się znikąd, ktoś w przeszłości musiał otworzyć kanały dostępu...

– Kto niby miałyby mieć dostęp i do czego?

– Proszę mi zaufać, wiem, co robię! – uciął dyskusję i zmienił temat. – Pani, jak wiem, działała ostatnio w biznesie...? – zawiesił głos.

– Tak, panie profesorze.

– I w związku z tym uczęszczała pani na zajęcia programowania umysłu metodą Silvy?

– Tak. – Halina najwyraźniej postanowiła przyznawać się już do wszystkiego. – Ćwiczyłam też jogę i tai-chi.

– No tak... – Pokiwał głową. – Wszystko się zgadza. A może były też jakieś sesje tarota dla biznesmenów? Nie próbowała pani czasem dowiedzieć się, jak będzie wyglądać pani przyszłość w interesach.

– Owszem... – przyznała z wahaniem.

– Cóż, proszę pani – oznajmił z powagą. – Zmuszony jestem stwierdzić, że źródła pani problemów emocjonalnych nie mają podłoża somatycznego. Konieczne będzie spotkanie z egzorcystą, który...

– Jakim znów egzorcystą?! – wybuchła z teatralną przesadą, ale jej rozmówca tego nie zauważył. – Ja jestem tylko trochę przemęczona... nie potrzebuję żadnego egzorcysty... może pan zapisze mi Prozac albo coś, to wystarczy.

– Prozac może tylko chwilowo przytłumić objawy dręczenia demonicznego, ale nie usunie ich przyczyn. Wypiszę pani skierowanie do doświadczonego kapłana.

– To jakieś szaleństwo! – krzyknęła łamiącym się głosem.

Profesor Kępski dyskretnie wysunął szufladę, leżał w niej kolejny krucyfiks. Wstał ze swojego miejsca, obszedł biurko i, pochyliwszy się nad Haliną, nagłym ruchem przysunął jej krzyż do twarzy.

– Tylko dla demonów zbawcza męka Chrystusa jest szaleństwem! – zawołał wielkim głosem.

Halina domyślała się, że powinna teraz odegrać scenę awersji, ale wyszło jej to aż za dobrze. Profesor naruszył sferę jej osobistej przestrzeni tak nagle, głęboko i agresywnie, że górę wzięły wytrenowane policyjne odruchy. Złapała za rękę z krucyfiksem i zaczęła ją wykręcać, by założyć kajdanki. O sekundę za późno zreflektowała się, że nie ma ich przy sobie, i znów wypadła z roli, więc szarpnęła się do tyłu, starając się w ten sposób ukryć aktorską niezręczność. W efekcie wychyliła

się zbyt mocno i razem z krzesłem wylądowała plecami na podłodze.

Profesor Kępski wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany. Cofnął się i nacisnął przycisk ukryty pod blatem.

Rafalski usłyszał alarmowy dzwonek – jednocześnie przytłumiony w słuchawce i z całą siłą w wolnym uchu. Różnica natężenia dźwięku przyprawiła go o parosekundową fiksację. Asystentka profesora zerwała się na równe nogi i wbiegła do gabinetu. Podkomisarz podążył za nią.

Halina niemrawo zbierała się z podłogi, Kępski wciąż trzymał krucyfiks w garści.

– Czy mam podać haloperidol? – zapytała asystentka.

– Nie, nie trzeba! – odpowiedział szybko Rafalski, pomagając wstać Halinie.

– Pańska narzeczonaomal nie złamała mi ręki – oznajmił gospodarz z pretensją w głosie. – Przejawiła przed chwilą siłę fizyczną zupełnie nieadekwatną dla jej płci oraz warunków cielesnych...

Halina uznała, że parsknięcie śmiechem w tym momencie dodatkowo ją uwiarygodni.

– Kochanie, proszę, uspokój się. – Rafalski zaczął ją mitygować.

– Zmuszony jestem stwierdzić, że powinni się państwo zgłosić do osoby obdarzonej szczególną łaską oraz powołaniem. – Profesor odłożył krucyfiks, usiadł i dokończył pisać skierowanie do egzorcysty. – Proszę! – Podał pismo Rafalskiemu. – Oficjalnie i stanowczo wykluczam histerię, depresję i schizofrenię. Pańska narzeczona jest dręczona przez istoty nie z tego świata.

– Jest pan pewien? – Podkomisarz pro forma okazał sceptycyzm.

– Pan profesor ma wieloletnie doświadczenie kliniczne – wyniośle wtrąciła się do rozmowy asystentka gospodarza.

– Reakcja pacjentki na zbliżenie krzyża świętego jest rozstrzygająca. – Kępski znów podniósł odłożony krucyfiks. – W tym znaku męki pańskiej są ukryte święte relikwie, o których pańska narzeczona nic nie wiedziała, ale zły duch doskonale zdawał sobie sprawę z ich obecności i działania...

– Błazen! – skwitowała Halina całkiem szczerze.

– Mogą państwo odejść – oznajmił z godnością profesor. – Radzę jak najszybciej uzgodnić z powołanym kapłanem termin rytuału.

– Dziękujemy bardzo! – Rafalski wyprowadził Halinę z gabinetu.

Chwilę później, gdy znaleźli się na podwórku, podkomisarz dał upust swojemu niezadowoleniu.



- Zachowywałaś się nieprofesjonalnie – stwierdził. – Mógł cię zdemaskować.
- On?! – Wzruszyła ramionami. – Ten stary dewot?! Ty słyszałaś, o co on mnie pytał?
- Słyszałem.
- Nie mogę uwierzyć, że to się działo naprawdę! To ma być lekarz?!
- Nie interesują nas dziwactwa emeryta. – Rafalski stanowczo przywołał wzburzoną koleżankę do porządku. – Mieliliśmy zdobyć skierowanie do księdza Jana i mamy je. Wszystko się dobrze skończyło, ale ty na przyszłość kontroluj się bardziej.
- Im byłam bardziej szczerą, tym on lepiej mnie kupował – odparła.
- Może faktycznie coś cię opętało... – Podkomisarz rozładował atmosferę.
- „Praca w policji wystawia duszę funkcjonariusza na bezpośrednie, destruktywne oddziaływanie zła”. – Halina zacytowała fragment starego wywiadu Louvaina dla „Frondy”, naśladując przy tym sposób mówienia komisarza.
- Po służbie masz u mnie piwo – parsknął Rafalski, uświadamiając sobie mimochodem, że ich rozmowa wciąż się nagrywa i Louvain zapewne to usłyszy.
- Przepraszam państwa bardzo! – zawołał ktoś za nimi, kiedy wyszli na ulicę.
- Obejrzeni się. Przeciskając się pomiędzy zaparkowanymi samochodami, biegł w ich stronę jakiś młody mężczyzna w rozwianym płaszczu.
- Najmocniej przepraszam, ale jeśli dobrze widziałem, państwo przed chwilą wyszli z gabinetu docenta Kępskiego.
- A jeśli tak, to co? – zapytał prowokująco Rafalski.
- Ja jestem lekarzem – odpowiedział, łapiąc oddech, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i pokazał im legitymację. – Artur Grabko, doktor medycyny, specjalista neurolog – przedstawił się. – Jestem byłym asystentem docenta Kępskiego i chciałbym państwa przestrzec...
- Przed czym? – spytała oschle Halina.
- Przepraszam bardzo, naprawdę nie chciałbym przeprowadzać sesji diagnostycznej na ulicy, ale jeżeli któryś z państwa ma problem psychiczny, radziłbym zgłosić się do lekarza z prawdziwego zdarzenia. Proszę to wziąć i przemyśleć na spokojnie... – Wyjął z kieszeni ulotkę domowej roboty. Było to pięć odbitych na ksero wizytówek lekarzy plus jeszcze trzy adresy dopisane pod nimi odręcznie. – Od tych psychiatrów i w każdym z tych miejsc otrzymają państwo naprawdę fachową pomoc. Proszę mi zaufać.

– Jest pan naganiaczem konkurencji? – rzucił bezceremonialnie Rafalski.

Doktor Grabko westchnął z rezygnacją.

– Proszę państwa, wiem, że to jest dość głupia sytuacja i faktycznie może to tak wyglądać, ale naprawdę, bardzo proszę rozważyć moją propozycję. To leży w państwa najlepiej pojętym interesie.

– Był pan naprawdę asystentem profesora? – spytała Halina. – Jak długo?

– Prawie pół roku, ale żaden z niego profesor, naprawdę tam...

Urwał w pół słowa, gdyż Halina pokazała mu swoją policyjną odznakę.

– Działania operacyjne – zakomunikowała krótko.

– Chętnie wysłuchamy pana na komendzie – dodał Rafalski. – Proszę z nami!

– A więc doszło już do jakiegoś nieszczęścia... – domyślił się doktor Grabko i spochmurniał. – Tego się, niestety, obawiałem! Dobrze, chętnie pójdę, gdziekolwiek państwo sobie życzą. Pomogę, jak umiem, tylko naprawdę szkoda, że wcześniej nikt nie chciał ze mną gadać.

– Za rogiem czeka na nas samochód. – Podkomisarz pokazał kierunek. – Zapewniam, że wysłuchamy pana doktora z największą uwagą.

Pół godziny później w pokoju przesłuchań dołączył do nich Louvain. Doktorowi zaproponowali kawę i pozwolili upić w spokoju kilka łyków.

– Będzie pan teraz oficjalnie przesłuchany w charakterze świadka – powiadomił go komisarz. – Zatem co pan ma nam do powiedzenia?

– Mogę mówić po kolei? – zapytał Grabko.

– Jak panu doktorowi wygodniej. – Halina uśmiechnęła się do niego. – Słuchamy...

– Na studiach, jeszcze przed specjalizacją, udzielałem się trochę w ruchu oazowym. Jestem wierzący, ale nie przesadnie, nie przepadam za bigotami. Z tych czasów zostało mi trochę kontaktów, a dokładniej mówiąc, jeden z opiekunów grupy przypomniał sobie o mnie, kiedy po śmierci naszego papieża zaczęło się to całe wariactwo na punkcie egzorcyzmów. Zgłosili się do mnie ludzie z kurii i poprosili o konsultacje medyczne. Stwierdzili, że potrzebują kogoś młodego, otwartego, wyrobionego duchowo i z kwalifikacjami lekarskimi. Mówili, że zależy im, aby starannie oddzielać przypadki medyczne od właściwego opętania, żeby nie doszło do pomyłki. Uznałem, że mogę pomóc, i tak trafiłem do docenta Kępskiego jako jego asystent, a w przyszłości być może następca. Tak to wyglądało z początku.

– Rozumiem, że doszło pomiędzy panami do jakichś nieporozumień... – rzucił

Louvain.

– Proszę państwa, ja chciałbym, żebyśmy się naprawdę dobrze zrozumieli – odparł doktor Grabko. – Pomimo wszystkich wątpliwości, jakie budził we mnie system pracy docenta Kępskiego, naprawdę starałem się go zrozumieć i wspierać. W Polsce kontakt z psychiatrą negatywnie stygmatyzuje pacjenta. Ludzie wyśmiewają chorego zamiast pomóc, mamy w mowie potocznej i kulturze popularnej mnóstwo negatywnych konotacji. Nikt nie chce w swoim środowisku mieć opinii czubka. Co innego natomiast być opętany. To jest, jakby nie patrzeć, kontakt z prawdziwym sacrum, w jakimś stopniu uświęcający opętanego. Banalne wariactwo nie może się z tym równać! Nic więc dziwnego, że osoby z zaburzeniami psychicznymi, kiedy ich stan zaczyna być trudny do zniesienia dla nich samych i otoczenia, w pierwszej kolejności zgłaszają się do księdza, opowiadają, że dręczy ich diabeł, i proszą o egzorcyzmy. Ja to rozumiem. Niepokoić może jedynie społeczna skala tego zjawiska w Polsce, ale cóż, takie mamy fatalne obyczaje. Może z czasem się to zmieni... Ostatecznie uznałem więc, że współuczestnicząc w takiej selekcji pacjentów, mogę być naprawdę przydatny i komuś pomóc. Niestety, realia i praktyka okazały się zupełnie inne...

– To znaczy? – zagadnął komisarz.

– Nagminne jest pomijanie konsultacji lekarskich. Duchowni, zwłaszcza na prowincji, uważają, że wiedzą lepiej. Ale to jeszcze pół biedy. Znacznie gorszy jest inny popularny wśród egzorcystów pogląd, który, jak się okazało, podziela także docent Kępski, to znaczy, że demony celowo starają się ukryć pod chorobą psychiczną, aby w ten sposób uniknąć egzorcyzmów. Można by to uznać za dziwactwo, ale niestety w parze z takim poglądem szło zaniedbywanie procedur diagnostycznych, co wielokrotnie miałem okazję obserwować. Czasem odnosiłem wrażenie, że docent Kępski wręcz pracuje na akord. Stara się wykazać jak największą liczbą wykrytych przypadków opętania, ponieważ uważa, że wyższa hierarchia kościelna właśnie tego od niego oczekuje. Dyskutowaliśmy o tym wielokrotnie, niestety, do docenta Kępskiego niewiele dociera. Chwilami przychodziło mi wątpić, czy on naprawdę jest lekarzem, któremu zależy na dobru pacjenta.

– Domyślałam się, że między panami zaszło coś więcej niż nieporozumienia na tle różnicy pokoleń? – Louvain znów pokierował rozmowę w kierunku istotnym dla śledztwa.

– Jaka tam różnica pokoleń! – Doktor Grabko nie wytrzymał. – Docent Kępski jest kompletnym ignorantem! On się zatrzymał w rozwoju naukowym dobre ćwierć

wieku temu, jak nie więcej! Nie ma bladego pojęcia o najnowszym stanie medycyny w naszej dziedzinie. W praktyce Kępski nie odróżnia chorób psychicznych od neurologicznych. Przykładowo raz trafiła się nam pacjentka z autoimmunologicznym zapaleniem mózgu typu NMDA, które wywołuje u chorych wybuchy agresji połączone z przyływami nadzwyczajnie dużej siły fizycznej oraz majaczenia i splątanie dające się zakwalifikować jako mówienie w nieznanym językach. Dla docenta Kępskiego to był najzupełniej oczywisty przypadek opętania. Podobnie jak każdy zespół Tourette'a, z którym się zetknął w mojej obecności. Całkiem jak w średniowieczu! Może wtedy nie umiano inaczej pomóc, ale dziś kierowanie takich ludzi do egzorcystów to najzwyklejsze barbarzyństwo. W przypadku pacjentki z NMDA zdołałem przeprowadzić właściwe badania krwi i po kuracji sterydami chora całkowicie wróciła do zdrowia. Kontakt z egzorcystą w najlepszym razie znacznie opóźniłby rozpoczęcie prawidłowego leczenia. Z dużym prawdopodobieństwem mogłoby dojść do trwałego upośledzenia funkcji mózgu.

– Czy profesor Kępski przyznał panu rację?

– Nie. Wręcz przeciwnie. Właśnie wtedy uznał, że powinniśmy się rozstać, i zaczął robić wszystko w tym kierunku. Niestety, ze mną nikt w kurii nie chciał rozmawiać poważnie. Sugerowano mi jedynie, że jestem zbyt młody i niedoświadczony, a docent Kępski cieszy się zaufaniem najwyższych czynników... Powinienem więc być pokorny i się od niego uczyć. Próbowałem w dobrej wierze zastosować się do tych sugestii, ale wkrótce zdarzyło się coś, co przekroczyło już wszelkie granice. O tym właśnie państwo powinniście wiedzieć. Na podstawie, przyznaję, dość pobieżnej oceny chyba mogę stwierdzić, że dwaj pacjenci, których docent Kępski skierował do egzorcyzmowania, mogą być osobami niebezpiecznymi dla otoczenia.

Rafalski i Halina ożywili się na te słowa. Louvain zachował profesjonalny spokój.

– W jednym przypadku była to ewidentna ostra schizofrenia paranoidalna, w drugim choroba afektywna dwubiegunowa, zwana kiedyś psychozą maniako-depresyjną. Dostrzegłem u nich symptomy wskazujące na bardzo poważny przebieg procesu chorobowego i skłonność do agresji. Obaj pacjenci, według mojej oceny, kwalifikowali się do natychmiastowego leczenia zamkniętego, a wszelkie egzorcyzmy mogłyby tylko dramatycznie pogorszyć ich stan. Ci ludzie byli naprawdę ciężko chorzy.

– Profesor Kępski, mimo wszelkich swoich dziwactw i braku orientacji w aktualnym stanie medycyny, jednak przez całe swoje życie był praktykującym

psychiatrą – zauważył sceptycznie Rafalski. – Nie powinien chyba mieć problemu z rozpoznaniem tak ewidentnych przypadków klinicznych.

– Obaj pacjenci starali się dysymulować, to znaczy ukrywać objawy chorobowe – odparł doktor Grabko. – W zamian udawali opętanie, naśladowując sceny z popularnych horrorów. Chcieli być uznani za opętanych. Jak już mówiłem, dla chorych opętanie jest znacznie bardziej nobilitujące od zwykłej choroby psychicznej. Docent Kępski, moim zdaniem, zdecydowanie zbyt skwapliwie przyjął te sugestie.

– I na tle tych przypadków doszło pomiędzy panami do konfliktu – podsumował Louvain.

– Uznałem, że muszę interweniować, bo stanie się nieszczęście – odparł doktor Grabko. – Niestety, nic nie osiągnąłem. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać, zostałem po prostu odsunięty od dalszej współpracy z kurią. Postawiono mi zarzut, że chcę podstępem przejąć praktykę docenta Kępskiego. Próbowano też oczernić mnie przed moimi zwierzchnikami w macierzystym szpitalu. Na szczęście w pracy cieszyłem się zbyt dobrą opinią, aby ta intryga okazała się skuteczna.

– I od tej pory zaczął pan czatować na ulicy na wychodzących pacjentów profesora Kępskiego – dopowiedział Rafalski.

– Naprawdę nie mogłem tego tak zostawić. Doskonale zdaję sobie sprawę, że bieganie po ulicy i kwestionowanie metod pracy kolegi po fachu wygląda głupio i nieprofesjonalnie, a nawet może być uznane za działanie nieetyczne, jednak musiałem coś zrobić. Przynajmniej dla spokoju własnego sumienia.

– Rozumiemy pana, doktorze – zapewnił Louvain.

– Czy ma pan dane personalne tych dwóch chorych, którzy, pańskim zdaniem, mogą być niebezpieczni dla otoczenia? – spytał podkomisarz.

– Mam – odparł Grabko i zamilkł.

W pokoju przesłuchań zapadła przedłużająca się cisza.

– Zatem... – Rafalski przerwał ją wreszcie, patrząc wyczekująco.

– Państwo chyba rozumieją, że wiąże mnie tajemnica lekarska. Należy to zorganizować z zachowaniem wszelkich formalności prawnych.

– Załatwcie nakaz, ale migiem – zwrócił się do swoich współpracowników Louvain.

Rafalski i Halina natychmiast wyszli z pokoju.

– Czy wcześniej, zanim spotkał pan moich ludzi, udało się panu kogoś przekonać

do właściwego leczenia? – zagadnął komisarz, kiedy za parą młodszych policjantów zamknęły się drzwi.

– Dwie, może trzy osoby... – westchnął doktor Grabko. – Doprawdy kropla w morzu.

– Kropla drąży skałę – odparł filozoficznie Louvain.

– Nie w naszej rzeczywistości. Jak mówiłem, robiłem to dla spokoju własnego sumienia. Zresztą długo bym już tego nie ciągnął, może jeszcze z tydzień, dziesięć dni. Potem wyjeżdżam na staż do Anglii.

– Gratuluję, panie doktorze!

– Mnie może pan pogratulować, ale nie wiem, czy sobie, panie komisarzu. Tutaj, w Polsce, powinienem być dużo bardziej potrzebny.

## CZYSTE NARZECZEŃSTWO

Na kolejne spotkanie umówili się na Starym Mieście.

To był naprawdę dobry pomysł, by nie rzucać się w oczy. Na wszystkich uliczkach kłębił się nieustannie tłum spacerowiczów, a gdyby niespodziewanie spadł deszcz, mogli się ukryć w którejś z niezliczonych kafejek lub restauracji bądź wstąpić do jednej ze świątyń. W sumie idealne miejsce pozwalające pogodzić wzorową katolicką randkę z ich małą konspiracją. Bilecki dziwił się sobie, że nie wpadł na to wcześniej. Teraz, obowiązkowo z bukietem białych lilii, czekał pod kolumną Zygmunta, czując się jak jeden z wielu kręcących się tutaj nastolatków, z całą pewnością nie mniej od nich podekscytowany.

Lucyna przyszła znów ubrana z dyskretnym i zarazem olśniewającym smakiem, ale też mocno czymś zatrwożona. Przywitała się zdawkowo, kwiaty przyjęła machinalnie, zupełnie nie zwracając uwagi na wymowę ich gatunku oraz barwy. Bilecki liczył w głębi duszy, że będzie trochę onieśmielona wielkością szacunku, który w ten dyskretny sposób pragnął jej okazać. Tymczasem ona czuła się nieswojo na otwartej przestrzeni placu Zamkowego, i to uczucie zdominowało wszystkie inne.

– Chodźmy stąd! – Bilecki przejął inicjatywę i poprowadził ją w zaułek koło Barbakanu. Przystanęli ukryci w załomie muru. – Co się stało?

– Mieczysław, Edek i Zbyszek wspierali egzorcyzmy, którym poddano tego tajemniczego człowieka! – wyrzuciła z siebie roztrzęsiona nauczycielka. – Wygląda to całkiem tak, jakby ktoś likwidował świadków! Tam się musiało zdarzyć naprawdę coś strasznego!

– Spokojnie... – Ujął ją w ramiona i chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zapomniał języka w gębie.

Lucyna przytuliła się do niego mocno.

– Powiedz mi wszystko po kolei – poprosił, walcząc z odruchem, by jej nie pocałować. W policzek czy w usta...? Psiakrew! O czym ty myślisz człowieku?! Gniewnie przywołał się do porządku.

– Pytałam i sprawdziłam wszystko, tak jak się umówiliśmy – zaczęła opowiadać. – Wiem już na pewno, że wszyscy zamordowani uczestniczyli w tych dziwnych

egzorcyzmach.

– Może nie tylko oni? – Bilecki usilnie starał się myśleć rzeczowo. Pragnienie, by ją tulić i całować tak długo, aż się uspokoi, nie odpuszczało, przeciwnie, z każdą chwilą rosło.

– Była jeszcze siostra Beata. – Potrząsnęła głową. – To znaczy Beata Potocka. Tylko ona jeszcze żyje...

– I ojciec Jan. – Zmitygował ją łagodnie.

– No tak, jeszcze i on... – Lucyna wzdrygnęła się. Bilecki uświadomił sobie, że trzyma w ramionach drżące, delikatne ciało kobiety, i to spostrzeżenie oblało go żarem od głowy do stóp. O Boże, być z nią już... Opanuj się! Opamiętaj! – wrzasnęła na siebie w duchu. Miał ochotę spoliczkować się parę razy, by otrzeźwieć, ale wtedy musiałby ją wypuścić z rąk, a to po prostu było ponad jego siły. Mógł tylko dziwić się sobie, jak bardzo go wzięło... Gdzież się podziała jego latami praktykowana powściągliwość?!

– To naprawdę wygląda dziwnie i strasznie – mówiła zdenerwowana. – Człowiek, którego wtedy uwalniano, został skierowany do ojca Jana z jakąś specjalną rekomendacją. Tylko tyle się dowiedziałam, nic więcej. Nie wiem, kto to, ale wiem na pewno, że nie był to ten aresztowany zabójca...

– Damięcki...

– On nie był tym egzorcyzmowanym – powtórzyła stanowczo.

– Zaraz, zaraz, rozważmy wszystko po kolei. – Bilecki zdołał wreszcie zmobilizować logiczne myślenie. – Może ten anonimowy człowiek nie ma nic wspólnego z naszą sprawą? Przecież to oczywiste, że ojciec Jan mógł przeprowadzić jakieś tajne egzorcyzmy na polecenie swoich zwierzchników. Kościół zwykł działać dyskretnie. Może to był jakiś duchowny, dlatego odstąpiono od zwykłej procedury. Przecież nawet sama Matka Teresa z Kalkuty cierpiała w wyniku dręczenia demonicznego i została poddana egzorcyzmom. Niewykluczone zatem, że do ojca Jana przysłano kogoś cieszącego się opinią osoby o wielkiej pobożności i należało uniknąć zbędnego zamętu sumień wśród wiernych.

– Być może... – ostrożnie zgodziła się Lucyna.

– Po drugie i najważniejsze, aresztowanie mordercy przerwało ciąg zabójstw. Beata Potocka żyje, chociaż zgodnie z twoimi przypuszczeniami powinna być kolejna na liście śmierci.

– Tak... – Rozluźniła się bardziej. – Tylko jaki powód miał Damięcki, by zabijać przyjaciół Beaty? Co on do nich miał?



– Może właśnie to, że byli jej przyjaciółmi? – odparował Bilecki i ucieszył się, widząc błysk ulgi w oczach Lucyny. – Trudno jest normalnym ludziom pojąć logikę mordercy, ale najważniejsze, że został on aresztowany i nikomu już nie zagraża. Przynajmniej fizycznie. Wciąż jednak może zaszkodzić dobremu imieniu ojca Jana i na tym powinniśmy się skupić.

– Nie chciałabym obwiniać ojca Jana, ale to naprawdę dziwne, że nie zauważył on fałszu w zachowaniu tego człowieka.

– Ponieważ sam jest tylko człowiekiem – pouczył ją oschle Bilecki.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Zwątpienie też jest rzeczą ludzką – rzekł z mentorską wyższością i ugryzł się w język, by nie zakończyć tego zdania słowami „pani Lucyno”. Dziwne, jak łatwo było przejść od erotycznej ekscytacji do protekcyjnego tonu... Ech, ten kołowrót uczuć!

– Nasza misja, której się podjęliśmy – przypomniał jej – polega na tym, by ochronić ojca Jana przed wścibstwem wrogich mediów. W tej kwestii, ja ze swej strony, mam same dobre wiadomości, żaden liberalny dziennikarz nie zainteresował się jeszcze tym wątkiem sprawy. A ty może coś takiego zauważyłaś?

– Nie, nic. – Pokręciła głową.

– Zatem sprawy są na dobrej drodze. Nie musimy się dłużej martwić!

Lucyna uniosła twarz i wprost rozpromieniła się na jego oczach, jakby słońce wyjrzało zza chmury. Z wrażenia aż zaparło mu dech.

– Marcinie... – szepnęła – jak to dobrze, że Pan Bóg postawił cię na mojej drodze.

Powinien teraz powiedzieć coś godnego, odwzajemnić się równie wzniosłym wyznaniem. Jednak zanim zdołał znaleźć odpowiednie słowa, jego ręce zareagowały bez udziału świadomości. Jedną mocno przygarnął Lucynę w tali, drugą uchwycił ją za kark.

Nie próbowała się opierać, bez wahania podała mu usta.

Pocałował ją. Tak po prostu, mocno i głęboko. Ona odpowiedziała z równą śmiałością. Namietność spadła na nich jak piorun. Zatopili się w sobie i trwało to długo, znacznie dłużej niż wypadało na tak wczesnym etapie znajomości.

Opamiętali się dopiero, kiedy zabrakło im tchu. Odsunęli się od siebie, Lucyna spieszyła się uroczo, zarumieniła i zasłoniła twarz trzymanym w ręku bukietem lilii. Teraz dopiero dotarło do niej, jakie to kwiaty, co oraz kogo symbolizują, i zarumieniła się aż po koniuszki uszu. Jednak w jej błyszczących oczach nie było

ani krzty wstydu, a tylko sam zachwyt, łobuzerska przekora i oddanie.

Bilecki wiedział w tej chwili jedno – ślub musi być szybko! A poza tym naprawdę w tym momencie czuł się katolickim Jamesem Bondem. Z licencją na pomnażanie...

Mniejsza o to czego. Teraz koniecznie ponad wszystko należało nie zepsuć tej chwili! Nie zachować się jak pacy, tylko zdobyć się na odrobinę prawdziwego geniuszu na miarę sytuacji.

I udało mu się!

– Może pójdziemy na kieliszek czerwonego wina? – zaproponował z niedbałą pewnością siebie.

– Tak, Marcinie. – Wzięła go pod rękę i poszli.

Gdzie? To zupełnie nie miało znaczenia. Nie patrzyli na szyldy ani tabliczki z nazwami staromiejskich uliczek. Patrzyli tylko na siebie. Poblądzili więc trochę jak szczęśliwi lunacy, aż Opatrzność wzięła sprawy w swoje ręce i zaprowadziła ich do odpowiedniej winiarni. Trafili tam na wino Kagor, czerwone słodkie, takie, jakie prawosławni używali do swoich mszy. Bilecki uznał to za znak, że ich randka jest miła Bogu.

Ona bez wahania zaakceptowała ten wybór oraz jego teologiczną interpretację. Stuknęli się kieliszkami, upili kilka pierwszych łyków i znów zaczęli rozmawiać.

– Masz rodzeństwo? – zagadnął. Słowo „pani” jeszcze cisnęło się na usta, musiał walczyć ze sobą, by go nie użyć. Z kolei „Lucyno” brzmiało chyba jeszcze bardziej oficjalnie, ale zwracać się do niej tak bezosobowo to jednak jakoś głupio...

– Trzech starszych braci – odparła, najwyraźniej nie przejmując się konwencją rozmowy.

– To chyba bardzo cię pilnują, prawda?

– Jak byłam nastolatką, rzeczywiście przepłoszyli wielu chłopców, którzy się koło mnie kręcili. W sumie jestem im za to wdzięczna, bo na dobre mi wyszło. Uniknęłam kłopotów, w które wpadło kilka moich koleżanek... – Zawiesiła głos. – Ale kiedy kochani braciszekowie próbowali mnie pilnować tu w Warszawie, uprzejmie im podziękowałam. Powiedziałam, że nie mam zamiaru zostać starą panną.

– Ile dzieci chciałabyś mieć? – Po sekundzie wahania położył dłoń na jej dłoni.

Odpowiedziała mu najpierw gestem. Obróciła nadgarstek, wystawiając wnętrze swojej dłoni na dotyk jego palców. Myśl, że w ten symboliczny sposób ona kładzie się przed nim, przyprowadziła Bileckiego o wypieki.

– Tyle, ile Bóg da – odparła, unosząc rzęsy. – Zawstydzam cię, Marcinie?

– Oszłamiasz mnie. – Znów znalazł właściwe słowa w odpowiednim momencie i podziękował za to w myślach Duchowi Świętemu.

– Szukam męża, ale nie zamierzam niczego niestosownie przyspieszać. Chyba to rozumiesz, prawda?

Ich ręce odsunęły się od siebie.

– Oczywiście, Lucyno. Ja też chciałbym, żeby wszystko między nami układało się w całkowitej zgodzie z nauką Kościoła. – Zabrzmiało to trochę sztywno, ale ona chyba właśnie takiej deklaracji oczekiwała.

– Być może jestem trochę naiwna, jednak zawsze marzyłam, aby moje małżeństwo było czyste i wzniosłe. Co nie znaczy, że mojemu mężowi byłabym skłonna czegokolwiek odmawiać – zastrzegła się szybko i popatrzyła zalotnie. – Pragnę być całkowicie wierna i uległa...

Bilecki przyłapał się na tym, że próbuje pić z pustego kieliszka.

– Weźmiemy jeszcze drugą kolejkę? – zaproponował.

– *Ja się mogę wstępnie upić...* – zacytowała z uśmiechem stary przebój.

Po drugim winie wszelkie sztywności pomiędzy nimi definitywnie zniknęły. Potem znów poszli na spacer, ale tym razem trzymając się za ręce. Zanim wyszli z winiarni, podczas płacenia rachunku Bilecki dodatkowo rozmienił pięćdziesiąt złotych, przełożył wszystkie drobniaki do zewnętrznej kieszeni płaszcza i teraz zadawał szyku przy pannie, rzucając monety napotkanym grajkom, kataryniarzom, żywym figurom oraz potrzebującym, przycupniętym na schodach kościołów. Nawet, wbrew swoim stanowczym zasadom, by nie wspierać żebraczych szajek, udzielił jałmużny jakimś umorusanym rumuńskim cyganiętom, które się im napatoczyły, po czym zaraz dla zatarcia niemiłego wrażenia kupił Lucynie latający balonik z helem i z prawdziwą przyjemnością słuchał jej śmiechu.

Następnie firmowym długopisem, który szczęśliwie napatoczył się Bileckiemu podczas grzebania w kieszeni, napisali na baloniku krótką, ułożoną wspólnie modlitwę dziękczynną za dzisiejsze spotkanie. Ciesząc się jak dzieci, wysłali go prosto do nieba i poszli na obiad.

Na początek – jakże by inaczej! – zamówili papieski krem z borowików. Tu Lucyna nie omieszkła się pochwalić, że Ojcu Świętemu i mężowi umiałyby zrobić lepszy i że zawsze chętnie uczyła się tradycyjnego gotowania od obu babci. Bilecki ze swej strony opowiedział o swoich planach awansu zawodowego. Z początku starał się nie przesadzić, ale w końcu się wygadał, że najbardziej chciałby pracować

w „L'Osservatore Romano", najpierw rzecz jasna w redakcji edycji polskiej, ale potem postaraliby się o przeniesienie do centrali, i w związku z tym już od paru lat brał lekcje języka włoskiego, a prywatnie wieczorami w domu poduczył się również trochę łaciny.

– W Rzymie mogłabym mieszkać – odpowiedziała z powagą.

Bilecki poczuł, że jego akcje wzrosły.

Rozochocony sukcesem w następnej chwili chciał opowiedzieć jej o drugim średniowieczu, ale wystraszył się, że może wyjść na dziwaka. Może lepiej najpierw wysondować jej poglądy? Zagadnął więc o feminizm.

– Nie czuję się przez te panie reprezentowana! – oznajmiła stanowczo i zgodnie z jego oczekiwaniami, po czym z zapalem rozwinęła wątek: – Uważam, że ich wrogość do mężczyzn obraca się przeciwko nim samym i w ogóle nam wszystkim. Pamiętam, jacy byli nastoletni chłopcy, kiedy sama chodziłam do szkoły, i jako nauczycielka widzę, jacy są teraz. Zmiany modelu wychowania poszły naprawdę w złą stronę. Na przykład prawie już nie widuje się ryzykantów łażących po drzewach. Ty Marcinie wspinałeś się na drzewa, prawda?

– Owszem... – potwierdził bezzwłocznie i zrobił pospieszny rachunek sumienia, czy przypadkiem nie skłamał. Chyba nie... Choć żadnego konkretnego nie umiał sobie w tej chwili przypomnieć. Złożył to na karb magnetycznego blasku oczu Lucyny, która perorowała dalej z charyzmatycznym przekonaniem.

– Dorastający chłopcy zawsze wykazywali się pewną zuchwałością, tak powinno być, ale teraz oni okazują ją w całkiem innych sytuacjach, przeważnie słabszym od siebie. Interesuje ich tylko tania odwaga, odwaga z promocji... – Uśmiechnęła się kwaśno. – Oni wszyscy są słabi. To się przejawia albo poprzez potulność, albo atakowanie innych, pod warunkiem że ujdzie płazem. Stąd jest choćby tyle anonimowych złośliwości w Internecie, powiedzieć tego samego w oczy by się nie odważyli. Boją się, są naprawdę słabi. Szczerze mówiąc, panie Marcinie, to właśnie moje szkolne doświadczenia sprawiły, że podjęłam mocne postanowienie, że mój mąż musi być mężczyzną silnym duchem. Bardzo współczuję moim aktualnym uczennicom, kiedy w przyszłości będą musiały wybierać mężów spośród swoich dzisiejszych kolegów.

– Chłopcy dorastają i męźnieją z wiekiem – rzekł z przekonaniem Bilecki.

– Oby. Bardzo bym chciała, aby Bóg to sprawił. Obawiam się jednak, że jesteśmy z woli Opatrzności skazani na odrobienie tej smutnej lekcji do samego gorzkiego końca. Panie feministki muszą na własnej skórze przekonać się, do czego prowadzi

zwalnianiu mężczyzn od wszelkiej odpowiedzialności. Kiedy zostaną samotne, porzucone i zrozpaczone, oczywiście nie życzą im tego, rozumieją, jak bardzo zbłądziły, naruszając ustanowiony przez Stwórcę podział ról męskich i kobiecych, robiąc z mężczyzn ciepłe kluchy, na których zupełnie nie można polegać.

– Zwolenniczką gender, jak widzę, nie jesteś. – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie ma w tym nic śmiesznego! – Lucyna zaperzyła się nie na żarty. – A o tym całym gender w ogóle nie zamierzam dyskutować. Przyjmuję z pełnym zaufaniem naukę pasterzy naszego Kościoła.

– Oczywiście, ja też – potwierdził szybko Bilecki.

– Chłopiec powinien być urwisem. – Wróciła do poprzedniego tematu. – I zarazem mieć surowego ojca, który postawi stanowcze granice jego wybrykom, oraz czułą matkę, która go potem pocieszy, a czasem miłosiernie obroni przed zasłużoną karą. Tak było dobrze i tak powinno być! Nie wątpię, że kiedyś znów będzie, ale teraz pewnie czeka nas smutna lekcja pokory. Starzenie się naszego społeczeństwa jest pierwszym znakiem. Kto zatroszczy się o dziewięćdziesięcioletnie panie feministki, jeśli nie będą miały własnej rodziny, nie wychowają odpowiedzialnych synów i córek? W końcu będą musiały przejrzeć na oczy!

– Wiesz, ja jestem podobnego zdania. – Bilecki uznał, że teraz już może wsiąść na swojego ulubionego konika i opowiedzieć jej o nadchodzącym, a właściwie już ziszczającym się drugim średniowieczu.

– Więc nie żaden New Age, tylko nowa błogosławiona epoka wiary! – Ucieszyła się szczerze. – Jak to dobrze! Ale wiesz co... – Popatrzyła krytycznie na pieczoną kaczkę z jabłkami, którą im właśnie podano. Skosztowała, marszcząc brwi. – Ja bym ją też przyrządziła dla ciebie znacznie lepiej.

– Nie mogę się doczekać – zapewnił całkiem szczerze.

Właściwie przed końcem drugiego dania mieli już uzgodnione wszelkie podstawowe kwestie dotyczące ich przyszłego małżeństwa, chociaż samo to słowo nie padło. Czas deklaracji jednak wyraźnie się zbliżał. Lucyna już chyba oczekiwała oświadczyn. Znać było to choćby po tym, że bardzo starannie kończyła wszelkie wypowiedzi, których rozwinięcie mogłoby doprowadzić do sformułowania takiego wniosku bądź aluzji. Dawła do zrozumienia, że to męska inicjatywa. Bilecki też czuł, że nie powinien zwlekać. Namietność, która objawiła się w tamtej chwili pod Barbakanem, bynajmniej nigdzie sobie nie poszła, wciąż iskrzyło pomiędzy nimi. Chociaż na oświadczyni było jeszcze zbyt wcześnie, to w zamian właśnie zaczynał się zmierzch, czyli nadchodziła dobra pora, by znów znaleźć jakiś spokojny i uroczy

zakątek i tam całować się z Lucyną aż do utraty tchu...

Z myślą o poszukaniu odpowiedniego w tym celu miejsca Bilecki zaproponował, aby na deser poszli do jakiejś kawiarni. Lucyna zgodziła się bez głupiego krygowania, że ciastka szkodzą na linię, i paplania o dietach, co też mu się w niej bardzo podobało.

A jednak właśnie wtedy miły nastrój, którym cieszyli się od paru godzin, uległ niespodziewanemu zakłóceniu.

Lucyna nagle odłożyła łyżeczkę i zapatrzyła się w okno.

– Ten człowiek nam się przyglądał! – oświadczyła zdenerwowana.

– Kto? – Bilecki pochylił się nad stołem i spojrzał tam, gdzie pokazywała.

– Już sobie poszedł – odparła. – Odwrócił się i natychmiast odszedł, kiedy tylko zwróciłam na niego uwagę.

– Jesteś piękna – oświadczył z przekonaniem. – Nic dziwnego, że mężczyźni się za tobą oglądają.

– Wydawało mi się, że widziałam go dziś już wcześniej... – Skwitowała komplement uśmiechem, ale głos jej zadrżał.

– Bardzo możliwe – odparł beztrosko Bilecki. – Starówka jest przecież mała i, spacerując po niej, łatwo natknąć się po kilka razy na te same osoby.

– Pewnie masz rację... – Ujęła jego dłoń.

Od tej chwili redaktor Marcin Bilecki myślał już tylko o tym, aby jak najszybciej scałować z jej ust drobinki czekolady i bitej śmietany.

Adam Pochrzęst  
artysta performer, pracownia rzeźbiarska

Głosił napis na tabliczce przy dzwonku do drzwi w modernistycznej kamienicy na Starej Ochocie.

Louvain, Halina i Rafalski przyjechali tutaj z marszu zaraz po przesłuchaniu doktora Grabki. Zamierzali rutynowo sprawdzić jego doniesienie i mieć to jak najszybciej z głowy. Komisarz przeczuwał, że ten trop nie przybliży ich do wykrycia brakującego sprawcy dwóch morderstw, ale zawiadomienie złożone przez młodego lekarza wyglądało tak poważnie i wiązało się z ich śledztwem na tyle mocno, że musieli to zweryfikować i mieć dupochron na wszelki wypadek. Inaczej, gdyby ten sfiksowany artysta przypadkiem zrobił teraz komuś krzywdę, policja byłaby oczywiście wszystkiemu winna. Ochrzan od naczałstwa to jeszcze pół biedy, gorzej, że straciliby potem mnóstwo czasu, bo trzeba byłoby wówczas ten wątek drobiazgowo prześwietlić i naprodukować całą górę podkładek. Z pięć razy więcej niż teraz, odfajkowując sprawę z marszu. Przy odrobinie szczęścia wystarczy jeden raport, a może nawet notatka służbowa.

Komisarz właściwie był tu zbędny. Pojechał przede wszystkim po to, żeby dopilnować, by Halina i Rafalski, pozostawieni sam na sam, w młodzieńczej nadgorliwości nie poczęli zbyt wielu formularzy urzędowych do wypełnienia. Mieli więc tylko wejść, zapytać figuranta o zdrowie, życzyć mu go więcej i pa! W praktyce zaś zobaczyć, czy gość przypadkiem nie trzyma akurat w rękach zakrwawionej siekiery. Do oceny stanu psychicznego policja powołana nie była, a w miarę spokojny facet, choćby i ze zdrewniałymi oczami schizofrenika, nie dawał żadnych podstaw do zatrzymania. Grunt, że władza była, ślepiami po kątach zaświeciła, sygnał od zaniepokojonego obywatela sprawdziła i papier z tej czynności pozostał, amen!

Tak więc, chociaż Louvain pojechał do Pochrzęsta, uznał, że ruszanie tyłka z samochodu to będzie już zbyt techny nadmiar aktywności śledczej z jego strony.

Koniec końców był panem w średnim wieku, a kondycję ćwiczył głównie na biskupich homiliach, recenzujących szczegółowo stan państwa i politykę rządu. Komisarz skonfigurował sobie z Rafalskim telefon komórkowy na opcję „naciśnij i mów”, po czym pozostał na nasłuchu.

Halina zadzwoniła do drzwi, raz, drugi, po czym dodatkowo zapukała.

– Panie Adamie! – zawołała.

– Sprawdź klamkę – poradził jej Rafalski.

Mieszkanie było otwarte.

Louvain usłyszał skrzyp zawiasów i kroki na podłodze.

– Ciemno tutaj... – rozległ się głos Haliny.

– Nie ma żarówki – zauważył Rafalski. – Co za cholerna rupieciarnia!

– Nieład artystyczny – odpowiedziała mu pani aspirant ze śmiechem. – To wszystko są dzieła sztuki, nie znasz się!

Rozległ się odgłos kolejnych otwieranych drzwi.

– Co tak śmierdzi?!

Halina zakrzuszyła się i parsknęła.

– Co widzicie? – zaniepokoił się Louvain.

– Rzębę z padliny – zakomunikował ponuro Rafalski. – Kocie i psie truchła na wieszaku do ubrań... Chryste, co za pojeb!

– Zaraz się porzygam – dodała Halina zduszonym głosem. – Zamknij to! Prędeż!

Louvain usłyszał trzaśnięcie drzwiami, pełne ulgi westchnienie Haliny i niecenzuralną opinię podkomisarza na temat sztuki współczesnej.

Potem znów rozległy się kroki dwójga policjantów. Rafalski powiadomił, że wchodzi do kolejnego pokoju. Chyba chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu przeciągły, furczący dźwięk, którego komisarz nie zidentyfikował. Zapytać zaś, co to takiego, nie zdążył.

– Policja!!! – wrzasnął Rafalski rozedrganym z emocji głosem.

Dało się usłyszeć tępy, szybki, podwójny łomot, przejmujący jęk Haliny oraz łoskot telefonu komórkowego uderzającego o coś z dużą siłą.

I cisza.

Louvain nie tracił czasu na bezsensowne wywoływanie partnera. Bez zwłoki wyskoczył z samochodu. Jak na złość potknął się o krawężnik i omal nie przewrócił jak długi.

Szlag by to – pomyślał, łapiąc równowagę. Za stary już jestem na komandosa...



Pobiegł do bramy, z irytacją uświadamiając sobie, że nie ma żadnej broni. Służbowy pistolet został w biurze, gaz pieprzowy w domu, pałki nigdy nie używał. Za to rozpięty płaszcz załopotał na nim malowniczo.

Pieprzony porucznik Columbo... Louvain podsumował się sarkastycznie, biegnąc po schodach. Było to wysokie przedwojenne budownictwo, więc komisarz zdołał dostać zadyszki, zanim dotarł na czwarte piętro, gdzie znajdowały się pracownia i mieszkanie Pochrzęsta. Do kompletu emocji doszła jeszcze złość na siebie z powodu zlekceważenia przeciwnika.

Drzwi do mieszkania szalonego performerera były uchylone. Louvain nie wszedł tam w ciemno, tylko najpierw kopniakiem otworzył je szerzej, aby wpuścić do przedpokoju więcej światła. Na szczęście kopnął niezbyt mocno, bo pchniętymi drzwiami oberwała Halina, gramoląca się na czworakach tuż za progiem.

Po skroni i policzku pani aspirant ściekała strużka krwi. Drzwi uderzyły ją akurat w rękę, na której była oparta. Poleciała jak dzięcioł, nosem w podłogę, ale Louvain tym razem wykazał się refleksem, w porę chwycił ją pod pachę, przytrzymał, po czym energicznie wywlókł na klatkę schodową.

– Co z tobą?! – Darował sobie przeprosiny.

– Dostałam czymś po głowie... – Dochodziła już do siebie. – Zamroczyło mnie...

– A Rafalski?

– Nie wiem. – Zaczęła wstawać, opierając się plecami o ścianę. Pomógł jej.

– Dasz radę zejść sama do samochodu i wezwać wsparcie?

– Dam... – Wyprostowała się, odetchnęła głębiej. – Już mi lepiej. Naprawdę.

Louvain zapatrzył się w głąb otwartego mieszkania, nasłuchując odgłosów. Nic. Wyglądało na to, że Rafalski został skutecznie wyeliminowany z dalszej akcji. Komisarz zaklął pod nosem.

– Chcesz tam wejść? – odezwała się Halina. – Masz, weź... – Podała mu swój taser.

To było już coś, ale zważywszy na okoliczności, bardziej przydałby się tutaj solidny kij bejsbolowy, a jeszcze lepiej tarcza i hełm. Louvain podziękował koleżance skinieniem głowy, przeżegnał się szybko, po czym ostrożnie wszedł do środka.

Przedpokój w całej jego objętości zagracały jakieś rumple-dziwolągi – elementy mebli, rowerów, motocykli i chyba nawet, a może przede wszystkim, maszyn rolniczych... Na pierwszy rzut oka sklecone to to było kompletnie bez sensu, składu i ładu, słowem, mogło być tylko popieprzoną rzeźbą współczesną, wyrażającą

zszargany stan umysłu autora. Jednak drugie, uważniejsze spojrzenie sprawiało, że gula rosła w gardle, ponieważ łańcuchy napędowe były naoliwione, tryby zazębiały się wzajemnie, a ramy trzymające to wszystko w kupie wyglądały na bardzo solidnie poskręcane. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie jest to tak zwana rzeźba kinetyczna i gdzieś na końcu tego całego ustrojstwa nie kryje się gotowy do włączenia silnik...

Komisarz widział już kiedyś na YouTube coś podobnego – maszynę do wiązania krawata. Od tej pory myślał o rzeźbach kinetycznych oraz ich twórcach z niekłamanym podziwem. Trzeba było naprawdę mieć niemało w głowie, żeby zmajstrować taki mechanizm. Tym razem jednak Louvain uświadomił sobie, że analogiczny kombajn skonstruowany przez wariata może przejawiać znacznie bardziej malownicze i nieobliczalne funkcje wobec człowieka tkwiącego akurat w jego szczękach. Zapewne przedzieranie się pomiędzy tymi wszystkimi prętami, kołami oraz wiatrakami stanowiło akt sztuki i czyniło z gości artysty podmioty albo przedmioty czegoś tam. Żadnym lirycznym denatem bądź czymś w tym guście komisarz Louvain zostawać nie zamierzał, ale szanse na to wyraźnie rosły!

Instalacja gęstniała z każdym metrem, tak że korytarza biegnącego od drzwi wejściowych nie dało się przejść do końca, chyba że krył się w tym wszystkim jakiś system, coś na kształt ruchomego labiryntu. Lepiej było tego nie sprawdzać osobiście.

Na szczęście jakieś dziesięć kroków po prawej znajdował się pokój bez drzwi. Louvain wszedł tam czym prędzej, z niekłamaną ulgą wydostając się z objęć artystycznej instalacji. Natychmiast jego uwagę zwróciła mrugająca wyświetlaczem leżąca na podłodze komórka Rafalskiego. Parę sekund później komisarz zobaczył siedzącego pod ścianą partnera.

Podkomisarz, krzywiąc się z bólu, trzymał się za lewe ramię. Przed nim, między nogami, leżał odbezpieczony pistolet.

– W porządku? – zagadnął Louvain, rozglądając się za sprawcą.

– Nie bardzo... – syknął Rafalski. – Ten skurwiel chyba złamał mi rękę...

– Jak?

Rafalski bez słowa szturchnął piętą jakiś przedmiot leżący przed nim na podłodze. Louvain musiał się dobrze przyjrzeć, aby w głębokim półmroku, pośród wielu innych rupieci, dostrzec dwie kamienne kule połączone sznurem.

– Bolas? – stwierdził ze zdziwieniem komisarz.

– Artysta... – cedził przez zęby Rafalski. – Pewnie pamiątka z wojaży... po

krajach Ameryki Południowej... pieprzony drugi Cejrowski... dla odmiany performer...

– Którędy zwał? – Louvain przerwał mu ten monolog.

– Tam. – Podkomisarz spojrział na drzwi przed sobą. – Stamtąd w nas rzucił, a potem się zamknął. Nie goniłem go, bo z bólu aż mnie zemdliło. Halina dostała drugim końcem, co z nią?

– Lepiej – odparł lakonicznie Louvain. – A gdzie jest ta śmierząca rzeźba?

– W pokoju po drugiej stronie korytarza... ale nie chcesz jej widzieć, zapewniam. Ten popapraniec zbierał po ulicach rozjechane psy, koty, jeże... Dobrze, że teraz nie ma much... ale sanepid będzie miał tu kupę roboty...

– Dasz radę wstać i pójść ze mną? – Louvain darował sobie komentarz.

– Tak, tylko zrób mi jakiś temblak... – syknął podkomisarz.

Louvain znalazł w kieszeni agrafkę, po czym podwinął połę marynarki partnera i, umieściwszy w niej kontuzjowane ramię, przypiął jej skraj do kołnierza.

– Powinno na razie wytrzymać – ocenił krytycznie swoje dzieło.

– Dzięki... – Rafalski zdrową ręką podniósł pistolet i wstał o własnych siłach. Widać było jednak, że jest mocno blady i kontynuowanie akcji kosztuje go dużo wysiłku, ale się trzymał, i to najważniejsze.

Drzwi pokoju, w którym ukrył się napastnik, były zamknięte. Komisarz wyłamał zamek kopniakiem, po czym obaj policjanci, osłaniając się wzajemnie, weszli do środka.

Znaleźli się w miejscu wyglądającym zupełnie jak plan filmu „Łowca robotów”. Całe mroczne atelier było pełne manekinów poubieranych w przedziwne stroje. Innego wyjścia stąd nie było, a zatem któraś z tych stojących, siedzących, leżących lub kłęczących figur to był pan artysta Pochrzęst we własnej osobie. Niedostatek światła skutecznie utrudniał prawidłowe rozpoznanie.

Louvain miał już serdecznie dość nastrojowych klimatów rodem z Hollywood. Pomacał dłonią po ścianie, szukając włącznika światła. Trafił palcami na dziurę z gołymi kablami pod napięciem. Zanim się spostrzegł, kopnęło go tak, że aż mu świece w oczach stanęły.

– Ożeż kurwa w dupę mać! – Upuścił taser i energicznie rozmasowywał dłoń zdrętwiałą od porażenia prądem.

– To jakaś nowa modlitwa postsoborowa...? – Rafalski zdobył się na dowcip eklezjalny. Niefart partnera najwyraźniej poprawił mu samopoczucie.

– Pierdol się, pampersie! – Louvain wkurwił się nie na żarty.

– Może ja strzelę w sufit, a ty patrz, która kukła się poruszy? – obsobaczony podkomisarz zdobył się na bardziej konstruktywną propozycję.

– Nie, to za stare budownictwo. – Louvain go powstrzymał. – Bóg wie z czego tu zrobiono stropy. Jeśli z drewna, kula przeleci do sąsiadów z góry, a wtedy Witecki zgrilluje cię żywcem. Nawet jeśli nikogo przypadkiem nie trafisz...

– To co robimy?! – syknął Rafalski. – Czekamy, aż ten palant znów wystartuje do nas z jakimś egzotycznym gadżetem bojowym?

– Odstrzel mu dupę, jak wyskoczy za mną! – Louvain stracił cierpliwość i ruszył prosto do okna szczelnie przysłoniętego ciężką kotarą. Bez ceregieli zerwał ją razem z karniszem.

Pojaśniało nareszcie!

Żaden z manekinów ich nie zaatakował, ani nawet nie mrugnął. Wszystkie nadal tkwiły na swoich miejscach. Poprawa oświetlenia jednak niewiele im dała, teraz bowiem okazało się, że większość z tych kukieł to rzeźby hiperrealistyczne, czyli takie specjalnie nie do odróżnienia od prawdziwego człowieka. Ponadto wszystkie miały niemal identyczne twarze, bez wątpienia samego Adama Pochręsta. Różniły się od siebie makijażami, grymasami, wyrażającymi najróżniejsze stany emocji, a co ciekawe, także i płcią – niektóre miały rysy kobiece, albo jakby gejowskie, jeszcze inne zaś były niepokojąco androgyniczne. Te ostatnie rzeźby wykonano z największą starannością.

– Facet miał niezły talent, zanim mu odwaliło – stwierdził Louvain z uznaniem.

– Coś w tym faktycznie jest... – przyznał niechętnie Rafalski.

Żeby sprawdzić, która z tych postaci jest żywym człowiekiem, musieli każdą z nich po kolei dotknąć. Policzki miały zrobione z elastycznego tworzywa o fakturze zbliżonej do ludzkiego ciała, więc autosugestia robiła swoje – wszystkie wydawały się ciepłe, a przynajmniej nie dość jednoznacznie chłodne. Dla pewności trzeba było im macać szyje, starając się wyczuć palcami tętno. Obaj policjanci zabrali się do tego z zachowaniem tak dużej ostrożności, że zanim uporali się z połową tej galerii, przyjechało wezwane przez Halinę wsparcie.

Pokój oraz całe mieszkanie zaroilo się od antyterrorystów w kominiarkach. Jakoś przewrotnie tu pasowali, zwłaszcza szamocząc się z tym kinetycznym kombajnem w przedpokoju. Teraz jednak poszukiwania gospodarza poszły szybko.

Pochręsta wymacali jakąś minutę później. Ubrany w biało-czarny, koronkowy strój, przywodzący na myśl renesansowego klauna, artysta nie zareagował na dotyk,

ani nawet na mocniejsze poklepywanie po nieogolonej twarzy. Kiedy antyterrorysty zaczęli go rutynowo obezwładniać, zachowywał się, jakby cały był z plasteliny. Biednie poddawał się ich chwytom i naciskom, samemu nie poruszając się ani trochę.

Wezwany na miejsce lekarz stwierdził zaawansowaną katalepsję bądź stupor. Dokładniejsza diagnoza wymagała obserwacji w szpitalu psychiatrycznym na ulicy Sobieskiego, do którego Pochręsta niezwłocznie zabrano. Już teraz jednak wyglądało na to, że pan artysta po ataku na parę policjantów uciekł w głąb siebie, zatraskując za sobą wszystkie drzwi. O jakimkolwiek przesłuchaniu i wyjaśnieniach można było zapomnieć. Kiedy w końcu dojdzie do siebie, najprawdopodobniej nie będzie niczego pamiętać.

Do rannych policjantów trzeba było wezwać drugą karetkę. Rafalski miał paskudnie stłuczony lewy staw ramieniowy i zapewne pęknięty obojczyk. Bez wizyty na ostrym dyżurze ortopedycznym nie mogło się tutaj obyć. Halina postanowiła jechać razem z nim. Sama wykpiła się tylko guzem i nieznacznie rozciętą skórą na skroni, dwie wilgotne chusteczki higieniczne wystarczyły jej, by doprowadzić się do porządku, ale ratownik medyczny się uparł, że trzeba koniecznie prześwietlić głowę, zobaczyć, czy nie ma pęknięcia czaszki, i jeszcze dodatkowo zrobić konsultacje neurologiczne na okoliczność wstrząśnienia mózgu. Nie było sensu się sprzeciwiać.

Po opatrzeniu i badaniach oboje kolejno zadzwonili do Louvaina, zapewniając, że nie chcą słyszeć o żadnym urlopie zdrowotnym i że jutro normalnie stawią się do pracy, choć Rafalski zakończył akcję z ręką na temblaku plus usztywniającym cały bark panczerem z poliuretanu i włókien szklanych, zastępujących tradycyjny gips. Podkomisarz dowcipkował, że wygląda w tym jak zbuntowany robot, więc na pewno dostał też zdrowo ryjący mózg środek przeciwbólowy. Ciekawe, jak będzie czuł się jutro...

W sumie bardzo miło i lojalnie z ich strony, ale na razie komisarz został sam z całym tym artystycznym paszтетem, który gwałtownie tracił na świeżości.

Po przesłuchaniu sąsiadów i znajomych okazało się, że Adam Pochręst już od jakiegoś czasu atakował wszystkich wchodzących do niego ludzi. Specjalnie zostawiał otwarte, a nawet uchylone drzwi, by kogoś zwabić. Z początku wyglądało to na artystyczne wygłupy, więc nie było sprawy. Sąsiedzi szybko oduczyli się nadmiernej dociekliwości i nikt nie zauważył rosnącej agresji tych happeningów. Numer z rzucaniem bolasów Pochręst zrobił nie pierwszy raz. Specjalnie poskracał sznury, żeby dało się tym kręcić w domu. Zaczynał od rzucania w nogi gości, „bo

sztuka musi powalać", później mierzył coraz wyżej, podobno komuś odbił nerkę. W przypadku Haliny i Rafalskiego już ewidentnie celował, by zabić, i spanikował, usłyszawszy, z kim ma do czynienia.

Maszynaria w przedpokoju, zdaniem wezwanych mechaników, znajdowała się w stanie bliskim uruchomienia i mogła zrobić proszonym bądź nieproszonym gościom naprawdę dużą krzywdę. Dość rzec, że napędzać to wszystko miały dwa silniki od pił spalinowych. Nic nie wskazywało, aby eskalująca choroba psychiczna upośledziła geniusz konstruktorski artysty. Szczególny podziw ekspertów wzbudziła trzymetrowa klatka, będąca w istocie mechanizmem różnicowym, zrobionym z bębna roboczego kombajnu „Bizon”. Mówiąc po ludzku, gwarantowało to, że pierwszy człowiek złapany w tryby tej instalacji nie spowoduje jej zablokowania i wszystko będzie sprawnie kręcić się dalej... Słowem, doktorowi Grabce zdecydowanie należało pogratulować lekarskiej intuicji!

Za parę dni, najdalej tygodni, sprawy mogłyby przybrać znacznie gorszy obrót, więc zespół śledczy komisarza Louvaina zarobił na oficjalną pochwałę. Teoretycznie, ponieważ bohaterskie guzy i siniaki zebrane przez panią aspirant oraz podkomisarza niewiele wniosły do ich właściwej sprawy. Jedyne, co udało się ustalić w związku z głównym śledztwem, to ujawnione podczas dokładniejszego przeszukania mieszkania skierowanie do egzorcysty, podpisane przez profesora Kępskiego. Wisiało sobie ono na honorowym miejscu, nad barłogiem Adama Pochrzęsta, oprawione w ramki z zasuszonych źmij. Zaraz obok znajdował się równie finezyjnie oprawiony, dla odmiany w naszpikowane zwierzęcymi zębami ludzkie kości udowe, dyplom ukończenia warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, rocznik 2010. Wyglądało na to, że kwit od Kępskiego został potraktowany jak świadectwo zaliczenia kolejnego fakultetu. Prace nad wcieleniem w życie nowych artystycznych kwalifikacji były w toku...

Mało brakowało, żeby skierowanie do egzorcysty zobaczył wścibski dziennikarski stażysta z pewnego tygodnika, którego redakcja znajdowała się dosłownie za rogiem. Bystry i ambity młody człowiek najpierw przeniknął przez zewnętrzne zabezpieczenie terenu, podając się za mieszkańca tej kamienicy, a potem skołował mundurowego przed drzwiami, przechodząc koło niego z fachową miną oraz walizką technika kryminalnego, którą podwędził piętro niżej. Kiedy zaś dostał się już do środka, mógł węszyć wszędzie bez niczyich zbędnych pytań.

Zignorował go także sam Louvain, i mało brakowało, aby cwaniak przeczytał mu przez ramię skierowanie zdjęte przed chwilą ze ściany. Na komisarza szczęście akurat

zrobiło się zamieszanie w związku z instalacją z martwych zwierzątek. Pismaczy pomiot pobiegł więc właśnie tam, porzygał się jak kot, i dopiero okazawszy tę nieprofesjonalną słabość, został wylegitymowany i zdemaskowany.

Nie minął jednak kwadrans, jak bezczelnemu stażyście pospieszyli z odsieczą starsi i bardziej doświadczeni koledzy. Tak, oczywiście rozumieci, że młody człowiek przekroczył pewne granice, utrudniał śledztwo i mógł być za to nawet zatrzymany, no, ale bądźmy ludźmi, może jakoś się dogadamy...? Po czym poszły w ruch wszystkie możliwe plecy, układy, kontakty, znajomości oraz zaległe dżentelmeńskie przysługi.

W efekcie po kolejnym kwadransie Louvain dostał pierwszy telefon z góry z poleceniem zdania ustnego raportu. Zrobił to ogarnięty złym przeczuciem, że sprawa zaczyna wymykać mu się spod kontroli. Niestety, nie pomylił się. Wiadomości rozchodziły się coraz szybciej i dalej, docierając tam, gdzie komisarz najmniej by sobie tego życzył.

Dwie godziny po pierwszym telefonie nastąpił drugi, z jeszcze wyższej służbowej półki. Też bynajmniej nie z pochwałą za ofiarność i odwagę okazane w działaniach ku chwale. Louvain został bez żadnych ceregieli postawiony na bacność, po czym otrzymał rozkaz natychmiastowego złożenia skierowania od Kępskiego w zalakowanej kopercie do depozytu dowodów rzeczowych i zakaz puszczenia pary z gęby pismakom na ten temat. Gdyby sami coś zwęszyli, odsyłać od razu do rzecznika prasowego Komendy Głównej.

– Tak jest! – odpowiedział Louvain, przezornie nie próbując żadnej dyskusji na ten temat.

– Szczęść Boże! – usłyszał wygłoszone po drugiej stronie, całkiem serio.

Na tym rozmowa się skończyła.

Louvain schował komórkę i został z dylematem: upić się czy pomodlić?

Jakby się kto pytał, komisarz modlił się zawsze szczerze. Dlatego że modlitwa po prostu działała. Uspokajała, zmniejszała strach, obrzydzenie i pozwalała wziąć się w garść, kiedy było trzeba, znacznie szybciej niż laicka procedura ZOZ: zapicie-odespanie-zaklinowanie. Owszem, były też niebagatelne korzyści natury wizerunkowej, przydatne zwłaszcza w dzisiejszych czasach, ale to był jednak drugi plan. Louvain nie liczył, że „omodlony” Bóg, Matka Boska czy inny święty załatwią za niego jakąkolwiek robotę. Nie był naiwniakiem. Modlitwa robiła mu dobrze na nerwy, i to wystarczało. Kiedy temat zaczynał drażnić ktoś na tyle bliski, że nie wypadało go odesłać do diabła ani uprzejmie zbyć, Louvain powoływał się na postać

snajpera z filmu „Szeregowiec Ryan”, że niby on tak jak tamten modlił się, żeby pewnie zabić, czyli dorwać jakiegoś oprycha. To wytłumaczenie kupowali wszyscy, Spielbergowi niech będą dzięki!

Jak było naprawdę, wiedział tylko Louvain oraz Bóg, jeśli był. Poza tym nikt, nawet spowiednicy komisarza, ale ci nie musieli, bo to w końcu nie grzech. Dobrze domyślił się tego jeszcze redaktor Bilecki, ale on nie miał szansy potwierdzenia swoich przypuszczeń. Z kolei komisarz nie wiedział, że tamten coś wie, a więc akt nawiązania relacji poznawczej nie zaistniał. Inteligibilność pozostała w możności. I tyle metafizyki w tej sprawie.

Pomysł na modlitwę przy robocie faktycznie wziął się od śmierci księdza Popiełuszki, a dokładniej od dnia, w którym wyłowiono zwłoki. Kiedy się okazało, że ci durnie z wydziału IV przysporzyli Kościołowi nowego męczennika, porucznik SB, Krzysztof Louvain, miał akurat służbę obserwacyjną w jednym z warszawskich kościołów, w których panowała atmosfera wrogiego ideologicznego wrzenia, więc trzeba było mieć oko na nastroje. I robić to, co wszyscy wokół, czyli głośno się modlić i śpiewać. W głębi duszy Louvain najpierw się wkurzył, bo głupota resortu była doprawdy niezemska zarówno na poziomie technicznym (wypuścili żywego świadka!), jak i strategicznym (brak jakichkolwiek korzyści politycznych), a zaraz potem porwał go amok zbiorowego uniesienia, coś jakby trans na koncercie rockowym. Jednak tamtego nastroju – tego przeogromnego płaczu, a jednocześnie godności i dumy, po czym nagle porażającego wrażenia wyłaniania się Czegoś, zbliżania..., słowem, tej bliskości Absolutu nijak nie dało się porównać z niczym wcześniej ani później. Louvain nawet nie spostrzegł, kiedy coś w nim pękło. W pewnej chwili stwierdził, że modli się serio, i dobrze mu z tym. Powinien czuć się jak świnia, w końcu robił tam za kapusia, ale najwyraźniej zostało mu odpuszczone. No i tak to się zaczęło. Potem, dziwiąc się sobie, wchodził w tę sferę emocji coraz głębiej. Prawdę mówiąc, jeszcze do tej pory nie przestał się sobie dziwić, chociaż zmienił się ustrój i nie musiał się już kryć ze swoją skłonnością do praktyk religijnych, a nawet opłacało się ją eksponować. Zrazu nieznacznie, potem coraz bardziej ostentacyjnie...

Z drugiej jednak strony, żadna modlitwa nie była w stanie załatwić natychmiastowego zgłuszenia i resetu mózgu, czego domagał się sponiewierany system nerwowy, postawiony w sytuacji przechodzącej ludzkie pojęcie, czyli właśnie takiej, do której doszło w mieszkaniu artysty Pochrzęsta po złożeniu wszystkich kolejnych zaistniałych tam przypadków w jedną piramidę paranoi,



z telefonem od zdewociałego nadinspektora policji w charakterze wisienki na szczycie. Tylko pół litra w szybkim wlewie!

Ostatecznie jednak nic nie wyszło ani z jednego, ani z drugiego. Za dużo było roboty. Czynności służbowe w mieszkaniu artysty skończyły się o czwartej nad ranem i pozostało się tylko cieszyć, że poturbowany Rafalski i Halina nie byli w stanie stawić się w robocie wcześniej niż o dziesiątej.

## ŚWIĄTYNIA OPATRZNOŚCI

Bilecki za nic nie chciał, aby to odbyło się jak w kiczowatym amerykańskim filmie. On zaprasza ją do ekskluzywnej restauracji na kolację przy świecach, a kiedy już zjedzą coś niebywale wyszukanego, on klęka i podaje jej pudełko z pierścieniem. Ona odgrywa scenę udawanego zaskoczenia i zachwytu, po czym oczywiście się zgadza. Kelnerzy i goście przy sąsiednich stolikach biją brawo, a opłacona wcześniej orkiestra zaczyna grać jej ulubiony utwór... Może jeszcze amerykański hymn. Kicz! Kicz! I jeszcze raz kicz! Panie Boże, zachowaj!

Niemniej redaktor przygotował się do swoich zaręczyn równie starannie, jak hollywoodzki amant. Najpierw wpadł na pomysł jednocześnie genialny i perspektywiczny, to znaczy umożliwiający za parę lat szczylenie się wobec ich przyszłych dzieci miejscem, w którym tata oświadczył się mamie. Świadectwo prawdziwej miłości, które Bilecki pragnął przekazać swojemu potomstwu, powinno być od początku nie tylko nienagane, lecz przede wszystkim budujące!

Dlatego więc wybór padł na Świątynię Opatrzności na polach wilanowskich. Bilecki wysondował mimochodem, że Lucyna nigdy tam wcześniej nie była, i aż zatarł ręce z radości, że będzie jej pierwszym mężczyzną także i w tym aspekcie.

Następnie poszukał odpowiedniej dziury w płocie wokół placu budowy, a potem korzystając z dziennikarskiej legitymacji, przedostał się do środka i rozpracował system ochrony tak wzorowo, że sam James Bond nie miałby żadnych zastrzeżeń.

Na koniec odszukał emeryta, który miał mieć służbę w interesującym go terminie, po czym z całym przekonaniem przemówił mu do serca, uczuć patriotycznych i kieszeni. Właściwie to kolejność była odwrotna, ale mniejsza o to. Wiara i romantyzm nade wszystko!

Lucynie powiedział najpierw, że na następną randkę zabiera ją do Wilanowa, sugerując, że chodzi o pałac królewski, po czym niespodziewanie zmienił trasę wycieczki i, pomijając zbędne szczegóły, postawił zaintrygowaną dziewczynę przed wspomnianą wcześniej dziurą w płocie.

– Niespodzianka! Proszę! – Poszerzył otwór, jak się dało, by Lucyna nie musiała się niestosownie wypinać. Aczkolwiek wzroku odwracać nie zamierzał. Przyznał

sobie prawo patrzenia na jej biodra.

– Ojej! – Udała przestraszoną, potem zaczęła się głośno śmiać.

– Mam nadzieję, że nas nie złapią... – Spróbował wprowadzić nastrój wyczekiwania i niepewności, przeciskając się do niej.

Z tego budowania nastroju zupełnie nic nie wyszło, bo poinformowany wcześniej stróż już na nich czekał i wyszedł im na spotkanie, machając ręką i ciesząc się jak na widok najbliższej rodziny. Zdaje się, że do tej pory starszy pan oswoił się z myślą o tej wizycie, cieszył z urozmaicenia rutyny i postanowił być im we wszystkim pomocny. Lucyna domyśliła się natychmiast, że cała ta „tajna akcja” została z góry ukartowana, i zaczęła się śmiać jeszcze bardziej.

– Oprowadzę państwa, wszystko pokażę! – Staruszek bez zwłoki wszedł w rolę przewodnika turystycznego, nie bacząc na wydłużoną minę Bileckiego, który liczył wszak na bardziej romantyczne sam na sam. No trudno.

Weszli najpierw do głównej hali z ażurowych, żelbetowych belek, gdzie ich samozwańczy przewodnik z pasją, jakby był w to osobiście zaangażowany, opowiedział im powikłaną historię konkursu na projekt tej świątyni, z awanturą wokół pierwszej wersji kościoła-kopca na czele. Oczywiście staruszek nie miał żadnej innej wiedzy poza informacjami ogólnie znanymi z mediów, ale za to ani razu nie nazwał wznoszonego obecnie gmachu „meczetem” czy „wyciskarką do cytryn”, jak zwykli mówić wrogowie Kościoła, więc Bilecki z całego serca odpuścił mu wszelkie wścibstwo oraz nadgorliwość i zaczął traktować go z sympatią, zaczynając od familiarnej propozycji, by mówili sobie po imieniu, jak na braci w wierze przystało.

To się nadspodziewanie opłaciło, bowiem ujęty za serce pan Edmund okazał się mieć dostęp do odpowiednich kluczy i uruchomił dla nich techniczną windę budowlaną, którą wjechali na podstawę kopuły. Widok na przestworza, srebrzyste wody, ciemne lasy, białe dzielnice południowej Warszawy, podniebne sklepienia podparte złotymi kolumnami światła, słowem, obejmujący wszystkie widzialne aspekty bożego stworzenia, był doprawdy fenomenalny, ale cała ta panorama doczesnego padołu, choćby tak majestatyczna i różnorodna, musiała tym razem ustąpić pierwszeństwa przyszłej narzeczonej redaktora Bileckiego.

Lucyna rozemocjonowana i zachwycona, stojąc nieco pochylona na porywistym wietrze, skąpana w słońcu, które szczęśliwie wyjrzało zza chmur, wyglądała jak anioł zrywający się do lotu. Zdawało się, że zaraz po prostu wzbije się, zatańczy między chmurami i przepadnie tam w górze, w otwartym na moment oknie błękitu,

a kandydat na męża będzie musiał obejść się smakiem. Albo ona uczyni mu ten niebywały honor i zostanie na ziemi właśnie z nim... Tak, to już naprawdę było to doświadczenie, o którym można będzie ich przyszłym dzieciom opowiadać! Bileckiego zaczęło korcić, żeby paść przed nią na kolana i oświadczyć się właśnie tu i teraz, ale ponieważ wcześniej postanowił, że zrobi to z całym szacunkiem i powagą przy grobie księdza Twardowskiego, zrezygnował z pochopnej spontaniczności.

Po obejrzeniu panoramy wilanowskich Błoni postanowili zejść do Panteonu Wielkich Polaków. Pan Edmund chciał im tam również towarzyszyć, ale tym razem Bilecki zareagował stanowczo. Odszedł z nim parę kroków na stronę i dyskretnie pokazał mu przygotowany dla Lucyny pierścionek.

Staruszek zrozumiał. Sprowadził ich na dół, otworzył drzwi, po czym oznajmił, że ma jakieś pilne obowiązki, i nareszcie zostawił ich samych.

Cóż, w obliczu surowych katakumb romantycznej euforii zdecydowanie ubyło, ale za to zbliżała się ta najważniejsza chwila...

Wcześniej jednak przystanęli, by pomodlić się przy grobie prezydenta Kaczorowskiego.

– Za opamiętanie sprawców zamachu i nawrócenie bezbożnego rządu – Lucyna podała intencję z całą powagą.

Bilecki odetchnął z ulgą. To była ostatnia rzecz, co do której chciał się względem niej upewnić. Wprawdzie inne polityczne poglądy Lucyny nie zmieniłyby jego zamiarów, ale oznaczałyby potrzebę wyrwania jej z mroków kłamstwa albo ich pierwszy małżeński krzyż. Na szczęście Pan Bóg tego nie dał! Jego już za chwilę narzeczona i przyszła matka jego dzieci była prawdziwą polską patriotką, godną najwyższego szacunku!

Ukląkł obok niej, ale zanim powiedział cokolwiek, z największą czcią, jaką tylko potrafił okazać, ucałował jej dłoń.

– Niech ciemności smoleńskiej mgły zwycięży światło prawdy! – rzekł z mocą dopiero teraz. – A nasz zraniony i podzielony naród niech jak najszybciej przejrzy na oczy i zjednoczy się w obliczu tej ofiary!

– Proszę, Marcinie – szepnęła Lucyna. – Rozpocznij pierwszy dziesiątek...

Odmówili cały różaniec za ofiary drugiej zbrodni katyńskiej i tak przygotowani duchowo poszli do strzeżonego przez zastęp biedronek grobu księdza-poety, aby tutaj z kolei rozpocząć dzieło równie święte, co radosne.

Bilecki miał przygotowany na tę okazję wiersz, oczywiście świętej pamięci Autora, jeden z kilku zatytułowanych „Czekanie”, ale wzniosła powaga chwili tym

razem pana redaktora przerosła. Starannie obmyślane, wkute na pamięć słowa całkiem wyleciały mu z głowy, wersy się pokiełbasiły, w efekcie podniosła recytację zaczął od środka:

*Kto miłości nie znalazł, już jej nie odnajdzie*

Skonfundowany wpadką przeskoczył do:

*Miłość dawno przybiegła i uklękła przy nas*

Po czym stwierdził, że kompletnie zapomniał, co dalej! Szukając gorączkowo w pamięci, omal nie sparafrazował słynnego epitafium: *Nie odchodź, ja już śpieszę cię kochać..* Szczęściem Duch Święty w porę popukał go w czoło. Zdruzgotany Bilecki przypomniał sobie jeszcze:

*Kto wciąż na nią czeka, nikogo nie kocha...*

I tu zamilkł zupełnie załamany. No cóż, nie oświadczał się wszak codziennie. Tyle miał na swoje usprawiedliwienie.

Lucyna się rozchichotała. Sięgnęła do torebki, po czym triumfalnie pomachała mu przed nosem pluszową biedronką.

– Wiedziałam, że mnie tu przyprowadzisz! – oznajmiła niezmiernie zadowolona z siebie i położyła przyniesioną zabawkę obok innych. – Potrafię być sprytna, prawda, Marcinku?

– Potrafisz... – Bilecki wyrzucił z siebie to słowo, czując się jak ostatni idiota, ale zarazem niezmiernie szczęśliwy idiota. – Proszę, zostań moją żoną! – powiedział to wreszcie. – Kocham cię!

I przypomniał sobie, że zapomniał uklęknąć, ale kiedy to zrobił, dotarło do niego, że powinien był wcześniej wyjąć pierścionek, bo teraz głupio będzie macać za nim po kieszeniach... Zwłaszcza, że ze zdenerwowania zapomniał, do której właściwie go włożył po tym, jak pokazywał go panu Edmundowi...

Lucyna nie zauważyła jego udręki. Sama stała ogromnie poruszona. Wprawdzie spodziewała się tego, ale kiedy przyszło co do czego, po prostu odebrało jej mowę. Nie sądziła, że aż tak mocno przeżyje tę chwilę. Tymczasem koniecznie należało dobrać głosu, bo przedłużające się milczenie zaczynało się robić dwuznaczne... No już!

– Tak! Tak! Tak! – wyrzuciła z siebie.

A potem sama szybko uklękła naprzeciw niego i zaczęła obcałowywać jego czoło i policzki.

– Jestem taka szczęśliwa! Kocham cię!

Bilecki darował sobie przeszukiwanie kieszeni i przytulił ją mocno. Wreszcie pozwolił sobie czuć radość, i tylko radość.

Dłuższą chwilę trwali w pełnym słodczy oszołomieniu, po czym wreszcie wstali, a on w końcu znalazł i założył onieśmiałonej Lucynie pierścionek zaręczynowy.

W tym miejscu jakoś nie wypadało się całować, nawet z takiej okazji, więc oboje jak na komendę, choć bez słowa, wybiegli z krypty i poprzez plac budowy popędzili do dziury, którą tu weszli. A potem jeszcze dalej, przez Błonia, aż oddalili się na stosowną odległość od świątyni i tu namiętnie wpiili się nawzajem w swoje usta.

Bilecki był upojony. Stokroć bardziej niż trzy dni temu na Starówce. Może dlatego, że wtedy tak naprawdę kradł jej te pocałunki, a teraz otrzymywał je już legalnie... Sprawa niewątpliwie kwalifikowała się do rachunku sumienia, ale Panie Boże Miłosierdzia, nie w tej chwili... Nie teraz! Nie teraz!

Rozochocony Bilecki pozwolił sobie dotknąć jej piersi, ale ona natychmiast odsunęła jego rękę.

– Nie. Na to jeszcze za wcześnie! – Powstrzymała go stanowczo, ale zanim zdążył ją przeprosić, znów przypadła do jego ust, nie pozwalając, aby nastrój prysnął.

Mimo wielkoduszności Lucyny ta chwila nie chciała jednak trwać wiecznie, ani nawet minuty dłużej. Tym razem nie brak tchu ani wyrzuty sumienia przerwały im czułości, ale nagle ciemność, która zewsząd ich ogarnęła.

Jeszcze przed sekundą świeciło słońce, więc, choć drzewa nie miały liści, a trawa dawno zmartwiała, można było nie przyjmować do wiadomości, że nadeszła późna jesień. Lecz oto pochmurne niebo definitywnie zamknęło się nad nimi i w okamgnieniu stał się szary, depresyjny listopad. Na dodatek zaczął kropić deszcz. Kapryśna aura definitywnie sprowadziła ich oboje na ziemię.

– Może powinniśmy wrócić pożegnać się z panem Edmundem? – zaproponował bez przekonania Bilecki.

– Skoro już stamtąd wyszliśmy, chodźmy może teraz poprosić o błogosławieństwo ojca Jana – odparła Lucyna.

Skinął głową po krótkim namyśle. Ostatecznie dozorca budowy wziął za swoją przysługę pieniądze i większej nagrody nie potrzebował. Wraz ze słońcem odeszła Bileckiemu chwilowa sympatia do staruszka.

Poszli więc na przystanek autobusowy, a godzinę później byli już na Pradze i pukali do drzwi księdza Jana.

– Szczęść Boże! – zakomunikował im egzorcysta, kiedy dowiedział się, z jaką nowiną przybyli. – Zaraz zaparzę herbaty i się napijemy... – Metodycznie zakrzętnął

się przy kuchence.

Marcin i Lucyna w skrytości ducha liczyli na ciut bardziej entuzjastyczne przyjęcie, ale w końcu dobrze znali legendarną powściągliwość ojca Jana, więc się nie zdziwili.

Dalsza rozmowa przy herbacie zaczęła się od pytania, kiedy ślub? Po drodze ustalili już, że w maju przyszłego roku, i to teraz oznajmili. Ojciec Jan pokiwał głową z aprobatą, że nie za szybko, a następnie chciał wiedzieć, gdzie wybiorą się w podróż poślubną i gdzie potem zamieszkają. Odpowiedzieli, że do Rzymu i w Warszawie. Dalej nastąpiło pouczenie, że powinni wytrwać w narzeczeńskiej czystości, a następnie w małżeńskiej wierności i wszędzie zawsze świecić przykładem...

No nie! Chociaż ojciec Jan zachowywał się jak zwykle, ta formuła konwersacji w takim dniu wydała się Bileckiemu stanowczo zbyt sztywna!

Żeby ożywić trochę to spotkanie oraz jeszcze trochę przedłużyć je, zanim pójdą do kaplicy odebrać narzeczeńskie błogosławieństwo, Bilecki postanowił się przyznać do dobrego uczynku, czyli opowiedzieć gospodarzowi o ochronie, którą wspólnie z Lucyną nad nim roztoczyli. Sprawa najwyraźniej należała już do przeszłości. Media zapomniały o zabójcy Damięckim i teraz zajmowały się jakimś wariatem, który zamienił własny dom w skład złomu i przechowalnię padliny – huczały o tym wszystkie poranne serwisy, więc o ich przedsięwzięciu można było już mówić otwarcie. Cóż, może i było w tym z ich strony trochę płochy chępliwości, ale też reakcja ojca Jana okazała się doprawdy przesadna.

Egzorcysta najpierw słuchał z kamienną twarzą. Potem zadał kilka pytań, jakby upewniał się, czy dobrze słyszy i rozumie, a kiedy Marcin skończył mówić, zakomunikował im beznamiętnie trzy słowa.

– Powinniście się rozstać.

Bilecki najpierw zamarł z otwartymi ustami, po czym spojrzał na Lucynę, żeby upewnić się, czy usłyszała to samo. Jej mina wskazywała, że tak.

– Rozstańcie się jak najszybciej – powtórzył ojciec Jan. – Ciebie zaś, siostrze Lucyno, zwalniam z dalszej posługi w naszej wspólnoty.

– Ależ, ojczu, dlaczego...? – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Uczynicie to, jeśli mnie kochacie – rzekł i wstał zza stołu, dając do zrozumienia, że dalszą wizytę uważa za zakończoną.

– Najmocniej ojca przepraszamy, jeśli w czymkolwiek... – Bilecki zaczął się kajać.

– Z panem Bogiem! – przerwał mu egzorcysta.

Minutę później skonsternowani narzeczeni wylądowali na ulicy. Z całą pewnością tak jak oni musieli czuć się Adam i Ewa świeżo wygnani z raju.

Bilecki miał wrażenie, jakby dostał czymś ciężkim w łeb. W oniemiaeniu patrzył, jak Lucyna obraca na palcu jego pierścionek zaręczynowy, jakby zamierzała go zdjąć. Gdyby to zrobiła, ziemia po prostu rozstałaby się redaktorowi pod nogami. Nie wyobrażał sobie ani tego, ani co miałyby począć dalej. Nie mieściło mu się to w głowie. Tak bardzo, aż pomyślał, że za chwilę pękną mu skronie.

Jednak Lucyna nie zdobyła się na to, by zwrócić pierścionek. W zamian wybuchła płaczem.

– Dlaczego?! Za co...? – szlochała.

– Może ojciec Jan uważa, że naszym właściwym powołaniem jest życie konsekrowane? – zracjonalizował pospiesznie Bilecki.

– Dlaczego nie wolno nam wybrać naszej własnej drogi?! – Przez łzy Lucyny wyjrzał bunt.

– Nie wiem, ale ojciec Jan z pewnością nie ma prawa decydować za nas. – Bilecki skwapliwie stanął po jej stronie. – Czynimy wszystko z Bogiem, mamy do tego prawo i nie musimy się niczego wstydzić!

– Więc mnie nie porzucisz, Marcinie? – Uśmiechnęła się blado.

– Nigdy, Lucyno! – zapewnił ją z całym przekonaniem.

– Tylko tak strasznie mi przykro, że ojciec Jan nas odtrącił...

Bilecki uznał, że nadeszła właściwa chwila, aby okazać się mężczyzną silnym duchem, którego Lucyna pragnęła w nim widzieć.

– To prawda, jesteśmy zranieni i strapieni – stwierdził stanowczo. – Pójdźmy zatem poszukać pocieszenia w domu bożym. Tam złożymy wszelkie nasze troski.

– Dobrze, Marcinie. – Podporządkowała się bez wahania. – Zaprowadź mnie do świątyni.

Akurat w katedrze świętego Floriana trafili na adorację, co bardzo podniosło ich na duchu. Godzinę później, kiedy wychodzili z kościoła, oboje byli już pewni, że ojciec Jan poddał ich próbie, której sprościli. To zrozumiałe, że ten surowy kapłan chciał sprawdzić, jak mocne jest ich postanowienie wytrwania na nowej drodze życia. Zapytał, czy go kochają... Oczywiście, oboje bardzo go szanowali, ale ich wzajemna miłość była wyłączna i niepodzielna. Zatem aż tak wiele ojciec Jan oczekiwać od nich nie mógł. Wszystko ma swój czas i swoje miejsce, więc to normalne, że Lucyna



powinna była dziś zamknąć miniony rozdział życia we wspólnocie ojca Jana i rozpocząć nowe u boku Marcina. Nie wahać się i nie oglądać wstecz. Ta pewność spłynęła na nich, kiedy modlili się w obliczu Najświętszego Sakramentu, i przyniosła im zupełną ulgę.

Kiedy redaktor Bilecki odprowadzał swoją narzeczoną do domu, znów trzymali się za ręce, byli szczęśliwi i gotowi na wszelkie przeciwności, do których dopuści Opatrzność.

## PRZEMIŁY STARUSZEK

Skutkiem wczorajszych zaszłości Louvain nabrał takiego zaufania do opinii medycznych doktora Grabki, że zabrał ze sobą grupę antyterrorystyczną.

Człowiek wskazany przez młodego lekarza nazywał się Bolesław Szymański, był cenionym damskim krawcem w Piasecznie, a dokładniej w Zalesiu Dolnym, dobiegał siedemdziesiątki i nie miał dotąd żadnych konfliktów z prawem. W sumie nawet po wczorajszej nauczce trudno było uwierzyć, że ktoś taki może być niebezpieczny dla otoczenia. Dodatkowo należało się spodziewać, że wśród jego klientek są panie z wyższego świecznika, gotowe walczyć jak lwice o swojego mistrza.

Żeby nie narobić obciachu, Louvain kazał antyterrorystom wziąć nieoznakowaną furgonetkę z zaciemnionymi oknami i bez rozkazu ani nosa stamtąd nie wyściubiać. Jednocześnie komisarz nie zamierzał drugi raz zrobić z siebie durnia i dopilnował, żeby tym razem mieć przy sobie nakaz przeszukania mieszkania. Prokurator przestał marudzić o bezpodstawności czynności, jak zobaczył zdjęcia instalacji z martwych zwierzątek, dzieła Adama Pochrzęsta. Nawiasem mówiąc, w tym samym pokoju znajdowało się kilka innych, pustych na razie, wieszaków, zaadaptowanych wstępnie do rozbudowy tej instalacji. Louvain napomknął, że nie można wykluczyć, iż miały tam wisieć szczątki ludzkie.

Historia kryminalistyki znała wielu miłych i spokojnych staruszków z mroczną tajemnicą ukrytą pod podłogą bądź zakopaną w ogródku, szkoda gadać o rzeczach oczywistych! Mimo wszystko robienie tam wjazdu z butami na dzień dobry było trochę niezręczne.

Przydało się kobiecie podejście Haliny, która oznajmiła, że po prostu pojedzie tam do miary, bo słyszała wiele dobrych opinii. Rafalski i Louvain mieli ewentualnie robić za narzeczonego i przyszłego teścia, pilnujących, by nie przekroczyła budżetu. Zaczną więc jako zwykli klienci i tak też skończą, gdyby nic podejrzanego nie stwierdzili. I dopiero jakby coś nie grało – blachy i nakaz prokuratorski na stół! Gdyby zaś ktoś miał jakieś wątpliwości w temacie resortowego budżetu i gospodarności, to pani aspirant Łosiewska naprawdę potrzebowała porządnej kiecy do pracy pod przykryciem, bo nie wszędzie da się

wejść w ciuchach z lumpeksu, no i niech który umrzyk z intendentury spróbuje odmówić koleżance, która świeżo co krew na służbie przelewała!

Dowcipnymi komentarzami w tym stylu sypał jak z rękawa Rafalski, który faktycznie przyszedł do pracy pod wpływem zapisanego przez lekarza znieczulającego mózgotrzepa. Konkretnie Vicodinu , jak sam serialowy doktor House, czym nie omieszkał się pochwalić. Właściwie należałoby pana podkomisarza pogonić na zamaszystych kopach do domu, ale to oznaczało zastępstwo, a po wczorajszym happeningu artystycznym Louvain nie miał najmniejszej ochoty wprowadzać w szczegóły sprawy nikogo obcego więcej. Lepszy już zbuntowany robot.

Komisarz poprzestał więc na profilaktycznym opieprzeniu Rafalskiego, a przekonawszy się, że mimo wszystko pampers trybi, co się do niego mówi, zarządził wycieczkę do Piaseczna.

Uliczka była zaciszna, wiosną i latem musiała tonąć w zieleni, aż chwytalo za serce. Nawet o tej porze roku nie wyglądała źle. Stare dęby i lipy tworzyły szpaler melancholijny, ale nie depresyjny, raczej emanujący nadzieją i przyjaznym wyczekiwaniem. Naprawdę chciało się czekać na tę zieleń albo wrócić tu za pół roku.

Dom figuranta był parterowy, z zaadaptowanym na dodatkowe mieszkanie poddaszem. Zapewne większość parteru zajmowała pracownia krawiecka, o której istnieniu zawiadamiał bardzo skromny szyld. Widać prawdziwy mistrz nie musiał nadmiernie inwestować w reklamę.

Antyterrorysty przycupnęli sobie w pobliskim zaułku. Louvain, Rafalski i Halina podjechali pod samą furtkę. Zaraz za nią przywitał ich przyprószony opadłymi liśćmi plastikowy łabędź. Zdecydowanie nie wyglądał krwiożerczo... Lepiej, żeby chłopaki z AT go nie zobaczyli, bo doprawdy nie trzeba było przyćpanego lekami podkomisarza, żeby jutro cała Komenda Stołeczna rechoła z dowcipów, jak to kolega Louvain wzywał brygadę antyterrorystyczną do łabędzia.

Dobrze, że przynajmniej Halina postanowiła uczciwie zarobić na swoją nową kieckę. Sprawdziła i okazało się, że do Szymańskiego trzeba zapisywać się z przynajmniej miesięcznym wyprzedzeniem. Dotarła więc do dzisiejszej klientki i dogadała się, że ją zastąpi. Wyglądało na to, że załatwiła sprawę po dobroci. Louvain dla spokoju sumienia wolał nie dopytywać się, co obiecała w zamian, ale zarejestrował, że dzisiejszy poranek pani aspirant spędziła, antyszambując w drogówce.

Mistrz krawiecki okazał się zwinny, ruchliwym staruszkim, właściwie

należałoby powiedzieć „skoczny”. Potrafił uśmiechać się i gadać, będąc w kilku miejscach jednocześnie, a przywitał ich z niebywałą wylewnością. Z miejsca zaproponował kawę, herbatę, ajerkoniak lub porządny koniaczek dla panów – do wyboru. Pod kontuzjowaną ręką Rafalskiego natychmiast znalazła się wygodna poduszka. Ponadto dla złagodzenia nerwowego napięcia mężów, narzeczonych i ojców, którzy przypadkiem zbłądziliby do tej świątyni kobiecości, pod stolikiem w poczekalni leżał dyskretnie upchnięty plik egzemplarzy „Playboya”. Paniom z kolei pozostawiono literalny komplet wszelkiej prasy kobiecej, z anglojęzyczną włącznie. O żurnalach mody w ogóle już wspominać nie należało. Poniewierały się wszędzie, pojedynczo, w plikach, stertami. Niektóre bardzo stare, nawet sprzed pierwszej wojny światowej, musiały mieć dużą wartość antykwareczną.

Louvain zmobilizował całe swoje gliniarskie doświadczenie i spróbował spojrzeć na Szymańskiego oczami doktora Grabki. Co takiego ten niewątpliwie zdolny neurolog zobaczył w tym człowieku, że uznał go za szczególnie niebezpiecznego?

Nic nie było po Szymańskim widać. Literalnie nic. A jednak ten człowiek z jakiegoś powodu sam uznał się za opętanego i prosił o egzorcyzmy. Wyglądało na to, że pan komisarz Louvain powinien jednak dać się wysłać na emeryturę, bo już całkiem był do niczego!

Tymczasem gospodarz przeszedł z Haliną do pracowni, zostawiając za sobą otwarte drzwi na znak dobrych zamiarów wobec narzeczonego, za którego znów podał się Rafalski. Krawiec zaczął ustalać z klientką fason sukni oraz kolor materiału, a wnioskując z długości czasu, jaki im to zajęło, w żadnym razie nie była to dla pani aspirant gra operacyjna. Sama dyskusja nad zagadnieniem, czy odcień purpury ma być w barwie świeżo przekrojonego owocu granatu, czy też nie, zajęła im blisko kwadrans. Kiedy się wreszcie dogadali, poszli razem za parawan.

– Pani będzie uprzejma zdjąć bluzeczkę i spódnicę...

– Do miary? – Halina się zdziwiła.

– Łaskawa pani, po pół wieku praktyki to ja mam miarę w oku i wszystko, co potrzeba, wymierzyłem sobie, jak tylko pierwszy raz na łaskawą panią spojrzałem. – Szymański wyciągnął belę uzgodnionego materiału. – Nie będziemy się bawić w żadne miary i szablon, szkoda na to czasu! – Otworzył pobliską szufladę, wyjął z niej wielkie, błyszczące nożyce i jednym błyskawicznym, wężowym ruchem odciął płat karminowej tkaniny, a potem drugi.

Nie skorzystał z żadnych szablonów! Po prostu ciął na wycucie, patrząc, co robi, ledwie kątem oka, większość uwagi poświęcając klientce i bez przerwy ją zagadując.

Louvain i Rafalski na ten widok wymienili się spojrzeniami, w których był autentyczny podziw.

– Zajebiste mistrzostwo... – mruknął podkomisarz.

– Zabawy z centymetrem są dobre dla uczniów na terminie! My, proszę łaskawej pani, będziemy od razu przymierzać i upinać, a do tego wierzchnie okrycie byłoby niejaką przeszkodą. Proszę się jednak niczego z mojej strony nie obawiać, łaskawa pani! Krawiec damski patrzy całkiem jakby lekarz. – Szymański gadał jak nakręcony.

– Widzi tylko to, co potrzeba, ani jednego szczegółu więcej!

– Nie wstydzę się – odparła Halina i zaraz jej ubranie zawisło na szczycie parawanu.

– Ja wiem, łaskawa pani, tak powiadają, że w starym piecu diabeł pali – kontynuował ze swadą staruszek – ale mnie, jak już pół wieku kroję i szyję, jeszcze oczko do żadnej niewiasty nie zaświeciło się...

No dobrze, starszy pan dawał do zrozumienia, że jest gejem. To podobno częste w tym zawodzie i jedyne, co mogłoby budzić podejrzenia, to niezrobiony *coming out*. Ale to ewentualnie mogło być problemem, gdyby Szymański prowadził chór chłopięcy, a nie tak jak teraz, gdy na co dzień miał do czynienia z dorosłymi kobietami.

Rozmyślenia Louvaina przerwał SMS od szefa znudzonych antyterrorystów: WCHODZIMY?

NIE, odpisał komisarz.

JESTEŚMY POTRZEBNI?, naciskał tamten.

Louvain pokazał SMS Rafalskiemu, który tylko wzruszył zdrowym ramieniem, dając do zrozumienia, że nie on tu podejmuje decyzje.

Szymański wyjął z szuflady kolejne, mniejsze nożyczki i zaczął coś przycinać bepośrednio na Halinie.

– Jak łaskawa pani sama widzi, dekolcik już nabiera kształtu... – nadawał z za parawanu, jednocześnie szcękając żelazem. – Teraz szybkoitko zrobimy fastrygę w talii i bierzemy się za rękawy oraz plisowanie...

NIE, odpisał Louvain antyterrorystom.

TO SZCZĘŚĆ PRACY!

Za moment z ulicy doleciał ich niknący odgłos odjeżdżającej furgonetki.

– Jednak słyszałam, że szanowny mistrz chodził na egzorcyzmy! – Halina przeszła wreszcie do rzeczy.

Louvain zaniepokoił się, czy nie zrobiła tego zbyt obsesowo.

– Cóż począć, łaskawa pani, była taka potrzeba. – Szymański nie okazał ani śladu zdumienia, że klientka o tym wie. – To żadna tajemnica, nie ma czego ukrywać. Ano diabeł zeźlił się na mnie, że nijakiej pokusie cielesnej względem płci pięknej ulegać nie zwykłem, więc zaczął mnie dręczyć osobiście.

Mignęła lśniącem niklem trzecia para nożyczek. Jedno ostrze było zębate, jak zauważył komisarz.

– Teraz tutaj obrębimy, żeby nam się nie posiepało... Tak więc, proszę łaskawej pani, męczyło mnie jakieś diablisko, ciągle za mną łąziło, marudziło i namawiało, żebym duszę zaprzedał... – Tkanina chrupnęła przeciągle w szczękach nożyczek. – No, ale w zamian za co, ja się pytam? Za co ja, stary, miałbym mu duszę sprzedawać, łaskawa pani? – Ziiiing!, zawtórowały nożyczki. – Gdyby człowiek był choć trzydzieści lat młodszy, to może jeszcze by się zastanowił, ale teraz? Czego to mi jeszcze trzeba? Ale ten nic, dalej swoje, więc trzeba było czorta w czorty pogonić, a że sam fachowiec jestem, no to i do fachowca poszedłem. Jak to majster do majstra, łaskawa pani rozumie?

– Rozumiem – stwierdziła Halina.

– Znaczy się więc ja na stronę diabła nie przeszedłem, tylko postąpiłem jemu wbrew. Nie dałem mu się w nic wciągnąć, bo ja, proszę łaskawej pani, zawsze byłem diabłu przeciw. Widywałem już za młodu jego sprawy, tylko wcześniej on mnie osobiście nie zaczepiał i na współnika nie namawiał.

– A co takiego szanowny mistrz widywał? – zagadnęła czujnie Halina.

– Kobieca ciekawość może nie zawsze dobra jest, ale dla łaskawej klientki wyjątek zrobić wypada. Otóż musi łaskawa pani wiedzieć, że my, krawcy, z bożej woli mamy szczególny wgląd w rzeczy nadprzyrodzone. Czemu tak jest, to ja nie wiem, ale jest. Łaskawa pani sobie przypomni ten film o naszym papieżu, jak to ojciec święty, wtedy jeszcze młody chłopak, w Krakowie przed łapanką uciekał. Wtedy jeden krawiec go wyratował i ukrył.

– Pamiętam tę scenę.

– No to sama pani widzi! Gdyby nie krawiec, cóż byśmy teraz poczęli? Świętego by nie było, ale to przecież nie wszystko! Przecież to właśnie ten prosty krawiec, nie żaden ksiądz, ani nawet biskup, zdradził przysłanemu ojcu świętemu największą tajemnicę nieba i ziemi, że zło zawsze będzie niszczyć się samo! Trzeba temu złu tylko w tej samozagładzie dopomóc... Tak to przyszyjemy?

– Tak. Ale chyba w tej scenie to o coś innego chodziło... – Halina potwierdziła

i zaoponowała.

– Ja tak już od dawna miałem. – Szymański zignorował jej obiekcje. – Widywałem szatana w ludziach, zwłaszcza w dzieciakach. O, proszę łaskawej pani, w smarkaczach go jest najwięcej! Bo to to młode, głupie i opętać takie najłatwiej, a rodzice jeszcze sami im rozmaite diabelskie zabawki podsuwają, te różne Hello Kitty, taroty i tak dalej. Dużo teraz ostatnio o tym księża mówią, ale najważniejszego jednakowoż nie widzą.

– Czego na przykład? – spytała Halina z napięciem w głosie.

– Łaskawa pani się troszkę obróci... O tak, dobrze... Tutaj trochę upniemy... A czego dobrodzieje nie widzą? Ano antychrystów, łaskawa pani! Autyzm na to mówią, i że to niby od szczepionek się bierze. Wierutna bzdura! Toż to są jedno w drugie same bachory szatana! Antychryst w antychrystach! Starczy popatrzeć jak to to się rzuca, jak wrzeszczy, jak patrzy, jak ślepiami przewraca... Nic tylko jedno z drugim hurtem do egzorcyzmów dawać! A księża nie chcą, mówią, że to choroba jakaś. Bzdury! Lepiej, mówię łaskawej pani, krawców by się posłuchali! Tak jak sam nasz święty Ojciec Święty posłuchał i dobrze na tym wyszedł! Teraz o tu, tak założymy... Może być?

Halina milczała, co Szymański uznał za zgodę i podjął poprzedni temat.

– To przecież nie powinno tak być, żeby antychrysty na swobodzie po ulicach chodziły i szatana, co w nich siedzi, wkoło rozsiewały, tak, tak, mówię łaskawej pani!

– Mogłoby się zdarzyć, że matka takiego dziecka zostałaby pańską klientką... – zauważyła Halina.

– Nie obsłużę! – uciął krótko z nagłą zajadłością w głosie. – Kurew nie obsługuję! A już zwłaszcza takich, co się z samym szatanem zadawały! Swój honor mam! – Chwycił znowu największe nożyce i zamasyście, w powietrzu, prawie nie dotykając stołu, odciął kolejny fragment sukni, po czym bez żadnego stanu pośredniego przeskoczył z powrotem na ton familiarny: – Zanim to przyfastrygujemy, o tutaj trzeba by zrobić małą poprawczkę... – szerzej uchylił szufladę i wyjął z niej kolejne nożyczki, tym razem przemyślnie wygięte, specjalnie do cięcia łuków.

Ta szuflada, zawierająca podręczny komplet specjalistycznych narzędzi krawieckich, stanowiła coś na kształt skarbcza z zawodowymi regaliami, albo wręcz pełniła funkcję osobistej kapliczki z tabernakulum. W tym Świętym Świętych oprócz nożyc znajdowało się coś jeszcze, równie dla gospodarza ważnego, co pani aspirant dostrzegła dopiero teraz, kiedy wzburzony krawiec pociągnął za uchwyt

i wysunął szufladę o parę centymetrów za daleko.

– Komisarzu... – jęknęła zduszonym głosem Halina.

Louvain poderwał się na równe nogi i obejrzał na Rafalskiego.

Podkomisarz spał.

Z błogą miną, wygodnie umieszczony na kanapie, Rafalski najzwyczajniej w świecie odpłynął pod wpływem Vicodinu i paplaniny krawca. Nawet zaoferowana przez gospodarza kawa, upita w połowie, nie pozwoliła mu dotrzeć do puenty.

Louvain chciał potrząsnąć partnera za ramię, ale zdał sobie sprawę, że musiałby go złapać za urażone miejsce, i ręka zawisła mu w powietrzu. Nie było czasu medytować, jak by tu najdelikatniej cholernika obudzić, skoro Halina pilnie potrzebowała pomocy. Komisarz obrócił się więc ku niej, ale kroku postąpić nie zdążył.

Rozległ się przeciągły trzask rwanych nici. Halina zdarła z siebie niedokończoną sukienkę i chwyciła wiszącą na parawanie bluzkę.

– Co też łaskawa pani zrobiła...? – zawołał mistrz Szymański z dobroduszną przyganą w głosie. Wyglądało na to, że jego klientki miały u niego nieograniczony limit cierpliwości. Mogły kaprysić, zmieniać zdanie i stroić dowolne fochy – wszystko się doliczy do rachunku...

Halina, cofając się, przewróciła plecami parawan i, przyciskając zmiętą bluzkę do piersi, w samej białej wciągnęła do tyłu, z przerażeniem wpatrując się w otwartą szufladę z narzędziami krawieckimi. Wreszcie oparła się plecami o ścianę i dopiero stanęła.

– Nie ma się czego bać, to tylko kopytka – powiedział spokojnie mistrz Szymański i zamknął szufladę. – Już nie tupią...

– Policja – powiedział Louvain, ale był tak zaskoczony rozwojem sytuacji, że zabrzmiało to wręcz pytająco.

Pani aspirant powinna była się zacząć ubierać, ale wciąż stała półgoła, w szoku, nieporadnie próbując się ukryć za bluzką, której nie była w stanie na siebie wciągnąć.

– Halina, co się stało? – zapytał ją Louvain ojcowskim tonem, dając do zrozumienia, żeby wzięła się w garść.

– Trofea! – wyrzuciła z siebie. – Tam są... – Pokazała szufladę.

– Pamiątki – odparł na to spokojnie Szymański. – Po duszyczkach wyzwolonych od szatana i oddanych z powrotem Najwyższemu Panu Bogu. To przecież nic złego.



– Mamy nakaz przeszukania mieszkania. – Louvain przystąpił do rutynowych czynności, żeby przełamać konsternację.

– Co sobie państwo policja życzą, pokażę, nie mam nic do ukrycia. Dostałem to powołanie od Boga, tak samo jak i wy swoje. Chcecie obejrzeć moje kopytka? – Ponownie wysunął szufladę. – Proszę...

Komisarz pomyślał o komplecie dobrze naostrzonych nożyc w zasięgu ręki wariata i już bez ceremonii kopnął Rafalskiego w kostkę.

Podkomisarz nie zareagował. Cholera, przecież nie mógł zasnąć aż tak głęboko!

Louvain w tym momencie zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do swojego partnera nie spróbował kawy, którą podał im Szymański. Nie miał do tego głowy.

– Dodał nam pan coś do kawy? – zwrócił się do gospodarza.

– Panom zawsze daję na uspokojenie – odparł beztrzesko tamten. – Bo mało który chłop ma w sobie tyle cierpliwości, żeby mi w końcu w pracy nie zacząć przeszkadzać. A to, że za długo... A to, że za drogo... Zawsze tam coś, no to jakoś trzeba było na wyrywność zaradzić...

– Co dokładnie? – spytał Louvain. Ręce mu opadły i jednocześnie był wściekły na siebie, że nie panował nad sytuacją i musiał polegać na uprzejmości jakiegoś psychologa-oszołoma!

– Nic wielkiego, ziółka na spokojność z Laborfarmu...

– Ale on wcześniej brał Vicodin – stwierdził bezradnie Louvain.

– A to przepraszam najmocniej! – Staruszek uśmiechnął się rozbrajająco. – Najwyżej szanowny kolega się trochę prześpi. Na pewno mu posłuży na zdrowie – usprawiedliwił się wyższym dobrem.

Rafalski pół biedy! Louvain i tak za bardzo na niego nie liczył. Gorzej, że Halina posypała się psychicznie. Zamiast się wreszcie ogarnąć, nogi się pod nią ugięły, osunęła się po ścianie i siadła skulona pod nią. W ogóle do tej pory nie zaczęła się ubierać. To znaczy wykonywała koło siebie jakieś niezborne ruchy, ale ledwie zaczęła, to jakby zdawała sobie sprawę, że w chwili nakładania czegoś na siebie będzie miała skrepowane ruchy lub ograniczoną widoczność, więc się powstrzymywała. Nijak nie potrafiła uporać się z tym paradoksem. Natomiast na przystąpienie do działań w samych majtkach i staniku nie potrafiła się zdobyć. Wprawdzie była policjantką, ale coś nią wstrząsnęło zbyt mocno.

Uczynny krawiec szarmancko podał jej spódnice. Wzięła i trzymała ją dalej, tak jakby nie wiedziała, co z tym zrobić.

– To pokazać kopytka? – zapytał Szymański wciąż bardzo przyjaznym tonem.

– Tak. – Komisarz nie miał żadnego pomysłu na alternatywną reakcję.

Damski krawiec sięgnął głęboko do szuflady i na stole do krojenia postawił trzy dziecięce buciki. Wszystkie były lewe, jak zarejestrował Louvain, i musiały należeć do siedmio-, ośmiolatków.

Ze wszystkich wystawały podwójne kikuty żółkłych kości...

Czyli w każdym znajdowały się więc małe, lewe stópkki. Ucięte kilka centymetrów nad kostką i starannie zasuszone.

Halina po raz kolejny spróbowała wciągnąć bluzkę przez głowę, ale zatrzymała się w pół ruchu.

– Ma pan tego więcej? – zagadnął Louvain, siląc się na spokój.

– Czwarte kopytko dopiero się robi.

– Gdzie?

– A to zapraszam na górę! – Szymański zamaszystym gestem zasugerował, aby komisarz poszedł przodem. Po czym zwrócił się do Haliny: – Łaskawa pani nie ma nic przeciwko temu, abyśmy zrobili małą przerwę?

Pani aspirant twierdząco szczerknęła zębami.

– To proszę! – Krawiec nie przejął się tym, że Louvain nie chce się odwrócić do niego plecami, i sam spokojnie ruszył przodem.

Za poczekalnią znajdowały się ubikacja i kuchnia. Szymański wszedł do tej drugiej. Tam, w rogu, wisiała ciężka kotara, za którą znajdowały się schody. Gospodarz zaczął się po nich wspinać.

Louvain, nim ruszył za nim, demonstracyjnie wyjął pistolet.

– Nie trzeba, nic złego nie zrobi! – uspokoił go krawiec.

Weszli na górkę. Były tu dwa pokoje. W pierwszym stały telewizor, biblioteczka z książkami, skórzana kanapa, stolik i dwa fotele. W sumie dosyć miniaturowy, ale przytulny i jasny salonik.

Dalej znajdowała się mroczna, śmierdząca moczem sypialnia.

– Przepraszam najmocniej, ale nie miałem kiedy wynieść nocnika... Tyle człowiek ma pracy...

W sypialni obok siebie stały dwa łóżka. Jedno zasłane, drugie skotłowane przysunięto bliżej okna, przez które padała na nie wąska smuga światła.

Coś tam leżało... Ktoś... Nieduży...

Szymański usiadł przy wezłowi, odchylił kołdrę.

– No, jak tam, kochaneczku? – zagadnęła czule.

Louvain zobaczył twarz chłopczyka z zaszytymi ustami. Dziecko musiało być przywiązane do ramy łóżka. Patrzyło nieruchomo wytrzeszczonymi oczami.

– Diabełek już sobie poszedł czy jeszcze nie? – dopytywał się krawiec, gładząc chłopca po główce. – Nic złego nie będzie, niech nic się nie boi, a, a, a! Wszystko będzie dobrze... zaraz przyjdzie aniołek i zabierze duszyczkę do Bozi, a, a, a!

Na komisarza spłynął wreszcie profesjonalny spokój.

Schował broń do kieszeni marynarki i sięgnął do pasa po kajdanki. Tym razem miał już ze sobą pełne wyposażenie. Przynajmniej tyle dzisiaj nie schrzanił.

– Jest pan... – zaczął i nie skończył. Gwałtownie popchnięty od tyłu zatoczył się w bok. Poleciał na starannie zasłane łóżko gospodarza.

– Ty pieprzony psychopato! – Po sypialni miotła się oszalała pani aspirant, nadrabiając poprzednią bierność nagłym wybuchem emocji. Nadal była nieubrana, ale za to w dłoni trzymała rewolwer dziewiątkę, który, jak pamiętał Louvain, był dotąd w jej torebce.

Wymierzyła w głowę krawca.

– Halina, uspokój się, ale już! – Komisarz zdecydowanie przygiął uzbrojoną rękę do podłogi. – To chory człowiek. Nikomu więcej już krzywdy nie robi.

– Co wy mówicie?! – zdumiał się niezmiernie Szymański. – Ja krzywdę? Jakże to...

Pani aspirant otrzeźwiała i posłuchała rozkazu. Oddała swój rewolwer Louvainowi, a sama przypadła do zmaltretowanego dziecka. Paznokciami zaczęła szarpać więzy trzymające lewą nóżkę. Szymański nie zdjął z niej bucika, w przeciwieństwie do prawej stopy.

– Co robisz, ty wariatko?! – wybuchł gospodarz. – Przecież to antychryst! Diabła chcecie uwolnić?!

Louvain ruszył naprzód, żeby go obezwładnić i skuć. Musiał jednak po drodze ominąć klęczącą przy łóżku Halinę.

Krawiec zorientował się, o co chodzi, wykorzystał dwie dane od losu sekundy. Błyskawicznie otworzył okno i wyskoczył.

Nie spadł. Na dachu rozległy się jego szybkie kroki.

Komisarz odsunął zasłonkę i zobaczył, że zaraz za parapetem zaczyna się wąski gzyms, a dalej na spadzistym dachu leży drabina, po której Szymański właśnie wspinał się na kalenicę.

Ruszył za nim bez wahania. Pościg nie trwał długo, bowiem krawiec nie miał dokąd dalej uciekać. Dach kończył się parę metrów dalej. Jedyne problem polegał na tym, jak sprowadzić tego szaleńca bezpiecznie na dół. Trzeba było więc trochę ponegociować...

Louvain usiadł okrakiem na zbiegu połaci dachowych.

– Panie Szymański, niech się pan opanuje, wszystko wyjaśnimy... – zaczął uspokajającym tonem.

– Ale co tu wyjaśniać? – Stary krawiec wzruszył ramionami i stanął plecami do otwierającej się za nim przepaści. Musiał balansować rękami i skrzyżować stopy, by utrzymać się na wąskim, obłym grzbiecie kalenicy. Każdy mocniejszy poryw wiatru mógł go po prostu stamtąd zdmuchnąć. Szczęściem wiało słabo.

– Jesteście sługami szatana i przyszliście po mnie – kontynuował starzec. – Wiedziałem, w końcu przyjdziecie się zemścić, ale nic się wam nie uda! Schronię się przed wami w domu Ojca. Nie lękam się...

– Panie Szymański, niech pan zaczeka!

Nie zaczekał. Rozkrzyżował ramiona i odchylił się do tyłu. Ułamek sekundy później już leciał, a nim ta sekunda dobiegła kresu, rozległ się łomot uderzającego o ziemię ciała. Właściwie to głośny trzask...

Louvain przesunął się jak najszybciej na kraniec kalenicy i spojrzął w dół.

Szymański powinien przeżyć upadek z tej wysokości. Do ziemi było zaledwie sześć, może siedem metrów. Ale nie przeżył. Spadł potylicą i karkiem na skalny ogródek. Nienaturalnie skrzywiona głowa i mnóstwo krwi na kamieniach nie zostawiały żadnych złudzeń w tej kwestii.

Komisarz przeżegnał się, po czym popatrzył z góry na całą resztę posesji i zrobił znak krzyża raz jeszcze.

Zobaczył w dole jeszcze trzy łabędzie z białego plastyku, symbolizujące chwalebny przemianę brzydkiego szatańskiego kaczątka... Louvain już wiedział, co znajdują w ziemi pod nimi.

Późniejsze śledztwo ustaliło szczegóły całego rytuału. Biały łabędź przed domem, od strony ulicy, oznaczał, że Szymański właśnie odprawia na strychu swoje upiorne egzorcyzmy, sprowadzające się do metodycznego dręczenia i głodzenia autystycznego dziecka aż do jego śmierci. Wtedy krawiec pobierał pamiątkowe „kopytko”, dobrze, że przynajmniej *post mortem*, po czym grzebał zwłoki w ogródku za domem i przenosił na grób łabędzia, umieszczając go pochyło, tak jakby ptak wzbijał się do nieba. Miesiąc lub dwa później przed frontem domu pojawiał się nowy

plastyczny łabędź... Zwyczaj ów był uważany przez sąsiadów za sympatyczne dziwactwo starszego pana. Poza tym hobby to było dość świeżej daty. Do tej pory cykl powtórzył się czterokrotnie. Można dyskutować, czy tylko, czy aż, ale na pewno należy podziękować doktorowi Grabce, bowiem bez jego idealizmu i naiwnego pikietowania gabinetu profesora Kępskiego ofiar nawiedzzonego krawca mogło być znacznie więcej.

Szymański porywał „małych antychrystów” na południu i południowym zachodzie Polski oraz w Niemczech podczas dość częstych wyjazdów w interesach. Dzieciak, którego uratowali, był właśnie Niemcem, miał na imię Artur.

Poszukiwania zaginionych dzieci ograniczały się wyłącznie do działań lokalnych. W końcu było całkiem prawdopodobne, że kilkulatek z zaburzonym kontaktem z rzeczywistością narobił sobie kłopotów gdzieś blisko – zabłądził w lesie, wpadł do wody lub utknął w jakiejś dziurze. Dlatego nikt nie rozsyłał wiadomości ogólnokrajowych, ani tym bardziej za granicę, i nie pomyślał, aby połączyć zaginięcia w jedną sprawę i szukać seryjnego zabójcy. W sumie faktycznie nie było po temu przesłanek. Autystyczne dzieciaki zawieruszały się ciągle, to tu, to tam.

Porwane ofiary Szymański przywoził do siebie uśpione, wykorzystując swoje amatorskie umiejętności w zakresie anestezji, które wypraktykował przez lata, tonując nerwowe reakcje sponsorów zamawianych u niego kreacji. W minionych latach parę osób wracających do domu po przymiarce u krawca z Zalesia przysnęło za kierownicą, ale skończyło się jedynie na drobnych stłuczkach i nikt niczego nie podejrzewał. Winą obarczono własne przecapowanie oraz niże atmosferyczne. Ten „farmaceutyczny” wątek sprawy na tyle mocno kojarzył się z zabójstwami pomocników egzorcysty, że wymagał dokładniejszego sprawdzenia, ale tu Szymański miał alibi. Czas, który zespół Louvaina stracił, ustalając to, okazał się najmniejszym z problemów, które ze zdarzenia w Piasecznie wynikły.

Zacząło się jeszcze na kalenicy, gdzie, poruszony samobójstwem podejrzanego oraz domysłami odnośnie do znaczenia łabędzi w ogrodzie, komisarz próbował pomodlić się za dusze zmarłych, ale niedane mu było dokończyć.

Antyterrorysty zostali wprowadzeni nieopatrnie odprawieni przed czasem, ale za to paparazzi z tabloidów nie odpuścili. Po wczorajszym incydencie u Pochrzęsta dobrze przewidzieli, że dalsze śledzenie grupy Louvaina zapewni im sensacyjny materiał na pierwsze strony. Zanim komisarz się zorientował, dwóch fotoreporterów już wisiało na płocie i obpstrykiwało trupa. Nazajutrz okazało się, że zdołali szczęśliwie

zarejestrować całe samobójstwo Szymańskiego. Tyle dobrze, że przynajmniej widać było, iż Louvain próbował desperata powstrzymać, i wynikło z tego trochę pozytywnego wizerunku. Całkiem zaś dobrze, że Halina zdążyła pójść po rozum do głowy i ubrać się, zanim ją z kolei obfotografowali, bo inaczej to w ogóle strach pomyśleć...

Rafalski obudził się dopiero teraz i przydał do pilnowania furtki, bo bezczelni skubańcy jak nic wleźliby do samej sypialni gospodarza.

Krótko mówiąc, medialna lawina ruszyła razem ze złączącym z dachu Louvainem. Najpierw okazało się, że Szymański nader chętnie opowiadał klientkom o swoich problemach z szatanem i egzorcyzmach, które jakoby pomyślnie przeszedł.

Pytanie „Czy Adam Pochrzest też?” w tej sytuacji narzucało się samo. Odnalezieni migiem przyjaciele i znajomi szurniętego artysty nie dość, że potwierdzili te przypuszczenia, to jeszcze skierowali dziennikarzy wprost do profesora Kępskiego. Ten wprawdzie uciekł przed nimi w dzikim popłochu, ale ustalenie, dla kogo on pracuje, było kwestią najwyżej trzech minut. Wreszcie ktoś z głową na karku powiązał termin „egzorcyzmy” z trójką młodych ludzi zamordowanych ostatnio w Warszawie...

Na marginesie odnotowano, że Szymański nie krył się zbyt wiele ze swoimi „kopytkami” i pokazał te trofea jeszcze kilku ulubionym klientkom. Wszystkie panie uznały je za „urocze gadżety na Halloween”, jedna nawet chciała wypożyczyć. Niestety, żadna z pań nie miała podstawowej wiedzy w zakresie medycyny sądowej, by rozpoznać, że ludzkie szczątki są autentyczne.

Teraz mleko się wylało. Właściwie należałoby powiedzieć, że wykipiało, i to z impetem erupcji wulkanicznej. O godzinie siedemnastej nazwisko księdza kanonika Jana Ryby, egzorcyzty diecezji warszawsko-praskiej, było odmieniane przez wszystkie przypadki we wszystkich kanałach informacyjnych. Głównym ekspertem był doktor Grabko, do którego również dotarto i ciągnano od studia do studia, wręcz wrywając go sobie z rąk. Młody lekarz zachował się przyzwoicie, starał się mówić oględnie, ale i tak, chcąc nie chcąc, powiedział dość, by ludzie o zdrowych zmysłach złapali się za głowy.

Rozognionych nastrojów nie złagodził bynajmniej fakt, że wymieniony egzorcyzta oraz jego zwierzchnik, arcybiskup Mieczysław Morawski, zapadli się pod ziemię. Rzecznik prasowy kurii też się nie popisał. Odpierając medialne obłędzenie, do którego doszło przy ulicy Floriańskiej krótko po godzinie osiemnastej, ksiądz prałat Duchowicki najwyraźniej pomylił oświadczenia i wyrębał z grubej rury, że

wszystkiemu winna jest ideologia gender. Potem wprowadził doprecyzował, że miał na myśli wrogie Kościołowi siły, które chciałyby skompromitować posługę księży egzorcystów, ale mało kogo tym przekonał.

Reszta należała do psychologów społecznych, którym przyszło wkrótce rozbierać na czynniki pierwsze całą tę atmosferę psychozy kryminalno-metafizycznej, absurdu oraz jawnego teatru groteski *dell'arte*. Wszelkie dotychczasowe zabiegi, żeby sprawę ukryć przed mediami, spowodowały kumulację, która zwielokrotniła szok opinii publicznej. Ludzie dowiedzieli się zbyt nagle i zbyt wiele naraz. Prędko pojawiły się opinie, że to „drugi Smoleńsk”.

Louvain przez całe popołudnie i wieczór konsekwentnie odmawiał wszelkich komentarzy. Skupił się na rutynowej robocie, wychodząc z założenia, że terapia zajęciowa jest najlepszym lekiem na totalne wariactwo. Skandal był tak ogłuszający, że przynajmniej nikt z góry mu się w nic nie wtrącał. Zapewne na wysokich szczeblach dowodzenia trwały intensywne narady nad problemem, co teraz myśleć o tym wszystkim.

Około dwudziestej trzeciej Louvaina powiadomiono, że tłum dziennikarzy czatuje pod jego domem, więc komisarz postanowił spać w biurze. Niewygodna perspektywa, ale trudno się mówi!

W Warszawie był jednak jeszcze człowiek, którego bieg wypadków wytrącił z równowagi bardziej niż innych. Redaktor Bilecki przez cały wieczór, bite cztery godziny, w niemym osłupieniu śledził serwisy informacyjne. Nie odbierał nawet telefonów od narzeczonej. Oprócz całkowitego fiaska ich przedsięwzięcia wyszło na jaw coś jeszcze. Pochrzest i Szymański zgłosili się do egzorcysty nie ze swojej diecezji, najprawdopodobniej z powodu sławy księdza Jana, którą zapewniły mu publikacje w „Przyjacielu Egzorcysty”. Na migawkach TV pokazano okładki, bombastyczne tytuły i zdjęcia towarzyszące artykułom Bileckiego.

Potem jedyne, co do niego docierało, za to z narastającą boleśnie jaskrawością, to fakt, że nie okazał się katolickim Jamesem Bondem. Daleko przeciwnie. Określenie „wstrząśnięty i niezmięszany” byłoby eufemizmem, „wstrząśnięty i zdruzgotany” też nie oddawało istoty rzeczy.

Jeszcze nigdy w życiu redaktor Marcin Bilecki nie czuł się bardziej mały, żaloszny, głupi, nieużyteczny i zawstydzony. Teraz mógł się porównać jedynie ze świętym Piotrem, w chwili gdy ów apostoł po trzykroć wyrzekł się Jezusa Chrystusa.

## ROZDZIAŁ 12

### PARADA NIESPODZIANEK

O siódmej rano połamane go w krzyżu po nocy spędzonej w hotelu Louvain poderwał na równe nogi telefon z dyżurki z wiadomością, że przyszedł do niego jakiś ksiądz. Komisarz polecił przekazać mu, aby zaczekał dziesięć minut, po czym wyciągnął z biurka świeżą koszulę i ogarnął się jako tako.

Na widok księdza Jana po prostu zdębiał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Egzorcysta był jak zwykle niewzruszony.

– Na wieki... Proszę bardzo, niech ksiądz kanonik spocznie... – Louvain spojrział w nieruchome oczy psychicznego drapieżnika, jakimś paradoksalnym zbiegiem okoliczności noszącego sutannę, który właśnie z godnością skorzystał z zaproszenia.

Hannibal Lecter niech się schowa! Przemknęło przez głowę komisarzowi.

– Myślę, że pan komisarz, jako doświadczony stróż prawa i porządku naturalnego, domyśla się, jakiego rodzaju człowiekiem jestem – zaczął gość.

– Tak, proszę księdza – odparł Louvain, czekając, co będzie dalej.

– Ja sam również zdaję sobie z tego sprawę, mniej więcej od szesnastego roku życia. Przeczytałem, jak sądzę, wszystko, co możliwe, na temat właściwości mojego charakteru, zatem jakichkolwiek pouczeń w tej mierze nie potrzebuję. Tak, pojęcia dobra i zła są dla mnie tylko abstrakcyjną grą słów, jednak krzywdzenie kogokolwiek nie leży w moim interesie. Mogłoby to w dalszej konsekwencji pozbawić mnie wygód, do których przywykłem. Nie życzę sobie, aby ta rozmowa była nagrywana! – Zmienił temat nagle i bez przygotowania. – Proszę mi to teraz obiecać! Rozmawiamy poufnie. Niech to będzie układ między nami, którego gwarantem będzie pańska przyszła wiarygodność w tego rodzaju kontaktach.

– Oczywiście, proszę księdza. Daję słowo honoru, że wszystko, co tutaj usłyszę, będę traktować jako nieoficjalną wiedzę operacyjną. Zresztą potajemnie nagrywać księdza kanonika wcale nie miałem zamiaru.



– To dobrze.

– Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałbym jeszcze zapytać, skąd w ogóle pomysł na karierę duchowną. Przecież coś takiego jak powołanie nic dla... – Louvain urwał i poprawił się szybko. – Nic w tej sytuacji nie znaczy.

– Jakiś zawód musiałem wykonywać. Ten okazał się łatwy i wygodny.

– Proszę zaspokoić moją ciekawość, czy ksiądz właściwie wierzy w Boga?

– Wierzę. Nie rozumiem wprawdzie, co to jest ta miłość, którą Bóg miałby uosabiać, ale z tego, co widzę, przyglądając się światu, to jednak bardziej ja niż pan jestem stworzony na Jego obraz i podobieństwo.

– Z takimi poglądami spodziewa się ksiądz zbawienia?

– W sensie życia wiecznego – tak. My psychopaci jesteśmy do tego dobrze przygotowani duchowo. Nie będziemy się nigdy nudzić ani niecierpliwic, zatem ja mogę żyć wiecznie, pan raczej nie. Natomiast powodem, dla którego miałbym zostać zbawiony, jest przydatność i posłuszeństwo. Dokładam wszelkich starań w tej mierze, żeby Boga nie zawieść. Ani moich zwierzchników, którzy reprezentują Pana Naszego tu na ziemi. Dlatego bliższa znajomość pojęcia miłości nie wydaje mi się konieczna.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem takich herezji z ust osoby duchownej – stwierdził zaskoczony Louvain. – Jak to się stało, że nie zdemaskowano księdza jeszcze w seminarium?

– Nie dałem powodu. Wykonywałem prawidłowo wszystkie zalecenia i obowiązki. Nie jestem wyjątkiem, takich jak ja jest wielu. Na ile się orientuję, na podstawie własnych obserwacji i szacunków, nadreprezentacja psychopatów w populacji księży wynosi około dwudziestu procent.

– Tak lekko ksiądz o tym mówi...

– A jak mam mówić? Przecież pan komisarz dobrze wie, że nie mam do tej informacji stosunku, jak wy to nazywacie, emocjonalnego. Wiem tylko, że nie powinienem mówić o tym osobom niepowołanym, bo nie będzie to dla mnie korzystne.

– Dlaczego zatem ja to powołanie otrzymałem?

– Ponieważ wynikało to z optymalizacji moich potrzeb.

– Domyślam się, że ksiądz kanonik chciałby mnie o czymś istotnym powiadomić, czy tak?

– Jego Ekscelencja, ksiądz arcybiskup, postanowił zawiesić moją dotychczasową

posługę egzorcysty, a także rozproszyć wspólnotę, która się w związku z tym wokół mnie zgromadziła. Przyznaję, że moja niezdolność rozumienia ludzkich emocji mogła być tego przyczyną. Sądziłem, że dobrze wykonuję swoje obowiązki i są one zgodne z moim charakterem. Jednak bieg wypadków okazał się zupełnie niemożliwy do przewidzenia. Dlatego zostałem skierowany do innego rodzaju obowiązków. Dziś po południu wyjeżdżam do Włoch, ale zdaję sobie sprawę, że gdybym to zrobił bez zobaczenia się z panem, moi zwierzchnicy mogliby mieć z tego powodu poważne kłopoty. Wiem, że na pewno nie zostałemby wydany władzom świeckim, ale wtedy na pewno próbowano by mnie ukryć w jakimś odleglejszym kraju, gdzie klimat i warunki byłyby dla mnie mniej dogodne. Uznałem więc, że będę mógł pozostać we Włoszech, pod warunkiem, że pan komisarz nie zacznie mnie tam szukać, a zatem, żeby pan nie zaczął, lepiej będzie skontaktować się z panem przed wyjazdem.

– Myślę, że to prawidłowe rozumowanie, proszę księdza kanonika. Proszę teraz o ujawnienie właściwego celu tej wizyty.

– Chodzi tu o ten specyficzny rodzaj nielogicznych ludzkich zachowań, który nazywa się potocznie stanem zakochania. Dotyczy on jednej z moich byłych współpracownic i dziennikarza, którego pan komisarz być może zna, Marcina Bileckiego.

– Znam – potwierdził lakonicznie Louvain.

– Ona nazywa się Lucyna Sawicka, przedwczoraj się zaręczyli.

– Zwykłym ludziom to się zdarza...

Ksiądz Jan oczywiście nie zarejestrował ironii, tylko sam komunikat, więc skinął głową z aprobatą.

– Doradzałem im rozstanie, tak byłoby dla nich lepiej, ale mam prawie pewność, że mnie nie posłuchają.

– Czy coś im grozi? – zapytał czujnie Louvain.

Egzorcysta nie zamierzał wprost odpowiadać na to pytanie. Krótko i rzeczowo, w kilku zdaniach, poinformował komisarza o śledztwie, które na własną rękę podjął Bilecki i o roli, którą odgrywała w nim Lucyna Sawicka.

– Rzeczywiście ryzykują wiele. – Komisarz w efekcie sam sobie odpowiedział. – Zabójca jest jeszcze na wolności, a oni mogli mu wejść w paradę... Co gorsza, ten dureń naraził naiwną dziewczynę!

– Tak. Ja również myślę, że pannie Lucynie grozi najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Dlatego postanowiłem powierzyć jej los trosce pana komisarza.

– A ja myślę, że ksiądz kanonik wie coś więcej... Dużo więcej.

– Być może wiem, ale ujawnienie panu tej wiedzy nie byłoby dla mnie korzystne.

– Tu chodzi o ludzkie życie! – Louvain odruchowo użył standardowego argumentu i dopiero sekundę później zdał sobie sprawę, że odwołanie do wyższych uczuć rozmówcy jest w tym przypadku bezcelowe.

Odpowiedziała mu głucha, przeciągająca się cisza. Mogłoby się wydawać, że ksiądz Jan patrzy kpiąco, ale w jego wzroku jak zawsze nie było żadnych emocji.

– Składam ten krzyż na barki pana komisarza i nie mam już więcej nic do dodania

– oświadczył wreszcie duchowny. – Na tym chciałbym zakończyć tę rozmowę.

– To jest utrudnianie śledztwa. – Louvain spróbował groźby.

– Zgłosiłem się do pana komisarza pełen dobrej woli, a pan mi coś zarzuca? Czy aresztuje pan teraz księdza, który przyszedł panu pomóc?

– To byłoby niezręczne – przyznał komisarz, podziwiając w duchu beznamietną precyzję intrygi księdza Jana. Gdyby Lucyna Sawicka zginęła, oni oczywiście uruchomiliby cały Interpol, żeby wydostać egzorcystę choćby spod ziemi w celu przesłuchania go w tej sprawie. Kraje, które nie miały umów z Interpolem, faktycznie znajdowały się z reguły w bardziej dokuczliwym klimacie lub reprezentowały o wiele niższy poziom cywilizacyjnych udogodnień niż słoneczna Italia.

– To spowodowałyby stanowczą interwencję w mojej sprawie – doprecyzował ksiądz Jan. – Pan komisarz to wie.

– Wiem. – Louvain się poddał. – Dziękuję, że ksiądz kanonik mi się zwierzył.

– Skoro pan komisarz taki miły, myślę, że mogę do mojego zwierzenia dodać jeszcze jedną wskazówkę: szatan jest na wolności. To więcej niż metafora.

– Postaram się dociec, co się za tym kryje.

– Proszę ją uratować. – Ksiądz Jan wstał z krzesła. – Ja wprawdzie nie wiem, co to znaczy kogoś lubić, ale przyzwyczaiałem się do obecności panny Lucyny na tym świecie i byłoby ze wszech miar korzystne dla wszystkich, aby tak pozostało. Z Panem Bogiem!

– Żegnam...

Zanim Louvain zdążył przetrwać tę rozmowę, jeden po drugim zadzwoniły jego własna komórka, a potem telefon na biurku. Okazało się, że całkiem odwrotnie niż się komisarz spodziewał, do pracy zamierzał przyjść Rafalski, przysięgając, że może się już obyć bez leków przeciwbólowych i w ogóle więcej tego świństwa do ust nie weźmie, choćby miał wyc jak wilk do księżyca. Natomiast zaległy urlop wzięła od dziś Halina i właśnie dzwoniła, by o tym zawiadomić.

– Liczyłem na ciebie! – Louvain zrugął panią aspirant bez ogródek.

– Przepraszam, panie komisarzu, ja naprawdę muszę pomyśleć, czy jeszcze nadaję się do tej roboty.

– Oczywiście, że się nadajesz! – Louvain pohamował ogarniającą go irytację, w zamian starając się wejść w rolę pieprzonego mówcy motywacyjnego. – Osobiście zdemaskowałaś seryjnego zabójcę, uratowałaś życie jednej z jego ofiar i nie popełniłaś błędów, których nie dałoby się potem odkręcić. Więc jest dobrze! Masz jak w banku pochwałę, nagrodę i awans, pewnie da się załatwić i medal. Słyszałem, że Niemcy też coś dla ciebie szykują... – zełgał, ale z dużym prawdopodobieństwem trafnego przewidywania. – To wszystko razem chyba jest wystarczającą rekompensatą, że z nowej kiecki nici. – Spróbował obrócić sprawę w żart.

– Nie wiem, panie komisarzu. – Wciąż była sztywna i oficjalna. – Ja naprawdę myślałam, że jestem twarda, przygotowana, że potrafię poradzić sobie w każdej służbowej sytuacji. A tam mnie po prostu sparaliżowało.

– Bywa. Bo jesteś normalnym człowiekiem, a nie pojebanym psychopatycznym mordercą. Najważniejsze, że mimo wszystkich nerwów i emocji posłuchałaś mojego rozkazu i nie strzeliłaś mu w łeb. To oznacza, że się nadajesz do służby. Dlatego przestań się mazgać, wylaż z betów i melduj się tu u mnie minuta osiem!

– Nie mogę... Przepraszam. Ja naprawdę... Wyobrażałam sobie wcześniej, że coś takiego może tam być, przewidywałam taką możliwość operacyjną. Jednak kiedy te przewidywania zaczęły na moich oczach stawać się rzeczywistością... To było jakieś straszne *déjà vu*... Proszę, niech pan komisarz zrozumie, to doświadczenie mnie przerosło. Dowiedziałam się o sobie czegoś nowego i muszę pomyśleć, jak z tym dalej żyć...

– W żyć! – Louvain wkurwił się na dobre i rzucił słuchawkę bez pożegnania.

Skoro ta durna pampersowa zaczęła serio zapodawać kawałkami z prasy kobiecej, to faktycznie został jej tylko list pochwalny na pożegnanie ze służbą mundurową i panierowanie schabowych. Szkoda tylko, że słabnącego przyrostu naturalnego pani eksaspirant pewnie już nie poprawi, bo wciąż będzie chodzić za nią tupot uciętych małych stóp...

Komisarz poszedł napić się kawy. Świątobliwy gość oraz szanowni współpracownicy podnieśli mu ciśnienie do tego stopnia, iż miał cichą nadzieję, że po tej kawie szlag go trafi i on też będzie miał urlop. Oprócz napoju Louvain wmuśli w siebie słodkiego rogalika. Nie był głodny, słodczy nie lubił, ale zjadł przez rozum. Rozsądnie było mieć coś w żołądku, bo skoro ten dzień tak się zaczął, to

zgodnie z prawem Murphy'ego rozwój wydarzeń przekroczy ludzkie pojęcie za jakieś dwie, trzy godziny, a już najdalej dojdzie do tego w samo południe.

Uporawszy się z zaimprovizowanym śniadaniem, Louvain zadzwonił do Bileckiego. Zamierzał tak opieprzyć durnego redaktorka, żeby mu w piąty poszło i jeszcze obie urwało na dodatek, aż by się nieświętej pamięci Szymański zdziwił. Patrząc zaś na problem nieco chłodniejszym okiem, wyglądało na to, że trzeba będzie odłożyć na bok wszystkie śledcze bieżączki i w trybie pilnym ściągnąć tu tę parkę samozwańcych tajnych agentów, po czym wdrożyć im program ochrony świadków. Wszystko to w sytuacji, gdy Halina, która najlepiej mogłaby się tym zająć, kontemplowała właśnie głębokość ran swej duszy, a wysokie naczalstwo lada chwila otrząśnie się z szoku i zacznie wydzwaniać z pouczeniami po linii i na bazie.

Bilecki nie odebrał telefonu.

Miał wyłączoną komórkę. Możliwe, że jeszcze spał. W końcu zaliczył pewnie ciężką noc. Nawet to zrozumiałe. Doprawdy mało komu udaje się zrobić z siebie tak koncertowego idiotę! Takie rzeczy to tylko na kablówce, na kanale „Comedy Central”... Parę lat temu Louvain poprzysiągł sobie, że nigdy więcej żadnemu pismakowi nie da się wyprowadzić z równowagi. Teraz tę przysięgę diabli wzięli!

Trudno, trzeba było jechać po durnia do domu!

Dobrze, że przynajmniej Rafalski nie kazał na siebie czekać. Louvain w paru słowach zreferował mu sytuację. Podkomisarz w ramach komentarza zdrową ręką postukał się w czoło i pojechali.

Bilecki wynajmował kawalerkę w jednym z mrówkowców za Żelazną Bramą, z czego wniosek, że mógł być tylko Wietnamczykiem lub „słoiikiem”. Wbrew pozorom rozstrzygnięcie tego dylematu wcale nie było proste, bo może i Bilecki tak na oko na Azjatę nie wyglądał, ale za to, jak się okazało, znacznie gorzej od przeciętnego Wietnamczyka rozumiał po polsku. Mówiło mu się przecież, że ma czekać, aż komisarz Louvain się do niego odezwie, czy nie mówiło?!

Tej jadowitej, obmyślonej po drodze złośliwości nie udało się jednak wygłosić zaspanemu adresatowi w przedpokoju, ponieważ Bileckiego w mieszkaniu nie było.

Były za to wyłamane zamki w drzwiach...

Z Louvaina momentalnie wyparował cały wkurw na redaktora. Rafalski natychmiast sięgnął po komórkę i wezwał ekipę dochodzeniową. Potem obaj weszli do środka.

Trupa na szczęście nie znaleźli. Bałagan był, ale niezbyt duży, co od razu wykluczało pospolite włamanie rabunkowe. Nie skradziono komputera, który stał

włączony i mrugał wygaszaczem ekranu, przedstawiającym aniołka z trąbką. Poza tym wyciągnięto wszystkie papiery z biurka oraz rozsypano na podłodze zawartość teczek i skoroszytów, tworzących podręczne dziennikarskie archiwum. Sprawca najwyraźniej chciał wiedzieć, nad czym pan redaktor ostatnio pracował. W związku z tym, jak się okazało, właściwy kipisz zrobił dopiero w komputerze gospodarza.

Rafalski zajął się nim jako młodszy i lepiej obeznany z nowoczesną technologią. Louvain rozpoczął wstępne oględziny w starym stylu, sprawdzając bardziej klasyczne ślady.

Drzwi zostały wyważone łomem. Nie trzeba było się bardzo wysilać, ponieważ nie zmieniono ich od nowości, czyli od czasów Gomułki. Wystarczyło lekko podważyć, aby śruby mocujące skoble gładko wysunęły się z framugi. Pewnie nawet nie trzeszczały przy tym zbyt głośno. Musiało to trwać znacznie krócej od ewentualnej zabawy z wytrychem.

Drzwi od łazienki zastali zamknięte. Należało wątpić, aby włamywacz starannie zamknął je za sobą, więc raczej w ogóle tam nie zaglądał. To znaczy, że wiedział, że Bileckiego nie ma w domu, czyli wcześniej obserwował mieszkanie. Widział zatem wychodzącego redaktora, po czym wszedł jak po swoje, zajmując się od razu tym, co go najbardziej interesowało.

Poza tym Bilecki nie wyszedł stąd sam. Trochę wcześniej była tu kobieta i zrobiła siusiu, zostawiając po sobie opuszczoną i przykrytą deskę sedesową. Żaden mieszkający samotnie kawaler by tak nie postąpił. Zatem oboje państwo narzeczeni gdzieś się zawieruszyli. Oby tylko nie poszli kontynuować swojego amatorskiego śledztwa...

– Krzysiek, chodź tu szybko! – W głosie Rafalskiego znać było napięcie.

– Co jest? – Louvain wrócił do pokoju.

– Znalazłem to w poczcie, w folderze „elementy wysłane”. – Podkomisarz obrócił ekran w stronę partnera. Były tam skany jakichś dokumentów.

– Co to? – zapytał Louvain, zanim zdążył się im lepiej przyjrzeć.

– Haki na ciebie – zakomunikował sucho Rafalski. – Wysłane do kilkunastu stołecznych redakcji dokładnie dwadzieścia trzy minuty temu. Nie mówieś, że zaczynałeś w esbecji...

Louvain dopiero teraz zauważył na zeskanowanych odbitkach logo Instytutu Pamięci Narodowej i poczuł, że musi usiąść.

– W sumie to twoja sprawa, nie wnikać... – Rafalski starał się zachowywać rzeczowo i profesjonalnie, a więc jak na swój styl bycia całkiem nienaturalnie. –

Trzeba będzie zabezpieczyć ten komputer. Niech informatyk poszpera głębiej w twardym dysku, może jeszcze coś tam znajdzie... – Zabrzmiało to tak dwuznacznie, że podkomisarz zamilkł i z przesadną starannością zaczął zamykać system, po czym odłączył kable jednostki głównej.

Louvain milczał. Tłumaczyć się czy się nie tłumaczyć? To było teraz iście hamletyczne pytanie. Czuł, że będzie musiał, i to często, więc chyba nie ma sensu zaczynać tego za wcześniej? Dalsze rozważania tej kwestii przerwało przybycie patrolu. Przysłano dwóch zwykłych krawężników celem tymczasowego zabezpieczenia miejsca zdarzenia, bo ekipa z technikiem kryminalnym była gdzieś zajęta. Dobre i to!

Komisarz postanowił, że muszą teraz przede wszystkim odnaleźć Bileckiego, więc pojedą popytać u niego w pracy. Wątpliwe, żeby redaktor pojechał do roboty z dziewczyną, ale może dzwonił wytłumaczyć się z nieobecności i tam będą coś wiedzieć.

Rafalski wyszedł z mieszkania bez słowa. Wyraźnie ubyło mu na rozmowności.

– Nie wiem, czy zauważyłeś – odezwał się wreszcie, kiedy wsiedli do windy – ale te kwity poszły też do sekretariatu redakcji „Przyjaciela Egzorcysty”.

Louvain nie skomentował. Nie miał ochoty domyślać się, co z tego będzie, wolał zobaczyć to na własne oczy. Czasem lepiej nie mieć za dużo wyobraźni...

Jego wejście do pokoju redakcyjnego zostało przyjęte jak manifestacja samego szatana. W przesłanych dokumentach były stare i nowe zdjęcia Louvaina, zatem identyfikacja nie nastroczała żadnych trudności. Co więcej, była to najwyraźniej sensacja dnia, bowiem policjanci zastali cały zespół w stanie gorączkowego podniecenia. Wszyscy porzucili pracę, a wydruki dokumentów przesłanych przez kolegę Bileckiego wręcz wrywano z drukarki, po czym sobie nawzajem z rąk.

– Precz z komuną! – wrzasnął jakiś pryszczaty okularnik na widok wchodzącego komisarza.

– Proszę państwa, proszę o chwilę uwagi! Sprawa jest bardzo poważna... – Louvain spróbował przejąć inicjatywę, ale bez skutku.

– Czy ma pan nakaz przeszukania naszej redakcji?! – zawołał oficjalnym tonem osobnik wyglądający na redaktora naczelnego lub przynajmniej jego zastępcę. – Jeśli nie, to proszę natychmiast opuścić lokal!

– Nie mamy zamiaru przeszukiwać waszej redakcji. – W sukurs koledze pospieszył Rafalski. – Szukamy jedynie redaktora Bileckiego. Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie on teraz jest.

Ktoś zaśmiał się nerwowo, po czym z każdą kolejną upływającą sekundą ten śmiech stawał się coraz bardziej histeryczny.

– To niesłychane! – Człowiek, który wcześniej domagał się nakazu, teraz aż zatrząsł się z oburzenia i świętej zgrozy. – Żeby takie rzeczy działy się jeszcze ćwierć wieku po upadku komunizmu?! W wolnej Polsce?! Niepojęte! Choć może należało się tego spodziewać... No więc co panowie chcieliby teraz zrobić naszemu koledze? Wywieźć go gdzieś do lasu i skatować? Połamać mu palce? Utopić może...?

Do Rafalskiego dotarło, że wyraził się niezręcznie, ale już nie wpadł na pomysł, jakby tę gafę odkręcić, tylko zamilkł z opadniętą szczęką. Nie jego epoka i nie ten wiek, jak mawiał poeta, więc podkomisarz zupełnie nie wiedział, jak poradzić sobie w nagle zmartwychwstałych realiach *ancien régime*...

– Proszę państwa! – z konieczności znów musiał zabrać głos Louvain. – To jest kompletne nieporozumienie! Nie mam żadnych złych zamiarów wobec pana redaktora Bileckiego...

– Akurat! – wrzasnął ktoś.

– Z serca mu wybaczam... – Teraz z kolei Louvain zdał sobie sprawę, że jego religijne przyzwyczajenia podsunęły mu nie te słowa, które należałoby w tej sytuacji powiedzieć, o ile w ogóle takowe były.

Odpowiedział mu ogólny szyderczy śmiech.

– Precz z komuną! – zawołała z kolei jakaś dziewczyna. – Wynoście sięęę...! – Głos jej tak zawibrował, że mało nie popękały szyby w oknach.

Redaktorowi, który wypowiadał się dotąd w imieniu całego zespołu, z emocji zabrakło tchu i słów.

– Niewiarygodna bezczelność... Diabelska przewrotność... – wyrzucał z siebie w jawnym szoku. Najpierw poczerwieniał, a teraz z kolei zaczął gwałtownie błędnąć.

– Proszę państwa! – Louvain nie ustępował. – Redaktorowi Bileckiemu i jego narzeczonej grozi niebezpieczeństwo. – Uznał, że w tych okolicznościach powinien ujawnić tajemnicę śledztwa. – Dlatego bardzo was proszę, abyście nam pomogli. Jestem jak najdalszy od jakiegokolwiek osobistej zemsty.

– Kłamstwo! – wydyszał szef zespołu. – Ohydne kłamstwo... I to w żywe oczy!

– Mordercy!!! – wrzasnęła histerycznie łamiącym się głosem redaktorka, która wcześniej krzyczała „precz z komuną”.

– Proszę pohamować emocje i nie utrudniać śledztwa! – Rafalski postanowił okazać stanowczość, ale oczywiście dołał tylko oliwy do ognia.



– Oni obaj są opętani! – poinformował policjantów mężczyzna w średnim wieku, który dotąd sprawiał wrażenie najprzystojniejszego w tym gronie. – Tylko modlitwa wyzwoli nas i ich z mocy mrocznych sił!

Wariatka wymyślająca poprzednio od morderców natychmiast padła na kolana i zaczęła głośno odmawiać „Ojcze nasz”.

Louvainowi zabrakło pomysłów na rozwiązanie tej porąbanej sytuacji. Bezradnie wodził wzrokiem od twarzy do twarzy i nabierał graniczącego z absolutną pewnością przekonania, że obaj z Rafalskim trafili do filii szpitala psychiatrycznego i niechący przerwali sesję terapii grupowej.

– Może jednak zgarnijmy ich wszystkich za utrudnianie śledztwa i naruszenie czci funkcjonariuszy? – zaproponował półgłosem podkomisarz. – Na dołku wyparuje z nich całe to oszołomstwo i może w końcu się dogadamy...

Z braku laku Louvain zaczął się nad tym serio zastanawiać, jednak żadnej decyzji podjąć nie zdążył.

– Bracia i siostry! – zawołał ktoś za nimi wielkim głosem.

To musiał być nie kto inny jak sam redakcyjny ksiądz asystent, o którego istnieniu wspominał wielokrotnie Bilecki. Oficjalny przedstawiciel Kościoła nie pokazał się wcześniej, gdyż najwyraźniej potrzebował czasu, aby rozeznac sytuację i należycie się do niej przygotować. Teraz wyszedł z nałożoną stulą i z uniesionym w prawej dłoni metalowym krucyfiksem, który zwrócił w stronę policjantów.

– Bracia i siostry! – powtórzył z powagą. – Odmówmy razem egzorcyzm do świętego Michała Archanioła, aby obronił nas przed złymi duchami i zmusił je, ażeby opuściły to miejsce.

Uklęły jeszcze trzy osoby.

– Święty Michale Archaniele! – zaczął ksiądz asystent. – Wspomagaj nas w świętej walce! A przeciw niegodziwościom i zasadzkom złego ducha bądź naszą obroną! Oby ich Bóg pogromić raczył! Pokornie prosimy, aby Księżę wojska niebieskiego szatana oraz inne duchy złe, które na zgubę naszą po tym świecie krążą, mocą bożą strącił do piekła! Tam ich miejsce, a nie tu!

– Amen!!! – zawołał chórem wszyscy członkowie redakcji.

– Święty Michale Archaniele... – Egzorcyzm zaczął się od początku.

– Nadal chcesz ich drutować? – rzucił półgłosem Louvain do Rafalskiego.

– Chrzanić to! – syknął wkurzony podkomisarz, obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Louvain podążył za nim.

Odwrót przedstawicieli sił ciemności został przyjęty gromkimi brawami zgromadzonych. Najbardziej podniecona dewotka na kolanach podeszła do kapłana, który to sprawił, i z fanatycznym uwielbieniem pocałowała go w rękę.

– Nie pokazuj mi jutro żadnych gazet! – powiedział Louvain do partnera, kiedy schodzili po schodach. – Nawet o nich nie wspominaj!

– Co robimy dalej? – Podkomisarz znów był neutralnie profesjonalny.

– Wracamy do firmy! Trzeba formalnie dać znać do telekomunikacji, żeby sprawdzili, przy których masztach antenowych logowała się ostatnio komórka Bileckiego, jeśli ją wreszcie włączył. I znaleźć numer do Sawickiej. Może w ten sposób ich namierzemy.

– OK – rzucił lakonicznie Rafalski.

ROZDZIAŁ 13  
GABINET GROZY

Lucyna krzyczała na całe gardło.

Z szeroko otwartymi oczami, rozdygotana, przerażona, kurczowo chwytając się poręczy i co chwila zmieniając uchwyt, ale to w niczym nie przywracało poczucia bezpieczeństwa, więc znów zaczynała desperacko macać wokół siebie. Z początku wyglądało to na żart, kokieterię, może trochę przerysowaną, ale już po chwili emanowało z niej tylko czyste przerażenie. Sprawiała wrażenie, że zaraz stąd wyskoczy, ba, z samej siebie nawet, byle dalej, byle na ziemię! Z pewnością zrobiłaby coś szalonego, nieobliczalnego, wręcz niebezpiecznego, gdyby tylko sama myślała o tym nie zwielokrotniała irracjonalnego lęku.

– Boże, Boże... – jęczała i zaraz, zdawszy sobie sprawę, że przyzywa nadaremno, chciała się przeżegnać, ale to pozbawiłoby ją jednego punktu oparcia, więc poprzestała na konwulsyjnym machnięciu ręką, i znów wczepiła się w krawędź ławy.

– Uspokój się. – Zdetonowany Bilecki starał się mówić najspokojniej, jak umiał.  
– Przynęś się do ciebie... Przytulę...

Próba spełnienia obietnicy sprawiła, że gondola znacznie odchyliła się od poziomu, co jedynie wzmogło panikę Lucyny. Wrzasnęła tak, że sąsiednia para i obsługa dole przestali dyskretnie skrywać uśmiechy. Już bez ogródek rechotali z wariatki.

– Nie! Siedź, gdzie jesteś! – wydyszała Lucyna pokryta śmiertelną bladością. – Nie ruszaj się... – W oczach miała takie błaganie, że Marcin powolutku wrócił na swoje miejsce.

Tymczasem diabelski młyn na placu Defilad wyniósł ich dopiero do połowy szczytowej wysokości. Na szczęście cała machina zatrzymała się teraz, żeby ci na czubku mieli chwilę na podziwianie panoramy śródmieścia. To pozwoliło Lucynie ochłonąć nieco i wrócić do zdrowych zmysłów. Przynajmniej względnie...

– Czemu nie powiedziałaś, że masz lęk wysokości? – Bilecki dołożył starań, by w jego głosie nie zabrzmiał ton pretensji.

– Myślałam... że przy tobie... nie będę się bać... – wykrztusiła. – Gdybym nie chciała, to byś zrezygnował... A ja widziałam, że masz ochotę... gdzie ty, tam ja...

Wypadało ją po takim wyznaniu pocałować w rękę, ale to oznaczałoby konieczność przesunięcia się bliżej i kolejne bujnięcie gondoli. Bilecki poprzestał więc na ostrożnym wyciągnięciu ręki i dotknięciu czubkami palców jej dłoni. Tylko tak oszczędny gest nie naruszył chwiejnej równowagi.

Jednak na niewiele to się zdało, gdyż diabelski młyn ruszył znowu. W pierwszej sekundzie wszystkimi gondolami majtnęło naprawdę mocno. W efekcie wrzask Lucyna dał się słyszeć we wszystkich zakątkach placu Defilad. Może nawet na samej galerii widokowej Pałacu Kultury.

– W porządku?! – upewnił się zaniepokojony ochroniarz na dole.

– Tak! Tak! – odrzyknął mu Marcin.

– Cudownie! – zapewniła ze swej strony Lucyna, kurczowo zaciskając powieki.

Zatrzymali się w szczytowym położeniu.

– Zobacz, jak tu ładnie! – zachęcił narzeczoną Bilecki. – No, otwórz oczy...

Proszę.

Pokręciła przecząco głową.

– Powiedz mi, jak już będziemy z powrotem na dole.

Wobec tego sam redaktor przekręcił się na swoim siedzeniu i popatrzył na dachy Domów Towarowych Centrum i kamienic przy Alejach Jerozolimskich. Warszawa na poziomie dachów to był całkiem inny świat. Bilecki pomyślał, że patrzy w tej chwili na miasto oczami aniołów...

Lucyna dzisiaj okazała się jednym z nich. Cóż z tego, że z lękiem wysokości. Przyszła do niego z samego rana, żeby go pocieszyć. Nie miała żadnych pretensji, nie robiła wymówek, że dopuścił do medialnej katastrofy. Raczej siebie gotowa była obwiniać, że za mało przykładała się do zdobywania potrzebnych mu informacji. Gdyby nie to, z pewnością jemu udałoby się coś zrobić... Pytanie co? On ze swej strony wiedział aż nadto dobrze, że schrzanił robotę, bo romansowanie zepchnęło wszystko na plan dalszy, ale dołożył starań, by jej tego nie wypominać. Zapewniał więc, że to jemu zabrakło roztropności.

Ta wzajemna licytacja na poczucia winy zakończyła się kilkoma namiętnymi pocałunkami w przedpokoju, aż zrobiło się naprawdę gorąco. Tym razem Lucyna nie zaprotestowała, kiedy jego dłoń znów znalazła się na jej piersi. Przez miseczki miękkiego stanika wyczuł już jędrniejące brodawki... Przypadł ustami do dekoltu. Jeszcze chwila, a zaczęłby jej rozpinać bluzkę. Na dodatek zaskoczony wizytą narzeczonej nie zdążył posłać łóżka. Grzech nieczystości był więc naprawdę o krok.

Na szczęście dobry Bóg ustrzegł ich od siideł pokusy!

Opamiętali się jakoś, ale rozstać się teraz i rozejść do pracy nie mieli siły. Postanowili więc, że cały ten dzień spędzą razem. Kiedy Lucyna poszła do łazienki, Marcin zadzwonił do redakcji, by powiadomić, że bierze dzień wolny i że to pilne. Nic więcej nie dodał, nie chciał się tłumaczyć ani kłamać.

Mimo wszystko krew jeszcze burzyła się w nich, więc postanowili wyjść z domu i trochę zaszaleć na mieście. Tym sposobem wylądowali na zimowym festynie na placu Defilad, w gondoli diabelskiego młyna. Lucyna najadła się naprawdę dużo strachu, ale przynajmniej cielesne żądze przestały ich dręczyć.

Wreszcie zjechali na dół i tu wciąż pokrzykującą ze strachu pannę udało się wyprowadzić z rozchybotanej gondoli ku niemałej ucieście bramkarzy. Jednak kiedy Lucyna poczuła twardy grunt pod nogami, odzyskała natychmiast rezon i obróciła całą sytuację w żart. Że niby wykrzyczeć się jest bardzo zdrowo. Okazała się w tym nawet całkiem przekonująca, sądząc po minach panów z obsługi.

Ba, zaskoczyła nawet samego Bileckiego.

– Wiesz, mam ochotę pobać się jeszcze trochę... – zakomunikowała, tuląc się do niego.

– To może teraz karuzela? – zaproponował ostrożnie Bilecki.

– Wolę jednak coś bardziej przyjemnego.

– Gabinet grozy?

\*\*\*

– Cholerni tajni agenci! – klął w żywy kamień Louvain, czytając wydruki. Jasna krew zalała go już jakiś czas temu. Teraz komisarz czekał na trzęsienie ziemi. I nie miał najmniejszych wątpliwości, że jak zaraz jebnie, to skali Richtera zabraknie!

Być może tego właśnie szukał włamywacz, ale doświadczony w redakcyjnej robocie Bilecki zdołał zabezpieczyć i ukryć plik na dysku na tyle dobrze, że tamten go nie znalazł. Natomiast ich biegły informatyk poradził sobie w trzy minuty, i tak oto na biurku komisarza wylądował szkic przyszłego artykułu wraz z notatkami ze spotkania z „L”... Szalenie trudny do odgadnięcia monogram! Gdybyż ten dureń napisał chociaż „głębokie gardło”, to można by przynajmniej podejrzewać, że chodzi o jakieś dziwki...

Doprawdy, nie wiadomo było, czy się śmiać, czy płakać. Z zapisków Bileckiego wynikało jasno, że oboje zielonego pojęcia nie mieli, w co się wpakowali, przede wszystkim nie wiedzieli, że w tej sprawie musi działać drugi zabójca, naśladowca

Damięckiego, a co gorzej dla siebie, wyraźnie wpadli na właściwy trop. Już sam fakt, że świątobliwy pan redaktor zachował te informacje wyłącznie do własnej wiadomości, kwalifikował się jako formalne utrudnianie śledztwa i powód do pogawędki z prokuratorem Witeckim na temat mielenia tatara. Najlepiej z jąder. No i oby tylko na tym się to skończyło, bo z punktu widzenia głównego sprawcy wcińska parka bez wątpienia kwalifikowała się do całkowitej likwidacji. I to koniecznie w jakiś malowniczy starotestamentowo-apokaliptyczny sposób. Tymczasem mimo uzyskania nowych, istotnych wskazówek śledztwo należało zawiesić na kołku i skupić się teraz na ratowaniu pary szczęśliwych narzeczonych.

Gdzie oni byli, do cholery?!

Telefon komórkowy Bileckiego ostatni raz logował się w sieci, korzystając z anteny znajdującej się najbliżej jego mieszkania. Potem dureń ciężki swoją komórkę wyłączył. Ustalenie numeru Sawickiej natknęło się na niespodziewane trudności. Dyrektorka szkoły, w której narzeczona Bileckiego pracowała, zaczęła bełkotać coś o ochronie danych osobowych i zażyczyła sobie formalnej podkładki w charakterze dupochronu, a Witecki akurat był w sądzie. Słowem, wszystko sprysnęło się wbrew funkcjonariuszom!

Minęła godzina z hakiem, zanim udało się ustalić, że komórka Sawickiej zalogowała się ostatni raz w okolicach placu Defilad. Zapewne gołąbki poszły sobie pogruchać na zimowym festynie.

Narzeczona pana redaktora telefonu nie odebrała. Widać nie miała w zwyczaju rozmawiać z nieznajomymi. Louvain zawołał Rafalskiego i zakomunikował mu, że jadą pod Pałac Kultury. Podkomisarz uznał, że o tej porze nie powinno być tam zbyt wielu ludzi, więc oni dwaj wystarczą, żeby sprawdzić cały teren. Tylko byle szybko, zanim zakochani nie poszukają sobie kolejnej atrakcji... Nie był to do końca rozsądny pomysł, ale Louvain był zbyt wkurwiony, żeby na dodatek spierać się jeszcze z partnerem i nalegać na wsparcie mundurowego patrolu.

Kiedy wychodzili z pałacu Mostowskich, akurat gdy mijali portiernię, przyszedł SMS, że Bilecki znów wyłączył komórkę. Louvain stanął i natychmiast do niego zadzwonił, ale pan redaktor, podobnie jak wcześniej jego bogdanka, telefonu po prostu nie odebrał.

Jako się rzekło, krew zalała komisarza już wcześniej, więc teraz w stanie białej gorączki poinformował on bardzo głośno wszystkich wokół, co własnoręcznie ukręci, a następnie wyrwie z dupy cholernemu pismakowi, jak go tylko spotka! Pomijając zbędne szczegóły, Louvain w całkiem nieprofesjonalny sposób załatwił

sobie wielu świadków kierowania gróźb karalnych pod adresem przedstawiciela wolnej prasy w demokratycznym państwie prawa.

No faktycznie, nie powinien był, nie z jego doświadczeniem, ale granice paranoi zostały przekroczone znacznie wcześniej. Można by rzec, iż aktualnie pana komisarza coś po prostu opętało...

\*\*\*

Kupili więc bilety do pałacu strachów.

Bilecki miał pewne wątpliwości, czy to aby na pewno godziwa rozrywka. Granica okultyzmu i satanizmu była niepokojąco blisko, a może nawet zostanie przekroczona... Marcin uznał jednak, że nie będzie obciążać Lucyny rozterkami swojego sumienia. Ona by się z nim natychmiast zgodziła, ale na pewno też byłaby rozczarowana. Lepiej więc było jej nie psuć zabawy, zwłaszcza po tym, jak najadła się strachu na diabelskim młynie. Jakaś rekompensata się jej należała. W sumie i tak dobrze, że jeszcze chciała się bawić.

Kiedy stanęli w kolejce do wózków, którymi mieli wjechać do przybytku straszdeł, ktoś przypadkiem otarł się o Bileckiego, który w tym momencie zdał sobie sprawę, że nie ma w kieszeni telefonu komórkowego.

Pamiętał na pewno, że go tam wcześniej wkładał...

Okradli go czy zgubił?

Starszy mężczyzna, który go potrącił, nie wyglądał podejrzanie. Powiedział „przepraszam” i oddalał się niespiesznie. Był zbyt dobrze ubrany jak na drobnego złodziejzaka. Bilecki pomyślał więc, że komórka mogła mu wypaść, kiedy wyciągał roztrzęsioną Lucynę z gondoli diabelskiego młyna. Faktycznie trochę się przy tym nagimnastykował i wtedy telefon mógł mu wylecieć.

Przeprosił więc narzeczoną na chwilę i zawrócił pod diabelski młyn. Nie chciał Lucyny niepokoić, więc nie powiedział jej, co się stało, a tylko tyle, żeby chwilę zaczekała, i oddalił się, zanim zdążyła zapytać dlaczego. Pozwolił jej przypuszczać, że idzie do toalety. Bierne wprowadzenie w błąd w dobrej sprawie to chyba nie grzech...? Jeśli już, to lekki.

Niespełna minutę później po tym, jak Marcin zniknął jej z oczu, Lucyna otrzymała od niego SMS:

**NIESPODZIANKA! WEJDŹ DO STRACHÓW SAMA!**

Poza tym było jeszcze nieodebrane połączenie z jakiegoś nieznanego numeru,

więc nie oddzwoniła. Pewnie kolejna natarczywa reklama. Lucyna wróciła do kolejki i zaczęła na wolny wózek do pałacu strachów. Kiedy podjechał, obejrzała się jeszcze, czy Marcin nie wraca, po czym wsiadła już bez dalszego ociągania.

Obsługujący wejście mężczyzna zapiął jej łańcuch zabezpieczający przed wypadnięciem z wagonika w czasie jazdy i pchnął wehikuł na tryby napędowe.

Rozległ się przenikliwy zgrzyt. Niespodziewanie spowaźniała, samotna Lucyna Sawicka z energicznym łoskotem odjechała w ciemność pełną potworów, zawodzeń i fosforyzujących kościotrupów.

\*\*\*

Telefon się znalazł!

Miała go faktycznie obsługa diabelskiego młyna. Ochroniarz powiedział, że właśnie przed chwilą oddał go jakiś dzieciak, a więc musiał go znaleźć gdzieś tu blisko. Ucieszony Bilecki nie wnikał już dokładnie, kto i gdzie dokładnie jego komórkę znalazł. W zamian uciął sobie z życzliwym ochroniarzem krótką pogadankę na temat dobrego wychowania współczesnego młodego pokolenia, wyrażając przypuszczenie, że ów uczciwy chłopiec musi pochodzić z porządnej katolickiej rodziny. Rozmówca redaktora ze swej strony stwierdził, że taka solidność zasługuje na nagrodę, i solennie zapewnił, że jak małowata znów spotka, przekaże mu znaleźne...

Tym sposobem po upływie pięciu minut, uboższy o dwadzieścia złotych, Bilecki wrócił tam, gdzie zostawił narzeczoną.

Zdziwił się, że jej nie spotkał. Wprawdzie się nie umawiali, ale wydawało mu się, że ona wyszła z krótkiej kolejki, aby poczekać na jego powrót. Czyżby jednak pojechała sama?

Mężczyzna obsługujący wjazd zapytany, czy widział dziewczynę w pomarańczowej kurtce, potwierdził i dodał, że wózek z tą panią powinien już wyjechać z pałacu. Właściwie to jakiś czas temu...

Zdziwiony Bilecki ruszył zatem do wyjścia z gabinetu grozy. Akurat wyjechało stamtąd kilka pustych wózków i potoczyło się bezwładnie po pochylni w kierunku rampy wjazdowej.

Lucyny nigdzie nie było.

Marcin cierpliwie czekał, jednak, kiedy z pawilonu wyjechała trójka rozemocjonowanych nastolatk, zapewne na wagarach, których wjazd redaktor



widział podczas rozmowy z wózkowym, cierpliwość redaktora skończyła się wokamgnieniu.

Lucyna z pałacu strachów nie wyszła!

Musiała tam być już z dziesięć minut. Mogłaby w tym czasie zaliczyć z pięć kursów. I niby co miałyby tam tyle czasu robić?

Jeśli wyszła, to najwyraźniej zaraz potem gdzieś sobie poszła, obrażona na narzeczonego, który pozostawił ją samą na pastwę losu...

To ostatnie było najbardziej prawdopodobne. Może Lucyna zauważyła jego pogawędkę z ochroniarzem przy diabelskim młynie? Czyżby to ją tak rozgniewało?

Bilecki chwycił komórkę i połączył się z Lucyną. Mimoходом zarejestrował, że ma nieodebrane łączenie od komisarza Louvaina, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

Lucyna nie odebrała.

Ona chyba naprawdę mocno się na niego pogniewała. Marcin postanowił wysłać jej SMS z przeprosinami. Zaczął szukać ostatniego kontaktu. Ze zdenerwowania otworzył nie tę opcję i pokazała się skrzynka z wiadomościami wysłanymi. Redaktor zobaczył SMS, który do Lucyny wysłał ktoś podszywający się pod niego.

Żeby sama weszła...

Włosy po prostu stanęły Bileckiemu dęba. Lodowaty strach zalał mu gardło, a następnie twardą bryłą lodu przetoczył się przez brzuch i osiadł ciężko w dole nóg. Redaktor nie był w stanie zrobić kroku, myśleć ani dobyć z siebie głosu. Zmroziło go i poraziło do szpiku kości.

Potem, po nie wiedzieć jak bardzo długiej chwili, jego wzrok padł na tabliczkę umieszczoną przy wylocie biegnącego przez pałac strachów tunelu: „Niebezpieczeństwo! Wejście surowo wzbronione!”.

Pobiegł tam pod prąd.

Uskoczył przed wyjeżdżającym wagonikiem, odgarnął zasłonę z pasów czarnej gumy, przedostał się przez służę świetlną i po sforsowaniu drugiej zasłony wpadł w mrugającą magmę sino-czerwono-zielonych świateł i kakofonicznych dźwięków: wrzasków, upiornych chichotów, buczenia, zawodzenia.

Kolejny wózek omal nie połamał mu goleni. Wpółoślepiiony i oszołomiony Bilecki zauważył go w ostatniej chwili. Ktoś w nim siedział i chyba teraz naprawdę się przeraził. Nieważne! Redaktor brnął naprzód, nie bacząc, że w takim otoczeniu oraz w tym stanie ducha poleganie na zdrowych zmysłach było co najmniej zawodne i nierozsądne. Właściwie to całkiem bez sensu.

Jakaś czarownica na miotle wyleciała mu prosto w twarz, omal nie wybijając zębów drzewcem miotły. Okrywające kukłę łachmany zakryły Bileckiemu oczy, tak że nie zdążył uskoczyć przed następnym wagonikiem.

Dostał w lewy goleń, aż mu zaćmiło umysł. Zdał sobie sprawę, że sam wrzasnął z bólu, ale w tym otoczeniu był tylko jeszcze jedną efektowną dekoracją. Szaleństwo było w nim, szaleństwo było wokół niego, szaleństwo go pochłaniało...

Tylko widzowie siedzący nisko w wagonikach byli bezpieczni. Człowiek wyprostowany co chwila wpadał w jakieś pułapki. Akurat wymachujący rękami kościotrup cudem tylko nie wydlubał Bileckiemu oka twardym, ościstym palcem.

Potem był jakiś wisielec. Właściwie to powieszona kobieta. Bilecki energicznie odepchnął ją z drogi, aby przejść dalej, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to nie jest kukła...

To było ciało, jeszcze ciepłe ludzkie ciało.

Obrócił je ku sobie i wówczas migające stroboskopowo niebieskie światło ukazało mu twarz Lucyny. Oczy miała szeroko otwarte, błyskające sino. Wysunięty język dotykał podbródka. W tym oświetleniu kolor ubrania wydawał się całkiem inny, nie pomarańczowy, ale jakby beżowy... Język był czarny, a sukienka w okolicach ud mokra od moczu.

Bilecki cofnął się i patrzył. Szczęśliwym trafem stanął akurat w miejscu, gdzie przejeżdżające co chwila wózki mijały go bezpiecznie.

Nic nie zrobił. Po prostu stał i gapił się na wiszącą Lucynę. Ona zaś kołysała się, potrącana przez kolejne wózki.

Redaktor nie przyjmował tego widoku do wiadomości. Tego nie było, to nie mogła być prawda... Dopiero kiedy Marcin Bilecki opuścił wzrok, na dłoni trupa dostrzegł błysk swojego pierścionka zaręczynowego. Wówczas zrozumiał, wtedy dotarło do niego.

Zawył. Przeraźliwie, dziko, chwytając się za skronie, przepełniony pragnieniem, aby natychmiast umrzeć, a wszystkie straszidła gabinetu grozy zawtórowały mu w szyderczym chórze, mrugając ślepiami, bucząc i gestykułując konwulsyjnie w bezlitosnej parodii jego nieszczęścia.

Koszmarna groteska tej sceny paradoksalnie sprawiła, że w głowie redaktora zatliła się jeszcze iskierka zdrowego rozsądku.

Może ona jeszcze żyje? Może da się reanimować... czasu niedużo...

Ruszył, aby zdjąć ciało, lecz wtedy coś pochwyciło go brutalnie za ramię. Albo ktoś... Nie zdążył tego rozstrzygnąć. Wstrząs elektryczny z paralizatora zamienił

wszystkie jego mięśnie w półpłynny budyń.

Redaktor Bilecki bezwładnie jak wór runął na twarz, wprost na szyny wagoników dla zwiedzających pałac strachów.

Na zewnątrz, sto metrów dalej, pośrodku placyku z kramami ze świątecznymi ozdobami, Louvain i Rafalski przyglądali się intensywnie mijającym ich ze wszystkich stron ludziom, wypatrując wśród przechodniów poszukiwanej pary.

W końcu uwagę obu policjantów przykuły krzyki oraz rosnące z każdą chwilą zamieszanie przy pałacu strachów.

## OSOBISTY ASYSTENT ARCYBISKUPA

Tłum dziennikarzy kłębiących się przed pałacem Mostowskich niewiele różnił się od stada oczadziałych od zapachu świeżej krwi rekinów. No może tylko tym, że tych tutaj, w przeciwieństwie do morskich drapieżników, można było jeszcze bardziej rozdrażnić. Starczyły jakieś nieopatrzne słowo lub nerwowy gest, które ci dranie starali się z całym rozmysłem sprowokować.

– Panie komisarzu, czyżby to pańskie dawne nawyki wzięły górę po latach?! Natura ciągnie wilka do lasu?!

– To tak zwykła się mścić komunistyczna Służba Bezpieczeństwa?! Czy jest pan może zwolennikiem ruchu rekonstrukcji historycznej?!

– Czy redaktor Bilecki podzieli teraz los Krzysztofa Olewnika?! Gdzie go więzicie?!

Te ostatnie insynuacje były najgorsze. I co więcej, mogły być teraz rzucone całkiem bezkarnie. Gdyby w pałacu strachów znaleźli zwłoki i Sawickiej, i Bileckiego, byłoby to doprawdy lepsze od aktualnej sytuacji, w której mieli tylko ciało nauczycielki, a jej narzeczony znikł jak kamień w wodę. Najwyraźniej został porwany. Przez kogo? Odpowiedź na to pytanie narzucała się sama w kontekście świeżo ujawnionych i rozestanych po stołecznych redakcjach faktów z przeszłości komisarza Louvaina. Do ponurej doskonałości uzupełniały tę intrygę zeznania zespołu redakcyjnego „Przyjaciela Egzorcysty” – wszyscy jednogłośnie, z samym księdzem asystentem na czele, przysięgali, że oszałały eksesbek osobiście wtargnął do redakcji, żeby się zemścić na ich wspaniałym koledze... Jakby komu tych oszołomów było mało, to byli jeszcze poważni funkcjonariusze, którzy na własne uszy słyszeli wybuch komisarza po tym, jak Bilecki nie odebrał jego telefonu.

Dość powiedzieć, że rutynowe czynności w pałacu strachów spadły prawie w całości na głowę Rafalskiego. Louvaina po niespełna godzinie wygarnął stamtąd wydział wewnętrzny. Maglowali go przez cały wieczór i pół nocy. Ich w końcu udało mu się przekonać, ale nie media. Te dostały zbyt dobry i gorący temat, aby z niego zrezygnować tylko dlatego, że jakieś głupie, drugorzędne fakty się tu nie zgadzały. Z wczorajszej dobrej prasy i pozytywnego wizerunku komisarza nie zostało nic. Ba,

ci, co go niedawno wychwalali, teraz, aby zatrzeć to niebywałe *faux pas*, poczuli się do wzmożonej nadgorliwości w obrzucaniu go błotem. Mało tego, sprawa zaczynała się robić polityczna, bo już w sejmie posłowie wiecznej opozycji zaczęli gardłować, że gdyby oni rządili, toby zawczasu zlustrowali, i do takich rzeczy, oczywista oczywistość, by nie doszło!

Szczerze mówiąc, Louvain sam nie wiedział, jakim cudem jeszcze nie odsunięto go od śledztwa. Spodziewał się tego jak amen w pacierzu, a tu nic... Upierdliwy zwykle numer telefonu naczelstwa nie pojawił się ani razu wśród połączeń przychodzących. Szczyty resortowego świecznika milczały jak zakłete. Być może, w ogólnym zamęcie, tak oczywisty pomysł, jak odstawienie Louvaina na boczny tor nikomu nie wpadł do głowy. Chociaż może jednak wpadł, bo Rafalski, jak tylko zrobił swoje na placu Defilad, natychmiast dostał ścisły zakaz wyściubiania nosa z domu, dopóki mu się urlop zdrowotny nie skończy. Telefonów od nieznanych osób też nie mógł odbierać do końca rekonwalescencji. A jak będzie grzeczny, to ciepły stołek w centrali Interpolu już na niego czekał. Za zasługi i ofiarną służbę, ma się rozumieć. Halinę też czekały jakieś ekstra miódności na pożegnanie z mundurem. Wobec tego komisarz przeczuwał, że on sam został przeznaczony do roli kozła ofiarnego, tylko pewnie jeszcze trwały gorączkowe ustalenia, na ołtarzu którego dokładnie bóstwa go zarzną...

Kolejny dziennikarz, niby to w zamieszaniu, szturchnął mocno Louvaina mikrofonem w policzek.

– Panie komisarzu, czy panna Sawicka zginęła po to, żeby kara dla redaktora Bileckiego była tym dotkliwsza?!

No nie! To był już szczyt bezczelności i kurewstwa! Louvain stracił panowanie nad sobą. Zaćmiło go po prostu. Zrobił pół obrotu, żeby dać skurwielowi w mordę, ale jeden z towarzyszących mu kolegów w porę wszedł pomiędzy nich, zapobiegając dodatkowemu skandalowi. Ktoś inny stanowczo przepchnął komisarza przez próg do wnętrza budynku.

Śmierć Lucyny Sawickiej była rzadkim w kryminalistyce przypadkiem morderstwa przez powieszenie. Aczkolwiek w okolicznościach, w których do zdarzenia doszło, ta metoda narzucała się poniekąd sama. Ukryty w mroku zabójca znienacka zarzucił pętlę na szyję ofiary, kiedy ta przejeżdżała obok niego. W ułamku sekundy ciało młodej nauczycielki zostało wywleczone z wagonika przez napinający się gwałtownie sznur. Zgubiła przy tym pantofle. Jeden znaleźli w pojeździe, drugi opodal zwłok. Szarpnięcie było tak mocne, że pętla skrzyła jej kark, zanim zdążyła

udusić. Nieszczęsna chyba nawet nie spostrzegła, że umiera. Potem ciało podciągnięto wyżej i zawieszono pomiędzy innymi elementami dekoracji pawilonu.

Dziewczyna miła, uczciwa, bardzo religijna. Sympatyczna nauczycielka, lubiana przez uczniów, choć matematyki rzadko bywają lubiane. Szczęśliwa, świeżo zaręczona, pełna życia, młodości, marzeń o rodzinie... Pragnąca żyć i dawać życie.

Koleżanki i koledzy z byłej grupy wsparcia księdza Jana, niezależnie od płci i wieku, po prostu beczeli, opowiadając o Lucynie przed kamerami. Ta śmierć rozbiła ich kompletnie. Co więcej, zachwiała także mocno ich wiarą. Wciąż pytali, jak Bóg mógł na to pozwolić?! A potem już niektórzy sami sobie dawali odpowiedź, że Bóg ich opuścił, a Kościół się od nich odwrócił. Przecież obiecywano im szczególną ochronę przed zemstą wypędzanych demonów, a tymczasem wydano ich wręcz na ich pastwę! Jak tak można?! No jak?!

Rzecznik kurii gadający jedynie o nowym ataku na Kościół wciąż dolewał tylko oliwy do ognia. Co więcej, posunął się do insynuacji, że Lucyna popełniła samobójstwo, bo może szukała rozgłosu... Ewentualnie sugerował zespół Münchhausena... Taki bezmiar podłości i bezsensu nikomu normalnie nie mieścił się w głowie! Dawano się to zrationalizować jedynie jako skrajnie desperacką próbę odsunięcia oskarżeń od Kościoła za wszelką cenę, co marnie wróżyło dalszemu śledztwu...

A tym młodym ludziom trzeba było faktycznie zapewnić ochronę. To stanowiło priorytet równie ważny, jak ustalenie, co się stało z Bileckim. Wiadomo było tylko, że redaktor wdarł się do pałacu strachów i tam po prostu rozpląnął się w powietrzu. Obezwładniono go i wyniesiono – ten scenariusz wydawał się logiczny, ale monitoring terenu nic nie zarejestrował. Kamera nie ślepiła przez cały czas akurat na zaplecze pałacu strachów. Podczas porównywania ujęć wyszło, że w domniemanym czasie zdarzenia zniknął stamtąd trzystylitrowy kontener na śmiecie. W sam raz, by załadować w niego człowieka, zapakować w niedużą furgonetkę i zupełnie nie rzucać się w oczy. Wprawdzie nie sposób było nie wejść przy tym w pole widzenia kamer, ale nadzór monitoringu uznał śmieciarzy przy pracy za zbyt nieciekawym widok i przemieścił obiektyw w stronę rosnącego zamieszania przed wejściem. Zarejestrowało się tylko dwusekundowe ujęcie kontenera pchanego przez niewidoczną osobę w kierunku parkingu obsługi.

Na tym trop się urywał.

Raczej wątpliwe, aby ktoś miał się zgłosić wkrótce lub kiedykolwiek z żądaniem okupu. Zamiast tego należało oczekiwać, że sprawca przewidział dla Bileckiego

śmierć poprzedzoną jakąś szczególną formą udręczenia, i to wszystko, ma się rozumieć, na medialne konto Louvaina.

Pytanie: co teraz? W co tu ręce włożyć?

Ochroną dla ocalałych członków grupy wsparcia, jak się okazało po przybyciu komisarza do Komendy Stołecznej, ktoś już się zajął. Dobrze! Tylko co dalej? Bez współpracowników, bez wsparcia, za to z niemal całkowitą pewnością, że każdy poproszony o pomoc kolega z miejsca na uszach stanie, żeby się wyfiksować z tak śmierzdzącej sprawy. Fakt, że wydział wewnętrzny nie wniósł przeciw Louvainowi żadnych oskarżeń, bardziej przypominał czasy słuszenie minione, aniżeli w czymkolwiek tu pomagał.

Komisarz usiadł za biurkiem i ciężkim wzrokiem obsesyjnie wręcz gapił się na telefon. Był pewny, że aparat za chwilę zadzwoni i nieznoszący sprzeciwu głos zakomunikuje mu, że ma wypierdalać na emeryturę, ale już, w kosmicznych podskokach!

Jednak telefon uparcie milczał. Louvain spróbował w końcu wziąć się w garść i przeanalizować fakty, dopasować nowe informacje do starych. Zatem ktoś coś miał przeciwko praktykom księdza Jana... Do tego stopnia, że postanowił wymordować mu całą grupę wsparcia modlitewnego. Musiał to być ktoś wcześniej przez niego egzorcyzmowany... Przypadek podobny do Damięckiego, ale znacznie bardziej intensywny emocjonalnie... Zważywszy, jakich pacjentów profesor Kępski systematycznie kierował na egzorcyzmy, oraz dodawszy do tego niezdolność rozpoznawania i rozumienia ich emocji przez księdza Jana, wychodziło, że rzeczywiście podczas tych rytuałów mogli niechcący rozjuszyć naprawdę ciężkiego wariata. „Szatan jest na wolności”. Louvain wspomniał słowa egzorcysty. Kto był tym szatanem? Niestety, niefortunnym zbiegiem okoliczności ten ktoś najwyraźniej nie spotkał się nigdy z doktorem Grabką. Ale powinien zachować się jakiś ślad w dokumentacji znajdującej się w kurii przy Floriańskiej. Tylko jakby się tu do tych papierów dostać?

Telefon nie zadzwonił, za to niespodziewanie góra przyszła do Mahometa. Rozległo się pukanie, a zanim Louvain zdążył powiedzieć „proszę”, drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył oficer dyżurny, przybyły w charakterze przewodnika. Przyprowadził ze sobą jakiegoś młodego księdza. Wiekiem osoby duchownej z pewnością nie należało się tutaj sugerować, skoro bowiem gościowi zapewniono asystę od samego holu na dole, musiała to być doprawdy nie byle jaka szychca. W oczy rzucała się przede wszystkim znakomitej jakości sutanna z naturalnego

jedwabiu.

Louvain nie pomylił się.

– Jestem ksiądz Piotr – przedstawił się przybysz. – Piotr Kozłowski, osobisty sekretarz, albo też... – Uśmiechnął się niewymuszenie i kontynuował: – mówiąc nowomodnie, asystent księdza arcybiskupa diecezji warszawsko-praskiej, Jego Ekscelencji Mieczysława Morawskiego.

– Krzysztof Louvain, miło mi. – Komisarz ucieszył się całkiem szczerze. Nadarzała się dobra okazja, aby zagadnąć o dokumentację egzorcyzmów. Chociaż przypuszczał, że tę wizytę zawdzięcza jednak innym przyczynom.

Oficer dyżurny zasalutował bez słowa i wycofał się rakiem, zamykając za sobą drzwi.

– Pragnę przede wszystkim zapewnić pana komisarza o życzliwości i stanowczym wsparciu ze strony Jego Ekscelencji w tych trudnych chwilach. Postępowanie mediów wobec pana komisarza jest całkowicie nie do przyjęcia.

Ciekawa deklaracja, zważywszy, że prym w tej mierze wiódł „Przyjaciel Egzorcysty”, któremu sekundowały inne media prawicowo-katolickie. Louvain darował sobie uwagę akurat na ten temat, ale od subtelnego sarkazmu powstrzymać się nie zdołał.

– Myślę, że to zbliża mnie bardziej do cierpiącego Kościoła...

O dziwo, ów ponury żart został przyjęty całkiem serio.

– Bardzo na to liczymy – odpowiedział ksiądz Piotr. – Ksiądz arcybiskup i ja znamy bardzo dobrze osobistą pobożność pana komisarza i jesteśmy nią ogromnie zbudowani. Podobnie jak wielu innych zasłużonych ludzi Kościoła... – znacząco zawiesił głos.

– W czym mogę służyć? – Louvain spoważniał.

– Jego Ekscelencji zależy na jak najszybszym zakończeniu tego żenującego spektaklu w mediach. Zbyt mocno godzi on w autorytet Kościoła, co chyba pan komisarz dobrze rozumie.

– Domyślam się.

– Zapewniam, że poczyniono już pewne starania, dzięki którym pełna kontrola nad śledztwem w sprawie nieszczęśliwych zgonów członków grupy księdza Jana Ryby spoczywać będzie nadal w pańskich rękach. Nikt nie będzie kwestionować merytorycznych kompetencji oraz decyzji pana komisarza. Wysoko postawione osobistości uznały, że na panu można polegać bardziej niż na kimkolwiek innym.



– Dziękuję za zaufanie... – Louvain doznał mrocznego olśnienia.

A więc to dlatego telefon nie zadzwonił! Rozkaz wylotu na zieloną trawkę został anulowany, ponieważ naczelstwo nad naczelstwem zabroniło go tykać.

– Wierzmy i jesteśmy przekonani, że przede wszystkim leży panu na sercu dobro Kościoła.

– Cóż, w tej sprawie można wskazać również inne dobra...

– Dobro Kościoła musi być pierwsze! Szybkie zamknięcie tej tragicznej sprawy zostanie przyjęte bardzo przychylnie zarówno przez naszą kurię, jak i inne międzynarodowe czynniki hierarchii. – Ksiądz Piotr postawił sprawę jasno.

– Chciałbym – westchnął Louvain – ale to nie takie proste.

– Jakie pan komisarz widzi trudności?

– Przede wszystkim taką, że Damięckiemu nie uda się przypisać pierwszych trzech morderstw. On przyznaje się tylko do jednego, a i to nie do końca umyślnego.

– O to Opatrzność już się zatroszczyła. Pan komisarz nie wie...?

Nie wiedział. W amoku ostatniej doby żadne informacje dotyczące Damięckiego po prostu nie przebiły się do komisarza.

Ksiądz Piotr z enigmatycznym uśmiechem znacząco spojrział na telefon. Louvain po krótkim namyśle zadzwonił do prokuratora. Rozmowa była krótka i wbiła komisarza w fotel.

Damięcki nie żył.

Został tej nocy, około trzeciej nad ranem, śmiertelnie pobity przez innych aresztantów. Konkretnie skiepowano go, czyli zdeptano mu głowę na miazgę. Sprawcy przestępstw seksualnych nigdy nie byli zbyt lubiani, a w tym przypadku ktoś dodatkowo rozpuścił plotkę, że były menadżer „Heute Qou” ma na sumieniu także i pedofilię. Jakimś trafem Damięcki trafił do celi z ludźmi, którzy na bank mogli spodziewać się wyroków dożywocia, i było im już zupełnie wszystko jedno. Ewentualnie potrzebowali jeszcze tylko zasłużyć na szacunek przyszłych współsadzonych.

– I tak zamierzałem odrzucić jego propozycję ugody – mówił w słuchawce prokurator Witecki. – Akurat zgłosiła się do mnie kobieta, która w imię „dania świadectwa prawdzie” zdecydowała się oskarżyć Damięckiego o gwałt. Razem z zabójstwem wystarczyłoby tej głowizny na całkiem przyzwoity salceson. Na dodatek mecenas Ząbecki wycofał się z obrony, jakoby z powodu pogorszenia stanu zdrowia. Ja myślę, że ryzykował pogorszeniem innych, znacznie cenniejszych

stosunków, jeśli pan komisarz wie, co mam na myśli...

– Żył podle i skończył podle. – Louvain odłożył słuchawkę.

– Oby Bóg mimo wszystko zlitował się nad jego duszą! – podsumował ksiądz Piotr.

Louvain poczuł, że robi mu się gorąco. Ten zbieg okoliczności zdecydowanie nie wyglądał na przypadek, ale dalsze wnioski aż strach było wysnuwać...

Asystent arcybiskupa siedział nieruchomo i patrzył prosto w oczy komisarza.

– Tak... – powiedział wreszcie Louvain, starając się, aby zabrzmiało to nonszalancko i cynicznie. – Teraz już zupełnie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przyklepać Damięckiemu wszystkie trzy zabójstwa. Pozostała jednak Sawicka.

– To był wypadek lub samobójstwo – zakomunikował ksiądz Piotr niedopuszczającym sprzeciwu tonem. – Może lepiej ze względu na pamięć tej biednej dziewczyny oraz jej zasługi dla Kościoła niech to będzie wypadek.

Komisarz odchylił się do tyłu na swoim fotelu, zapatrzył na gościa i zadumał.

Zadziwiające, jak bardzo w ciągu tych dwudziestu pięciu lat odwróciły się te role – pomyślał. Zwierzyna łowna stała się drapieżnikiem... Zastanowił się, co właściwie teraz czuje, ewentualnie, co powinien czuć w tej sytuacji. Wszak działo się właśnie to, czym już tyle razy straszył Rafalskiego. Przeczucia, teorie, przypuszczenia krystalizowały się na jego oczach w twardą rzeczywistość. To było doprawdy zadziwiające uczucie!

Księdza Piotra zniecierpliwilo przeciągające się milczenie Louvaina.

– Oczywiście z naszej strony są to tylko niezobowiązujące sugestie do rozważenia. Nie wątpimy, że pan komisarz, będąc wiernym członkiem wspólnoty Kościoła, z właściwym sobie profesjonalizmem uczyni wszystko tak, aby było jak najlepiej... Proszę, tu jest bezpośredni telefon do mnie, gdybym mógł być jeszcze w czymś pomocny. – Położył na biurku wizytówkę. – Niech pan komisarz w pełni zaufa Kościołowi świętemu... Z Bogiem! – Wstał energicznie i wyszedł, zanim Louvain zdążył zapytać go, jak do diabła ma zamieść pod dywan Bileckiego razem z rozszałymi z powodu zaginionego redaktora mediami. Przecież tutaj wchodziła w grę solidarność zawodowa, która już pogodziła „Gazetę Wyborczą” z „Naszym Dziennikiem”. Niby jak on, główny podejrzany o ten cały *kidnapping*, miałby teraz ów pasztet odkręcić? Jakimże papieskim cudem?!

Zaufać Kościołowi... Psiakrew!

Tymczasem o dokumentacji odbytych dotąd egzorcyzmów pogadać nie zdążyli. Ale na pewno coś takiego musiało istnieć... Louvain powrócił do przerwanych

rozważań. Skoro bowiem wszystko zaczynało się od pisemnych opinii Kępskiego, to ktoś potem powinien dalej te „historie choroby” uzupełniać o kolejne notatki i podsumowania...

Louvain popatrzył z namysłem na wizytówkę księdza asystenta i zadumał się, kiedy i jak najlepiej będzie skorzystać z tego numeru?

Tymczasem nic się nie działo. To znaczy, owszem, na froncie medialnym działo się tyle, że nawet superbezpieczny telewizor plazmowy eksplodowałby natychmiast po włączeniu, ale od samego komisarza Louvaina nikt już zupełnie niczego więcej nie oczekiwał. W szczególności przełożeni nie oczekiwali świadczenia roboty śledczej. Poza tym wszyscy omijali go jak zgniłe jajo. Do końca dnia nikt nie zadzwonił, nie wpadł pogadać, ani nawet nie przyszedł obejrzeć go sobie jak osła siedzącego za biurkiem albo inny pieprzony fenomen. A przecież koniec końców był główną medialną atrakcją dnia, czy nie?

Louvain dotrwał do końca formalnych godzin służby, czytając wciąż te same protokoły w wędnącej z każdą kolejną upływającą godziną nadziei, że coś istotnego przeoczył. On lub Rafalski... No więc, do cholery, niczego nie przeoczyli! Wszystkie istotne dla dalszego biegu śledztwa informacje były w kurii warszawsko-praskiej, która to właśnie przez swojego specjalnego posłańca dała mu „niezobowiązującą sugestię”, by zamknął tę sprawę, nie oglądając się na taki drobiazg jak morderca biegający na wolności. Skoro pan Louvain tak bardzo kochał Kościół, to miał teraz dać tej miłości dowód! Portki w dół, dupa do góry! Tak się sprawy miały, i nie udawaj, nie wmawiaj sobie mości Louvain, że jesteś tym choć trochę zaskoczony!

Po fajrancie komisarz wymknął się chyłkiem do domu. Dziennikarze już tam na niego nie czatowali. Przyjęli w końcu do wiadomości powtarzane bez końca przez rzecznika Komendy Głównej: „komisarz Louvain komentarzy nie udziela” i przestali tracić na niego czas. W zamian, jak znał tę branżę, mieli się teraz z pyszna wszyscy jego krewni i znajomi, tudzież ludzie, którzy kiedykolwiek się z Krzysztofem Louvainem zetknęli – koledzy szkolni, ze studiów, sąsiedzi starzy i aktualni. Przestępcy też. O dziwo, ci ostatni, kiedy ich pytano o zdanie, z pewnością wypowiadali się najpochlebniej, a przynajmniej z szacunkiem. Nawet starszankowie posadzeni przez niego w latach 80. za współpracę z „Kulturą” twierdzili, że akurat ten esbek nie był znów taki najgorszy... Louvain nie potrzebował oglądać wywiadów, by wiedzieć, co powiedzą. Dwóch z tych ludzi spotkał kiedyś na pielgrzymce i pojednali się dawno temu.

Teraz tylko uchlać się! To był całkiem rozsądny plan na koniec wieczoru, ale

znów nie udało się go zrealizować.

Zadzwoił ksiądz Piotr.

– Czy pan komisarz ogląda teraz telewizję?

– Nie jestem masochistą, proszę księdza. Nie muszę włączać telewizora, by domyślić się, o czym tam mówią.

– Obawiam się, że pan komisarz jest w błędzie. Radzę włączyć teraz. Dowolny polski program informacyjny. Zadzwonię znów za godzinę... – zakomunikował i rozłączył się, a komisarz sięgnął po pilota.

Bilecki się znalazł!

To znaczy właściwie nikt go nie widział, ale za to już było powszechnie wiadomo, co się z nim stało. Redaktor w szoku po tragicznej śmierci narzeczonej postanowił poświęcić życie Bogu. Konkretnie to wsiadł w samochód i wcisnął gaz, aż wjechał do Niemiec i tam poprosił o schronienie w jednej z polskich parafii. Potwierdził to tamtejszy ksiądz, który nie zgodził się ujawniać twarzy i nazwiska, a ponadto nadmienił, iż są tajemnice, których mu ujawniać nie wolno, sugerując, że chodzi o spowiedź i że Bilecki obwinia głównie siebie.

Tę wersję wydarzeń poparli skwapliwie koledzy i koleżanki Bileckiego z „Przyjaciela Egzorcysty”, znów zgodnie świadcząc, że Marcin istotnie rozważał życie zakonne i w związku z tym wielokrotnie brał udział w rekolekcjach ignacjańskich. Oczywiście oni rozumieją i uszanują dramatyczne emocje ich cierpiącego kolegi, aczkolwiek podejmowanie tak ważnej życiowej decyzji w chwili żałoby po śmierci narzeczonej wymagało jeszcze potwierdzenia intencji, kiedy Opatrzność ześle mu większy pokój duszy, o co oni wszyscy dla niego gorąco się modlą, i tak dalej, bla, bla, bla... Banda palantów!

Śmierć Lucyny zaś w powszechnej świadomości była już tylko nieszczęśliwym wypadkiem. Ujawnili się bowiem jeden z pracowników oraz dekorator pałacu strachów, którzy potwierdzili, że w wyposażeniu pawilonu dokonano niezgodnionych, potencjalnie niebezpiecznych przeróbek. Między innymi luźną szubieniczną pętlę powieszono zbyt blisko trasy przejazdu wagoników ze zwiedzającymi i nie zareagowano na monit, że może się ona na kimś przypadkowo zacisnąć. Ów papier właśnie znaleziono i właściciel wesołego miasteczka, w stanie bliskim apopleksji, tłumaczył się teraz, w jaki sposób w nawale obowiązków mógł tego dokumentu wcześniej nie zauważyć... Życzliwie doradzano mu zewsząd, aby też się powiesił.

Ponadto tu i ówdzie ktoś półgębkiem wybąkał przeprosiny pod adresem

niesłusznie posądzonego komisarza.

Słowem, Kościół pokazał, co potrafi. Rzeczywistość zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy przyszło co do czego, przysłowiowe wolne kościelne młyny potrafiły zakręcić się doprawdy z turbodoładowaniem i wymieścić więcej wiarygodnych świadectw niż Prokuratura Generalna świadków koronnych.

Faktycznie, jedyne, co pozostało teraz do zrobienia, to oficjalne przyklepanie nowej medialnej wersji wydarzeń autorytetem komisarza Louvain. Amen!

– Czy pan komisarz ufa już w pełni Matce Kościołowi? – zapytał niezmiernie z siebie zadowolony ksiądz Piotr, zgodnie z obietnicą zadzwoniwszy drugi raz.

– Nigdy nie śmiałem powątpiewać – odparł dyplomatycznie Louvain, myśląc intensywnie, jak rozegrać tę rozmowę.

– Czy pan komisarz pragnąłby polecić Opatrzności jeszcze jakieś przeszkody do usunięcia? – Asystent arcybiskupa uważał się najwyraźniej za asystenta samego Ducha Świętego. Cóż, miał ku temu solidne podstawy. Odwalił wszak solidny kawał naprawdę skutecznej roboty.

– Nie.

– Zatem proszę zakończyć to, co powinno już zostać zakończone. – Głos księdza Piotra stwardniał. – Jaką odpowiedź mam przekazać Jego Ekscelencji? Tak czy nie?

Louvain przełknął ślinę.

Nie... Oczywiście, że nie! Może był pieprzonym eksesbkiem, ale nie kurwą. Wbrew pozorom różnica była, choć o honorze poszczególnych profesji można by tu jeszcze długo dyskutować. Jednak jeśli odmówi, o jakiegokolwiek przychylności kurii względem wiadomych papierów będzie mógł zapomnieć na wieki wieków amen. I to też będzie koniec śledztwa.

– Chcę porozmawiać osobiście z księdzem arcybiskupem – odpowiedział stanowczo.

– Przekażę wszystko, co trzeba z absolutną wiernością... – odparł zaskoczony ksiądz Piotr.

– Nie wątpię w to, ale to nie ksiądz podejmuje tutaj decyzje. A ja właśnie potrzebuję jednej czy dwóch podjętych szybko, bowiem od tego zależy dalszy bieg naszych spraw.

– Nie rozumiem...

– I nie musi ksiądz rozumieć. Chcę rozmówić się z księdza szefem. To wszystko. –

Louvain uciął dyskusję.

Zapadło tak długie milczenie, że komisarz pomyślał, że jego rozmówca już się rozłączył, ale jednak nie.

– Zobaczę, co da się zrobić – padło wreszcie.

– Z Panem Bogiem! – Tym razem Louvain pierwszy przerwał połączenie.

Zdecydowanie zasłużył na to, żeby się napić, ale nie chciał ryzykować, że Ekszelencja poczuje od niego wódkę. Wezwanie na audiencję mogło nastąpić w każdej chwili.

Pomodlił się więc.

ROZDZIAŁ 15  
NA DNIĘ OTCHŁANI

Bilecki zdał sobie sprawę z własnego istnienia.

Zanim przebudziła się pamięć, jego pierwszym uczuciem było zdziwienie oraz myśl „nie chcę tego”. Sekundę później uświadomił sobie, dlaczego nie chce, i zawył rozdzierająco. Rozpacz momentalnie rozsadziła mózg. Wył ustami, wył całą rozdartą duszą, stał się jedną rozdygotaną wibracją sprzeciwu przeciwko temu, że wciąż żyje i czuje, że musi czuć, pamiętać i wiedzieć... Niczego to jednak nie zmieniało, więc zamilkł w końcu bez tchu, z obolałym gardłem.

I stwierdził, że leży nagi na zimnej posadzce.

Było tak ciemno, że nie był w stanie zobaczyć własnych dłoni. Macając wokół siebie, stwierdził, że znajduje się w jakimś lochu lub niedużej piwnicy, nie więcej niż dwa na trzy metry. Pod ścianą koło zimnych żelaznych drzwi namacał plastikową butelkę z wodą i kromkę przyschniętego chleba, grubą na dwa palce. W przeciwległym kącie celi znalazł cuchnący otwór w podłodze, tu zapewne należało się załatwiać.

Stwierdzenie tych faktów zakończyło chwilę terapii zajęciowej, która dała umysłowi Bileckiego cień ukojenia, odrywając świadomość od przeraźliwego poczucia straty. Wbił pięści w skronie, zwinął się w pozycji embrionalnej. Już nie krzyczał, tylko emitował monotony głuchy jęk.

*De profundis...*Otchłań. Był na samym dnie otchłani.

*De profundis clamavi ad te, Domine...* wybełkotał, z trudem znajdując słowa, i zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie się modlić. Ani za nią, ani za siebie. Był niczym potępieniec niezdolny wymówić świętych imion. Pragnący tylko umrzeć, aby cierpienie wreszcie się skończyło. Jedyne, co mógł zrobić w tym kierunku, to bić głową o ścianę lub podłogę. Po paru próbach stwierdził jednak, że ma na to za mało siły. Fizyczny ból nabitego na czole guza w niczym nie zmniejszył jego psychicznego cierpienia, tylko się do niego dodał. Poza tym przypomniał sobie, że samobójstwa popełniać nie wolno, więc znieruchomiał w stanie kompletnej bezwoli, czekając nie wiadomo na co i nie wiedząc jak długo. Zupełnie stracił poczucie upływu czasu, dopóki zwierzęca fizjologia nie wzięła góry nad świadomością i nie

kazała mu ponownie odszukać butelki z wodą, aby zaspokoić pragnienie.

Kapitulacja przed naturalną potrzebą przyprawiła go o wstyd i kolejną burzę rozpaczy. Znów wewnętrzny krzyk rozsadził mu czaszkę od wewnątrz i boleśnie przeciskał się przez gardło.

– Jeszcze się nie naskamlałeś?! – zapytał głos zza drzwi i zaraz zabrzmiał szcęk klucza w zamku.

Mordercy! W ułamku sekundy wszystko w Bileckim sprężyło się do drapieżnego skoku. Gotów był kasać, drapać, wrywać oczy... I zginąć przy tym! Jakaż to byłaby radość. Momentalnie stał się bestią dyszącą żądzą mordy i zemsty.

Pokonało go i obezwładniło światło.

Po drugiej stronie drzwi zapłonęły mocne halogenowe lampy, które przyzwyczajony do głębokiej ciemności wzrok Bileckiego przyprawiły o szok, jak po uderzeniu rozżarzonego młotem między oczy. Redaktor zdołał jedynie zarejestrować, że w progu, na tle ściany upiornie białego blasku, stoi jakaś ciemna postać, po czym chowając głowę w ramiona, wycofał się rakiem pod tylną ścianę celi, w najciemniejszy kąt, jeśli było tam coś takiego. Nawet tyle światła, ile przenikało przez kurczowo zaciśnięte powieki, było w tej sytuacji nie do zniesienia. Także zakrycie twarzy dłońmi nie przyniosło ulgi. Pojedyncze fotony, przenikające przez skórę i warstwy tkanek, dźgały mózg jak szpile, na wylot, aż do potylicy.

– Oto do jakiej nędzy doprowadziła cię twoja pycha, człowieku – powiedział głos z politowaniem.

– Zabiliście ją! Zabiliście... – wyrzucił z siebie bolesną skargę Bilecki.

– Nie, to ty ją zabiłeś – odrzekł spokojnie głos. – Uczyniłeś z niej Judasza, więc ona zginęła jak Judasz, powieszona za szyję. Lecz ty sam jednak jesteś temu wszystkiemu winien. Jej śmierci oraz własnemu cierpieniu. Tylko ty, nikt inny! Rozważ to w sobie i odpokutuj szczerze.

– Neeeeee... – Na przekór rażącemu światłu ruszył naprzód popchnięty falą sprzeciwu silniejszego niż wszelki ból. Znów poniosła go żądza zemsty.

– Zbyt mało jeszcze rozumiesz – stwierdził głos. – Cierpienie musi więc dalej oczyszczać twoją duszę... – Rozległ się trzask elektrycznego wyładowania i Bilecki padł obezwładniony. Dalej mógł już tylko słuchać.

– Nic by się jej nie stało, gdyby nie twoje węszenie, gdyby nie twoja niepohamowana ambicja. Kierowany grzeszną pychą wepchnąłeś niewinną dziewczynę pomiędzy żarna bożego młyna, które ją starły na miazgę. Tak się stać musiało. Te młyny nie mogły się zatrzymać, bo zbyt wielkim sprawom służą. Kimże



ty jesteś?! Za kogo się masz, by oskarżać kogokolwiek oprócz siebie?

Głos zamilkł, światło zgasło, zamknęły się drzwi.

Redaktor Bilecki pozostał sam na dnie otchłani, teraz przytłoczony dodatkowo miazdzącym poczuciem winy. Nie mógł zaprzeczyć temu, że w istocie naraził Lucynę. Skoro ją kochał, jak mógł narażać na śmierć? Jak mógł o nią nie dbać, nie obronić? Jakże mała i egoistyczna okazała się jego miłość...

Winny. Taka była prawda.

Nie śmiał więc już nawet wołać z tej otchłani. Nie zasługiwał na wydobyć z niej. Nie miał żadnego prawa sprzeciwiać się losowi.

\*\*\*

Ksiądz Piotr zadzwonił znowu o wpół do siódmej rano.

Ani półsłówkiem nie usprawiedliwił się z powodu tak wczesnej pory. Zakomunikował jedynie sucho, że ksiądz arcybiskup zaprasza na prywatną mszę świętą o siódmej trzydzieści, po której będzie możliwa chwila osobistej rozmowy. Nie sprecyzował, ile dokładnie Ekszelencja będzie miał czasu dla komisarza, jak również nie zatroszczył się o to, czy Louvain na pewno zdoła się przygotować i dotrzeć na miejsce w niespełna godzinę. Ani czy w ogóle rozmówca jest dostatecznie przytomny, by rozumieć, co się do niego mówi. Chyba bardzo by się ucieszył, gdyby komisarz się spóźnił, lub wręcz zupełnie zasnął. Oznajmił więc co swoje, niczego nie powtarzając, i zakończył połączenie zdawkowym „Szczęść Boże!”.

Louvain zwlókł się z łóżka, dziękując szczerze swojemu Aniołowi Stróżowi, że nie ma kaca. Kubek z wczorajszą kawą podgrzał sobie w mikrofalach, jednocześnie wzywając taksówkę. Wprawdzie w pierwszym półprzytomnym odruchu omal się nie pomylił i nie włożył do kuchenki własnej komórki, ale potem kolejne ruchy komisarza były coraz sprawniejsze i szybsze. W rezultacie ogolony, wypchniony, w świeżej koszuli i czystym garniturze zameldował się tam, gdzie trzeba, na pięć minut przed czasem.

Ksiądz Piotr oczywiście nie był zadowolony. Widać było, że ma wielką ochotę komisarza zbesztać, tylko naprawdę nie było za co. Asystent Ekszelencji myślał nad tym dobrą chwilę.

– Zechce się pan komisarz wypowiadać? – zagaił wreszcie.

– Dziękuję, jestem jeszcze w stanie łaski. – Louvain wyminął go ostentacyjnie.

Tuż za progiem kaplicy przejął go jakiś przejęty kleryk i wskazał mu miejsce.

Niezbyt daleko od ołtarza, ale i w wystarczającej odległości od gospodarza, aby przed końcem mszy nie dało się zamienić ani słowa. Nawet znak pokoju wymienili na odległość, skinieniami głowy. Hierarcha nie uśmiechnął się przy tym. Nigdy zresztą tego nie robił. Dziennikarze katolickich mediów musieli mu zawsze dorabiać uśmiech w Photoshopie i, broń Boże, nie pozwalać sobie na choćby najniewinniejsze żarty podczas wywiadów. Ekscelecja nie miał poczucia humoru, o czym uprzedzano zawsze prowadzonych przed oblicze. Oczekiwanie od niego, że będzie się z czegoś śmiał, arcybiskup traktował zawsze jak osobistą zniewagę albo co najmniej bezczelny brak szacunku.

Kapelan już był na miejscu.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... – zaczął jakieś dwie minuty przed czasem.

Louvain, odpowiadając głośno na modlitewne wezwania i robiąc wszystko, co należało w tych okolicznościach, jednocześnie zastanawiał się, jak powinien poprowadzić zbliżającą się rozmowę. Akurat do tego w ciągu ostatniej godziny zupełnie nie miał głowy. Tymczasem należało najpierw dobrze zważyć każde słowo.

Przede wszystkim nie miał zamiaru wspominać arcybiskupowi, że ksiądz Jan u niego był, nie chciał opowiadać, o czym wtedy mówili. Choćby dlatego że samego pana komisarza stawiało to w złym świetle – zawiódł fatalnie, choć został wcześniej ostrzeżony.

Z kolei zdawać Ekscelecji drobiazgową relację ze szczegółów śledztwa też nie było mądre. Kilku kluczowych rzeczy arcybiskup nie powinien wiedzieć, ponieważ zdecydowanie zbyt łatwo wysyłał podejrzanych i świadków poza zasięg świeckiej jurysdykcji. Natomiast prosić wprost o dokumentację egzorcyzmów było ryzykowne. Bo odpowiedzi mogły być tylko dwie – albo krótkie „nie”, albo „poszukamy” z sugestią, że będzie to trudne, i z finałem łatwym do przewidzenia.

Komisarz potrzebował tych papierów, ale czy koniecznie w tej chwili? Była jeszcze inna droga. Louvain mógł dokończyć to, co zaczęła Sawicka, czyli przesłuchać żyjących członków grupy wsparcia. Wszyscy byli już zlokalizowani, zabezpieczeni, no i on nie musiał się z nimi bawić w żadne podchody dla obchodzenia zakazów duchowego kierownictwa. Jedyne, czego mu brakowało, to czas. Przede wszystkim należało odsunąć wiszący nad śledztwem topór. Zyskać choć parę dni, a potem, kiedy nalegania na zamknięcie sprawy osłabną, zacząć drążyć sprawę dokumentacji. Zatem to była strategia, a jaka powinna być odpowiednia taktyka?

Ksiądz kapelan wygłosił końcowe błogosławieństwo.

Arcybiskup, nie oglądając się za siebie, wyszedł do zakrystii.

– Proszę iść za Jego Eksceleńcją... – szepnął komisarzowi opiekujący się nim kleryk.

Kapelan nie spieszył się ze zdejmowaniem szat liturgicznych. Teraz przyklęknął sobie z boku do prywatnej modlitwy.

Pośrodku zakrystii ustawiono fotel. Arcybiskup już na nim siedział. Louvain podszedł i ucałował pierścień, po czym stanął naprzeciw hierarchy. Komisarzowi nie zaproponowano krzesła. Za nim stanął pod ścianą ksiądz Piotr, którego wyniosła mina wskazywała, że został dopuszczony do komitywy i cała rozmowa odbędzie się w jego obecności.

– Cóż pan komisarz zechciałby mi wyznać? – zapytał hierarcha.

Najlepiej będzie pojechać po opinii... Louvain w ostatniej chwili zdecydował, że odegra szczerego dewota, za jakiego zapewne go tutaj mieli.

– Pragnę z całego serca zapewnić księdza arcybiskupa, że moim najszczerzym pragnieniem jest służyć prawdzie i sprawiedliwości.

– Bardzo chwalebnie. – Ton Eksceleńcji nie zdradzał żadnych uczuć.

– Chciałbym prosić księdza arcybiskupa o wsparcie moich starań.

– Oczywiście.

– Wydaje mi się, że Bogu nie spodobałoby się zbyt szybkie zamknięcie wiadomej sprawy. Być może powinienem wykonać jeszcze kilka czynności...

– Kościół z powodu tej sprawy stał się przedmiotem niewybrednych antyklerykalnych napaści i oskarżeń – odpowiedział za swojego szefa ksiądz Piotr. – Nie wolno dopuścić, aby to trwało dalej, tymczasem pan komisarz z niezrozumiałych dla nas powodów się waha!

– Staram się działać roztropnie, aby w niczym nie zawieść danego mi natchnienia Ducha Świętego.

– Uważa pan komisarz, że został tak mocno natchniony? – Tym razem w głosie hierarchy zabrzmiało zdziwienie.

– Nie mnie to osądzać, proszę księdza arcybiskupa, ale zawsze starałem się szczególnie rozważać myśli, które przychodziły do mnie w modlitwie.

– Bardzo cenimy sobie pobożność pana komisarza.

– Mówiąc wprost, Eksceleńco, obawiam się kolejnych ofiar...

– Inni członkowie grupy wsparcia znajdują się pod ochroną – przerwał mu ksiądz

Piotr. – Otacza ich także troska Kościoła, wbrew temu, co oni w swoim zapamiętaniu opowiadają w mediach.

– Czy pan komisarz ma dowody, że jacyś złoczyńcy mogą komuś zagrozić raz jeszcze? – zapytał hierarcha.

– Takie przeświadczenie spłynęło na mnie w modlitwie – oświadczył z głębokim przekonaniem Louvain. Zaprzeczcie mi teraz..., dodał prowokująco w myślach.

Nie zaprzeczyli, ale patrzyli jak na wariata.

– Czy pan komisarz zamierza być świętszy od... – nie wytrzymał ksiądz Piotr.

Uciszyło go szybkie spojrzenie szefa.

– Takie natchnienie wymaga należytego rozeznania – stwierdził hierarcha.

– Niezwykle zbiegi okoliczności, które wystąpiły w tej sprawie, mogą wskazywać na osobiste działanie szatana. Pokornie więc proszę księdza arcybiskupa o kilka dni na dokonanie należytego rozeznania. Nigdy do tej pory modlitwene natchnienie nie zawiodło mnie jeszcze w mojej służbie.

– Tymczasem Kościół święty będą szarpać zewsząd jego wrogowie! – zaproponował gniewnie ksiądz Piotr.

– Kościół to przetrzyma – stwierdził z powagą arcybiskup. – Pan komisarz ma rację, że należy działać bardzo roztropnie. To prawdziwie poruszający głos z nieba. Jesteśmy pod wrażeniem owego świadectwa wiary. Wydaje się, że ksiądz Piotr zbyt często nalegał na szybkie zakończenie śledztwa. Zatem ta remonstracja była całkowicie usprawiedliwiona.

– Proszę o wybaczenie... – Asystent hierarchy był teraz doskonałym obrazem pokory.

– Dziękuję, Ekszelencjo – powiedział Louvain. – Myślę, że wystarczy mi trzy, cztery dni.

– Nie będziemy pana komisarza w taki sposób ograniczać. Ma pan tyle czasu, ile panu komisarzowi potrzeba. Jestem ostatnią osobą, która pragnęłaby uczynić cokolwiek przeciw woli Ducha Świętego.

– Który wieje, kędy chce... – dorzucił od siebie ksiądz Piotr.

Louvain znów przyklęknął do biskupiego pierścienia.

– Z Bogiem, panie komisarzu – powiedział hierarcha. – Może pan zawsze liczyć na wszelką naszą pomoc, wsparcie i opiekę.

– Jeszcze raz, dziękuję. – Louvain cofnął się do drzwi.

Ksiądz Piotr nie wyszedł za nim. Za to kapelan podniósł się na widok

wychodzącego policjanta.

– Trafi pan do wyjścia sam?

– Tak, proszę księdza. Jestem tu nie pierwszy raz.

– Zatem niech pana komisarza Duch Święty prowadzi!

Po chwili Louvain był już na ulicy. Wiedział dobrze, że zrobił z siebie nawiedzonego idiotę, ale chyba jednak całkiem nieźle to sobie skalkulował. Jego rozmówcy z pewnością rozważali wcześniej różne opcje i przypuszczenie, że pan komisarz jest autentycznym wyznawcą, musiało być jedną z nich. Stawiali wprawdzie bardziej na jego wyrachowany oportunistyczny, ale i z lepszą motywacją musieli się serio liczyć. Głupio było więc, zwłaszcza nakłonionemu do bezpośredniej rozmowy arcybiskupowi, deklarować się jako niedowiarek. Poza tym wczoraj podwładni i przyjaciele księdza arcybiskupa musieli dołożyć naprawdę wielu starań, aby komisarz Louvain pozostał na swoim miejscu. Zatem zmieniać zdanie tak z dnia na dzień na całkiem przeciwne było zdecydowanie niepoważne, zwłaszcza dla ludzi pragnących uchodzić za esencję powagi. Summa summarum Ekscelencja trochę mu odpuścił. Może nie tak wiele, jak sam zapowiedział, ale na trzy dni powinni mu dać spokój. Oby to wystarczyło!

Louvain poczuł pierwszy od paru dni przypływ dobrego humoru. Z tego tytułu postanowił, że najpierw pójdzie na solidne śniadanie, a potem dopiero do roboty. Zasłużył w końcu! Może nawet na lampkę koniaku do porządnej porannej kawy, na pocieszenie, że musiał rznąć głupa. Właściwie to sumienie też podszczypywało go z lekka za przedmiotowe potraktowanie wiary, ale że to było w dobrych intencjach, więc grzech mógł ująć za lekki.

Komisarz przejechał tramwajem na drugą stronę Wisły, wdrapał się po schodach na Krakowskie Przedmieście i znalazł tam sobie zaciszną kafejkę. O tej porze byli tu przeważnie sami zagraniczni turyści, więc nie ryzykował zbyt, że ktoś go rozpozna i narobi rabanu. Zamówił sobie podwójną jajecznicę, zjadł i wypił spokojnie kawę. Koniak do niej sobie darował w ramach pokuty za wiadomy grzech lekki.

Potem spacerkiem, nie spiesząc się, pomaszzerował Miodową i Długą w kierunku pałacu Mostowskich. Pogoda dopisywała, a Louvain poczuł się przyjemnie rozleniwiony, całkiem jak starszy pan na emeryturze...

Tfu!

Cholera, skąd mu to przyszło do głowy?! Jaka emerytura?! Tfu! Naprawdę splunął do rynsztoka. Kupa roboty czeka, a jemu dyrdymały w głowie! Skarcił sam siebie.

Trzeba teraz szybko ustalić grafik przesłuchań! Wystąpić o kolejne ściągnięcie z zastrzeżonych adresów poukrywanych tam członków grupy wsparcia. Trzeba by zacząć od tych, z którymi ostatnio rozmawiała Sawicka. Nawet jeśli to nic nie da, to przynajmniej będzie jakaś podkładka, żeby na następnym dywaniku u arcybiskupa poruszyć sprawę dokumentacji egzorcyzmów.

– Pan komisarz Louvain zgłosi się w trybie pilnym do kadr! – zakomunikował mu oficer dyżurny, zaledwie przestąpił próg.

Zmroziło go. W kadrach mogli chcieć od niego właściwie tylko jednego...

– Najpierw wpadnę do siebie na górę – zaskoczony próbował oponować.

– Gabinet pana komisarza został opieczętowany i nie może pan tam już wchodzić. Rzeczy osobiste zostaną wydane w innym terminie. Pan komisarz trafi do kadr sam czy mam zorganizować przewodnika?

– Trafie. – Louvain miał wrażenie, że podłoga pod jego nogami zrobiła się dziwnie pochyła. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że uginają się pod nim kolana, i na dodatek żadna mobilizacja woli nie była w stanie temu zaradzić. Przecież do cholery nie był sentymentalnym mięczakiem! Powinien znieść po męsku fakt, że po trzydziestu latach służby traktują go jak śmiecia, a jednak czegoś nie mógł, coś się w nim sypało... Dalsza dyskusja z oficerem dyżurnym groziła kompletnym rozklejeniem.

Przybity powlókł się, gdzie kazali.

Podanie o zaopatrzenie emerytalne już na niego czekało. Wniosek był napisany w stylu jego osobistej prośby, nawet całkiem udatnie. Louvain niewiele wyrazów by zmienił, gdyby faktycznie był jego autorem. Jedyne, czego na pewno by nie zrobił, to motywowanie tej prośby zawodowym wypaleniem...

Biurwy z kadr patrzyły na niego wyczekująco. Miały w oczach ten charakterystyczny brak litości, podszyty lękiem. Krzysztof Louvain stał się tředowaty. Można się było zarazić od samego patrzenia.

Podpisał.

Kiedy podanie bezpiecznie znikło w segregatorze, a ten w szafie pancерnej, na stół wyjechał kolejny papier. – Jeszcze to! Proszę pokwitować odbiór!

Było to skierowanie na obserwację psychiatryczną...

Za trzy dni miał się stawić w izbie przyjęć ośrodka zamkniętego w...

Świat przed oczami Louvain'a stanął dęba i zaczął robić fikołka w zwolnionym tempie.

Wyglądało na to, że w czasie, kiedy pan komisarz beztrąsko jadł sobie śniadanie, ksiądz Piotr pobił kolejny rekord operatywności. Podświadomość Louvaina przeczuła to, nie przypadkiem podsuwając mu błogie wizje stanu spoczynku... I czemu nie zaufał intuicji?

– Po co to... – wyrzucił z siebie łamiącym się głosem.

– Badania są niezbędne dla ustalenia stopnia wzmiankowanego we wniosku emerytalnym uszczerbku zdrowia psychicznego, powstałego wskutek wieloletniej, ponadnormatywnej służby. – Biurwa metodycznie wyrzucała z siebie kolejne słowa. Została naprawdę dobrze przygotowana. – Od tego zależeć będzie wysokość przyszłego świadczenia. Możliwe jest nawet jego dodatkowe powiększenie...

To niewątpliwie w przypadku, gdyby udało się zrobić z komisarza Louvaina patentowanego czuba.

– Dziękuję. – Wziął się w garść. – Wystarczy mi rozliczenie według zwykłych stawek. – Odwrócił się do drzwi.

– Odmawia pan przyjęcia skierowania?! – zapytała złowrogo.

Bez słowa wyszedł na korytarz. Nikt za nim nie wybiegł. Louvain dotarł z powrotem do wyjścia. Stawiał kolejne kroki, chociaż miał wrażenie, że trochę lewituje. Oficer dyżurny tym razem patrzył na niego jak na człowieka.

– Powodzenia, panie komisarzu... – rzucił na pożegnanie.

Louvain nie odpowiedział, wytoczył się na dziedziniec przed pałacem. Po kilkunastu krokach stanął. Bez powodu. Po prostu nogi przestały go dalej nieść. Stał więc i martwym wzrokiem gapił się przed siebie.

To już... To tak... Świadomość jednocześnie przyjmowała i nie przyjmowała do wiadomości tego, co się stało. Był jak człowiek, któremu odrąbano obie ręce, a on w szoku, nie czując bólu, z uporem próbuje podrapać się w głowę. Tyle że jemu odrąbano więcej niż ręce – całe życie...

Dalej gdzieś powinien iść. Tylko dokąd i po co? Najlepiej do Wisły i się utopić, zaświtało mu. Doprawdy na ten moment nie miał żadnych lepszych pomysłów.

Zadzwoiła komórka. Sięgnął po nią machinalnie, choć nie wiedział po co. Naczalstwo... Odebrał połączenie. Pewnie z przyzwyczajenia do regularnego opieprzu.

– Louvain, natychmiast wracaj po skierowanie! To rozkaz!

– Pierdol się, inspektorku, rozkazy emerytów nie dotyczą.

– Louvain, nie chrań, do kurwy nędzy! – Naczalstwo zaczęło po dobroci. –

Musimy mieć tę podkładkę. Zrobiłeś z siebie idiotę przed samym arcybiskupem! Nie dałeś nam wyboru. Wkurwiłeś zbyt wielu cholernie ważnych ludzi, więc nie pierdol, morda w kubeł i wracaj po ten papier! To dla twojego własnego dobra. Co cię człowieku opętało?!

Opętało...

Louvain zamrugał oczami. Opętało... Ta myśl przez chwilę szukała skojarzenia i znalazła je w postaci wspomnienia cyrku w redakcji „Przyjaciela Egzorcysty”, kiedy to z Rafalskim szukali Bileckiego. Komisarz przypomniał sobie tamte wykrzywione twarze, paranoiczne słowa i gesty...

Opętanie! Spłynęło na niego mroczne objawienie. Tak, to była właściwa odpowiedź na pytanie „co dalej”! Opętanie stanowiło jedyne rozwiązanie, jego jedyną ucieczkę, ostatnią deskę ratunku...

Depresyjne przygębienie Louvaina w okamgnieniu przeszło w manię, a ta skryzalizowała w pragnienie zemsty. Teraz idea „co zrobić” jawiła się niebывale jasna i oczywista. Że też nie wpadł na nią od razu!

Świat pojaśniał od nagłego przypływu adrenaliny. Gdzieś po dniu głowy przemknęła myśl, że nie jest sobą, ale zignorował ją.

Louvain wyłączył komórkę i ruszył szybkim krokiem na plac Bankowy. Tam wsiadł w metro i w niecałe pół godziny później wkroczył do biurowca, w którym mieściła się redakcja „Przyjaciela Egzorcysty”.

Portierowi na parterze rzucił na stół policyjną odznakę. Tamten aż odskoczył z wrażenia. W pałacu Mostowskich najwyraźniej nie dogadali się, kto ma komisarzowi zabrać blachę. Oficer dyżurny pewnie myślał, że komisarz zostawi ją w kadrach, a tam, zdaje się, zaplanowali to jako trzeci akt spektaklu po formalnym odbiorze skierowania na obserwację psychiatryczną. W rezultacie Louvain wyszedł z odznaką i rzucił ją dopiero teraz. Na mszę u arcybiskupa nie wziął broni i naprawdę dobrze, że jej teraz przy sobie nie miał...

Miejscowy portier wytrzeszczał oczy, nie wiedząc, jak zareagować. Wreszcie górę wzięły odruchy i otworzył mu bramkę.

Louvain wbiegł na górę po schodach, traktując to jak rozgrzewkę. Na ostatnim półpiętrze zrzucił marynarkę.

Portier w międzyczasie zadzwonił do redakcji, bo za przeszkłonymi drzwiami czekał już na komisarza święcie oburzony komitet powitalny.

– Jak pan tu śmie... – zaczęła przemowę jakaś zgorszona dziumdzia.

– Ave, Satan! – ryknął Louvain, chwytając stojące w holu krzesło. Szczęśliwym



trafem nie była to żadna delikatna tandeta, tylko solidny, lity, drewniany demobil z jakiejś zaprzyjaźnionej plebanii. Zamachnął się nim na odlew.

Tłumek świętoszków rozpierzchnął się przed nim w dzikim popłochu, niczym odepchnięty falą ciemnej strony mocy. W gardle Louvaina eksplodował kolejny ryk. W istocie nie potrzebował wiele, żeby piana wystąpiła mu na usta. Uwolniona wściekłość i gniew eksplodowały w nim z taką siłą, że zaćmiło go od razu w pierwszych sekundach. Miał wrażenie, że naprawdę bierze go opętanie. Ostatnim świadomym przeblyskiem wyrachowania przypomniał sobie, że przede wszystkim powinien okazać przekonującą nienawiść wiary, czyli *odium fidei*. Doprawdy jednak w tej chwili wcale nie musiał tego udawać.

Kolejny zamaszty cios krzesła spadł więc na pięknie oprawiony, oszklony, ustawiony na specjalnie ukwieconym ołtarzyku pod ścianą naprzeciw biurka redakcyjnej recepcjonistki, portret świętego Jana Pawła II. Tłuczone szkło i białoczerwone kwiaty osypały się po całym pomieszczeniu.

Sławny papieski uśmiech jakby ożył w tumanie pyłu z pokruszonych gipsowych ram...

W mgnieniu oka opuściły Louvaina cała furia, gniew i żal. Złość jakby implodowała i znikła, zostawiając po sobie czystą pustkę w głowie. Komisarz na sekundę zamarł z krzesłem w rękach, nie wiedząc, co się stało ani co ma robić. No co się stało...?

Cud..., uświadomił sobie. Pieprzony, papieski cud... Naprawdę się stał! Taki jakby prztyczek w środku głowy – mimochodem, w ułamku sekundy i pieruńsko skutecznie...

Dziumdzia, która pierwsza się odezwała, nie dostrzegła subtelnej zmiany, tylko aż zawyla ze zgrozy i w świętym szale rzuciła się na profanatora, żeby pazurami wydrapać mu oczy. To zmusiło Louvaina do dalszego działania. Musiał się bronić, inaczej naprawdę byłoby po oczach. Resztę zrobiły wyćwiczone odruchy.

Mścicielka dostała nogą krzesła w skroń i padła ogłuszona. Komisarz, wciąż zastanawiając się, co się właściwie z nim dzieje, przekroczył jej ciało i wkroczył do głównego pokoju redakcyjnego. Dzikie wrzaski na jego widok przypomniały mu, że miał udawać opętanie, bo w tym szaleństwie jest metoda.

Zamierzył się więc z kolei na wiszącą opodal kopię portretu Chrystusa Miłosiernego, ale tym razem rozmyślnie nie trafił. Tylko połamiał krzesło na ścianie tuż obok, ryjąc tynk i robiąc mnóstwo hałasu. Potem skopał z biurek dwa monitory ozdobione świętymi obrazkami i różańcami, a kolejne biurko ze statuetką ojca Pio

wywrócił w całości. Podniesioną z podłogi spiżową figurką jednym rzutem efektownie rozpieprzył trzy kolejne ścianki działowe z hartowanego szkła. Ten święty zawsze miał dużą siłę przebicia... Następnie komisarz chwycił jakiś stołek i rzucił się w pogoń za umykającymi jak króliki członkami redakcji, młócąc im meblem grzbiety ile wlezie. I szczerze mówiąc, czuł się z tym coraz lepiej. Opętanie, nie opętanie – takiej terapii zajęciowej naprawdę teraz potrzebował!

O ile jednak z początku Louvain miał wrażenie, że rozniesie całe to gniazdo oszołomów w pieprzone drobiazgi, to po paru minutach siły i motywacja komisarza zaczęły się wyczerpywać. Należało pomyśleć, jak tę szopkę zakończyć. Problem okazał się niebanalny, ponieważ czas mijał, a tu zupełnie nie było przed kim kapitulować.

Ot, niefart! W gębie to oni wszyscy byli niezmiernie mocni, ale kiedy przyszło powstrzymać rozjuszonego emeryta, nie stało odważnych. Spieprzali po kątach, aż trudno ich było dogonić, i jakoś tym razem nikt nie kwapił się do wygłaszania żadnej formuły egzorcyzmu...

Ksiądz asystent wprawdzie wystąpił ze swojego gabinetu i przybrał godną postawę, ale wystarczył jeden szybki wymach stołkiem, aby łopocząc sutanną, zrejterował z powrotem i zamknął się tam na wszystkie spusty. Louvain wykrzykując sprośności pod adresem kleru, zaczął wyważać drzwi.

Wyłamanie tandetnego zamka i zawiasów przyszło dość łatwo, ale ksiądz asystent tym razem nie polegał na sile modlitwy, tylko z miejsca zwałił pod drzwi szafę, dopchnął ją biurkiem i po chwili zasapany komisarz musiał zrezygnować z oblężenia.

Zmęczenie coraz bardziej zaczynało brać górę nad udawanym szaleństwem, a tu nadal nie było widać rycerza, który w jakikolwiek sposób spróbowałby obezwładnić opętanego, mimo że Louvain był skłonny doprawdy wiele w tym względzie ułatwić. Nie pomagało kopanie w tyłki wystające spod biurka. Cholerne cieniasy tylko błagały, żeby ich nie zabijać...

Szczęściem, charyzmatyczna dziumdzia, ta, która pierwsza dostała po głowie, doszła właśnie do siebie i stanęła na wysokości zadania. Ze strumyczkiem krwi ściekającej ze skroni po policzku, ze wzburzonymi włosami, świętym ogniem w oczach, unosząc wydobyty skądś krucyfiks, wkroczyła do zdemolowanego pokoju redakcyjnego, wzywając Louvaina w imię Jezusa Chrystusa, aby się opamiętał.

Zrobił to naprawdę chętnie, bo już łapała go zadyszka.

Pamiętając zaś, że ma do czynienia z tchórzami, którzy zwykle stają się odważni

dopiero wobec bezbronnego, nie osunął się malowniczo na podłogę, boby go zaraz skopali na śmierć. Postawił więc stołek, którym dotąd wymachiwał, i po prostu usiadł na nim, luźno opuszczając ręce i pochylając głowę. Coś jakby wyłączony golem.

Dziewczyna ośmielona sukcesem podeszła bliżej i, trzymając krzyż pół metra od Louvaina, zaczęła głośno odmawiać litanie do Matki Bożej. Imponujące, że znała ją całą na pamięć. Komisarz skwapliwie pozwolił się obezwładnić potokowi uroczystych inwokacji. W sumie naprawdę dzielna panna. Gdyby nie takie jak ona albo świętej pamięci Sawicka, całe to nawiedzone towarzystwo już dawno temu wylądowałoby w kabarecie. Jak się to wszystko skończy, trzeba będzie przeprosić ją za rozbitą głowę... Sumienie ugryzło go naprawdę mocno, aż musiał się powstrzymać, by nie okazać skruchy już tu i teraz.

Uroczysty finał zdarzenia pozwolił Louvainowi uniknąć spontanicznego linczu dla zachowania twarzy w wykonaniu upokorzonych kolegów Bileckiego. W tej sytuacji nikt z nich go nawet nie tknął. Obchodzili na paluszkach jak Czarnego Luda, który jak się zbudzi, to wiadomo...

Stopniowo zaczął się wkoło komisarza coraz żywszy ruch. Ksiądz asystent wygrzebał się zza swojej barykady i zupełnie bez żenady przypisał sobie całą zasługę poskromienia złego ducha. Potem wezwano policję i pogotowie.

Patrol interwencyjny przyjechał pierwszy. Wbiegli do redakcji z pałkami w dłoniach i, rozpoznawszy Louvaina, stanęli jak wryci. Potem czym prędzej schowali pały, chwycili krótkofalówki, zaczęli meldować i czekać na dalsze instrukcje.

Zanim się doczekali, dotarło pogotowie, i to ratownicy medyczni przejęli inicjatywę. Pobłażliwie wysłuchali relacji o opętanym esbeku oraz sile prawdziwej wiary, po czym bez dalszych teologicznych ceregieli walnęli sprawcy końską dawkę głupiego jasia.

Były komisarz Louvain odpłynął w błogi niebyt.

## POKUTA ZA ZDRADĘ JUDASZOWĄ

Światło w drzwiach tym razem było łagodne, mocno przyćmione, ale dla Bileckiego, siedzącego od kilku dni w całkowitych ciemnościach, wciąż zbyt jaskrawe. Nie był w stanie dojrzeć rysów twarzy mówiącego do niego mężczyzny, a jedynie ogólny zarys jego sylwetki i habit, w który był ubrany. Tym razem redaktor nie próbował się na niego rzucać. Nie był zdolny zaatakować osoby duchownej. Poza tym domyślał się, że wtedy światło znów rozbłyśnie z całą siłą, daleko przekraczając próg bólu odwykłych od jasności oczu.

– Dlaczego... dlaczego... dlaczego... – zaskomlił tylko, kiedy znów dano mu szansę rozmowy. Już nie potrafił powiedzieć: „dlaczego ją zabiliście”. Uznał swoją winę i tylko rozpaczliwy sprzeciw wobec okrutnej rzeczywistości jeszcze się w nim tlił.

– Synu mój, zbyt wielkim dziełom pobożnym, ty i ona, stanęliście na przeszkodzie. Proces naprawy i nawrócenia całego świata musi postępować bez względu na ofiary. Są rzeczy po wielokroć większe od szczęścia małżeńskiego. Rodzina, którą chciałeś założyć, to dobro, lecz zbyt małe dobro wobec rozmachu tych bożych przedsięwzięć. Trwa wojna z cywilizacją śmierci, ścierają się potęgi nieba i piekła, ruszyły nieuchronne procesy dziejowe, których skali nie sposób ogarnąć ludzkim umysłem.

– Drugie średniowiecze... – westchnął Bilecki.

– Tak. Bardzo dobrze, że to rozumiesz, mój synu. Zatem pojmujesz też, że nie jest w ludzkiej mocy zatrzymanie tych sił, złagodzenie surowości koniecznych środków ani uniknięcie zbędnych ofiar. Tu zresztą nie ma ofiar zbyt wielkich! Taka jest wola boża, pogódź się z nią. Bóg może jedynie wynagrodzić twoje i jej cierpienie. W przypadku twej narzeczonej na pewno już to zrobił. Okaż więc wiarę, mój synu!

– Kochałem ją... Naprawdę kochałem...

– To dobrze o tobie świadczy, mój synu. Dobrze, że miałeś wobec tej panny uczciwe zamiary, ale powtarzam ci, że stanęły na przeszkodzie bożym planom. Morze wystąpiło z brzegów, aby oczyścić ziemię. Ty zaś jesteś jak rybak, któremu wezbrana fala zniszczyła chatkę. Możesz płakać i pomstować, ale cóż to da. Chcesz być mały

i żaloszny? Małe dobro stanęło przeciw potężze najwyższego dobra... Sądziż, że Bóg miałby ustąpić tobie? Okaż pokorę, synu! W pokorze poddaj się Jego woli. Wszak sam dotąd wiernie służyłeś tej samej sprawie. Wiemy to. Jednak zaślepiła cię pycha, uwiodło pragnienie ziemskiej sławy, czyż nie tak?

– Tak było... – zaszlochał Bilecki.

– Doceń więc to, że tobie pozwolono żyć. Doceń miłosierdzie, które tobie okazano.

– Doceniam, ojczce.

– Czy uznajesz już więc swoją winę, synu?

– Uznaję, ojczce...

– To dobrze. Rozważ jeszcze głęboko w swojej duszy tę prawdę. Rozważ ją wnikliwie...

Na tym rozmowa się zakończyła, ale kiedy zamknęły się drzwi, Bilecki znalazł pozostawiony na progu koszyk. Były tam pled, bochenek chleba, termos gorącego rosółu, świeczka, zapałki i Pismo Święte.

Bilecki pojął, że zaczął się dla niego powrót do Światła. Twarda i surowa, lecz miłosierna dłoń Boga sięgnęła ku niemu, aby go wydobyć z otchłani.

Był za to szczerze wdzięczny.

\*\*\*

– Ochujaleś?! – zawołał od progu Rafalski, wchodząc do szpitalnej izolatki.

Jednocześnie podkomisarz szybkim ruchem położył na ustach palec zdrowej ręki.

Louvain domyślił się, że byłemu partnerowi wciśnięto podsłuch. Leżał spokojnie, zresztą nie miał innego wyjścia, bo przywiązano go pasami do łóżka.

– Miałem się zgłosić... do czubków... na badania, no to... kurwa... jestem! – odparł, walcząc z językiem, który po głupim jasiu wciąż jeszcze stawał mu kołkiem.

– Idiota! – zbeształ go głośno Rafalski, po czym poinformował: – Oficjalna wersja jest taka, że przeszedłeś załamanie nerwowe, spowodowane niedopuszczalną, medialną presją. Ci z „Przyjaciela Egzorcysty” próbowali bredzić coś o opętaniu, ale ich góra kazała im zamknąć mordy. Teraz śpiewają cienko i przyznają, że posunęli się wobec ciebie zbyt daleko, więc w sumie to się im należało. Nie będą wnosić oskarżeń, wybaczą i proszą o wybaczenie... – zrelacjonował podkomisarz z rosnącym niesmakiem, po czym zrobił pytającą minę. – Ale co to naprawdę, kurwa, było? Ty

i załamanie nerwowe?! Weź nie wciskaj mi kitu! Tacy oldskulowi skurwiele jak ty się nie załamują... – znów nieznacznie położył palec na ustach, dając do zrozumienia, że nie oczekuje szczerej odpowiedzi.

– Ulżyło mi – odparł Louvain. – Za długo dusiłem... to w sobie...

– Trzeba było iść wcześniej na emeryturę – odparł Rafalski mentorskim tonem. – Po to właśnie mamy w resorcie wcześniejsze emerytury, żeby ludziom nie odjebało pod dekle od nadmiaru stresu!

Louvain nie odpowiedział.

– Dobrze, że przynajmniej zdążyłeś wcześniej złożyć ten wniosek emerytalny. Przynajmniej teraz nie wypieprzą cię ze służby dyscyplinarnie... – Rafalski gadał, aby gadać i żeby było znać, że naprawdę się stara wyciągnąć od ekspartnera jakieś informacje.

– Odjebało mi... No trudno i fajnie... wszyscy teraz powinni być zadowoleni...

– Powiedz chociaż, że ci głupio! – zażądał pryncypialnie podkomisarz.

– A ni chuja! – Louvain odzyskał wreszcie sprawność aparatu mowy. – Gdybym tylko mógł znów przypierdolić tym załganym świętoszkom! – Szarpnął pasami, aż podskoczyło całe łóżko. – Do diabła z całym tym klechistanem!

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytał Rafalski łagodniejszym tonem.

– Sprowadź mi... – Louvain najekspresyjniej, jak umiał, starał się odegrać scenę walki wewnętrznej ze złym duchem, który się w nim zagnieździł. – Sprowadź kapelana... Jebać klechów! Niech mi pomoże... proszę... To chyba opętanie...

– OK. – Rafalski postukał się palcem w czoło, chyba całkiem szczerze, i wyszedł.

Szpitalny kapelan stawił się w izolatce po kwadransie.

– Niech będzie pochwalony... – zaczął.

– Nie! – Louvain przerwał mu wściekłym krzykiem, po czym znów udał walkę ze sobą. – Niech ksiądz stanie za moją głową, tak żebym księdza nie widział... – poprosił szeptem.

– Dlaczego?

– Bo drażni mnie widok duchownych... i święte imiona... Z trudem mogę się opanować... Jakby mnie coś szarpało od środka...

– Dobrze. – Ksiądz stanął tak, jak Louvain prosił. – W czym panu komisarzowi mogę pomóc?

– Ja myślę, proszę księ... księ... dza... że doznałem dręczenia... demonicznego...

– Nie mnie o tym sądzić. Najpierw o pańskim stanie zdrowia powinni

wypowiedzieć się lekarze.

– Wiem, wiem... ale proszę mi pomóc... to ważne...

– Słucham.

– Proszę powiadomić profesora Kępskiego, zna go ksiądz?

– Znam.

– Proszę mu dać znać, co się ze mną dzieje. On ma duże doświadczenie w tych sprawach...

– To prawda. Czy zatem profesor Kępski ma do pana przybyć?

– Tak, chcę z nim pomówić. Tylko z nim. Do lekarzy nie mam zaufania.

– Dobrze, postaram się skontaktować z panem profesorem. Czy coś jeszcze?

– Proszę o pośpiech. Naprawdę trudno mi się opanować...

– Rozumiem. Niech... – Kapelan sam z siebie powstrzymał się od błogosławieństwa i wyszedł z izolatki.

Dla Louvain zaczął się okres nerwowego czekania. Jeżeli go zignorują, no to koniec. Nasrał sobie w papiery nadaremno. Czym miałyby się teraz zająć? Podlewać kota czy głaskać kwiatki?

Odepchnął od siebie te myśli. Ciągle jeszcze prowadził swoją sprawę! Nieważne, że nieoficjalnie, delikatnie mówiąc. Był tropiącym psem i nie zamierzał być nikim innym. Tego należało się trzymać, choćby po to, żeby w ranę duszy nie wdało się zwątpienie. Chociaż może nie powinien się martwić, bowiem ciągle gdzieś tam w głębi jego skołatanego umysłu unosił się przekorny papieski uśmiech...

Tylko, psiakrew, prawdziwej metafizyki jeszcze tutaj brakowało!

Po jakimś czasie przyszła pielęgniarka i dała mu pić. Od niej dowiedział się, że jest w szpitalu psychiatrycznym na Sobieskiego, natomiast z tego, czego nie chciała mu powiedzieć, wynikało, że jeszcze nie postanowiono, jak mają go traktować. Personel na coś czekał. Jeśli na opinię Kępskiego, to był dobry znak. Oby tylko po rewelacjach ujawnionych w ciągu ostatnich dni nie wysłano profesora gdzieś poza Warszawę.

Kępski zjawił się jakąś godzinę po wyjściu pielęgniarki. Nie był sam. Towarzyszył mu obłudnie zatroskany ksiądz Piotr. Na widok jego gęby Louvain znów poczuł, że nie musi przesadnie symulować opętania. Skurczybyk przyniósł mu słoik kompiciku morelkowego... Zaprawdę pasy, którymi go skrępowano, na coś się teraz przydały!

– Kościół panu wybacza i modli się za pana – oznajmił zauszniak arcybiskupa. –

Ponadto mam przekazać, że wciąż może pan liczyć na niezachwianą życzliwość i wszelką jak najdalej idącą pomoc Jego Ekscelencji...

– Won mi z oczu, klecho! – warknął Louvain.

– Bardzo proszę księdza sekretarza, aby niepotrzebnie nie drażnić zniewolonego – zabrał głos profesor Kępski. Zupełnie nie sprawiał wrażenia człowieka przybitego medialną nagonką oraz publicznym wytykaniem mu skrajnej niekompetencji. Przeciwnie, ewidentnie poczuł się celebrytą. Wnosząc z tego, co wcześniej opowiadali o jego ubiorze i stylu bycia Rafalski i Halina, teraz Kępski obstał sobie nowy garnitur na miarę i powiesił na kołku maniery prowincjonalnego kościelnego. Bez wątpienia powiedziano mu, że Kościół wciąż ma do niego pełne zaufanie i nie pozwoli go skrzywdzić, więc nie musi przejmować się jakąkolwiek krytyką. Dziesięciolecia niezachwianej lojalności znaczyły tu więcej niż jakaś tam profesjonalna wpadka. Panu profesorowi nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko pławić się w sławie. Cóż z tego, że kontrowersyjnej?

Zatem poza wyglądem zewnętrznym i obyciem nie zmieniło się to, co było w tej chwili najważniejsze. Stary dureń naprawdę niczego się nie nauczył i swoim zwyczajem dalej stawiał diagnozy, zanim zobaczył pacjenta. Dobra nasza! Louvain postarał się nie uśmiechnąć.

– Oczywiście, panie profesorze. – Ksiądz Piotr stanął tam, gdzie wcześniej kapelan, znikając komisarzowi z pola widzenia. – Pozwoli jednak pan profesor, że pozostanę tutaj do końca rozeznania. Ksiądz arcybiskup jest niezmiernie zatroskany...

Też bym był na jego miejscu zatroskany, gdyby kogoś opętało zaraz po udziale w mojej prywatnej mszy, dopowiedział sobie w myślach Louvain. Koledzy z episkopatu mogą teraz zacząć patrzeć dziwnie...

– Jak ksiądz sekretarz sobie życzy – zgodził się Kępski i usiadł przy łóżku.

– Czy kiedykolwiek wcześniej dopuścił się pan zbezczeszczenia lub świętokradztwa? – zapytał pacjenta.

– Chyba nie, ale wielokrotnie kusiło mnie, żeby coś takiego zrobić – odpowiedział Louvain. – Dopiero dziś te podszepty stały się tak silne, że im uległem. Właściwie sam nie wiem, jak to się stało... – zamilkł.

– Poczuł pan nagłą nienawiść do rzeczy świętych? – drążył Kępski.

– Tak – przyznał się Louvain. – Jakiś głos powiedział mi, że Kościół mnie zdradził i powinienem go zniszczyć.

– Dlaczego w tym celu wybrał pan akurat redakcję „Przyjaciela Egzorcysty”?



– Drażniła mnie wiara tych ludzi... Ich pobożność od pierwszej chwili wręcz przyprawiała mnie o szaleństwo.

– I nigdy wcześniej pan komisarz takich sensacji nie odczuwał?

– Nie. Tylko pokusy, którym się opierałem z pomocą Bo... Bo... Bo... – Poderwał się i szarpnął pasami, dając do zrozumienia, że słowo „Bóg” nie może mu przejść przez gardło, ale walczy z tym ile sił. Żyły aż nabrzmiały mu na szyi i skroniach. – Nie mogę... – opadł w końcu bezsilnie. – Nie mogę wymówić...

– Typowy dopust z owładnięciem – orzekł bez wahania profesor Kępski.

– On nie udaje? – zapytał wprost ksiądz Piotr.

– Musiałby wcześniej udawać pobożność, proszę księdza sekretarza. Skrycie uprawiać okultyzm...

– Nie wyglądał na takiego – przyznał duchowny.

– Proszę mi pomóc! – jęknął Louvain. – Naprawdę dzieje się z mną coś złego...

– Dopust boży – powtórzył z całym przekonaniem profesor Kępski.

– Jeszcze tylko tego nam brakowało! – Ksiądz Piotr sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego. – Akurat wtedy, kiedy Kościół postanowił związać z tym człowiekiem tak wielkie nadzieje... – nie dokończył.

– Moim zdaniem, proszę księdza sekretarza, powinniśmy zabrać pana komisarza do naszego ośrodka. Tam będzie więcej dyskrecji.

– Tak, tak! – zgodził się skwapliwie Louvain.

– Zarekomenduję tę opinię Jego Ekscelencji. To kłopotliwa sytuacja, ale raczej nie powinno być przeszkód. Zajmie się pan profesor tym przypadkiem osobiście?

– Oczywiście, proszę księdza sekretarza.

Wyszli z izolatki bez pożegnania, zostawiając go, jakby był zwykłą kłodą.

Po zmroku przyszli trzej sanitariusze i przenieśli Louvaina z łóżka na nosze. Nie zdjęli mu pasów. Potem przeniesiono go do karetki, która pojechała gdzieś na wschód, a dokładniej północny wschód. Louvain zorientował się, że przejechali przez most Siekierkowski, którego szczyty mignęły w oknie karetki.

Mniej więcej dwie godziny później wjechali na teren jakiegoś ukrytego w lesie zabytkowego klasztoru czy domu zakonnego. Komisarza umieszczono w pojedynczej celi z ostrołukowym, zakratowanym oknem. Tym razem już bez pasów. Polecono mu tylko łyknąć jakieś proszki na uspokojenie i życzo no dobrej nocy.

Zrobił, co kazali, bez szemrania i podziękował szczerze. Naprawdę zamierzał się

dobrze wyspać. Była to jedyna nagroda, jaką mógł sobie dać za pomyślną realizację improwizowanego planu.

Szkoda, że nie zamierzył tego od samego początku, ale mniejsza. Najważniejsze, że sprawy znów były pod jego kontrolą.

\*\*\*

Bilecki pokutował.

Najpierw spędził kilka dni i nocy na czuwaniach modlitewnych. Potem poprosił o bicz i zadał nim sobie 777 razów, aby przewyższyć liczbę Bestii o setkę, dziesiątkę i jedność. Nie wiedział, dlaczego akurat taki rachunek przyszedł mu do głowy, ale tak go natchnęło i jego opiekun wydawał się zadowolony. Stopniowo w celi redaktora pojawiały się kolejne elementy wyposażenia – materac do spania, stół, krzesło, klęcznik, normalne jedzenie oraz zainstalowano mu światło elektryczne, które mógł sam zapalać i gasić. Bilecki zaczął się też odziewać, najpierw w przepaskę biodrową, zrobioną z ofiarowanego mu ręcznika, potem otrzymał habit dominikańskiego nowicjusza. Niewątpliwa wskazówka i symbol tego, kim miał się stać.

Z kolei duch Bileckiego systematycznie podnosił się z upadku i nabierał mocy. Już w całej pełni rozumiał, jak głupim i żalosnym człowiekiem dotąd był. Pojął, przewalczył to w sobie i wyznawał z całą szczerością, że to jego własna pycha spowodowała śmierć na bliską mu osobę. Wiedział, że musi za to zadośćuczynić Bogu, i dokładał wszelkich starań w tej mierze. Biczując się, dwukrotnie stracił przytomność. Za każdym razem ocknął się potem z opatrunkami na plecach. Zrywał je i chłostał się dalej. Jego opiekun nie napominał go za to i nie mitygował. Nawet gdy Bilecki z ran dostał gorączki. Jedynie dostarczono mu antybiotyki.

Wreszcie nadszedł czas na próbę ostateczną.

Jego opiekun, ksiądz, który dotąd nie ujawnił swojego imienia, przybył z kolejną wizytą i bez słowa położył przed redaktorem dwa przedmioty – młotek i pierścionek zaręczynowy, ofiarowany wcześniej Lucynie.

Nigdy do tej pory Bilecki nie dostał do celi przedmiotu, którego mógł użyć jako broń. Młotek był solidny, półkilowy.

– Synu, uczyn z tymi rzeczami to, co dyktuje ci serce.

Jego duchowy ojciec był sam, zupełnie bezbronny. Drzwi celi pozostawił uchylone, ale z korytarza nie dobiegał najmniejszy szelest. Chyba nikogo tam nie

było. Gdyby Bilecki chciał go ogłuszyć i spróbować ucieczki, miał na to szanse. Dano mu ją. Jeśli nie ucieczki, to na pewno zemsty, o której wcześniej marzył. Jeden cios młotkiem w skroń i będzie życie za życie...

Bilecki ukląkł i opuścił wzrok na leżące przed nim przedmioty. Domyślił się, czego właściwie od niego oczekują. Miał rozbić młotkiem pierścionek na znak zerwania z przeszłością. Miał pokazać, że jest gotowy podjąć nową służbę.

Pragnął tego z całego serca.

Pragnął też dowieść jak bardzo odmieniony i mocny stał się jego duch. Jak wiele pewności i siły woli nabrał, przewyciężając swój grzech i podnosząc się z haniebnego upadku.

Nałożył więc pierścień zaręczynowy na mały palec lewej ręki. Położył ją płasko na podłodze celi, a prawą ujął młotek. Miał zamiar założyć pierścionek prawidłowo, na palec serdeczny, ale zdołał go wcisnąć tylko na najmniejszy. Skojarzenie z japońską jakuzą odpędził wewnętrznym, strzelistym aktem wiary: *Nie mam żadnych bogów cudzych przed Tobą!*, rzekł sobie w duszy, po czym oznajmił głośno:

– Ojcze, pragnę ci dowieść, że przejrzałem już w pełni na boże światło.

Uderzył, miażdżąc pierścionek oraz własny palec.

Duchowny wzdrygnął się mimo woli, po czym uśmiechnął ze szczerym podziwem i aprobatą.

Bilecki bez drżenia i jęku bił raz za razem, aż szczątki palca i pierścionka całkiem oddzieliły się od jego dłoni. Potem, na znak, że już nie zamierza go więcej używać, odsunął młotek trzonkiem do ofiarodawcy.

– Synu – powiedział uroczyście jego ojciec duchowy. – Twoja pokuta dobiegła końca. Myślę, że trzeba teraz opatrzyć twoją rękę.

Krew z tłuczonej rany obficie lała się na podłogę.

– Ojcze mój, pomódlmy się najpierw – powiedział Marcin Bilecki z całkowitym spokojem i pogodą ducha.

W rzeczy samej był już nowym człowiekiem.

Louvain miał dojmujące uczucie, że robi z siebie totalnego idiotę.

Owszem, przesłuchując wcześniej podejrzanych i prowadząc gry operacyjne, udawał rozmaite uczucia, jednak tym razem przyszło mu odegrać życiową rolę, do której jego umiejętności aktorskie zdecydowanie nie dorastały. Niby wiedział, jak powinien się zachować, widywał to wiele razy na filmikach w sieci, ale naśladownictwo słabo mu wychodziło i męczyło go narastające z każdą minutą przekonanie, że towarzyszący mu ludzie doskonale tę mistyfikację widzą i bawią się z nim jak kot z myszą.

Pał licho te racjonalizacje! Prawda była taka, że miał wyrzuty sumienia. Działał wbrew sobie, choć intencje miał dobre. Traktował sacrum przedmiotowo i napięcie psychiczne rosło. Jeszcze trochę, a egzorcyzmy rzeczywiście podziałają i przyzna się do wszystkiego...

Starał się nadrabiać agresją. Wstępne modlitwy zakłócił wyzwiskami, zachowując się jak zły esbek podczas przesłuchania. To wyszło w miarę wiarygodnie. Czegoś podobnego chyba się po nim spodziewano. Pytanie, co dalej?

– To gówno śmierdzi! – wrzasnął, starając się napluć na monstrancję.

Jeden z zakonników stanowiących tutejszą grupę wsparcia zasłonił mu usta chusteczką. Delikatnie, żeby nie przydusić, ale zdecydowanie uniemożliwiając profanację.

Ksiądz zakonny prowadzący egzorcyzm, widząc, że opętanego Najświętszy Sakrament drażni szczególnie, wziął monstrancję z ołtarza i ruszył z nią do Louvain.

Komisarz wierzgnął ile sił na ten widok, ale nie zdołał nic zrobić. Czterej rośli, świetnie wyszkoleni zakonnicy trzymali go mocno i fachowo.

– Zabierz to ode mnie! Zabierz! – wykrzyczał najgłośniejszym głosem, miotając się w uścisku. – Zabierz to! – Wyprężył się, jakby poraził go prąd.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego Amen! – Duchowny uroczyście pobłogosławił opętanego Najświętszym Sakramentem, po czym odstawił monstrancję z powrotem na ołtarz i przystąpił do dalszej części egzorcyzmu.

Louvainowi wspomniano wcześniej, że rytuał poprowadzi ksiądz Paweł, który

jest zwolennikiem tradycyjnej liturgii przedsoborowej, więc można mu zaufać, iż egzorcyzm w jego wykonaniu będzie nadzwyczajnie skuteczny.

Ojciec Paweł miał gdzieś pod siedemdziesiątkę, żywy wzrok i mimikę. W jego głosie pobrzmiwały autentyczne współczucie i empatia. Pod względem charakterologicznym zatem, na ile to można było stwierdzić na podstawie pierwszego wrażenia, zupełnie nic nie łączyło go z księdzem Janem.

– Odnówmy teraz przyrzeczenia chrztu świętego! – zaintonował prowadzący i sięgnął po kropidło.

Louvain dołożył wszelkich starań, by udać, że pokropiono go kwasem. Nie zamierzał dać się uwolnić od razu przy pierwszym zabiegu, więc od kiedy przyprowadzono go do tej kaplicy, już od progu odmawiał wszelkiej współpracy. Swój sprzeciw mógł wyrażać jednak tylko werbalnie. Pamiętano, że jest policjantem, którego uczono walczyć i stosować różne chwytaki. Przydzieleni mu zakonnicy byli chyba byłymi komandosami lub zawodnikami judo. Wszelkie przejawy agresji pacyfikowali w zarodku i nie dawali się w żaden sposób zwieść ani wymanewrować.

Ojciec Paweł na zakończenie odnowienia chrztu odmówił „Ojcze nasz”, po czym przyklęknął przy Louvainie i pochylił się nad nim bardzo nisko, ujmując go za skronie.

– Niech moc Ducha Świętego sprawi, aby zły duch odszedł od ciebie, mój bracie... – Pochylił się jeszcze niżej, jakby chciał zrobić komisarzowi sztuczne oddychanie metodą usta-usta. – I niechaj „zglądzi go tchnieniem ust swoich i zatraci objawieniem swego przyjścia” – wyrecytował fragment Drugiego Listu do Tesaloniczan, tchnąc własnym oddechem na twarz uwalnianego, po czym zawołał wielkim głosem:

– W imię Jezusa Chrystusa rozkazuję ci, demonie, odstęp!

Louvain, korzystając z okazji, postanowił przywalić kapłanowi czołem w nos, ale jego opiekunowie dokładnie tego się po nim spodziewali i unieruchomili mu głowę w żelaznym uścisku, zaledwie zdążył o tym pomyśleć. Bez pudła odczytali mowę ciała.

Kapłan jednak dostrzegł opór i zaczął cierpliwie powtarzać obrzęd od początku. Na ile komisarz się orientował, nie była to dokładnie stara wersja rytuału rzymskiego. Egzorcysta zmieniał kolejność czynności, modyfikował je i improwizował po trosze. Być może ściśle ortodoksyjną wersję tradycyjnego obrzędu zachowywał na wielki finał. Na razie tylko poszturczywał diabła, aby go lepiej wybadać.

Bardziej interesujące dla Louvain było jednak zachowanie profesora Kępskiego. Ten był tu obecny cały czas. Siedział z notatnikiem w kącie kaplicy i pilnie notował. Żeby go lepiej widzieć, miotający się na podłodze komisarz parę razy wygiął się w łuk, w czym akurat pilnujący go zakonnicy nie przeszkadzali. Nie zdołał jednak zachować tej bardzo męczącej pozycji zbyt długo, co chyba znów zbliżyło go do zdemaskowania.

Przy trzecim powtórzeniu Louvain leżał już spokojnie, okazując nawet chwilami chęć współpracy z egzorcystą, który wobec tego uznał, że na dziś tyle wystarczy. Zakończywszy rytuał modlitwą dziękczynną, ojciec Paweł podszedł do Kępskiego.

– Przypadek nie wygląda na zbyt ciężki – powiedział do profesora.

Louvain tego się właśnie obawiał najbardziej. Cokolwiek o sensie egzorcyzmów nie myśleć, ksiądz Paweł wyglądał na przytomnego fachowca, zwłaszcza w porównaniu z towarzystwem z „Przyjaciela Egzorcysty”. Jeszcze kilka seansów a zorientuje się, że ma do czynienia z symulacją. Przydałyby się teraz wiarygodniejsze manifestacje złego ducha, typu nadludzka siła, monologi w językach nienarodzonych tudzież plucie gwoździami. Szkopuł w tym, że Louvain nie miał, jak sądził, ani prawdziwego świra, ani talentu aktorskiego, ani przeszkolenia prestidigitatorskiego. Numer z gwoździami wymagał umiejętności świadomej kontroli odruchu wymiotnego na poziomie przynajmniej połowy cyrkowego profesjonalizmu Houdiniego. Zatem każda próba prezentacji bardziej malowniczych przejawów owładnięcia demonicznego mogła tym szybciej spowodować, że ksiądz Paweł przejrzy całą grę, a komisarz będzie musiał przyjąć tego konsekwencje. Duchowny już był na najlepszej drodze ku temu. Pomysł z udawaniem opętania wpadł komisarzowi do głowy stanowczo zbyt późno i na chybcika. Żeby chociaż pomyślał o tym dzień wcześniej, mógłby się do tego jakoś lepiej przygotować.

Szczęściem głupota Kępskiego jeszcze raz przysła mu w sukurs.

– Może szatan przebiegle się ukrywa? – zaproponował od razu, usłyszawszy optymistyczną diagnozę ojca Pawła.

– Tego na tak wczesnym etapie wykluczyć nie można – przyznał egzorcysta, marszcząc brwi.

– Ksiądz arcybiskup nalegał na bardzo wnikliwe rozeznanie tego przypadku.

– Wiem o tym, panie profesorze, dlatego nie zamierzam poprzestać na jednym rytuale. Na razie jedynie przekazuję panu moje pierwsze wrażenie. Być może mylnie, jednak prosiłbym polegać na moim doświadczeniu z trochę większą ufnością.

– Rozumiem, proszę ojca. Przekażę wszystko co do słowa Jego Ekscelencji.

Zabrzmiało to jak groźba i ostrzeżenie. Czyżby ksiądz Paweł nie cieszył się względami arcybiskupa? Na pewno musiał mieć jego formalną zgodę na sprawowanie posługi egzorcysty, i zapewne miał ją od dawna, ale coś tutaj między nimi najwyraźniej zgrzytało. W Warszawie niepodzielny rząd dusz w zakresie uwalniania opętanych sprawował dotąd ksiądz Jan. Louvain wcześniej nawet nie słyszał o istnieniu ojca Pawła. I nawet teraz, kiedy ksiądz Jan musiał zniknąć w atmosferze skandalu, jego odpowiednika z diecezjalnej prowincji mimo niewątpliwych kompetencji nie wezwano do stolicy. Ojciec Paweł nie zastąpił skompromitowanego poprzednika, praktykował jakby w ukryciu. Należało sprawdzić, co się za tym kryje.

Dwaj zakonnicy pomogli Louvainowi wstać. Byli przy tym bardzo serdeczni. Ten z chusteczką otarł mu teraz pot ze skroni.

– Jak się pan komisarz czuje? Nic nie dolega? Może podać wody?

– Dziękuję, nie chce mi się pić... – Chciało mu się, i to bardzo, w końcu zdzierał gardło przeszło godzinę, ale wołał się napić u siebie w pokoju, by nie ryzykować, że braciszkanie podstępnie dadzą mu wodę święconą i będą patrzeć, czy go odrzuci. Jeśli nie albo zrobi cyrk z powodu szklanki zwykłej wody, będą mieli kolejne powody, by zwątpić w autentyczność tego opętania. W najlepszym razie uznają, że jest wyleczony, i odeślą do domu, zanim zdąży załatwić to, po co tu przyszedł.

Chodziło o raporty Kępskiego. Profesor czuł się tutaj jak u siebie w domu, ba, chwilami wręcz pozował na szefa, więc dokument, który właśnie skomponował na kolanie, z pewnością nie był jedynym...

– Naprawdę nic panu komisarzowi nie jest? – upewnił się jeden z opiekunów.

– Trochę boli mnie głowa i kręgosłup, chciałbym odpocząć... – Louvain pamiętał, że takie objawy bywają częste po egzorcyzmach, więc przynajmniej tyle mógł zrobić, aby uwiarygodnić swój stan. W sumie mało dziwne, że pacjenci po tym rytuale skarżyli się na zdarte gardło, ogólne przegimnastykowanie oraz psychosomatyczne bóle brzucha.

– Zaprowadzimy więc pana komisarza do jego celi. Na dziś to już wszystko. Może pan komisarz wypoczywać do woli.

Kiedy Louvaina wyprowadzano z kaplicy, wciąż bacząc na każdy jego ruch, profesor Kępski oddał swoje papiery jednemu z zakonników, który za drzwiami skierował się w przeciwną stronę niż grupa eskortująca komisarza. Żeby zobaczyć, dokąd tamten zmierza, Louvain potknął się celowo, symulując jakiś przykurcz albo kontuzję.

– Ostrożnie, panie komisarzu! – Zatroskani zakonnicy wzięli go pod ręce niczym żydowskiego cadyka. – To nic, nic! – pocieszali go. – Nic się nie stało!

Louvain udał, że opadające napięcie zwiotczyło go jak alkohol. Osunął się na oba kolana, zwisając bezwładnie na ramionach opiekunów, dzięki czemu w czasie, kiedy go podnoszono, mógł swobodnie obrócić głowę i przez jakieś dziesięć sekund obserwować, co się dzieje za nim.

W tym czasie zakonnik ze sprawozdaniem zdążył dojść, gdzie zamierzał, i zaczął otwierać drzwi na końcu korytarza. Louvain zapamiętał je dobrze.

W celi, kiedy tylko został sam, od razu rzucił się do kranu z wodą i pił łapczywie, dużymi łykami. Potem wyciągnął się na łóżku, obmyślając plan działania.

\*\*\*

Już go nie zamykano.

Bilecki mógł wyjść w każdej chwili, ale poprzestał tylko na jednym wystawieniu głowy na korytarz. Nie było tam żadnych krat ani nikt go nie pilnował. Na końcu były widoczne schody, ale redaktor nie próbował zbliżyć się do nich. Może to był podstęp, może nie. Bilecki tego nie sprawdzał. Posłusznie czekał na pozwolenie opuszczenia celi.

Na razie miał tu wszystko, czego potrzebował. Jego zmiążdżonym palcem zajął się jakiś chirurg, który przyszedł tutaj i w milczeniu bez znieczulenia wyrównał i zaopatrzył kikut. Redaktor miał nie zdejmować tego opatrunku przez dziesięć dni, i to było jedyne polecenie, jakie mu wydano. On sam z kolei o nic nie prosił. Poza jednym. Chciał tylko, aby wymieniono mu rzemienny pejcz na łańcuch. Uczyniono to.

Teraz, klęcząc półnago pośrodku celi, Bilecki odmawiał głośno Litanię do Wszystkich Świętych, po każdej inwokacji siekąc się łańcuchem przez plecy. Krew ściekała mu po udach, przyskała ściegami kropel na ściany i sufit. To nie robiło na redaktorze żadnego wrażenia.

Bilecki nie czuł już żadnego bólu. Wyłącznie nieziemską słodycz. Miał wrażenie, że jego poprzednie życie skończyło się wieki temu.

\*\*\*

Na ścianach nie było żadnych dewocjonałów. Jednak do niedawna wisiały tu na pewno – po świętych obrazach zostały jasne prostokąty na ścianach, podobnie



z krzyżem nad drzwiami. Wyniesiono stąd wszystko, co święte, aby nie dopuścić do profanacji i nie prowokować do niej opętanego. Z kolei opróżnione, nadmiarowe w tej sytuacji meble – sekretarzyk oraz regał – wskazywały, że ktoś tu wcześniej normalnie mieszkał, a celę szykowano na przyjęcie komisarza w dużym pośpiechu. Zapewne o wyborze akurat tego pomieszczenia zdecydowały kraty w oknach – stare, bardziej ozdobne niż solidne, ale jednak nie do wyłamania gołymi rękami. Za to drzwi zaopatrzone w dość symboliczny zamek dałoby się wyważyć jednym kopnięciem. Teoretycznie, bo w praktyce lepiej było nie próbować. Akustyka zabytkowych korytarzy natychmiast postawiłaby na nogi cały klasztor.

Posiłki na razie przynoszono Louvainowi do celi. Wspomniano mu jednak, że kiedy poczuje się lepiej, będzie mógł jadać wraz z braćmi w refektarzu, a także wychodzić na spacer do parku. Na razie gospodarze najwyraźniej nie chcieli ryzykować uszkodzenia starych religijnych malowideł lub rzeźb, acz nie robiono żadnych uwag ani aluzji do tego, co stało się w redakcji „Przyjaciela Egzorcysty”. W sumie traktowano komisarza, pół na pół, jak więźnia i gościa zarazem. Wynikało z tego, że dotąd egzorcyzmowanych osób raczej tu nie zatrzymywano na nocleg, choć ksiądz Paweł z pewnością praktykował w tym klasztorze od wielu lat. Pacjentów musiano dowozić mu z zewnątrz i zabierać ich z powrotem zaraz po sesji. Zatem Louvain został potraktowany wyjątkowo. Numer z wysłaniem go na emeryturę był niewątpliwym świństwem, ale jednak Ekscelencja arcybiskup do jakiejś protekcji i ojcowskiej opieki nad komisarzem bez wątpienia poczuwał się... Wzruszające!

Louvain postanowił to wykorzystać.

Kiedy doszedł do siebie po męczącym rytuale, skrupulatnie przeszukał całą celę. W zakamarkach sekretarzyka znalazł dwa zapomniane lub przeoczone w pośpiechu spinacze biurowe. Potem jeszcze zaryzykował ukruszenie tylnych zębów, ale kwadrans później miał już to, czego potrzebował, czyli gotowe wytrychy. Wprawdzie wcześniej takim sprzętem nie praktykował, ale bądź co bądź wiedział, jak to się robi.

Po obiedzie profesor Kępski zaszedł do niego zapytać o samopoczucie. Czego faktycznie chciał, trudno było zgadnąć, bo bredził jak potłuczony. Głównie o niezmiernej arcybiskupiej trosce i czarnej niewdzięczności. To drugie wbrew pozorom nie dotyczyło hierarchy, ale samego profesora, który tyle lat dawał z siebie wszystko, a tu nagle spotkała go taka czarna niewdzięczność ze strony mediów i organów! Chociaż po złej policji właściwie powinien był się tego spodziewać. Po dziesięciu minutach cała rozmowa sprowadziła się do uzalania Kępskiego nad sobą.

Louvain początkowo gryźł się w język, żeby mu szczerze nie wygarnąć. W końcu

jednak uznał, że opętani mają swoje prawa.

– Jest pan nieudacznikiem! – oznajmił mu wprost. – Niekompetentnym, niedouczonego hochsztaplerem, który przykleił się do Kościoła, jak setki panu podobnych miernot z tytułami, lub wręcz szarlatanów. Jednak nie to jest największy problem, bo tacy jak pan zawsze napraszali się o posadę lokaja i zawsze byli gotowi zrobić dla niej wszystko. Prawdziwe nieszczęście to ślepy bezkrytycyzm Kościoła, który jest zainteresowany wyłącznie posłusznymi klakierami, choćby nawet skończonymi idiotami czy oszustami.

Profesor Kępski poczerwieniał.

– Wypraszam sobie... – wykrztusił.

– Dla hierarchów Kościoła ważne jest tylko, że takie kreatury jak pan we wszystkim im potakują i wspierają bez wahania w każdej sytuacji. Uczciwa dyskusja skończyła się z Wojtyłą, a może i wcześniej. Teraz w pojęciu biskupów każda krytyka to zbrodniczy atak na Kościół, który musi być odparty, najlepiej insynuacjami złej woli i ukrytych motywów. Odepchnięto ludzi kompetentnych i szczerych, a więc lgną cyniczni koniunkturaliści, którzy na wyścigi zrobią, powiedzą i potwierdzą wszystko, co tylko ich purpurowy mocodawca sobie zażyczy.

– Żebym ja nie powiedział czegoś o pańskich mocodawcach! – wybuchnął Kępski. Wyraźnie miał ochotę na dłuższy monolog o postkomunie i cywilizacji śmierci, ale się pomiarkował. W końcu w swoim mniemaniu miał do czynienia z człowiekiem chorym. Resztki lekarskiego sumienia powstrzymały go od gnębienia pacjenta. – Trwa wojna ze złem... – powiedział tylko, zbierając się do wyjścia.

– Więc kto nie z nami, ten przeciw nam – dopowiedział Louvain. – Skąd ja to pamiętam...? – Znacząco zawiesił głos.

– Pańska postawa wskazuje, że znajduje się pan w mocy demonów znacznie głębiej, niż ksiądz Paweł sądzi – stwierdził Kępski z przekonaniem.

– Czyżbym dysponował wiedzą o rzeczach ukrytych...? – Louvain wyszczerzył się paskudnie.

– Obawiam się, że pańskie uwolnienie będzie trudne do osiągnięcia, jeśli nie okaże pan więcej pokory i zaufania Kościołowi świętemu.

– Wiem, że jestem w rękach dobrego fachowca! – odparł prowokacyjnie komisarz. – Zatem na pewno wszystko dobrze się skończy.

– Nie liczyłbym na to! – Rozdrażniony profesor nie wytrzymał. – Ksiądz Paweł stosuje przestarzałe metody i właściwie już dawno powinien zostać zdymisjonowany z tej posługi. Nie wiem, czemu ksiądz arcybiskup jeszcze go toleruje, bo ja bym się

nie zawahał... Naprawdę szkoda, że ksiądz Jan musiał odejść. Natomiast pan, jeśli naprawdę chce zostać uwolniony, powinien zaprzestać rzucania oskarżeń na Kościół. Nie panu Matkę sądzić, zwłaszcza panu. Tyle mojej rady. – Energicznie zapukał w drzwi i zawołał: – Wychodzę!

– Nie uciekniesz przede mną, profesorku! – Louvain nadał swojemu głosowi możliwie najgrubsze brzmienie.

– Pospieszcie się! – wrzasnął przerażony Kępski.

Za moment komisarz został sam, za to z odrobiną satysfakcji. Przynajmniej tyle talentu aktorskiego zdołał z siebie wykrzesać, acz przyznajmy uczciwie, że jednoosobowa publiczność była mało wymagająca.

Spokojnie doczekał do kolacji, a potem aż w klasztorze pogasną światła i zapadnie cisza. Nie znał tutejszych zwyczajów i nie wiedział, czy i kiedy zaczną się jakieś nocne modły, więc postanowił nie zwlekać zbyt długo. Upewniwszy się, że na korytarzu panuje cisza – tym razem klasztorna akustyka działała na jego korzyść – zaczął manipulacje wytrychami.

Po kwadransie drzwi celi stanęły otworem. Louvain okutał się w szlafrok, który z daleka i po ciemku mógł od biedy ująć za habit, po czym ruszył do akcji. Starał się nie myśleć, że właściwie to ma tylko tę jedną próbę...

Kapcie irytująco szurały i szeleściły na posadzce, więc je zdjął i upchnął w kieszenie szlafroka. Nasłuchując uważnie, zszedł na parter.

Minął kaplicę, w której nic się nie działo, i dotarł do upatrzonych przed południem drzwi. Tutaj zamek był lepszy, ale komisarz miał już więcej wprawy. Po dwóch minutach był w środku. Zamknął zasuwę z powrotem i poczuł się na tyle pewnie, że zapalił światło.

Było to jakieś biuro. Archiwum lub może pokój przyjęć zewnętrznych interesantów. Szafa na dokumenty była tylko jedna, i na szczęście nie pancerna, a zwykła drewniana, z przeszkłonymi drzwiami, których nie zamknęto.

W zamian od góry do dołu wypełniały ją teczki z opisami egzorcyzmowanych przypadków. Na oko z półtora tysiąca. Nie było szans, aby przejrzeć wszystkie tej nocy.

Louvain wpatrzył się w oznaczenia na grzbietach, starając się odgadnąć system opisu teczek. Po chwili doszedł, że dotyczyły on dorobku trzech praktykujących w diecezji egzorcyzmistów, oznaczonych inicjałami. „JR”, jak łatwo zgadnąć, miał na koncie najwięcej teczek. Komisarz przypomniał sobie ustalenia Sawickiej i wygarnął teczki z okresu wskazanego przez nią w jej raporcie dla Bileckiego. Było ich

osiemdziesiąt. Dużo, ale do przerobienia przed świtem.

Teraz należało się wczytać i wyłowić przypadki egzorcyzmów zakończone niepowodzeniem. To jednak przyszło zaskakująco łatwo, ponieważ oznaczono je w szczególny sposób – zdjęcia opętanych, żeby nie „emanowały złem”, zasłonięto doczepionymi przy pomocy zszywacza dodatkowymi kartkami papieru, na których narysowano krzyż. W sumie siedemnaście takich. Fotografie musiano robić potajemnie krótko przed rytuałem bądź w jego trakcie. W przypadkach zakończonych powodzeniem zdjęcia zawsze były dwa, „przed” i „po”, te ostatnie już upozowane, z obowiązkowo uduchowionym uśmiechem na prowincjonalnie durnowatym obliczu delikwentki lub delikwenta. Do tego napisane odręcznie, osobiste „świadcstwo uwolnienia” – wystarczyło przeczytać jedno, aby znać je wszystkie. Przeważnie autorkami były jakieś nieszczęsne dziunie, które nie zdołały odnaleźć się w wiejsko-małomiasteczkowych realiach rodzinnego zadupia. Coś tam z nudów czy głupoty „wyczarowały”, popełniły jakąś profanację na parafialnym cmentarzu i popadły w emocjonalny konflikt z katolickim tabu, w duchu którego były od zawsze wychowane. Przy minimum osobistej wrażliwości musiało się to skończyć zaburzeniami psychosomatycznymi, skwapliwie rozpoznanymi przez miejscowego proboszcza jako „dręczenie demoniczne”. Zamiast okazać durnemu cielęciu trochę ludzkiego ciepła i przyjaźni, wmówiono mu, że młodzieńcze zagubienie jest objawem opętania, i zaaplikowano egzorcyzmy. Bóg z biedaczkami, do rzeczy!

Tych zakrytych fotografii faktycznie można było się chwilami wystraszyć. Jak nic mogłyby robić za dokumentację castingu do horroru – rozdrażnieni egzorcyzmami wariaci dawali do pieca ile wlezie, wyteżając mimiczną ekspresję aż do granic pęknięcia gałek ocznych.

Przypadek, którego wcześniej szukała Sawicka, komisarz znalazł bez czytania. Twarz tego opętanego zasłonięto dla odmiany czarnym kartonem, na którym białym markerem oprócz krzyża wypisano dodatkowo wezwanie: „Odmów wyznanie wiary!”.

Louvain przełknął ślinę, odszukał wzrokiem krucyfiks na ścianie i zastosował do zalecenia. Nie na wszelki wypadek, ale z przekonania, którego nie lubił i nie chciał racjonalizować. Tak przygotowany odsłonił zakrytą twarz.

Nie było kolejnej gęby wykrzywionej w upiornym grymasie. Ukazała się uśmiechnięta fizis krótko ostrzyżonego mężczyzny w wieku około czterdziestki, który najwyraźniej świadomy, że robią mu zdjęcie, demonstrował pełen luz medialnego celebryty. Gdyby jeszcze zamiast zwykłej koszuli miał smoking

i muszkę, spokojnie dałoby się opublikować ten wizerunek w kolorowym czasopiśmie, w rubryce towarzyskiej czy innym artykule o ludziach sukcesu.

Komisarz przebiegł wzrokiem *dossier*.

*Grzegorz Cieślak, urodzony w 1975 r. w Warszawie, lekarz medycyny... prywatna praktyka...*

*Kapłan sprawujący Rytuał: ks. Jan Ryba...*

*Członkowie grupy wsparcia: Piaskowski... Pilch... Kunic...*

Czwarte nazwisko starannie zamazano czarnym flamastrem. Nie było czasu dociekać, o kogo chodzi, ani wczytywać się głębiej w resztę „historii choroby duchowej”. Najważniejsze, że to było to!

Louvain zawiązał teczkę Cieślaka i upchnął ją pod koszulą. Potem starannie odłożył na miejsce wszystkie pozostałe. Nie był byle włamywaczem, więc nie chciał zostawiać po sobie bałaganu. Przez chwilę korciło go, żeby poszukać jeszcze swojej własnej dokumentacji i zobaczyć, co tam o nim wysmażył profesor Kępski, ale uznał, że nie ma obecnie nastroju na kabaret.

Teraz trzeba się było stąd wydostać!

Podszedł do okna i uchylił zasłonę. Kraty... I to solidne. Zatem nie tędy droga. W dalszej kolejności uwagę komisarza przykuł stojący na biurku telefon. Podniósł słuchawkę, usłyszał sygnał. Niewiele myśląc, wykręcił numer Rafalskiego.

Były partner odebrał od razu.

– Ochujaleś?! – zapytał minutę później, tym razem z autentycznym podziwem.

– Może innym razem – skwitował Louvain. – Widzisz numer, z którego dzwonię?

– Widzę.

– No to sprawdź, gdzie jestem.

– Dobra, poczekaj parę minut. – Rafalski rozłączył się.

Louvain odłożył słuchawkę i czekał w skupieniu, by odebrać telefon natychmiast w trakcie pierwszego sygnału. O niczym innym nie myślał.

Podkomisarz oddzwonił po jakichś dziesięciu minutach.

– Jesteś w okolicach Łochowa, mówi ci to coś?

– Że za daleko od Warszawy, żeby wracać na piechotę.

– Dojadę tam za godzinę.

– Dasz radę prowadzić jedną ręką?

– Dam. Sprawdzam właśnie mapę w Internecie. Jak wyjdiesz za główną bramę, idź w prawo, drogą przez las, na południe. Zgarnę cię z pobocza. I jeszcze jedno, jakie masz ubranie?

– Szpitalne.

– To uważaj, bo zimno jak diabli. Tam u ciebie jest minus dwa.

– Zła pogoda na długi spacer w samych kapciach...

– Wyjeżdżam, trzymaj się!

Louvain zastanowił się, co robić. Zdecydowanie najmądrzej było poczekać na Rafalskiego w ciepłe. Miał dość kłopotów, by dokładać do nich jeszcze zapalenie płuc albo odmrożenie nóg. Do celi jednak nie było sensu wracać. Czekać tu, gdzie był, też ryzyko za duże. Zbyt blisko kaplicy, a jutrznia pewnie niedługo, może lada chwila... Psiakrew, powinien był się dopytać o tutejszą liturgię godzin, ale opętanemu nie uchodziło.

Postanowił, że przeczeka w piwnicy. Klatka schodowa, którą znał, miała jeszcze schody prowadzące poniżej parteru. Louvain ostrożnie wymknął się z archiwum i podążył właśnie tam. Tak jak się spodziewał, na dole było wejście do podziemi, co więcej, otwarte. Komisarz odetchnął z ulgą. Tutaj nikt o tej porze nie powinien zaglądać. Bez obaw więc namacał włącznik i zapalił światło.

Piwnica jak piwnica. Louvain, starając się przypomnieć sobie ogólny zarys budynku, ruszył w obchód. Okna wychodziły stąd na wewnętrzny dziedziniec klasztoru, co go nie interesowało, albo na zewnątrz murów. Sęk w tym, że te drugie co do jednego były solidnie zakratowane. Wreszcie jednak znalazł wyjście w lochu, do którego zsypywano węgiel. Wprawdzie kłapa wrzutowa była zamknięta na łańcuch i kłódkę od zewnątrz, ale przedzwiewałe zawiasy bez problemu dało się podważyć od dołu i wyłamać znaną tu szuflą.

Lodowate powietrze owiało twarz komisarza, zdecydowanie zniechęcając do przedwczesnego wyłączenia na przechadzkę w lekkim ubraniu. Zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg.

Louvain cofnął się i przytknął wyłamaną kłapę. W piwnicy było chłodno, ale przynajmniej nie panował tu taki ziąb jak na dworze. Komisarz uznał, że skoro ma światło i w miarę ciepło, zaczeka na Rafalskiego, czytając zdobyte akta.

Nie zdążył ich nawet wyjąć zza koszuli.

– Kto tu jest?! – zawołał donośny i surowy głos od strony schodów.

Zapewne światło przedostające się pod drzwiami piwnicy zwróciło czyjąś uwagę. Być może brat furtian postanowił zrobić obchód... Cholera, trzeba było szparę czymś zasłonić!

– W imię posłuszeństwa wzywam cię, bracie, abys się ujawnił dobrowolnie! – nalegał głos. – Inaczej sam cię znajdę, a wtedy twoja pokuta będzie surowsza.

Teoretycznie węsząc po piwnicy zakonnika można było ogłuszyć zniecka szuflą do węgla. W praktyce zaś, jeśli był to jeden z tych komandosów od ojca Pawła, mądrzej byłoby sobie w łeb tą łopatą przywalić. Takie rozwiązanie oszczędzało przynajmniej wstydu i pozwalało udawać potem nieświadomą niczego ofiarę z amnezją wsteczną. Byle tylko zdążyć zakopać teczkę Cieślaka pod węglem...

Zakonnik zaczął przeszukiwać piwnicę, loch po lochu, wciąż napominając przy tym ukrywającego się konfratra, że postępuje przeciw regule i dyscyplinie, oraz zapowiadając, że każda minuta sprzeciwu oznaczać będzie dodatkową dobę pokuty. Wygłaszając owo kazanie, cały czas zbliżał się do kryjówki Louvaina, ale... jak ten się zorientował, inną drogą niż on.

To była szansa!

Komisarz zmienił plan i na paluszkach ruszył do drzwi wejściowych, wracając tą samą trasą, jaką tu przyszedł. W rezultacie minęli się z zakonnikiem w systemie podziemnych korytarzy. Louvain, dotarłszy do wyjścia, zgasił światło i otworzył na oścież drzwi, po czym cofnął się szybko w najgłębszy mrok.

Omal nie zderzył się z powracającym pędem zakonnikiem, którego rozwiany habit musnął dłoń komisarza. Braciszek stanął jak wryty trzy kroki dalej. Jego sylwetka zarysowała się wyraźnie na tle pograżonych w półmroku piwnicznych schodów.

– Bóg tak chciał... – powiedział do siebie półgłosem i nagle obejrzał się instynktownie.

Stojący w cieniu Louvain nie oddychał. Co więcej, starał się zmusić własne serce, aby przestało bić, bo hałasowało mu w piersiach wręcz nieznośnie. Jeżeli zakonnik znów zapali światło, to koniec!

Nie musiał zapalać. Nie takie numery z ludźmi o zmysłach wyostrzonych latami kontemplacji w mistycznej ciszy. Braciszek zorientował się i bez światła, gdzie jest intruz. Mowa ciała zakonnika dowodziła tego jednoznacznie. Znać było, jak się już sprzęża do skoku, by złapać ofiarę za gardło.

Louvain nie miał pojęcia, co teraz. Wiedział tylko, że przegrał z kretesem. Złapią go ze skradzioną teczką.

Na jego szczęście przeciwnik zmienił zdanie i postanowił w inny sposób utrzc nosa piwnicznemu figlarzowi.

– Nikogo tu nie ma! – oznajmił afektowanym, teatralnym szeptem i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. W swoim mniemaniu zafundował niesforememu konfratrowi całonocne czuwanie modlitewne połączone z klęczeniem w węglu.

Louvain ostrożnie odetchnął z ulgą i wrócił do składu opału.

Dalsza część planu przebiegła już bez dodatkowych komplikacji. Nie licząc mrozu, który okazał się znacznie ostrzejszy, niż wynikało z prognoz internetowych.

Godzinę później Rafalski, zawróciwszy samochód, bez słowa wetknął w ręce szczękającego zębami kolegi piersiówkę jakiegoś whiskacza. Louvain wychylił ją jednym haustem, uwalił się na tylnym siedzeniu samochodu i okutał się znalezionym tam pledem. Niemal od razu zasnął.



## ZIEMSKI WIKARIUSZ SZATANA

Rano dziewczyna Rafalskiego zrobiła im jajecznicę na śniadanie.

Miała na imię Ewa i od początku znajomości traktowała Louvaina z zimną rezerwą. Teraz też się do niego prawie nie odzywała. Rafalski wspomniał kiedyś, że jej rodzina miała problemy z SB, więc komisarz dał sobie spokój z przełamywaniem lodów. Uważał, że taka pamiętliwa i wrażliwa panna to nie jest materiał na żonę dla gliniarza, przewidywał rozwód po trzech latach góra, ale wolał nie zadrażniać i nigdy nie powiedział tego głośno. Chociaż teraz, kiedy Rafalski zyskał widoki na ciepłą, niewypalającą posadkę w centrali Interpolu, mogło im się udać. Tak czy owak aktualną komunikację z przyszłą panią Rafalską Louvain ograniczył do „dziękuję” i „proszę”.

Jedząc, dyskutowali o zawartości teczki Cieślaka. Bez gadania z gościem był niezły numer! Satanista to mało powiedziane. On wprost deklarował się jako ambasador szatana na ziemi, kazał się tytułować „generalnym wikariuszem Jego Ekscelencji Lucyfera”, a egzorcyzmom poddał się tylko po to, aby się uwiarygodnić w tej roli, można by rzec, że złożył w ten sposób listy uwierzytelniające. Księżda Jana z pewnością to nie wzruszyło, ale chłopaki z jego grupy wsparcia musieli przeżyć niezłą traumę. Właściwie, gdyby nie zginęli wszyscy krótko potem, należałoby potraktować całą sprawę jako żart. Ot, znudzony, dobrze sytuowany przedstawiciel klasy średniej postanowił zrobić sobie totalne jaja z najnowszej religijnej mody, wkręcając w dowcip całą kurię. Inaczej nie dawało się o tym myśleć, skoro pod względem psychicznym facet był zdrow jak rydz. Niezależnie od opinii Kępskiego, która była przewidywalna, Cieślak przedstawił dwa niezależne zaświadczenia, o które postarał się sam.

Rafalski zebrał wszystkie szkła powiększające, jakie miał w domu, i z ich pomocą próbował odczytać zaczerwioną nazwisko. Nic nie wskórał, bo kartkę zamazano flamastrem po obu stronach, nie bacząc, że zniszczy się przy tym fragment sprawozdania. Potrzebne były specjalistyczne badania, a te mogli zamówić dopiero po oficjalnym wznowieniu śledztwa, które na razie było tylko zawieszona. Jeszcze szukano kogoś, kto wykona brudną robotę, od której wykręcił się Louvain,

i formalnie ukręci sprawę łeb do końca. Chętni, mówiąc oględnie, się nie napraszali. Odstraszał ich medialny szum, który tym razem na coś się przydał.

Podkomisarz wreszcie dał za wygraną i zaczął szukać informacji o Cieślaku w Internecie. Długo nie musiał. Facet miał sieć klinik chirurgii plastycznej, sześć w Polsce i jedną w Londynie. Zarządzał nimi z domu w Warszawie. Słynął z tego, że z pacjentami spotykał się dopiero na sali operacyjnej, wcześniej wszystko załatwiali jego asystenci. On był jak demiurg, który nie zniżał się do maluczkich. Aby dostać się w ręce samego Pana Doktora, należało przejść całe misterium, pokonując kolejne stopnie wtajemniczenia. Podobno naprawdę był dobry w swoim fachu.

– To co robimy z tym Cieślakiem? – zapytał podkomisarz.

– Trzeba go przesłuchać w sprawie – odparł Louvain. – Ale nie my to zrobimy, tylko ja.

– Skoro się już w to wmieszałem... – zaczął Rafalski.

– Zrobiłeś dosyć, i wielkie dzięki! Jesteś na zwolnieniu lekarskim i niech tak zostanie. Nikomu nic do tego, że podwiozłeś kumpla. Jednak, jeśli się wychylish bardziej, to będzie koniec twojej błyskotliwej kariery w Interpolu. – Louvain popatrzył znacząco na krzątającą się Ewę.

Przynajmniej tyle były esbek mógł dla niej zrobić w ramach przeprosin za dawnych kolegów...

W tej kwestii, jak w paru innych, zrozumieli się z Rafalskim bez słów.

– Po śniadaniu odwiozę cię do domu – zapowiedział podkomisarz.

– Najpierw do mojej córki po klucze – uściślił Louvain.

\*\*\*

Dwie godziny później ogolony i odświeżony komisarz, jak gdyby nigdy nic, z szerokim uśmiechem na ustach wkroczył do pałacu Mostowskich.

– Pańska przepustka jest nieważna! – zawołał oficer dyżurny na jego widok.

– Przyszedłem zdać broń. – Louvain podniósł do góry rękę, w której trzymał kaburę z pistoletem.

– Aaa... – Cerber cofnął się na swoje miejsce. – Wie pan gdzie? – zapytał pro forma.

– Wiem, wiem!

Louvain poszedł w kierunku, którego oficer dyżurny się spodziewał, po czym zaraz za zakrętem korytarza zmienił trasę. Szybko przeszedł na wewnętrzny parking,

gdzie dowożono osoby wezwane na przesłuchania. Część świadków lub podejrzanych wracała potem do siebie komunikacją miejską, a policjanci, którzy ich dostarczyli, mieli chwilę luzu przed kolejnym zleceniem.

Fachowy wzrok komisarza wyłowił właśnie taki przejściowo bezrobotny patrol. Posterunkowy i aspirant palili papierosy, spacerując koło radiowozu.

Louvain podszedł do nich sprężystym krokiem.

– Jedziecie ze mną! – zakomunikował im.

– Pan komisarz przypadkiem nie został... – zaczął zdumiony aspirant. – Słyszeliśmy, że...

– Wszystko się wyprostowało, właśnie zwrócono mi broń i odznakę. – Pokazał im pistolet. – Do wozu, chłopaki! Sprawa pilna!

– Tak jest!

Louvain usiadł na przednim siedzeniu i upchnął broń w skrytce pod oknem.

– Na Żoliborz – podał dokładny adres Cieślaka.

Minutę później, kiedy wyjechali na Andersa, zatrzeszczało radio.

*Jedenastka, gdzie was poniosło?!*

– Pilna interwencja, jedziemy z panem komisarzem... – Młodszy policjanci zwykle nie wymawiali nazwiska Louvaina, bo nie wiedzieli, czy i jak się je odmienia, a nie chcieli nic przekreślić, żeby nie podpaść. Reguła zadziałała i tym razem.

*OK, bez odbioru!*

Cieślak mieszkał w stylowej willi przy Bohomolca, z kilometr na północ od placu Wilsona. Profiler miał rację, wskazując na Żoliborz. Dojechali tam w niespełna dwadzieścia minut.

– Najpierw chcę pogadać z facetem po dobroci – powiedział Louvain. – Więc podejdźcie razem ze mną do drzwi, ale nie wchodźcie do środka. Potrzebuję go trochę rozmiękczyć widokiem mundurów.

– Tak jest!

Wysiedli. Louvain energicznie zadzwonił do furtki. W drzwiach pokazała się jakaś starsza kobieta, chyba gosposia.

– Policja! – zagrzmiął na nią komisarz. – Do doktora Cieślaka, pilnie!

– Już, już... – Potruchtała, by im otworzyć. Nie było w niej nic demonicznego, sama dobrodusznia poczciwość. Nawet się nie przelękła, pewnie w ogóle nie przyszło jej do głowy, że panowie policjanci mogliby chcieć od jej doktora czegoś innego niż konsultacji w charakterze biegłego.

Przeszli do salonu. Żaden element wystroju wnętrza nie wskazywał na jaskinię satanizmu. Pokój urządzony był ze smakiem, w stylu pasującym do całej reszty tej dzielnicy, czyli przedwojenno-inteligenckim. Na ścianach wisiały obrazy Tamary Łempickiej, bez wątplenia oryginalne. Komisarz, co prawda, nie spodziewał się prostackich trumien, odwróconych krzyży i wymalowanych krwią pentagramów, oczekiwał raczej jakiejś artystycznej aluzji, dekoracyjnego nawiązania do motywów satanicznych, symboliki dla wtajemniczonych – nic z tego. Otaczało go czyste piękno bez skazy. Co więcej, wypadało zauważyć, że dzielą z Cieślakiem ten sam gust. Louvain lubił klimat przejrzałej secesji, którym emanowało malarstwo Łempickiej, czasem nawet myślał, czyby nie kupić sobie jakiejś kopii, ale kopia byłaby poniżej ideału, więc albo wszystko, albo nic. Prawdziwa sztuka nie znosi kompromisów! Teraz musiał się zmitygować, że nie jest w galerii, i nie gapić się dookoła z cielecym zachwytem. Byłemu esbekowi i policjantowi wypadało okazać nieco prostactwa...

– Proszę tu poczekać, powiadomię pana doktora – powiedziała gosposia.

Jak grać chama to do końca. Zignorował prośbę i poszedł za kobietą do gabinetu gospodarza.

Cieślak akurat pracował. Udzielał jakichś wideokonsultacji. Towarzyszyła mu sekretarka ostrzyżona i ubrana tak, jakby właśnie zeszała z obrazu Łempickiej. Pomysł był prosty, a estetycznie wprost powalający. Na jej widok oczy odruchowo zaczynały błędzić po ścianach w poszukiwaniu pustej ramy.

– O, pan komisarz Louvain! – Cieślak rozpoznał go od razu i cały się aż rozpromienił. – Przerwa! – rzucił do kamery i kliknął myszą. – Elu, zostaw nas samych – zwrócił się z kolei do stylowej sekretarki.

Louvain musiał zmobilizować całą wolę, aby nie obejrzeć się za mijającą go dziewczyną. Szalenie trudno było powstrzymać ciekawość, czy ona wyjdzie drzwiami jak zwykła śmiertelniczka, czy ostentacyjnie wstąpi na obraz. Właściwie mogłaby być hologramem...

– Czym mogę panu komisarzowi służyć?

– Co pan robił wieczorem szesnastego listopada?! – Louvain zaczął ostro, bez wstępów.

– Myślę, że mam alibi – odparł beztrąsko gospodarz – ale nie chce mi się teraz sprawdzać jakie. Szkoda byłoby stracić choćby chwilę z czasu, który można przeznaczyć na znacznie ciekawszą rozmowę, nie sądzi pan?

Plan przyściśnięcia sukinsyna z zaskoczenia właśnie zawałił się w gruzy. Cieślak

ewidentnie spodziewał się tej wizyty. Mimo to komisarz nie spuszczał z tonu.

– W czym zawinili panu chłopcy z grupy wsparcia księdza Jana?

– Mnie? Ależ w niczym! Mam dużą tolerancję dla ludzkiej głupoty, zapewniam pana. Jestem za to pełen szczerego podziwu dla pańskiej inteligencji i przebiegłości, panie komisarzu. Jeszcze trochę, a mógłby pan zostać naprawdę godnym przeciwnikiem. Pozwoli pan...? – Sięgnął po komórkę i wybrał jakiś numer. – Jest u mnie! – rzucił lakonicznie i od razu się rozłączył. – Napije się pan czegoś? – Ruszył do stolika, na którym stały kryształowa karafka i kieliszki. – Tylko proszę mi nie mówić, że jest pan na służbie.

Louvain milczał. Zastanawiał się, w jaki sposób Cieślak zdołał go przejrzeć. W klasztorze oczywiście musiano już dawno temu odkryć jego ucieczkę, a także bez większych problemów ustalić, którędy uciekł. To było całkiem proste. Powiązanie komisarza z doktorem Cieślakiem stanowiło wyzwanie znacznie trudniejsze, ale też wykonalne. Louvain nie zamknął za sobą drzwi do archiwum, ponieważ nie chciał ryzykować, że ktoś go zauważy podczas kolejnej zabawy z wytrychami. Zatem otwarte drzwi wyraźnie wskazywały, że mógł tam być. Bałaganu wprawdzie nie zostawił, ale nie trudno było zgadnąć, co mogło go zainteresować, a następnie ustalić, czyjej teczki brakuje. Żeby się w tym wszystkim połapać i skojarzyć fakty, wystarczyło mieć głowę na karku, po czym dobrze nią ruszyć, i ktoś z klasztoru to zrobił. Nie samymi Kępskimi Kościół stoi...

Ponieważ komisarz milczał, Cieślak potraktował to jako zgodę i nalał dwa kieliszki. Louvain bez słowa przyjął poczęstunek.

– Nalewka dereniowa – zakomunikował entuzjastycznie gospodarz. – Samo słońce w kieliszku! Doskonała na tę porę roku!

Rzeczywiście, cholera, nalewka była znakomita. Jak ostatni kieliszek rumu przed egzekucją na gilotynie...

– Jak to jest być opętanym? – Louvain postanowił trzymać fason.

– Zajebicie, panie komisarzu! Idea dobra jest mdła i przereklamowana, przynajmniej od czasów Platona. Ona po prostu nie działa. Naprawdę nie ma sensu być hipokrytą.

– Przecież uczestniczy pan w akcjach charytatywnych. – Tę informację Rafalski znalazł rano w sieci.

– Wyłącznie dla reklamy. Nie wzruszają mnie błagania o pomoc, której udzielenie nie da mi żadnej korzyści. Chociaż nie, przepraszam bardzo, trochę mnie jednak wzruszają. Interesuję się dobroczynnością także dlatego, że ludzka rozpacz mnie

bawi. Zwłaszcza potem to rozczarowanie... Wysłuchać, dać nadzieję i odmówić, mówię panu, fascynujące przeżycie! Jak ci ludzie się poniżają, jak miotają, a potem jeszcze muszą pokornie milczeć, bo pomoc otrzymał ktoś inny. Oczywiście bardziej potrzebujący. Ale może następnym razem... Nadzieją można zabijać. Powoli, boleśnie, i na dodatek całkiem legalnie. Co za głupiec powiedział, że nadzieja jest cnotą? Ewangeliczną na dodatek... – Uśmiechnął się szeroko. – Nic nie upodli człowieka bardziej niż cień nadziei. To on sprawiał, że Żydzi grzecznie szli do gazu, a skazańcy wszelkich epok do samego końca współpracowali ze swoim katem. Zatem idea dobra jest przereklamowana, to prawdziwe opium dla mas. Tym skuteczniejsze, że działa niezależnie od religii i światopoglądu.

– Nie przyszedłem tutaj wysłuchiwać monologów szaleńca!

– Doprawdy? Jeśli można spytać, czemu pan komisarz przeszedł na drugą stronę barykady i zaczął się wysługiwać duchownym? – Cieślak popatrzył badawczo na gościa i uznał, że odpowiedzi nie otrzyma, więc kontynuował: – Popełnił pan błąd. A właściwie dwa błędy. Z nimi trzeba stanowczo, a wtedy oni natychmiast zaczynają jeść z ręki. Wystarczy tylko być bogatym. Wiara, że bogactwo jest widowym znakiem łaski bożej, nie jest wyłącznie domeną protestantów, jest absolutnie ekumeniczna, zapewniam pana. I pan mógłby być bogaty, gdyby nie zerwał pan z dawnymi kolegami, to pański drugi błąd. W sumie mógłbym wytknąć panu też trzeci, ale nie będę małostkowy. O co jeszcze chciałby mnie pan komisarz zapytać?

– Przyznaje się pan?

– Z przyjemnością. Jestem opętany. Czy to pan chciał usłyszeć?

– Niezupełnie... – Louvain musiał przyznać w duchu, że przeciwnik zdołał zbić go z tropu.

– Obawiam się, że dokładniejsze odpowiedzi na pańskie pytania będę musiał skonsultować z adwokatem. W chwili obecnej mogę służyć jedynie moim światopoglądem. Zatem wybrałem drogę sprzeciwu wobec idei dobra i postanowiłem służyć Jego Ekscelencji Lucyferowi. Z pełną świadomością wyboru. Choćby dlatego, że czynienie zła jest przyjemnie emocjonujące. Zła wola to jest to! Nawet bardziej niż coca-cola... Walka ze złem czyni je tylko przyjemniejszym, więc niezmiernie cenię sobie ludzi, którzy robią wszystko, co w ich mocy, aby ze złem walczyć. Wymaga to jedynie dużej tolerancji dla ludzkiej głupoty, o czym wspominałem już wcześniej. Dostrzega pan komisarz jakąś nieściskość w moim podejściu do życia?

– Nie. – Louvain zupełnie nie wiedział, co mógłby powiedzieć jeszcze.

– Proszę się więc cieszyć moją tolerancją. Jeszcze kropelkę nalewki...? A wracając

do mojego opętania, to jest ono prawdziwe. Właśnie dlatego nie powinien się pan spodziewać z mojej strony żadnych krzyków i błazeńskich zachowań, które pospolicie uznaje się za objawy tego stanu. To byłoby śmieszne i niedorzeczne, nie sądzi pan? Ja miałbym pluć gwoździami? Wyobraża pan to sobie? Ci egzorcyci są tacy zabawni! Serio wydaje im się, że kontakt z ich magicznymi wafelkami i innymi utensyliami zapewnia jakieś realne rezultaty. Relikwie nie parzą, są zimne i martwe z samej swej natury. Woda święcona to tylko brudna woda, w której wymoczono setki niemytych rąk. Żeby podczas egzorcyzmów poczuć się nieswojo, trzeba mieć poczucie winy, czyli jak to mówią, mieć sumienie, albo być po prostu chorym na umyśle, co jest jedno i to samo. Ja natomiast bez żadnych wątpliwości służę Pierwszemu Buntownikowi. Przepraszam, „służę” to złe słowo, jesteśmy partnerami. Czyste zło jest piękne. Choćby w tym, że nie ma w nim nic z małostkowości i hipokryzji. Być prawdziwie opętanym to znaczy oddychać pełną piersią. Polecam panu! Chociaż obawiam się, że zmarnował pan swoją szansę w tej mierze...

Z głębi domu dobiegł przytłumiony odgłos dzwonka do drzwi.

– Czas na pana – stwierdził Cieślak. – Ogromnie żałuję, że nie możemy dłużej porozmawiać, ale może jeszcze kiedyś będzie po temu okazja. – Umoczył usta w swoim kieliszku i odstawił go. – Odprowadzę pana.

Louvain posłusznie ruszył do przedpokoju. Dziwił się sobie, dlaczego to robi, ale po prostu nie miał żadnych pomysłów, jak wyrazić sprzeciw. W tej partii szachów przeciwnik wyprzedzał go co najmniej o trzy ruchy. Jedyne, co pozostało, to zachować odrobinę godności i nie błaznić się dodatkowo.

Gospościa właśnie otworzyła drzwi. Do środka wpadli z impetem aspirant i posterunkowy. Ktoś w międzyczasie musiał ich niewąsko opieprzyć. Louvain w swojej długiej karierze widział już wielu wkurwionych policjantów, również w lustrze, ale ci dwaj pod względem prezentowanego aktualnie poziomu wściekłości daleko przerastali całą dawną kompanię ZOMO na dopalaczach.

– Jesteś aresztowany! – wrzasnął do Louvaina czerwony z furii aspirant, któremu wyraźnie z dużym trudem przychodziło używanie artykułowanej mowy. – Gleba! Rączki! – Wyciągnął kajdanki.

– Panowie, spokojnie! Nic się nie stało, proszę mi nie robić w domu bałaganu. – Cieślak zapobiegł sponiewieraniu Louvaina od razu w przedpokoju.

Skuli go więc bez przewracania na podłogę, ręce na plecach i poprowadzili do radiowozu.

– Pod jakim zarzutem jestem zatrzymany?

Posterunkowy bez słowa z pół obrotu wjechał mu łokciem w spłot słoneczny.

– Nielegalne posiadanie broni – zakomunikował aspirant.

Wrzucili go na tylne siedzenie, nie dbając, by nie rozbił sobie głowy o krawędź dachu. Szczęściem po ciosie posterunkowego tak go zgięło w precel, że głowa była bezpieczna.

Ruszyli z powrotem do pałacu Mostowskich.

– Przepraszam was, chłopaki – powiedział Louvain, łapiąc oddech. – To naprawdę była wyższa konieczność... Musiałem zaryzykować.

Nie kazali mu zamknąć mordy, co należało uznać za znak, że rozważają przyjęcie przeprosin. Żaden z nich nie odezwał się, dopóki nie znaleźli się znów na wewnętrznym parkingu.

– Głupio tak prowadzić swojego... – aspirantowi już trochę przeszło i przed wyprowadzeniem z samochodu zdjął komisarzowi kajdanki.

Posterunkowy ze swej strony, zdaje się, miał ochotę mu jeszcze przypierdolić i wyraźnie czekał na pretekst.

Zaprowadzili go na pierwsze piętro do aż nadto znajomych drzwi.

– Proszę, proszę! – Głos inspektora Pięty, który zwykle opieprzał Louvaina przez komórkę, jakoś uparcie nie chciał zsynchronizować się z ruchami ust osoby widzianej na żywo. Być może wypadki ostatniej godziny sprawiły, że tym razem komisarz doznał prawdziwego pomieszania zmysłów, lekkiego, ale jednak. Szkoda tylko, że tym razem zupełnie nikt mu już w to nie uwierzy.

– Otrzymujecie obaj ostrzeżenie na piśmie o niepełnej przydatności do służby. – Inspektor na przystawkę zmieszał z błotem eskortę zatrzymanego. Nie musiał tego robić, ale najwyraźniej postanowił dać odstraszący przykład wszystkim pracownikom Komendy Stołecznej, czym skończy się choćby nawet nieświadome udzielenie pomocy Louvainowi.

– A teraz won! – Inspektor przestał się interesować pobladłymi policjantami.

Obszedł dookoła komisarza, sycąc się jego widokiem, po czym wrócił za biurko. Nie zaproponował rozmówcy krzesła, za to widać było, że w środku pan inspektor aż się trzęsie od przepełniającej go radochy i euforii.

– Ty esbecki skurwielu... – wycedził z prawdziwą czułością w głosie. – Od osiemdziesiątego dziewiątego roku czekałem, żeby cię udupić. Nareszcie! Ależ będzie dziś wieczór impreza! Nawet nie wiesz, jak wielki dla mnie zrobiłeś dzień...  
*Wesoły nam dziś dzień nasta!* – zanucił pieśń religijną.



– A nie trzy dni temu? – Louvain zmobilizował resztki bezczelności i desperacji, które mu jeszcze pozostały.

– Trzy dni temu to ja musiałem jeszcze trząść się nad tobą jak nad zgniłym jajem. Oni myśleli, że tobie naprawdę odpierdoliło, i kazali mieć wzgląd na zasługi. Ale teraz... – Inspektor Pięta zrobił minę, jakby skosztował czegoś niebywale pysznego, delektował się smakiem zemsty. – Teraz, Louvain, po tym numerze, to ja cię mogę wreszcie schyścić z buta aż do lustrzanego połysku. Jesteś nikim! O kurwa, jak to pięknie brzmi! Jesteś nikim, Louvain! Nie ma cię i nigdy nie było! Podobno jesteś dobry z teologii. Powiedz mi wobec tego, jak to jest być krystalicznie czystym niebytem?

– Bytem zajmuje się metafizyka, nie teologia. – Louvain odpowiedział na zaczepkę tylko po to, by nie dopuścić do świadomości tego, co właśnie usłyszał. Inaczej całkiem się posypie, i to na oczach wroga.

– Stara szkoła skurwysyństwa... – Hardość byłego podwładnego wyraźnie inspektorowi zaimponowała. – Dobra, nie będziemy tego przedłużać. – Chwycił za telefon. – Dajcie tu Mireckiego! – rzucił do słuchawki.

Do pokoju wszedł adiutant inspektora Pięty, aspirant sztabowy Jan Mirecki, zwany pospolicie Młodym Niezdolnym.

– Wykonać! – Inspektor pokazał palcem Louvaina.

– Pan komisarz pozwoli ze mną. – Mirecki wskazał drzwi.

Wbrew swojej woli Louvain ruszył za nim na nogach miękących z każdym krokiem.

– Jeszcze jedno! – Powstrzymał ich Pięta, przybierając postawę i ton ludzkiego paniska. – Zarzut nielegalnego posiadania broni wycofujemy. To, żebyście towarzyszu Louvain nie mówili, że trzydzieści lat służby nic nie znaczy. Rozstajemy się bez żalu i bez wszelkich zobowiązań. O emeryturze gadajcie sobie teraz z opieką społeczną, towarzyszu... – wyszczał jadowicie.

Były komisarz wyszedł bez słowa.

Mirecki sprowadził go na parking, gdzie czekał kolejny radiowóz z załogą. Pojechali na Nowogrodzką, do Louvaina. Bynajmniej nie chodziło o kurtuazyjne podwiezienie do domu. Kiedy wysiedli, aspirant wręczył mu nakaz przeszukania mieszkania.

– Ma pan nam wydać wszystkie dokumenty związane w jakikolwiek sposób z pracą w policji państwowej – oznajmił Mirecki. – Archiwalia dawnej SB też. Ponadto zabieramy pański komputer oraz wszelkie nośniki pamięci. Otrzyma je pan

z powrotem po sprawdzeniu i oczyszczeniu twardego dysku.

– Robimy z bałaganem czy bez? – zapytał fachowo towarzyszący im sierżant. – Pan komisarz będzie współpracował?

Współpracował, ale bałagan zrobili i tak. Nie miał o to żalu, bo w sumie inaczej się nie dało.

Potem usiadł w fotelu, pozwalając pustce osaczającej go ze wszystkich stron wyssać z głowy wszystkie myśli. Tak było dobrze, a przynajmniej znośnie. Gdyby jednak zechciał uznać teraz, że najgorsze ma za sobą, toby się pomylił. Najgorsze nastąpiło dopiero jakieś czterdzieści pięć minut po wyjściu Mireckiego i jego ludzi.

Rozległo się pukanie do drzwi, a ponieważ gospodarz nie podniósł się, by otworzyć, przybysz po chwili sam nacisnął klamkę i wszedł. Był to ksiądz Piotr. Niefart, bo każdego innego intruza można byłoby zbluzgać bez zahamowań i kazać mu wypierdalać. To przynajmniej pozwoliliby trochę odreagować. Osoba duchowna użyta w roli chłopca do bicia tylko powiększyłaby ogólny absmak. Już więcej wyrzutów sumienia Louvain nie potrafiłby znieść.

Ksiądz Piotr stanął nad byłym komisarzem.

– Pan nas zawiódł i ogromnie rozczarował – oznajmił, udając smutek.

Najlepiej byłoby na to odpowiedzieć krótko i dosadnie, ale jako się wcześniej rzekło, nie duchownemu. Louvain milczał więc.

– Dopuszcili się pan wielokrotnej profanacji, bluźnierstw, zbezczeszczenia i świętokradztwa – kontynuował ksiądz Piotr. – Wszystko to uczynił pan z pełną świadomością i wyrachowaniem, jednocześnie odrzucając miłosierdzie i pomoc Kościoła. Wobec tego pozostało nam jedynie usankcjonować formalnie akt pańskiej wolnej woli. Niniejszym zawiadamiam, że został pan definitywnie wyłączony z mistycznej wspólnoty Kościoła. Przynoszę panu dekret o ekskomunice... – sięgnął do wewnętrznej kieszeni sutanny.

– Nie ta diecezja! – prychnął sarkastycznie Louvain.

– Pamiętamy o tym – odparł spokojnie ksiądz Piotr. – Jednak spieszę zakomunikować panu, że Jego Eminencja Ksiądz Kardynał nie miał żadnych obiekcji, aby uczynić księdzu arcybiskupowi tę przysługę. – To powiedziawszy, rzucił na kolana gospodarza niezaklejoną kopertę z herbem kurii metropolitalnej warszawskiej. – Proszę sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Louvain sprawdził. Było. Drogę zbawienia zawiązano mu na ziemi w sposób niebudzący wątpliwości, że będzie ona zawiązana również w niebie.

– Nie musi pan kwitować odbioru. Słyszałem, że ma pan z tym problemy, więc

moje słowo wystarczy. To wszystko. – Odwrócił się, by odejść.

– Do zobaczenia w piekle... – rzucił za nim Louvain.

– Znajdzie pan tam ciekawsze ode mnie towarzystwo.

ROZDZIAŁ 19  
OPĘTANA ŚWIĘTA

I już.

Tak się osiąga granicę ostatecznego przesrania. Właściwie nie granicę, tylko gówniany bezkres. I o czym tu jeszcze gadać?

Pistolet zabrali, więc w łeb sobie strzelić nie można. Wieszanie się byłoby robieniem nieuczciwej konkurencji Judaszowi Iskariocie, a topienie też raczej w grę nie wchodziło. Podobno woda nie przyjmowała ludzi o jego statusie metafizycznym. By się upewnić w tej mierze, należałoby przeprowadzić próby empiryczne, ale jaka miałaby być satysfakcja z ewentualnego sukcesu?

Pytanie, skąd się jeszcze w nim brał ten czarny humor? Z jakiego źródła? Czyżby inspektor Pięta miał rację, mówiąc o starej szkole skurwysyństwa? Po namyśle wypadało stwierdzić, że prawda była inna, dużo bardziej śmieszna – komisarz Louvain nie stracił nadziei. Wciąż ufał Bogu... że wbrew prawu kanonicznemu i całej teologii Bóg wciąż stoi po jego stronie przeciw tym wszystkim palantom... Kolejne bluźnierstwo jak nic – tylko się uśmieć!

Coś jednak w tym było całkiem serio, skoro przez cały czas ani na moment nie zaświtała Louvainowi myśl, żeby się upić. Barek miał pełen, ale nawet w jego stronę nie spojrział.

Potraktował to jako znak z góry. Jak kolejny łobuzerski uśmiech Jana Pawła II...

Wstał, ubrał się i wyszedł do kościoła. Jak zwykle do świętej Barbary, bo tu miał najbliższą. O tej porze było tu kilka staruszek, ale krzątająca kościelnego przy ołtarzu wskazywała, że szykuje się jakiś ślub. Nie za szybko, powinno być kilka kwadransów spokoju przed uroczystością.

Louvain przemierzył główną nawę i klęknął tam, gdzie zwykle. Przeżegnał się i zadumał. Żadnej modlitwy jednak nie zaczął. Coś podpowiadało mu, że powinien raczej słuchać, niż klepać gotowe formułki. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że zbliża się obłęd. Nie miał na co liczyć. Poniósł nieodwracalną klęskę na całej linii. Spieprzył nie tylko ostatnie śledztwo, ale i całe własne życie. Najwyraźniej to jeszcze do niego nie dotarło. Miał psychiczną blokadę, zamrożenie emocji, wyparcie, czy jak to tam w psychologii nazywano. Kiedy dotrze, z pewnością zrobi coś

malowniczego...

Jednak wbrew tej diagnozie komisarz czuł spokój. Żadne szaleństwo się nie zaczynało. Całkiem jakby jeszcze miał asa w rękawie, jakby miał jakiś plan. Cała logika mówiła mu, że żadnego planu być nie może, że wszystko stracone. Pewnie Bóg, gdyby zechciał, umiałby to jakoś odkręcić, i wtedy miałby plan, tylko jaki? Nie sposób było go sobie wyobrazić, ale może warto o niego poprosić? Nic innego w końcu mu nie pozostało, jak okazać wiarę i nadzieję... Louvain przypomniał sobie, co o nadziei mówił Cieślak trzy godziny temu, i tu go zmroziło. Wyglądało na to, że właśnie tracił kontakt z rzeczywistością. To był jedyny logiczny wniosek. A mimo to Louvain czuł, że jest w tym kościele z jakiegoś powodu, że zaraz coś się stanie.

I stało się.

Podszedł do niego ksiądz proboszcz w towarzystwie kościelnego, który podwijał sobie właśnie rękawy koszuli.

– Proszę stąd wyjść! – powiedział duchowny głośno i stanowczo. – Został pan ekskomunikowany, zatem nie ma pan prawa tutaj przebywać. Proszę natychmiast opuścić Dom Boży!

Wyglądało na to, że ksiądz Piotr w nawale pilnych zajęć nie zaniedbał wykonać telefonu do tutejszej kancelarii parafialnej. Staranności w wypełnianiu obowiązków nie sposób było mu odmówić.

– Jeżeli się pan nie zastosuje natychmiast do mojego polecenia, ja niezwłocznie usunę stąd Przenajświętszy Sakrament, a pan odpowie za zbezczeszczenie tego kościoła. Świątynia zostanie zamknięta do czasu jej ponownego wyświęcenia.

– I zgadnij, złamasie, jaki wtedy zbierzesz wpierdol! – rzucił kościelny zza pleców swojego pryncypała.

Louvain nie miał powodu wątpić w pogrozkę. W końcu sam pomógł temu nawróconemu bandziorowi znaleźć po odsiadce tę robotę. Bez słowa wstał z kolan i ruszył do wyjścia.

Proboszcz szedł za nim krok w krok, pilnując, by komisarz przypadkiem nie zmienił zdania. Już się nie znali.

Nic nie upodli człowieka bardziej niż cień nadziei, słowa Cieślaka odbiły się głuchym echem w skołatanej głowie Louvaina, który wyszedł z kościoła i maszerował dalej przez dziedziniec, ku bramie, miarowym krokiem automatu.

Pod murem przy otwartej furtce, od strony ulicy, na skraju trawnika usiadł żebrak. Przyszedł wcześniej, by zająć dobre miejsce przed zaplanowanym ślubem.

Oprócz zwykłego pudełka na datki tym razem miał ze sobą jeszcze jakieś ulotki, które zamierzał wręczać weselnikom. Kiedy komisarz go mijał, jedną z nich wyciągnął w jego stronę.

Louvain spojrzął mu w oczy i wziął ulotkę.

Dlaczego to zrobił, zamiast dziada skląć lub olać? Naprawdę dobre pytanie! Zyskał w ten sposób materiał do przemyślenia na resztę życia. Inaczej jak stanem łaski w stanie ekskomuniki wytłumaczyć się tego nie dało. Słowem, wytłumaczenia nie było. Tylko że...

Komisarz przystanął na chodniku przed kościołem i popatrzył na wciśnięty mu kolorowy papierek. Była to reklama świeckiego egzorcysty, niejakiego Henryka Jarzębskiego, praktykującego w Aninie pod Warszawą. W nagłówku umieszczono wypowiedź Chrystusa z Ewangelii św. Marka, którą tacy ludzie zwykli legitymować swoją działalność, prowadzoną bez zgody lokalnego biskupa: „Wtedy Jan rzekł do Niego: Nauczycielu, widzieliśmy kogoś, kto nie chodzi z nami, jak w Twoje imię wyrzucał złe duchy, i zabranialiśmy mu, bo nie chodził z nami. Lecz Jezus odrzekł: Nie zabraniajcie mu, bo nikt, kto czyni cuda w imię moje, nie będzie mógł zaraz złe mówić o Mnie. Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami”.

Poniżej cytatu znajdowało się zdjęcie młodego mężczyzny w fioletowej marynarce z krzyżykiem w rękę i obowiązkowo z kabotyńskim wyrazem twarzy, mającym wyrażać determinację, charyzmę oraz umiłowanie bliźniego w jednym. Obok złotymi literami wyszczególniono zakres usług: „Uzdrowianie duchowe, Egzorcyzmy, Bioenergoterapia, Inicjacje Spirit Reiki i Energii Pranicznej – I i II stopnia”. Na samym dole drobnym drukiem: „ceny konkurencyjne”, czyli należało domniemywać, że brał za seans jakieś sto pięćdziesiąt złotych w odróżnieniu od oficjalnie bezpłatnych egzorcyzmów kościelnych, poprzedzonych konsultacjami lekarskimi za dwie stówy plus z dobrowolnym „co łaska” po finale. Na odwrocie ulotki znajdował się plan dojazdu, informacje kontaktowe i adresy stron internetowych...

W pierwszej chwili Louvain nie wiedział, co go w tym świstku zaintrygowało. Gapił się na niego jak sroka w gnat, a myśli snujące się po wstrząśniętym mózgu bezradnie szukały właściwego skojarzenia. Potem zastanowił go młody wiek samozwańczego egzorcysty. Zwykle brali się za ten proceder emeryci lub ludzie w średnim wieku. Ten tutaj miał około trzydziestki, może nawet mniej, co raczej nie budziło zaufania. Dlatego obok nazwiska dopisano jeszcze rekomendację: „Duchowy komandos z wieloletnim doświadczeniem” – w tym momencie w głowie

komisarza zapaliła się pierwsza lampka. Określenie „duchowy komandos” pochodziło rzecz jasna z reportażu Bileckiego. Czyżby więc ten cały Jarzębski miał coś wspólnego z grupą wsparcia księdza Jana? Louvain przypomniał sobie teczki przeglądane ubiegłej nocy. Wprawdzie szukał akurat czego innego i listy członków grup wsparcia przeglądał pobieżnie, ale nazwisko „Henryk Jarzębski” chyba mu gdzieś mignęło... Tak! Na pewno przewinęło się w kilku starszych teczkach.

Komisarz schował ulotkę do kieszeni i obejrzał się na kościół, z którego przed chwilą go wyrzucono. – Dziękuję! – powiedział w przestrzeń przed sobą i szybkim krokiem wrócił do domu.

Miał zamiar zadzwonić do Rafalskiego, ale podkomisarz zrobił to pierwszy. – Słyszałem, że miałeś przeszukanie – zaczął bez wstępu, upewniwszy się tylko, z kim mówi.

– Miałem – odparł Louvain. – Wszystkie pamiątki przepadły. Zabrali mi nawet dyplomy z resortowych zawodów strzeleckich...

– A o teczkę Cieślaka pytali?

Komisarz zostawił ją rano u Rafalskiego.

– Wiesz, że nie... – zastanowił się Louvain. – Ludzie Pięty chyba w ogóle nic o niej nie wiedzieli...

– Więc jednak jest w niej coś trefnego, skoro ojczulkowie woleli nie zgłaszać kradzieży – stwierdził podkomisarz. – Może to zamazane nazwisko?

– Podwieszysz mnie dziś do Anina? – Louvain zmienił temat.

– A co?

– Egzorcyzmów jeszcze mi mało – oznajmił komisarz, odzyskując werwę. – Tylko tym razem muszę się już leczyć prywatnie...

– Ochujaleś! – skwitował wesoło Rafalski. – Będę za dwie godziny.

\*\*\*

Wyglądało na to, że pomysł przybycia do Jarzębskiego z marszu nie był dobry. Należało się wcześniej umówić na wizytę. Bodaj z tygodniowym wyprzedzeniem. Pełniący funkcję poczekalni pawilonik w przydomowym ogródku uzdrowiciela-egzorcysty był pełen. Młody wiek gospodarza najwyraźniej w niczym nie przeszkadzał jego popularności. Można było dyskutować, czy była to kwestia konkurencyjnych cen, czy bardziej popkulturowego *entourage'u* – na ścianach poczekalni obok świętych obrazów wisiały plakaty filmów „Egzorcysta”, „Omen”,

„Constantine” i „Dziecko Rosemary”. Całość przypominała skrzyżowanie kaplicy z holem kinowym. Wrażenie to pogłębiały fotosy przedstawiające „duchowego komandosa” w akcji. Wynikało z nich, że podczas jego zabiegów działy się rzeczy, od których watykańskim egzorcyzmom oko by zbieleżało. Najbardziej dramatyczne zdjęcie przedstawiało Jarzębskiego z dłonią przebitą gwoździem, który niechybnie zmaterializował się z powietrza. Stygmatyk bez mała...

Mniej więcej połowę klienteli stanowiły matki z dziećmi autystycznymi lub chowanymi bezstresowo do czasu pierwszego dużego stresu, co skończyło się, jak widać, nerwicą lękową. Resztę stanowili wyniszczeni starsi mężczyźni w ostatnim stadium alkoholizmu bądź choroby nowotworowej, którym asystowali zdrowi członkowie rodziny. Był też jeden ewidentny wariat, który bez przerwy przedrzeźniał postaci z filmowych plakatów, robiąc do nich różne miny. Ogólnie panował nastrój wyczekiwania na epifanię oraz występ iluzjonisty w jednym.

– Pięć godzin czekania. – Rafalski na oko ocenił długość kolejki. Jego mina wskazywała, że tak długa nieobecność w domu może się skończyć przedmażeńskim kryzysem. – To co robimy?

– Wróc po mnie wieczorem. Trudno się mówi...

Podkomisarz chyba już chciał się na to zgodzić, ale nagle zmienił zdanie.

– Nie. Wejdzimy tam teraz z buta, bez kolejki, jako funkcjonariusze. Ja jeszcze mam swoją blachę!

– Rzykujesz karierę.

– Chrzanić to! Skoro ty żeś ochujał, ja nie mogę być cipą, bo narzeczona będzie zazdrosna. Idziemy! Policja!!! – zawołał, przekrzykując gwar.

Przeszli przez nagle oniemiały tłumek i po chwili byli już przed obliczem samozwańczego egzorcyisty, który od razu spocił się na ich widok. Rafalski poświecił mu w oczy blachą i wycofał się, oddając inicjatywę partnerowi.

– Panowie... o co chodzi?! – Mina duchowego komandosa wskazywała, że robi on właśnie intensywny rachunek sumienia, przy czym nie było tu kwestii, czy się przyznać, tylko do czego najpierw.

– Chcielibyśmy przesłuchać pana w charakterze świadka – oznajmił Louvain oficjalnym tonem i żeby facet nie zhardział, dodał zaraz: – Jeżeli będzie pan w pełni współpracował, to, co pan powie, może zostać zakwalifikowane jako wiedza operacyjna, której nie nadamy dalszego biegu procesowego.

– Proszę tędy. – Jarzębski dyskretnie odetchnął z ulgą i pokazał drogę.

Przeszli do pokoju zabiegowego. Całą podłogę i ściany do połowy wysokości



wyściełano materacami gimnastycznymi. W rogu stał stół, na którym leżały krucyfiksy, prawosławne ikony i figurki jakichś świętych. Jeden z materacy na ścianie, dokładnie naprzeciw wejścia, był efektownie rozdarty – znańczyły go cztery równoległe, poszarpane bruzdy, jakby od pazurów strzygi. Jeśli się dobrze przyjrzeć było tu więcej podobnych śladów duchowych bitew, przykładowo w drewnianym suficie tkwiły gwoździe i śruby, wbite bokiem na skos lub łebkami, jakby wystrzelono je z garłacza. Na burym podłożu dało się wypatrzeć ciemniejsze zacieki, przywodzące na myśl krew lub zaschnięte rzygi, a w powietrzu unosił się lekki, lecz wyraźnie rozpoznawalny zapach spalonej siarki. Oj, było się działa...

Do siedzenia służyły tu jedynie miękkie puffy. Tylko Rafalski skorzystał. Louvain prowadził rozmowę, przechadzając się po pokoju.

– Zaczynał pan jako członek grupy wsparcia księdza egzorcysty Jana Ryby, zgadza się? – zaczął komisarz.

– Tak było, ale poszedłem na swoje. Nie podobało mi się, że klechy zgarniają cały utarg z tego biznesu, a nam nie chcą odpalić żadnej działki. Tylko pieprzyli, że darmo na zasługę w niebie mamy robić. Nie dla mnie taki kit. Moi zgreďowscy na frajera mnie nie wychowali!

– Jest pan wierzący? – zagadnął Louvain.

– Pewnie! – odparł Jarzębski bez wahania. – Ale to jeszcze nie znaczy, że mam dawać sobie ściemniać jak ostatni baran. Swoje wiem! Chrystus powiedział, co boskie Bogu, co cesarskie cesarzowi, z tego wniosek, że kasa z Bogiem nie ma nic wspólnego. Skoro klechy są za kasą, to nie mogą być za Bogiem, proste! I jest jeszcze w Piśmie ten kawałek o słuźeniu albo Bogu, albo mamonie. Skoro to się jedno z drugim nijak nie klei, to ja mogę spokojnie się modlić w kościele i na boku swój uczciwy biznes prowadzić...

– Sprawdźmy! – Rafalski nie wytrzymał.

– Skoro człowiek szczerze nam pomaga, nie będziemy mu w tyłek zaglądać. – Louvain od razu wszedł w rolę dobrego policjanta. – Pamięta pan przypadek niejakiego Cieślaka? Nieudane egzorcyzmy krótko przed tym pańskim odejściem na swoje... – odpowiedział.

– Jasne, że pamiętam! Uuu! To dopiero była jazda!

– Proszę nam dokładnie o tym opowiedzieć.

– No fakt, jest o czym! W ogólności poszło o to, że ten drugi egzorcysta, ojciec Paweł, postanowił podłożyć świnię naszemu księdzu Rybie, żeby go wyślizgać z miejsca przy samym arcybiskupie. Tak konkretnie to się rozchodziło o stary

i nowy rytuał egzorcyzmów. Ten nowy był od naszego papieża świętego i nim ksiądz Jan nawiedzonych posuwał.

– Zgadza się – mruknął Louvain do Rafalskiego.

– Ojciec Paweł jechał starym rytem, tym ze średniowiecza jeszcze, i upierał się, że on jest lepszy od papieskiego. Arcybiskup był za księdzem Janem i w ogóle nie chciał słuchać żadnego gadania o tym, że nasz papież coś pochrzanił. Zesłał więc ojca Pawła do klasztoru na jakimś zadupiu i tam mu kazał siedzieć cicho. Ale ojciec Paweł się odegrał. Wyczałił gdzieś naprawdę ciężki przypadek nawiedzonego pojeba, tego Cieślaka właśnie, i podsunął go księdzu Janowi, żeby on sobie na nim zęby połamał, no i tak było.

– Był pan przy tych egzorcyzmach?

– Nie byłem, i bardzo dobrze, bo pewnie by mi dupę urwało jak tamtym trzem. Oglądam telewizję. I pana komisarza zresztą też pokazywali, twarz kojarzę...

– Skoro pana przy tym rytuale nie było, to skąd pan wie, co tam się działo? – Louvain czym prędzej postarał się, by rozmowa nie zesłała na śliski dla niego temat. – Mielicie podobno zakaz kontaktowania się ze sobą.

– Nie przejmowałem się tymi pierdołami. Wiedza to pieniądz. Klechy woła ściemniać, żeby wszystko dla siebie zgarnąć. Jak tylko coś do mnie dotarło, po kolei wzięłem chłopaków na wódkę i wszystkiego się dowiedziałem. Ich aż trzęsło po tamtej akcji, cholernie chcieli się wygadać, a ksiądz Jan tego nie trybił jak ludzki człowiek.

– I czego się pan dowiedział?

– Że ten skurwysyn podczas egzorcyzmów zbluzgał księdza Jana, Jezusa Chrystusa i samą Panienkę Przenajświętszą od ostatnich. Powtarzać tego nie będę, bo swoje uczucia religijne posiadam. No i nic wtedy nie pomagało. Gość żadnej przyzwoitości nie miał, śmiał się z nich i jechał po świętościach, aż im uszy wzięły. W końcu ksiądz Jan musiał odpuścić, to znaczy w sensie, że dać sobie spokój, bo odpuszczenia grzechów za coś takiego dać nie sposób. Niedługo potem ojciec Paweł uderzył znów do arcybiskupa, że on by coś może poradził, gdyby egzorcyzmów po staremu popróbować. Ale arcybiskup uparł się przy swoim i pokazał mu faka. W sumie słusznie.

– Dłaczego słusznie?

– Bo nie kopie się dołków pod kolegami. Takie numery szkodzą wszystkim. Ja tutaj też w samym Aninie mam konkurencję. Taki starszawy gość, ale w drogę sobie nie wchodzimy. Gdybyśmy ze sobą wojnę zaczęli i zaczęli opowiadać, który z nas

lepszy albo który oszukuje, zaraz ludzie by się do nas zniechęcili i obaj zdrowo dostalibyśmy po kieszeni. Więc grzecznie i z szacunkiem się tykamy. Mamy te swoje niszki, jak to mówią. On jest niby taki mądry dziadek, oświecony, z Dalajlamą i bodhisattwami zblatowany, a ja duchowy komandos od ostrych akcji. Czasem nawet razem coś zrobimy, żeby ludzie bardziej się przejęli i większego zaufania nabrali. Po całości patrząc, jakbym miał wybierać, to wolę księdza Jana. Ściemniał bo ściemniał, ludzi zupełnie nie rozumiał, ale jednak aż tak nawalone pod czaszką jak ten ojciec Paweł nie miał.

– To ciekawe... – stwierdził szczerze zaintrygowany Louvain.

– Bo ta jazda z arcybiskupem to nie wszystko. Poza tym ojciec Paweł ciągle z takim jednym profesorem koty darł.

– Z Kępskim?

– Zgadza się. Ten profesor, podobno jakiś ważny, sprawdzał, czy opętanie to faktycznie opętanie czy może zwykła szajba. Sam się przyznam, że mam z tym czasem kłopot. Jak nie pomogę, to wolę nie zaszkodzić, bo potem kwasy i jeszcze jakiś prokurator się doczepi. Muszę na własny rozum kombinować, kiedy kasę można brać, a kiedy lepiej odpuścić i odesłać gościa do czubków, żeby potem nie było na mnie. Myślałem nawet kiedyś, żeby się z tym Kępskim dogadać, ale nie poszło, za drogi skubaniec. Jednak nic straconego, w zamian sobie studentkę psychologii przygruchałem,żytek podwójny... – Puścił do policjantów oko. – Żyje się i byczo jest!

– Co z tym ojcem Pawłem? – Louvain wrócił do tematu.

– On w ogóle był przeciw jakimkolwiek badaniom lekarskim. Uważał, że diabeł ukrywa się pod chorobą psychiczną, żeby go nie przeświecili, więc nie ma to tamto, w każdym świrze może być diabeł, więc trzeba jechać wszystkich jak leci. Chciał Kępskiego na zieloną trawkę wysłać, że niby profesorek tu na nic, stąd zakwas między nimi wynikł, ale znów arcybiskup stanął w poprzek. Na mój rozum słusznie. Sam widzę, że niektórym wystarczą proszki, więc po co ich czarować, zwłaszcza kiedy większej kasy nie mają, tylko jakieś biedarenty. To lepiej im już zostawić tę kaskę na proszki, ludzkim człowiekiem trzeba być! Życ samemu i dać życie innym, ale ojciec Paweł taki nie był. Niby tak na oko fajniejszy od księdza Jana, a naprawdę czub ze trzy razy większy. On miał jeszcze jednego zajoba i to takiego, że ludzie od niego uciekali...

– To znaczy? – zapytał czujnie Louvain.

– Słyszał pan może o takiej jednej Niemce, Anne... coś tam Michel, co ją

ojczulkowie egzorcyści aż do samej śmierci wyegzorcyzmowali i poszli potem za to siedzieć.

– Dostali wyroki w zawieszeniu – uściślił komisarz.

– Niech im będą zawiasy! – Machnął ręką Jarzębski. – Rozchodzi się o to, że ojciec Paweł tym Niemcom pozazdrościł. Bo ta cała Michel podobno święta ma być, dlatego że się sama dobrowolnie dała w opętanie wkręcić.

– Jej egzorcyzmy nie przyniosły uwolnienia, ponieważ Anneliese Michel przyjęła swoje opętanie w obronie innych ludzi i dla nawrócenia grzeszników. – Louvain poirytowany już z lekka knajackim stylem rozmówcy przełożył jego wypowiedź na oficjalny język Kościoła.

– Może i tak. W każdym razie ojciec Paweł chciał wylansować taką świętą w Polsce. Pewnie po to, żebyśmy nie musieli do niemieckiej się modlić. Za to można mu dać propasa. Skoro mieliśmy własnego papieża, to i opętaną świętą też powinniśmy. Ojciec Paweł już nawet upatrzył sobie kandydatkę, taką jedną wiecznie naćpaną satanistkę. Naprawdę niezła była sucz! Starczyło jej raz w oczy luknąć, a już człowiek robił po nogach...

Louvain i Rafalski wymienili znaczące spojrzenia.

– Ale ojciec Paweł podejścia do ludzi nie miał. Wystraszył tę laskę, bo ona naprawdę chciała z tym szatańskim szajsem zerwać. Uciekła wtedy do księdza Jana, on ją uwolnił od złego i ona z wdzięczności przystała potem do jego grupy.

– Beata Potocka? – zapytał Louvain.

– Nazwiska nie pamiętam, ale imię się zgadza. To było grubo przed sprawą z tym zjebem Cieślakiem. Ona potem też brała udział w jego egzorcyzmach.

– Wykreślone nazwisko... – mruknął Rafalski.

– I jako jedyna z tej paczki jeszcze żyje.

Nie poprosiła też o ochronę!, przypomniał sobie Louvain.

– Dziękujemy panu, to wszystko – powiedział głośno.

– Znaczy nie będziecie mi grzebać na zapleczu? – upewnił się Jarzębski.

– Nie ma zgłoszenia, nie ma wykroczenia. – Komisarz uspokajająco poklepał go po ramieniu.

Dwie minuty później byli znów w samochodzie. Louvain przekazał partnerowi to, czego nie mógł powiedzieć przy obcym.

– Dochodzi piąta. – Rafalski spojrzał na wyświetlacz swojej komórki. – O tej porze w korporacjach kończą pracę, ona też powinna. Dzwonić do niej?

– Dzwon.

Potocka nie zadawała zbędnych pytań i nie robiła trudności. Faktycznie kończyła już robotę. Umówili się z nią na podziemnym parkingu przy biurówcu, w którym była zatrudniona. Rafalski i Louvain dostali się tam, stosując tę samą metodę co u Jarzębskiego, czyli na blachę podkomisarza, pokazaną cieciewi przy wjeździe. To wystarczyło.

Niedoszła kandydatka na polską Anneliese Michel czekała na nich na uzgodnionym poziomie. Siedziała w samochodzie w towarzystwie jakiejś kobiety. Louvain zdenerwował się w pierwszej chwili, myśląc, że tamta jest adwokatem. Takie sprytnie zagranie natychmiast odwróciłoby role między nimi...

– To moja siostra. – Potocka uspokoiła go od razu. – Z powodu mojej choroby nie mogę prowadzić, więc Kasia przywozi mnie do pracy i odwozi do domu.

– Miło z jej strony. – Komisarz uśmiechnął się do siedzącej za kierownicą.

Rafalski został z siostrą Potockiej, poczęstował ją papierosem. Louvain i Beata odeszli parę kroków i stanęli za betonowym filarem, pomalowanym w czarno-żółtą szachownicę.

– Chciałem panią przeprosić – zaczął komisarz. – Przy pierwszym spotkaniu powinienem był wysłuchać panią do końca. Mój błąd.

– Ludzie nie lubią ze mną zbyt długo rozmawiać... – Rekruterka-zombi uśmiechnęła się z upiorną wyrozumiałością. – Oczywiście przyjmuję pańskie przeprosiny.

– Ustaliłem, że brała pani udział w egzorcyzmach niejakiego Grzegorza Cieślaka.

– Tak, ale tylko w pierwszym rytuale. Potem zrezygnowałam, bo to było zbyt straszne, naprawdę ponad moje siły. Ksiądz Jan nie gniewał się, powiedział, że mnie rozumie, że to naprawdę mogło być zbyt trudne doświadczenie dla niewiasty i to jego wina, że do tego dopuścił. Sam mnie prosił o wybaczenie.

– Co takiego się wtedy stało?

– Wie pan, nawet podczas najcięższych przypadków opętania demony przemawiające przez dręczonego nie przekraczają pewnej granicy, nie bluźnią przeciw Matce Boskiej. Ten człowiek, a właściwie ta istota, nie miała pod tym względem żadnych zahamowań. Tylko bardzo proszę mnie nie pytać o szczegóły. Nawet nie chcę sobie tego przypominać.

– Nie będę nalegać – zapewnił Louvain.

– Powiem tylko, że ojciec Jan stwierdził wtedy, że mieliśmy do czynienia

z samym Lucyferem. Bóg pozwolił, żeby ten upadły anioł wy dostał się z jego mocy. Nie śmiałem dociekać dlaczego, ale wierzę, że Bóg miał w tym swój plan, który na pewno doprowadzi do większego dobra.

– Podobno stał za tym ojciec Paweł, który chciał kompromitacji księdza Jana. Może to pani potwierdzić?

– Tak. Słyszałam coś podobnego. Wiem, że ksiądz arcybiskup musiał przywołać ojca Pawła do posłuszeństwa, a ten je okazał. Na tym się skończyło.

– Pani relacja z ojcem Pawłem była jednak bardziej złożona...

– On uważał, że nie powinnam zabiegać o osobiste uwolnienie, tylko dobrowolnie pozostać pod wpływem złego ducha, tak jak ta sławna Anneliese Michel, która poświęciła się dla grzeszników. Ojciec Paweł chciał być moim kierownikiem duchowym.

– Dlaczego się pani nie zgodziła?

– Bałam się. Być może jestem zbyt małego ducha, ale chciałam być wolna od tamtych doświadczeń. Nie umiałam przyjąć tego krzyża i czasem z tego powodu czuję się winna...

– Nie powinna pani.

– Ojciec Paweł był pierwszym egzorcystą, którego spotkałam. Zrobił dla mnie wiele dobrego, ale kiedy zaczął namawiać mnie, żebym znów podpisała cyrograf i odstawiła leki, które już zaczęły mi pomagać...

– Miałaby pani znów popaść w narkolepsję? – zdziwił się Louvain.

– Narkolepsja nie jest moim największym problemem, to tylko efekt uboczny zażywania leków przeciw chorobie Tourette'a.

– Ma pani ten zespół? – upewnił się komisarz.

– Tak. Zdaniem ojca Pawła to nie jest prawdziwa choroba, tylko przykrywka dla złego ducha, żeby mógł działać jawnie i bezkarnie. Sama kiedyś też tak myślałam, że to rodzaj szatańskiego powołania, któremu powinnam się poddać. Jednak nie chciałam być zła, krzywdzenie kotów sprawiało mi przykrość, a nie radość. Tymczasem ojciec Paweł obiecywał mi dyspensę, jeśli znów wezmę udział w czarnej mszy, chyba wie pan, co musiałam wtedy zrobić...?

– Wiem.

– Poprosiłam więc o pomoc księdza Jana i on dokończył dzieła mojego uwolnienia.

– A jak ojciec Paweł przyjął pani odmowę i ucieczkę?

– Był bardzo rozczarowany. Nie pogodził się z tym i, kiedy wynikła ta sprawa z Grzegorzem Cieślakiem, spróbował namówić mnie jeszcze raz.

– Proszę o tym dokładnie powiedzieć.

– Ojciec Paweł twierdził, że trzeba wszystkim ludziom uświadomić, jak wielkie jest w dzisiejszych czasach zagrożenie duchowe, i że to jest właśnie moje zadanie, powołanie i obowiązek. Straszyl mnie, że jeśli się nie zgodzę, rozpęta się piekło na ziemi, a ja w nim skończę. Że nigdzie nie ukryję się przed diabłami, którym Bóg dał wolną rękę, by pokarały ludzkość, czego pan Cieślak jest pierwszym znakiem. Zatem trzeba mi przyjąć opętanie, aby stawić opór szatanowi, wydać mu bitwę na jego własnym terenie i pokonać go siłą dobrowolnej ofiary.

– Pani jednak znów odmówiła.

– Poprosiłam najpierw o radę księdza Jana i on stwierdził, że nie dostrzega tego niebezpieczeństwa, a ojciec Paweł przesadza. Wtedy ja postanowiłam zostać dziewczicą konsekrowaną i oznajmiłam ojcu Pawłowi, że podejmuję starania w tym kierunku.

– To chyba powinna pani zmienić pracę – stwierdził z powątpiewaniem Louvain.

– Wiem, że ta praca nie jest dobra dla mojej duszy. Muszę w niej codziennie manipulować ludźmi, co jest grzechem. Jednak inaczej nie mogłabym zarobić na moje leki, które naprawdę dużo kosztują. Mam więc duchowy dylemat, ale nie wątpię, że Jezus wskaże mi drogę wyjścia z tej sytuacji. Dlatego staram się wytrwać.

– Pani drugą odmowę ojciec Paweł już zaakceptował, dobrze się domyślam?

– Przyjął ją znacznie spokojniej, jakby ze smutkiem. I powiedział wtedy jedną dziwną rzecz... – Zawahała się.

– Jaką? – nacisnął na nią lekko.

– Proszę, aby pan komisarz nie wykorzystał tego przeciw ojcu Pawłowi.

– Postąpię zgodnie z sumieniem i procedurami służbowymi.

Milczała dłuższą chwilę.

– Nie będzie pan działać pochopnie? – upewniła się jeszcze.

– Nie mam tego w zwyczaju – odparł oschle.

– Przepraszam... Zatem dobrze. Ojciec Paweł powiedział, że skoro ja nie chcę, to on przyjmie opętanie. Na tym skończyła się nasza ostatnia rozmowa.

– A niedługo potem zaczęli ginąć członkowie grupy wsparcia księdza Jana.

– Jestem pewna, że to tylko okropny zbieg okoliczności. Tak twierdzą nasi pasterze, i ja im ufam.

– Pani jest ostatnią żyjącą osobą spośród tych, którzy brali udział

w egzorcyzmach Cieślaka. I jako jedyna z grupy wsparcia księdza Jana nie poprosiła pani o ochronę policyjną.

– Nie boję się niczego, panie komisarzu, jestem w rękach Boga.

– Wobec tego... – Zamyślił się. – Dziękuję, to wszystko.

– Cieszę się, jeśli mogłam pomóc.

Louvain odprowadził ją do samochodu, a kiedy siostry Potockie odjechały, zreferował treść rozmowy Rafalskiemu.

– Ojciec Paweł i doktor Cieślak dogadali się i założyli sektę – wywnioskował podkomisarz na koniec.

– Na to wygląda... – Louvain skinął głową. – Jest tylko w tym jeden haczyk... – Zmarszczył brwi i popatrzył w kierunku, w którym odjechały kobiety.

– Jaki?

– Ta mała żyje z manipulowania ludźmi... Ma to w małym palcu.

– Ale jednak podrzuciła nam sensowny trop.

– Fakt – zgodził się komisarz.

– Wykonaliśmy dziś naprawdę ładny kawałek roboty operacyjnej – podsumował Rafalski. – Tylko co teraz? Pójdiesz z tym jutro do inspektora Pięty?

– Jeszcze nie ochujałem! – zapewnił stanowczo Louvain.

– Więc co dalej...? – powtórzył pytanie podkomisarz. – Zabawiliśmy się w parę dzielnych harcerzyków po nic?

– Szczerze? Nie wiem, kurwa!

– W takim razie zapraszam na dużą wódkę. Tylko odstawię samochód.

– Z cholerną przyjemnością. – Komisarz wsiadł.

– Ale popitkę kupujesz sobie sam! – zastrzegł się Rafalski, odpalając silnik.

– Dlaczego?

– W końcu też jestem katolikiem i słyszałem, że ekskomunikowanym nie wolno podać kubka wody. O wódcę – z tego, co wiem – przepisy kościelne nie wspominają, więc mogę ci ją zafundować bez dodatkowego podpadania... To w jakiej intencji pijemy?

– Za tych, co mają przerąbane w prawdziwym Kościele.



## TELEWIZOR ZAMIAST LUSTRA

Rano skacowanego Louvaina obudził kurier.

Zaznaczył, że przychodzi tu już po raz trzeci, i wyraził radość, że wreszcie mu się udało. Przyniósł paczkę, w której były osobiste rzeczy komisarza, pozostawione w szpitalu psychiatrycznym, w tym portfel, telefon komórkowy, klucze do domu i dokumenty, z których usunięto już legitymację policyjną oraz certyfikaty dostępu do baz danych i środków łączności.

Po włączeniu komórki pokazało się na niej sześć odrzuconych połączeń od księdza Piotra. Louvain nie oddzwonił, postanowił poczekać na siódme. Amen.

Wcześniej przyszedł SMS od Rafalskiego: DZIŚ NA MNIE NIE LICZ, MUSZĘ NAPRAWIĆ STOSUNKI PRZEDMAŁŻEŃSKIE PO WCZORAJSZYM.

OK, odpisał mu Louvain i zaczął się zastanawiać co dalej. Zażycie aspiryny wyczerpało wszystkie konstruktywne pomysły. Spróbował oglądać telewizję, ale od razu na dzień dobry trafił na program informacyjny, a w nim na własną twarz. Wyłączył w popłochu, nie czekając, co powiedzą. Nie po to zaczął walkę z bólem głowy, aby go teraz pogłębiać.

A mówili dobrzy ludzie, kup kablówkę! Nie musiałyś teraz oglądać w telewizji własnej gęby, pouczył sam siebie i pogrążył się w rozważaniach nad dylematem: piwo czy kefir?

Zanim się zdecydował, przyszło mu do głowy, że powinien zawiadomić media. Zorganizować konferencję prasową albo coś... Koncept bez sensu, na coś takiego można wpaść wyłącznie następnego dnia po półtora litra na łba, ale innych opcji zwyczajnie nie było. Przecież gdyby teraz poszedł do pałacu Mostowskich, toby go tam od razu w progu zastrzelili. Aspekt humanitarny tego przedsięwzięcia wydawał się jednak nie do pogardzenia. Przynajmniej do czasu, gdy aspiryna zaczęła działać.

Wtedy wziął komórkę i zaczął robić remanent kontaktów medialnych. Niefart polegał na tym, że do tej pory miał do czynienia głównie z mediami katolickimi, a wieść już się rozeszła. Wykonał parę kontrolnych telefonów, żadnego nie odebrano. W zamian w ciągu najbliższego kwadransa zaczęły przychodzić SMS-y – dwa z płomiennymi wezwaniami do nawrócenia, jeden z życzeniem smażenia się

w piekle i jedno zapewnienie o modlitwie wstawienniczej, ot katolicyzm polski w pigułce.

Pomysł, by zadzwonić do „Przyjaciela Egzorcysty”, upadł na etapie wstępnego rozeznania. Dowcip był zbyt czarny jak na tę porę dnia i stan umysłu komisarza. Tylko zły duch mógł tak kusić.

Nie było co liczyć na cud papieski, pozostawały tuby cywilizacji śmierci. Tu kontakty Louvain miał dwa, raczej przypadkowe, trudno było je nazwać znajomościami. Jeden z tych numerów chyba już nieaktualny, połączenie nie mogło być zrealizowane. Drugi odebrała jakaś dziunia asystentka, zapewniając, że przekaże *mesidź* Panu Redaktorowi, a konkretnie to zapisze nazwisko rozmówcy na karteczce Post-it i gdzieś ją przylepi. Louvain bez trudu domyślił się gdzie. Mimo to poprosił jeszcze, by zanotowała jego numer. Panienka odpowiedziała elokwentnie, że to nie jest konieczne, ponieważ numery połączeń przychodzących zapisują się im samoczynnie w aparacie. Jak przykleić do elektronicznego rejestru karteczkę Post-it z nazwiskiem „Louvain”, rezolutnisia nie objaśniła. Fakt, że akurat telewizor robił mu w domu za lustro, najwyraźniej nie miał znaczenia. To gwiazdy mediów wybierały, z kim chcą rozmawiać, nie odwrotnie. Aczkolwiek, co się potem okazało, gdyby pan komisarz obejrzał serwis informacyjny do końca, toby się dowiedział, że po załamaniu nerwowym przebywa na leczeniu w bliżej nieokreślonym ośrodku zamkniętym, więc dziunia asystentka okazała zdrowy sceptycyzm, traktując go jak oszusta.

Tak czy owak, to by było na tyle! W sumie chwala Bogu, bo gdyby ktoś chciał z nim gadać, dopiero zaczęłyby się schody. Niby co miałby powiedzieć? Upublicznić wiedzę operacyjną? Ponadawać na Kościół i zwierzchników? Oskarżać podejrzanych bez dowodów?

Jedyne, co mu ewentualnie pozostało, to pójść do redakcji któregoś z tabloidów i tam w specjalnym pokoju o meblach bez ostrych kantów, w niebywale malowniczym towarzystwie innych dostawców sensacji, poczekać, aż ktoś go rozpozna i wysłucha. Na materiał na pierwszej stronie mógł liczyć, na realną pomoc w śledztwie zdecydowanie nie. Równie dobrze mógłby zastąpić Potocką i podpisać cyrograf...

Zatem co dalej?

Wycieczka na Karaiby dla ukojenia nerwów? Czy swojska agroturystyka, żeby mniej nadszarpnąć oszczędności? Może rzeczywiście dać sobie z tym wszystkim spokój? Co właściwie robią emeryci? Działki do hodowli rabarbaru nie miał,

ewentualnie uniwersytet trzeciego wieku...

Zadzwoił ksiądz Piotr.

– Czy przemyślał pan już swoje położenie? – Zaczął tym razem bez „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Nieładnie. Nawet inkwizytor tak nie postępuje.

– Powiedzmy – rzucił ostrożnie Louvain.

– Kościół potrafi wyciągnąć rękę do największych grzeszników. Istnieje możliwość, aby dekret o pańskiej ekskomunice został wycofany.

– Co miałbym zrobić w zamian?

– Zwrócić to, co nie należy do pana. Wtedy grzech świętokradztwa zostanie uznany za zgładzony i nie będzie powodu utrzymywania w mocy jakichkolwiek kar kanonicznych.

– Co takiego trefnego jest w teczce Cieślaka? – zapytał wprost Louvain.

– Nie zamierzam bawić się z panem w żadne słowne gierki! – Ksiądz Piotr się zdenerwował. – Proszę natychmiast zwrócić wszystkie teczki, które pan ukradł!

– O, skurwysyn... – wyrwało się Louvainowi.

– Obraża pan kapłana! – wybuchnął ksiądz Piotr.

– Przepraszam, miałem na myśli profesora Kępskiego.

Asystenta arcybiskupa zamurowało. Teraz i do niego dotarło, że przecież Kępski znajdował się cały czas na miejscu i, jako autor znacznej części tej dokumentacji, był pierwszą osobą, do której się zwrócono, by sprawdził, czy czegoś brakuje. Profesorek skorzystał z okazji i na konto komisarza wyczyścił kartotekę z kompromitujących go dowodów. Pewnie sporo tego było, no i teraz nietrudno zgadnąć, dlaczego szanowna hierarchia straciła nerwy.

– Kielichy mszalne też przypadkiem nie poginęły? – zagadnął Louvain, odzyskując dobry humor.

– Jedna zabytkowa figurka... – przyznał zdeprymowany ksiądz Piotr.

– No to z Panem Bogiem! – Komisarz uroczyście zakończył rozmowę. Zaiste Duch Święty wieje, kędy chce!

Skutkiem powyższego dialogu Louvainowi odeszła chęć wyjazdu na Karaiby. Nawet kac minął mu jak ręką odjął. Nie miał już wątpliwości, że to śledztwo należało kontynuować! Nieważne jak, byle do przodu! Żeby nie siedzieć beczynn timer postanowił zobaczyć, co o ojcu Pawle jest w Internecie. Własnego komputera chwilowo nie miał, Rafalskim wolał nie przeszkadzać, zdecydował zatem, że odwiedzi wnuki. Dziadkowi na emeryturze zdecydowanie to wypadalo.

Natomiast myśl o tym, jak wkrótce profesor Kępski będzie tłumaczyć się, że „coś go opętało”, czyniła z Louvain już całkiem szczęśliwego człowieka.

Ledwie wyszedł na ulicę, otrzymał SMS z niezidentyfikowanego numeru:

**PROSZĘ PRZYJŚĆ ZA GODZINĘ DO PARKU SKARYSZEWSKIEGO**

Stanął jak wryty i odruchowo rozejrzał się dookoła. Nie wyglądało na to, by ktoś go obserwował. Więcej nie było co filozofować. Louvain zmienił plany i ruszył na przystanek tramwajowy przy Dworcu Centralnym. Po drugiej stronie Wisły był już piętnaście minut później.

Czas, jaki mu pozostał, wykorzystał, by zbadać teren. Dawno w parku Skaryszewskim nie był i sporo się tu zmieniło. Spacerował niespiesznie, środkiem alejek, przystając dłuższą chwilę na każdym ich skrzyżowaniu. Dla bezpieczeństwa wybierał jednak miejsca, gdzie było jak najwięcej przechodniów.

Faktycznie obserwowano go. Po godzinie otrzymał kolejny SMS polecający mu skierować się na północ, w stronę Jeziorka Kamionkowskiego, gdzie zarośla były znacznie gęściejsze, żeby nie powiedzieć przepastne. Leżeć tam samotnie i bez broni nie było dobrym pomysłem. Louvain po krótkim wahaniu jednak zaryzykował.

– Dzień dobry! – Usłyszał pięć minut później znajomy głos.

Komisarz odwrócił się i oniemiał.

Ksiądz Jan był w nienagannym garniturze i przyciemnionych okularach. Po uporaniu się z dysonansem poznawczym wypadało przyznać, że w tym stroju mu znacznie bardziej do twarzy niż w sutannie. Wyglądał teraz na bezlitosnego bankiera albo rekina rynków finansowych.

– Oficjalnie jestem we Włoszech – zakomunikował mu na wstępie były egzorzysta.

– Rozumiem... – Louvain powiedział półprawdę, bo w istocie tylko starał się zrozumieć. – Czemu zawdzięczam to spotkanie?

– Pan mnie zawiódł – zakomunikował sucho ksiądz Jan. – Miał pan uratować życie Lucyny Sawickiej.

– Bardzo mi przykro, że nie zdołałem zapobiec temu morderstwu. Nie zdążyłem skutkiem fatalnego zbiegu okoliczności.

– Wiem o tym i dlatego jeszcze z panem rozmawiam.

– Czy ja mogę najpierw zadać jedno pytanie?

– Proszę.

– Dlaczego ksiądz nie powiedział mi o swojej rywalizacji z ojcem Pawłem?  
– Dlatego że uważałem to za wewnętrzną sprawę Kościoła. Poza tym ja z nikim nie rywalizowałem. Wykonywałem swoją posługę najlepiej, jak umiałem. Natomiast panu powiedziałem tyle, ile uznałem za pożyteczne.

– Mówiąc, że szatan jest na wolności, miał ksiądz na myśli doktora Cieślaka?  
– Tak.

– Czemu teraz się spotykamy?

– Pan komisarz ma szansę naprawić swój poprzedni błąd.

Louvain zastanowił się, czy jego rozmówca wie, że on już nie pracuje w policji. Jeśli nie wiedział, to znaczy, że po potajemnym przybyciu do Warszawy ksiądz Jan nie skontaktował się ze swoimi zwierzchnikami. O płochę oglądanie telewizji też trudno go podejrzewać. Zatem chyba można było mu ufać...

– Jest jeszcze ktoś, kogo może pan uratować – rzekł egzorcysta.

– Czyżby Beata Potocka? – Louvain wykazał się domyślnością.

– Owszem.

– Dlaczego księdzu tak na niej zależy?

– Nie rozumiem, co to znaczy „zależy”, chyba że ma pan na myśli hierarchiczny aspekt znaczenia tego słowa. Panna Sawicka i panna Potocka były ze mną związane. Ich nieszczęście oznacza więc moje kłopoty. Chcę ich uniknąć. Ponieważ jednak pan wyraźnie potrzebuje więcej informacji, aby działać skuteczniej, oto jestem!

– Dobrze. Rozumiem zatem, że teraz będzie ksiądz skłonny odpowiedzieć na więcej moich pytań.

– Być może.

– Jak członkowie grupy księdza, którzy brali udział w egzorcyzmach doktora Cieślaka, przyjęli jego zachowanie?

– Byli bardzo poruszeni. Chyba nawet bardziej, niż sądziłem. Nie umiałem okazać im współczucia, jakiego potrzebowali. Mogłem jednak przypuszczać, że coś im grozi.

– Na jakiej podstawie?

– Doktor Cieślak domagał się od nich, aby się do niego przyłączyli. Wołał do nich, że prawdziwa siła duchowa właśnie została im okazana i, jeśli się jej nie podporządkują, będzie to zniewaga dla Lucyfera, za którą zostaną surowo ukarani.

– To były jawne groźby karalne. Dlaczego ksiądz nie zareagował?

– Zniewoleni ludzie mówią wiele gniewnych rzeczy, i ja tak to potraktowałem.

Być może popełniłem błąd... Tak, na pewno popełniłem błąd.

– Dlaczego Beata Sawicka jeszcze żyje?

– Jej nie zagraża śmierć fizyczna, tylko śmierć duszy.

– Czyżby ojciec Paweł nie zrezygnował z pomysłu, żeby zrobić z niej polską Anneliese Michel?

– To charyzmatyk, on nigdy z niczego nie rezygnuje. Co więcej, jak pan komisarz widzi, krok po kroku osiąga swoje cele. Doprowadził już do mojego wygnania i działa dalej. Nie wątpię, że teraz w centrum jego uwagi jest panna Beata. Dlatego znów pana komisarza odnalazłem.

– Co mam zrobić? – Louvain na poły szczerze przyznał się do własnej bezradności.

– Proszę powstrzymać ojca Pawła. Dokona pan tego, jeżeli udowodni jego bliski związek z doktorem Cieślakiem, a dokładniej mówiąc, pakt, który oni ze sobą zawarli. Jeżeli znajdzie pan na to dowody i przedstawi je Jego Ekscelencji, nie wątpię, że nastąpi interwencja, która rozwiąże wszystkie nasze problemy.

– A ksiądz będzie mógł wrócić z Włoch...

– To też. I nie pomogę panu nic więcej, gdyż mogłoby to zostać uznane za moją osobistą zemstę, a wtedy osiągniemy rezultat odwrotny od zamierzonego, zaś ja nie odzyskam uznania moich zwierzchników.

– Rozumiem.

– Niech pan nie okazuje zrozumienia, tylko coś zrobi. Bo będą następne ofiary. Świadomość tego powinna mieć dla pana poważne znaczenie emocjonalne.

Miała. Louvain nie odpowiedział. Poczul, że krew odpływa mu z twarzy na myśl, co naprawdę powinien na to odpowiedzieć.

Ksiądz Jan nie odezwał się więcej. Bez pożegnania odwrócił się i już po kilkunastu krokach zniknął zupełnie w otaczającym ich zielonym gąszczu.

Komisarz odczekał jeszcze kilka minut, po czym ruszył z powrotem do domu. Po drodze kupił sobie bardzo dużą, półgalonową butelkę whisky, aby ją wypić w samotności. Doprawdy ksiądz Jan mimo woli trafił w sedno. Odpowiedź na męczące komisarza od rana pytanie „co robić?” była banalnie oczywista – należało poczekać na nowe ofiary. Bez kolejnej zbrodni nic więcej się w tej sprawie nie dało zrobić.

Sęk w tym, że należało czekać z rozmysłem i pełną świadomością przyzwolenia na zło. Policjant musiał dać mordercy wolną rękę...

Po wejściu do mieszkania Louvain szczelnie zasłonił okna i zapadł się w fotel, stawiając przed sobą na stoliku szklankę i butelkę. Potem przez kolejne godziny wpatrywał się ponuro w opadający stopniowo poziom alkoholu.

Czekał na ofiarę.

Zamiast pić, wolałby się pomodlić, ale nie był w stanie, bo o co? I jak? Prosić czy dziękować? Teraz dopiero Louvain poczuł się jak ekskomunikowany potępieniec, któremu żadne święte słowa nie są w stanie przejść przez gardło.

I pożałował z całego serca, że nie jest psychopata.

\*\*\*

Oślizgły, mokry i lepki ziąb omszałej nagrobnej płyty, na której położono nagą dziewczynę, szybko przywrócił jej przytomność. Otworzyła oczy, a chwilę potem rozwarła je bardzo szeroko. Szarpnęła się rozpaczliwie, ale więzy trzymały pewnie skrupowane na plecach ręce oraz nogi w kostkach. Z ust okręconych taśmą samoprzylepną wydostał się nieartykułowany bulgot. Mimo to walczyła jeszcze. Szybkim skrętem całego ciała stoczyła się z grobu, padła na twarz i próbowała odpełznąć w ciemność, podpierając się czołem.

Liczne postacie w habitach z kapturami naciągniętymi na głowy wyłoniły się zza majaczących w głębokim mroku cementowych krzyży. Natychmiast pochwycono uciekinierkę. Wierzgającą, uniesiono ją do góry, położono z powrotem na kamiennej płycie na wznak. Cztery pary rąk mocno docisnęły do podłoża jej barki i kolana, skutkiem czego ciężarny, ośmiomiesięczny brzuch wypiął się wysoko w górę.

Prowadzący obrzęd dał znak i Marcin Bilecki wystąpił. Odsłonił twarz na znak, że nie lęka się niczego i przystępuje do dzieła jawnie wobec Boga i ludzi. Ktoś podał mu nóż, Bilecki ujął oburącz rękojeść i uniósł ostrze w górę.

Dwaj bracia poświecili mu ekranami swoich smartfonów.

– Zniszcz grzech! – padł rozkaz.

Bilecki uderzył w nabrzmiałą lewą pierś. Nie miał wprawy, więc nóż zatrzymał się na żebrach. Musiał nim trochę pokręcić, żeby wszedł po rękojeść. Poczuł, jak na ostrzu trzepocze się przebite serce. Zaczął je kroić wte i wewte, aż skurcze osłabły. Wtedy spojrzął w oczy ukaranej grzesznicy. Już ujawniła się w nich pustka, która była w niej zawsze.

Puścił rękojeść, zostawiając w ranie narzędzie kary, i odstąpił. Nie czuł żadnych szczególnych sensacji. Tylko wciąż ten sam niezmacony spokój, który zadomowił

się już w jego duszy, i może jeszcze trochę dumy z pomyślnego przejścia próby.

– Dobrze, bracie.

Przyjął pochwałę pokornym skinieniem głowy. Z powrotem założył kaptur i cofnął się, robiąc miejsce kolejnemu ze współbraci, który teraz pochylił się nad martwym ciałem.

Tamten wziął jego nóż. Rozległ się długi chrzęst ciętej skóry i mięśni. Pozostali zgromadzeni zaczęli głośno odmawiać modlitwę po łacinie.

Marcin Bilecki przyłączył się do nich. Wiedza pochodząca z jego dawnego życia jeszcze nie zatarła się w pamięci, i byłyby redaktor, gdyby go zapytano, potrafiłby prawidłowo nazwać stan, w którym się znajdował syndromem sztokholmskim. Nikt o to jednak nie pytał, zaś nazwa wymyślona przez bezbożnych ludzi, którzy nie dostąpili łaski zrozumienia, była dla niego obecnie jedynie parą słów bez znaczenia.

\*\*\*

Louvaina przez całą noc dręczyły koszmary, których nie zapamiętał.

Byłby skłonny uznać je za delirium, gdyby nie natarczywe, niejasne przekonanie, że było to jednak coś gorszego od białej gorączki. Miał wrażenie, że bierze udział w czymś, co przewracało mu bebeczy. Rano stwierdził, że narzygał na dywan...

W sumie dobrze się stało, bo dzięki temu miał teraz znacznie mniej alkoholu we krwi, a i tak obudził się kompletnie pijany.

I wiedział, że co miało się stać, już się stało. Tym razem bez wahania włączył telewizor.

*Makabryczna zbrodnia na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.. W stolicy doszło do kolejnego morderstwa o charakterze rytualnym.. Zmasakrowane zwłoki młodej kobiety znaleziono dziś rano na Pradze-Północ... Według niepotwierdzonych doniesień ofiara była w zaawansowanej ciąży...*

Louvain doszedł do wniosku, że musi się jeszcze napić. Whiskacza zostało dość, w końcu kupił przeszło dwulitrową butlę, ale po krótkim namyśle zrezygnował. Po pierwsze, na klina było zdecydowanie za wcześnie, po drugie, czuł, że zaraz się zacznie, i powinien być w jako takiej formie.

I faktycznie tym razem w redakcyjnych newsroomach łączyli fakty szybko, logicznie i bez pudła.

*Zbrodnia, do której doszło dzisiaj w nocy w Warszawie, wykazuje niepokojące podobieństwo do serii zabójstw pomocników jednego z warszawskich księży egzorcystów... Dochodzenie w tej sprawie prowadził komisarz Krzysztof Louvain z Komendy Stołecznej, który w niejasnych okolicznościach został odsunięty od*



*śledztwa... Według nieoficjalnych źródeł na pracę policji wywierano silne naciski, w wyniku których komisarz Louvain przeszedł głębokie załamanie nerwowe... Doszło wówczas do zdemolowania jednej z warszawskich redakcji prasowych... Komenda Stołeczna odmawia wszelkich komentarzy.*

Skoro komenda milczy, to zaraz przyjdą zapytać mnie, pomyślał Louvain, patrząc ponuro w telewizor.

Przewidywał prawidłowo. W kolejnych blokach informacyjnych pojawiły się krótkie syntezy na jego temat, ilustrowane przebitkami przedstawiającymi fasadę kamienicy, w której mieszkał. *Tutaj widziano komisarza Louvain* (nadal uparcie nie odmieniali jego nazwiska) *po raz ostatni...* Z braku laku reporterzy podkreślali dramatyzm chwili, jak umieli. Najistotniejsze jednak było to, że kręcono te „setki” na żywo, a zatem na dole znów na niego czekali...

Louvain przyjrzał się sobie krytycznie. Na lewym rękawie koszuli miał zaschnięte rzygi, więc wypadało ją zmienić. W ciągu kwadransa doprowadził się do stanu względnego odszmaceria, pomijając fakt, że wciąż był pijany. Jak ten rausz minie, to dopiero zacznie się Kac Vegas! Jednak nie było co narzekać. Na dobrą sprawę należało podziękować Bogu, że się tej nocy nie zapił na śmierć. Naprawdę miło ze strony jego Anioła Stróża, że w odpowiedniej chwili pogmerał mu piórem w gardle...

Komisarz wytoczył się na klatkę schodową i zszedł na podwórko.

Dziennikarze obskoczyli go momentalnie.

– Co pan ma do powiedzenia w sprawie ostatnich wydarzeń?!

Szukałem was, a teraz przyszliście do mnie... – miał to już na końcu języka, ale się w niego ugryzł. Wziął głęboki wdech i dołożył wszystkich starań, żeby nie bełkotać przynajmniej przez kilkanaście sekund.

– Potwierdzam, że podczas śledztwa, które prowadziłem doszło do silnych zewnętrznych nacisków. Próbowano mnie zmusić do zamknięcia tej sprawy, mimo że były poważne przesłanki wskazujące, że zabójca wciąż pozostaje na wolności i może znów uderzyć. Ponieważ sprzeciwiłem się temu, wyrzucono mnie z policji. Rozmawiacie państwo z byłym komisarzem.

Wręcz wysysali mu te słowa mikrofonami z ust. A kiedy skończył, zgromadzony przed nim tłumek eksplodował pytaniami.

– Kto naciskał na pańskie śledztwo?! Czy to hierarchia kościelna?! Jakie były okoliczności pańskiego wydalenia z policji?! Czy uważa pan, że Polska jest państwem wyznaniowym?!

Louvain poczuł, że chwila jasności umysłu odpływa, a wraz z nią bruk podwórka

spod jego stóp. Błądźnik ogłosił czerwony alarm. Nogi wiotczały.

Tamci jeszcze nie zwrócili uwagi na jego stan, ale jak się zacznie zataczać i bredzić, spuentują tego newsa wirusem filipińskim, i będzie po ptakach. Louvain oparł się lewą dłonią o ścianę kamienicy, która na szczęście nigdzie nie odjechała. Postarał przybrać możliwie nonszalancką postawę oraz ton głosu.

– Muszę się lepiej przygotować do odpowiedzi na te pytania.

– W takim razie zapraszamy do naszego studia dziś wieczorem – powiedzieli to niemal chórem i momentalnie wyciągnęły się w jego stronę trzy czy cztery, a może sześć rąk z wizytówkami. Nie był w stanie ich policzyć.

– Przepraszam! My byliśmy pierwsi! Z nami pan komisarz chciał skontaktować się wczoraj! – Jeden z reporterów przekrzyczał całą resztę.

Louvain zamrugał oczami i skojarzył Pana Redaktora od dziuni z *mesidzem* na Post-it. Czyżby jednak skubana nakleiła gdzie trzeba...

– Tak, to prawda. – Wziął właśnie tę wizytówkę i rakiem wycofał się na schody.

Potknął się od razu na pierwszym stopniu i omal nie wywalił na mordę. Doprawdy mało brakowało, a wyciąłby klasycznego pijackiego dziecięcia, po którym zamiast studia TV priorytetem byłaby wizyta u stomatologicznego protetyka.

Dziennikarze chyba nie zauważyli jego desperackiej walki o wizerunek. Zostali na podwórku. Kurczowo czepiając się poręczy, Louvain zaczął się wspinać na górę.

Bogu dzięki nie poszli za nim! Za to na ostatnim półpiętrze czekał na niego jakiś łepek, dziesięć, może dwanaście lat.

– Ja do pana komisarza – zakomunikował z marsową miną.

Louvain przyjrzał mu się lepiej i skojarzył twarz. Ministrant od świętej Barbary.

– Słucham cię, mały.

– Ksiądz proboszcz kazał mi przekazać posłanie, że może pan już przychodzić do nas do kościoła. To, co pan wie, zostało wycofane.

– Aha... Czemu ksiądz proboszcz sam z tym do mnie nie przyszedł?

– Księdzu proboszczowi jest niewyjściowo...

– Co ty mówisz, mały? – Louvain zmobilizował inteligencję, bo coś zaczęło mu świtać.

– W pana czasach mówiło się, że komuś jest łyso – oznajmił rezolutnie ministrant. – Dziadek mi tak mówił...

– Wobec tego dlaczego księdzu proboszczowi jest łyso?

– Ksiądz proboszcz mówi, że z początku wcale tego nie chciał...

– Aha! – Louvain nie musiał pytać o nic więcej, bo już wszystko zrozumiał. Pozostawało tylko wyrazić szczery podziw dla przebiegłości i tupetu księdza Piotra.

Krótko mówiąc, nie było żadnej ekskomuniki! Nawet tysiącrotnie podkreślone kościelne młyny nie miały aż tak szybko. Louvain powinien był się domyślić, że to bezczelny bluff, ale doprawdy nie był w nastroju. Teraz dopiero uświadomił sobie, że nie wie, jak naprawdę wygląda podpis jego właściwego ordynariusza. Swoje zrobiła niezachwiana pewność siebie księdza Piotra. W istocie zaś w spisek został wtajemniczony tylko tutejszy proboszcz, a i to pewnie nie całkiem dobrowolnie, stąd teraz to wyłysienie, czyli sprzeciw sumienia.

Louvain zastanowił się przelotnie, czy da się wykorzystać sfałszowany dekret jako dowód? Nie, ponieważ wyszłaby z tego kolejna podpucha. Nie było przecież żadnych świadków wręczenia dokumentu. Przyciśnięty do muru ksiądz Piotr jak nic wyciągnie z szuflady kopię zwykłego monitu z wezwaniem do zwrotu kościelnej własności i wyjdzie, że to Louvain fałszował biskupie podpisy... Aż tak się dać wkręcić zdecydowanie nie wypadało.

– Ksiądz proboszcz mówi, że Kościół nie może działać pochopnie – oznajmił z powagą chłopiec.

– Bardzo słusznie! – Louvain sięgnął do kieszeni spodni po portfel. – Kościół jak coś mówi, to mówi...

– I dlatego właśnie Kościół jest opoką, na której Chrystus zbudował swoją barkę! – Ministrantowi zaświeciły się oczy.

– Wiesz co, mały? Jak dorośniesz, napiję się z tobą wódki... Masz tu za fatygę! – Dał mu całe dwie dychy.

– Bóg zapłać!

– To wszystko dla ciebie, nie dla księdza proboszcza – zaznaczył.

– Ale ksiądz proboszcz mnie zapyta, czy wziąłem co łaska.

– Powiedz księdzu proboszczowi, że z nim się rozliczę osobno.

– Dobrze, dziękuję!

Małolat zbiegł ze schodów, a komisarz wrócił do mieszkania. Dopilnował, by porządnie nawodnić organizm, po czym w ubraniu rzucił się na łóżko i od razu zasnął.

Trzy godziny później obudził go telefon. Dzwonił inspektor Pięta. Louvain nie odebrał, zasnął znowu. Pięta zadzwonił godzinę później, komisarz też nie odebrał. Kolejne równo zignorowane telefony od inspektora nastąpiły po półgodzinie,

kwadransie, dziesięciu minutach i pięciu minutach po poprzednim. Nie wyglądało to na wkurwienie, raczej na skrajną desperację. Coś jakby pisk ginącego szczura. Louvain zasypiał po każdym telefonie w coraz lepszym nastroju. Przezornie jednak po piątym odrzuconym połączeniu całkiem wyłączył komórkę. Lepiej nie przedawkować triumfu.

Wstał koło godziny szóstej i zaczął się zbierać do telewizji. Oczywiście musiał zacząć od połknięcia reszty aspiryny, jaką znalazł w domu, ale poza tym czuł się nie najgorzej. Skoczyła mu adrenalina i zrobiła swoje.

Zatem kąpiel, kawa, jajecznica. Szczęśliwym trafem szedł na psy bezpieczeństwa całkiem niedawno, więc w szafie znalazło się jeszcze ubranie, w którym mógł się pokazać przed kamerami. Potem sprawdził rejestr połączeń w telefonie. Rafalski nie dzwonił, więc wszyscy inni mogli poczekać.

Godzinę przed programem zadzwoniła dziunia Post-it, cała w skowronkach, uprzejmościach i lansadach, żeby nie powiedzieć w żółtych karteczkach. Dogadała szczegóły i zapowiedziała, że wysyła po niego samochód.

Louvain ze swej strony darował sobie sarkastyczne komentarze, co upewniło go, że już wytrzeźwiał. Najwyższy czas okazać powagę. Sprawa rzeczywiście wymagała zgaszania uśmiechu. Wieczne odpoczywanie dziewczynie z cmentarza i jej nienarodzonemu dziecku...

Z początku wszystko szło zgodnie z planem.

Przyjechała taksówka zorganizowana przez dziunię Post-it, w telewizyjnym holu czekał cały komitet powitalny, mało co aby komisarza wnieśli do środka na rękach z wdzięczności, że wybrał właśnie ich. Zaprowadzono go do charakterizatorki na upudrowanie, potem dostał kawę, podczas picia której dotrzymywała mu towarzystwa wiadoma panienska. Nie omieszkała mu się pochwalić, że dostała dziś pochwałę za przytomność umysłu oraz awans na starszą asystentkę.

Louvain słuchał tych szczebiotów z pokerową twarzą policyjnego twardziela, odpowiadając tylko przez grzeczność, monosylabami. Zastanawiał się, co powiedzieć w studio, a przede wszystkim jakby tu zacząć medialną karierę. Koniec końców w policji już nie pracował, zatem pomyśl, by zaczepić się w mediach jako dziennikarz śledczy lub konsultant, był nie do pogardzenia. Trzeba by jakoś zręcznie pociągnąć nadchodzącą rozmowę właśnie pod tym kątem...

– Wchodzimy za trzy minuty – zakomunikowała dziunia, a właściwie Ela. Wypadało już pamiętać imię przyszej koleżanki z pracy. – Czy mógłby pan wyciszyć swój telefon komórkowy?

Louvain wstał i sięgnął do kieszeni.

Komórka zadzwoniła właśnie w tym momencie. Na wyświetlaczu pokazał się numer stacjonarny. Pierwsze cyfry wyglądały znajomo. Dzwoniono z Komendy Głównej.

Odebrał.

– Tu nadinspektor Kuryłowicz Jarosław, czy mówię z komisarzem Louvainem?

– Byłem komisarzem.

– Słuchajcie, Louvain, teoretycznie należą się wam przeprosiny, ale po tym, co żeście nawywijali, proponuję uznać, że jesteście kwita.

– To znaczy, panie nadinspektorze?

– To znaczy, Louvain, że macie dwa wyjścia. Albo wchodzić do tego studia, albo robicie w tył zwrot i wracacie natychmiast do pałacu Mostowskich. Jeżeli wybierze to pierwsze, pozostaniecie dla nas osobą prywatną, która prowadzi śledztwo na własną rękę i być może je utrudnia. Jeżeli wrócicie, na miejscu będzie czekać wasza nowa grupa dochodzeniowa, którą właśnie powołaliśmy w wiadomej sprawie. Co do was uznajemy, że ostatnio nic się nie stało. Macie znów czystą teczkę i wolną rękę.

– A inspektor Pięta?

– Odebrał zaległy urlop.

– Kościół?

– Też już wam wyczyścił swoje papiery i obiecał się nie mieszać. Uzgodnienie polityczne na wysokim szczeblu.

– Co z podkomisarzem Rafalskim?

– Został w trybie pilnym odwołany ze zwolnienia lekarskiego i przyjął funkcję zastępcy szefa grupy dochodzeniowej. Waszego zastępcy albo następcy... Zależy, co wybierze. Zatem jak, Louvain?

Nie odpowiedział, rozłączył się i w zadumie popatrzył na trzymany w rękę telefon.

– Mamy jeszcze pytanie techniczne od realizatora – zaczęła znów nadawać dziunia. – Pańskie nazwisko się odmienia czy nie odmienia?

– Odmienia. – Louvain ruszył szybkim krokiem do wyjścia. – Jestem człowiekiem, a nie miastem w Belgii...

– Ależ dokąd pan komisarz idzie?! Zaraz wchodzimy na antenę!

– Wróciłem do służby. Proszę czekać na oficjalny komunikat rzecznika Komendy

Stołecznej.

## ROZDZIAŁ 21

### OCZY DIABŁA

– Co mamy?! – zapytał z marszu, wchodząc do pokoju konferencyjnego, w którym zebrała się jego grupa dochodzeniowa. Musiał przyznać, że naprawdę ładnie to brzmiało. Poza tym towarzystwo dobrano mu na poziomie. Żadnych głupów, wazelinarzy ani wtyczek odgórnych czy twarzy z Księżyca. Wszystkich obecnych kojarzył, i to pozytywnie.

– Ofiara to Eugenia Bacewicz, lat dwadzieścia cztery – zaczął bez wstępów Rafalski. Sekundę wcześniej tylko uśmiechnął się półgębkiem do partnera. W tym grymasie w stylu Mony Lisy wyrażało się dokładnie wszystko co trzeba.

– Była w trzydziestym tygodniu ciąży, ojciec dziecka nieznan, ale trop jest. Pracowała w Caritasie diecezji warszawsko-praskiej i nie zwolniono jej z tej posady, mimo że zaszła w ciążę jako panna... – referował podkomisarz.

– Jak zginęła?

– Rozległe uszkodzenia mięśnia sercowego ostrym narzędziem. Rzeźnicza robota. Właściwie należałoby powiedzieć „bestialska”. Rzeźnik wykazałby tu znacznie więcej wprawy. To dzieło amatora, ewidentnie początkującego w uboju rytualnym ludzi... Tak to ujęli na sekcji.

Rafalski rozłożył na stole bijące czerwienią po oczach zdjęcia z miejsca zdarzenia.

– Jak widać – kontynuował – wycięto jej z brzucha płód. To już była robota fachowca, żadnych zbędnych cięć, doskonała znajomość anatomii... O ustaleniu ojcostwa możemy zapomnieć, nie ma skąd wziąć próbek DNA, bo dzieciaka wycięto razem z macicą i zabrano. Narzędzie zbrodni też przepadło.

– Czyli sprawców było dwóch? Partacz i fachowiec? – podsumował wstępnie Louvain.

– Więcej. Badania traseologiczne wskazują na obecność przynajmniej pięciu, siedmiu osób, przemieszczających się wokół grobu, który posłużył za ołtarz ofiarny. Pies tropiący podjął ślad, który urwał się trzysta metrów dalej przy ulicy

Rzeszowskiej. Wygląda na to, że całe towarzystwo przyjechało i odjechało busikiem. Żadnych świadków jak dotąd nie znaleziono. Poza tym trzeba liczyć, że ofiary były trzy. Jest jeszcze starsza kobieta, doglądająca grobów, która znalazła rano ciało i pobiegła dać znać do kancelarii cmentarza. Z wysiłku i stresu zaraz potem zeszła tam na zawał.

– Zatem mamy sektę religijną, której członkiem jest doświadczony chirurg i która rozwija się prężnie, inicjując nowicjuszy... No to praktycznie wiemy już wszystko, panowie! – Louvain zatarł ręce. – Podkomisarz Rafalski sprawdzi alibi doktora Cieślaka, wybitnego chirurga plastycznego...

– Załatwione! – oznajmił partner.

– Misiek, Ryba i Witek to samo jeśli chodzi o księdza Pawła Gołębiowskiego, drugiego egzorcystę diecezji warszawsko-praskiej. Przede wszystkim jego kontakty z doktorem Cieślakiem. Biercie się za to od razu, bo roboty kupa. Dziś nie śpicie!

Wymienieni policjanci podnieśli się zza stołu.

– Reszta bierze pod obserwację Beatę Potocką. To potencjalna ofiara. Nie prosiła o ochronę, więc grzecznie i dyskretnie, ale non stop.

– Tak jest!

– Widzimy się znów jutro o jedenastej. Michał, zaczekaj chwilę.

Komisarz i podkomisarz zostali sami.

– Wysłałam cię do Cieślaka, żebyś go sobie obejrzał, ciekawy facet...

– Wstąp do policji, poznaj ciekawych ludzi i zapuszkuj ich! – Rafalski był w bojowym nastroju. – Dostaniesz skurwiela na srebrnej tacy! Nie wywinie mi się. To musi być on!

– Też tak sędzę, ale uważaj. Ten cwaniak mnie wyruchał bez mydła...

Podkomisarz spoważniał.

– Dobra, nie będę go lekceważyć.

– To do jutra. Jak narzeczona?

– Jeszcze bardziej cię nie lubi.

– No trudno. Cześć!

Wychodząc po odprawie, Louvain na korytarzu natknął się na Halinę. Przeszepowała z nogi na nogę i sprawiała wrażenie, jakby na niego czekała.

– Witam, co pani tutaj robi? – zapytał oschle.

– Nie chciałam przeszkadzać, więc... – zaczęła i urwała.

– Chcesz wrócić do służby? – Domyślił się, ale tonu głosu nie zmienił.



Pokiwała głową.

– Dlaczego?

– Zrozumiałam, że przed tym nie ucieknę, że muszę temu stawić czoła...

– Zrozumiałas to sama czy wyczytałaś w jakimś tabloidzie? – Nie był skłonny odpuścić jej łatwo. W końcu całkiem możliwe, że Sawicka zginęła przez jej mazgajstwo. Gdyby wtedy na placu Defilad mieli trzy pary oczu, a nie dwie...

– Jeśli pan komisarz uważa, że się już do niczego nie nadaję, proszę mi to powiedzieć otwarcie. Nie będę zaprzeczać.

Machnął ręką i ruszył dalej, zamierzając ją ominąć, ale wtrąciło się sumienie. Przystanął więc.

– Akta sprawy leżą na biurku. – Wskazał na drzwi swojego pokoju. – Zapoznaj się, potem pomyślę.

– Dobrze.

Niewątpliwie wykazała się kobiecą intuicją, poprzestając na tym jednym słowie i powstrzymując się od wygłoszenia gorących podziękowań, solennych zapewnień i dogłębnej samokrytyki. Tej paplaniny Louvain by już nie zniósł.

No dobra, przyjął z powrotem na służbowe łono aspirant marnotrawną. Powinno mu to było poprawić samopoczucie, ale czegoś nie poprawiło.

Przeszedł się na Stare Miasto. Jego wątroba nie była w stanie przyjąć już więcej alkoholu, zatem pozostała tylko modlitwa. Któryś z tamtejszych kościołów powinien być otwarty, a komisarz potrzebował się wyspowiadać.

Czuł się trzecim katem Eugenii Bacewicz.

\*\*\*

Rano obudziła go ekipa aspiranta sztabowego Jana Mireckiego, w tym samym składzie co poprzednio, ale z odwrotną misją. Przywieźli mu z powrotem komputer i wszystkie papiery. Tylko te ostatnie się do czegoś jeszcze nadawały. W komputerze grzechotał luźno twardy dysk. Resortowym informatykom nie chciało się bawić w uruchamianie systemu, więc swoim zwyczajem zrobili sprzętowi sekcję zwłok, doprowadzając go do stanu śmierci technicznej. Jak zwykle wyszli z założenia, że jeśli podejrzany okaże się niewinny, to jego radość z pomyślnego oczyszczenia z zarzutów będzie daleko większa od niezadowolenia z doznanych przy tym uszczupień majątku ruchomego. A jeśli pójdzie siedzieć, to i tak nic mu po gadżetach.

Komisarz odmówił przyjęcia komputera. Zgłosił oficjalnie uszkodzenie własności prywatnej, zażądał naprawy lub rekompensaty i pogonił całe towarzystwo z blaszanym trupem na zбитy łeb ze schodów. Młody Niezdolny zakomunikował mu na odchodne, że po broń musi się zgłosić osobiście do zbrojowni.

Louvain pokazał mu faka i uznał, że poranną gimnastykę ma zaliczoną.

Odespał porządnie dwudniowe pijaństwo, pokutę zadano mu symboliczną, więc dziś do roboty stawiał się w pełni sił fizycznych i duchowych.

Czego w żadnym razie nie można było powiedzieć o Rafalskim.

Podkomisarz od początku odprawy unikał jego wzroku. Louvain kazał na początek zreferować ustalenia dotyczące księdza Pawła.

Te z początku były obiecujące. Okazało się, że z doktorem Cieślakiem istotnie wiele ojca dobrodzieja łączy. Konkretnie ten pierwszy był jego sponsorem. Ofiarował Kościołowi nieruchomości pod Warszawą, pod warunkiem że pierwszym, głównym i dożywotnim użytkownikiem będzie ojciec Paweł. O nim samym śledczy dowiedzieli się, że był przeciwnikiem reform drugiego soboru watykańskiego i utrzymywał liczne kontakty z lefebrystami i sedewakantystami. Niestety, to policji nie interesowało. Ustalone do tej pory relacje z Cieślakiem nie wykraczały poza legalny układ darczyńca-beneficjent. Wszak każdy mógł podarować księdzu domek na wsi...

– Spieprzyliście robotę, chłopaki! – skwitował Louvain.

Rafalski po tych słowach spochmurniał jeszcze bardziej. Zdaje się, że także po nim nie należało spodziewać się przełomowych dla śledztwa ustaleń.

– Komisarzu, mieliśmy za mało czasu – zaczęli tłumaczyć się ci od ojca Pawła. – Jak się robi wywiad środowiskowy księdzu, to zawsze pół na pół, albo laurki, że święty, albo pomówienia, że dziwkarz... Trzeba czasu, żeby odsiać...

– Coś się dzieje na tej darowanej posesji? – Louvain przerwał marudzenia.

– Nic a nic. Dom stoi jak wymarły. Przeszukać?

– Na razie nie będziemy się ujawniać. Załóżcie obserwację. Może Cieślak się tam pokaże, wtedy będzie dobry powód, by tam wejść. Co z Potocką?

– Poszła do pracy jak zwykle. Szwagier ją przywiózł.

– Szwagier, nie siostra? – zdziwił się Louvain.

– Na pewno szwagier. Sprawdziliśmy. Siostra została w domu.

Komisarz machnęła ręką.

– Kontynuujcie działania! I weźcie ze sobą aspirant Łosiewską. – Przelotnie

spojrzał na Halinę, która siedziała milcząca od początku odprawy. – Do roboty! Rafalski zostaje.

– I jak? – zapytał Louvain, kiedy pozostali wyszli.

– Gówno! – wyrzucił z siebie podkomisarz. – Skurwysyn ma alibi! We wszystkich przypadkach!

Louvain nie wierzył własnym uszom.

– Michał, do kurwy nędzy, żeby mi to powiedział ktokolwiek inny, tobym go stąd wyniósł na kopach!

– Wiem. Mnie też skurwiel wyruchał.

– Dopilnowałeś wszystkiego? Sprawdziłeś?

– Czy ja wyglądam na kretyna?!

– No właśnie teraz tak...

Podkomisarz poderwał się zza stołu, omal nie przewracając krzesła.

– Wiem! Wiem! Wiem! – Stracił nad sobą panowanie. – Wiem, że wszystko się zgadza! I motywy, i możliwości, i wiedza medyczna, i środki zwiotczające... Analiza profilera jednoznacznie wskazuje na Żoliborz, pasują wszystkie markery graniczne oraz profil psychologiczny sprawcy. Są wszystkie poszlaki i żelazne alibi też jest! Nie potrafię, kurwa, tego rozgryźć! Zabij mnie, nie potrafię! A ten typ cały czas śmiał mi się w oczy. Nawet sam mi zaproponował przeszukanie...

– Spokojnie, Michał – zmitygował partnera Louvain. – Jakie konkretnie Cieślak ma to alibi?

– Podczas wszystkich morderstw był na jakichś galach albo przyjęciach. To pieprzony celebryta. Nawet podczas improwizowanego zabójstwa Sawickiej zaszczycał swoją osobą konferencję prasową w hotelu Sheraton przy placu Trzech Krzyży.

– Powtarzalne alibi to wątpliwe alibi...

Rafalski mnąc w ustach kolejne przekleństwo, sięgnął za pazuchę i rzucił na stół garść fotografii przedstawiających wyluzowanego Cieślaka w smokingu i pod muchą, pozującego fotoreporterom prasy kolorowej na tle tradycyjnej reklamowej „ścianki”. U boku pana doktora przeżyły się, wyginały i szczyrzyły znane aktorki, piosenkarki i inne kobiety sukcesu. Bodaj wszystkie były jego klientkami. Każde zdjęcie miało w rogu datę i godzinę, doskonale pokrywające się z czasem zbrodni.

– To są pamiątkowe oryginały z jego domowego archiwum, ale można jeszcze wziąć zszywy gazet – dodał ponuro Rafalski. – Wszystkie te zdjęcia zostały później

opublikowane w rubrykach towarzyskich.

Louvain przerzucił fotografie.

– Cieślak ma tutaj wszędzie przyciemniane szkła fotochromowe, których normalnie nie nosi... – zauważył.

– Pytałem go o to. – Rafalski był jawnie bliski szaleństwa. – Powiedział, że to dla ochrony, kiedy mu wałą fleszami po oczach. Do tego ma dziesiątki świadków, z którymi w krytycznych momentach jadł, pił, opowiadał dowcipy, flirtował... Zabójstwo Bacewicz to już szczyt pod tym względem. Sukinsyn odbierał właśnie jakąś profesjonalną nagrodę w swojej specjalności i w czasie, gdy szlachtowano tę dziewczynę, wysłuchiwał laudacji, a potem wygłaszał podziękowanie, które relacjonowały na żywo dwie telewizje prywatne. Następnie było uroczyste przyjęcie, z którego ani na chwilę nie wychodził.

– Gdzieś popełniliśmy błąd... – mruknął Louvain.

Rafalski nic na to nie odpowiedział, ale jego mina wyrażała wszystkie uczucia zaliczane do kategorii afektów silnych.

– Musimy sobie zrobić burzę mózgów – stwierdził komisarz.

– Ja mogę sobie w ten swój zasrani mózg już tylko strzelić...

– Nie desperuj!

– Albo uznać, że facet jest naprawdę niewinny – dokończył Rafalski. – I dupa mnie boli do głębi na samą tę myśl. Wiem, że to on!

– Ja też – zgodził się Louvain, wpatrując się w zdjęcia wzrokiem bazyliuszka.

– To co robimy?

– Idziemy na piwo! – zdecydował komisarz. – Za bardzo nam zależy, za mocno spięliśmy tyłki i musimy trochę wyluzować.

– Masz siłę jeszcze pić?

– Służba nie drużba.

Rzucili więc robotę w diabły i poszli na drugą stronę Nowolipek.

W tej części Muranowa, wzdłuż ulicy Andersa aż po Stawki, wśród socrealistycznych gmachów namnożyło się ostatnio wiele knajpek z artystyczno-hipsterskim klimatem. Za meble robiły tam kolorowe, workowate pufy, europalety oraz inne przedziwne konstrukcje geometryczne 3D. Projektanci wnętrz i designerzy stanęli na głowach, żeby stoły w żadnym wypadku nie przypominały stołów, ale jeszcze można było coś na nich jednak postawić. W czasach młodości Louvain nazywało się ten dylemat dialektyczną sprzecznością rozwojową. W menu

dominowały dania wegetariańskie i wegańskie, które wypadało popijać yerba mate. Za zamówienie flaków w rosole można było dostać w zęby od kucharza.

Stałymi bywalczyniami tych lokali były sawantki, liderki, aktywistki, obwieszane drewnianą biżuterią i debatujące o problemach niezmiernie ważnych dla Slavoj Żižka. Pryncypialnym reformatorkom ludzkości towarzyszyli nabici ćwiekami od podbródka po czubek głowy metroseksualni chuderlacy, baczący pilnie, aby we właściwym momencie głośno przytakiwać swoim szafarkom rozkoszy. Bo jak nie, to czekały ich patriarchalne prace ręczne.

Za stały element wyposażenia wewnątrz należało uznać pochylone nad laptopami młode, ambitne i niezmiernie wrażliwe poetessy, które właśnie w takich okolicznościach przyrody znajdowały najodpowiedniejsze warunki do pracy twórczej. W każdym lokalu była co najmniej jedna, czasem dwie, trzymające się w przeciwległych końcach sali, żeby się wzajemnie nie banalizować. Pisanie w domowym zaciszu było *passé*. Wielkomiejski ruch i szum, sąsiedztwo dusz pokrewnych, postmodernistyczna aranżacja wewnątrz stanowiły niezbędne dodatki wzmacniające intensywność literackiego autoerotyzmu. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności wszystkie te poetessy co do sztuki nie znały innych godnych uwagi tematów jak badanie głębin własnego Ja. Kawiarniane parapety i półki zalegały materialne manifestacje tych praktyk w formie egzemplarzy autorskich tomików poezji, wydanych własnym sumptem lub przez jakieś nawiedzone fundacje, a następnie uroczyście wręczone obsłudze, która z tej racji poczuwała się do tego, by ich nie sprzątać.

W broszurach owych *kwazary wybuchały kardiogramami zażaleń, eliksiry nierządu kiściły się na stołach podobnych meduzie (ewidentny wpływ otoczenia), życie ryby kaleczyło szklane oko na łonie w poziomie... Ewentualnie gardło wpada w rezonans... pies podaje opłatek.. a pszczoła może rechotać...*

Pomysł, żeby tu przyjść, wyszedł od Rafalskiego. Jego Ewka podobno też pisywała.

Louvain, wbity tyłkiem w wielki, seledynowy puf, z miną zimnego twardziela, którą zawsze demonstrował w miejscach publicznych, kartkując tomik egzaltowanej dziewczynsko-feministycznej poezji, czuł się jak słoń w jarzębinie, ale dobrze, ale w porządku! Chcieli mieć burzę mózgów, no więc wypadało radykalnie zmienić otoczenie.

Na początek w milczeniu wypili po piwie, oswajając się z klimatem. Dopiero przy drugiej kolejce zaczęli rozmowę. Ostrożnie, żeby nie przejść zbyt szybko do sedna

i nie wpaść w poprzednią myślową koleinę.

– Świętej pamięci Himilbach powiedział kiedyś, że tyle dróg budują, a nie ma dokąd iść... – zaczął Rafalski, także zezując do jakiejś broszury o tytule sugerującym kosmiczną głębię i ozdobionej obowiązkowo zdjęciem zapatrzonej w dal poetessy, umundurowanej regulaminowo w czarną sukienkę. – Coś mi się zdaje, że z tą dzisiejszą poezją jest dokładnie tak samo... Sądziś, że coś z tego zostanie?

– Chyba już prędzej z patriotycznej poezji smoleńskiej – Louvain podjął temat. – Tego z kolei znalazłbyś od metra w klubach parafialnych, gdybyśmy do któregoś poszli. Jednak w odróżnieniu od tego badziewka tutaj, docenianego tylko przez grzecznych krewnych i znajomych, tamte wiersze mają naprawdę szczerze zaangażowanych czytelników.

– Dobre są?

– A skąd! *Zmywana szlauchem o świecie krew z foteli tupolewa...* – zacytował z pamięci komisarz. – Ale przynajmniej ludziska piszą o tym, co jeszcze kogoś oprócz nich interesuje. Z tego już prędzej może być drugi Kaczmarski.

Wypili po łyku piwa i zmierzli się wzrokiem, wyczekując, który pierwszy przejdzie do rzeczy.

– Cieślak ma jednak lepszy gust – stwierdził Rafalski.

– Fakt, zna się skurczybyk na dobrej sztuce. Aż mi głupio, że mnie też podoba się Tamara Łempicka.

– Nie chwaliłeś się tym nigdy.

– Co, nie wolno mi mieć uczuć estetycznych? Wyłącznie religijne?

– Ta jego sekretarka jest niesamowita, widziałeś? Całkiem jakby z obrazu zeszała...

– Robi wrażenie – przyznał Louvain. – Zakręcone i z pomysłem.

– Sukienka i fryzura to prosta sprawa, ale skąd on wytrzasnął dziewczynę o takim typie urody? Jaki to właściwie styl?

– Malarstwo Łempickiej można by kwalifikować jako późną secesję z wyraźnym wpływem kubizmu.

– Nigdy nie widziałem podobnej laski...

– Bo nie ma dziewczyn o takim typie urody! – Louvain zapatrzył się nagle w tomik poezji, którego kartki wciąż przerzucał od niechcienia. – Nie istnieją w rzeczywistości!

– Jak nie, skoro tamta jest?!

– Masz, czytaj! – Komisarz obrócił otwarty zbiór wierszy w stronę partnera i pokazał mu palcem wers.

– *Dobrze skrojona twarz potrafi służyć przez lata...* – przeczytał głośno Rafalski i skojarzył od razu. – Cieślak kroi twarze, jest chirurgiem plastycznym...

– Sekretarka jest chodzącą reklamą umiejętności fachowych pana doktora – stwierdził Louvain. – Zrobił dziewczynie buzię w stylu Łempickiej.

– Myślisz, że mógł jeszcze komuś?

– Na swój obraz i podobieństwo... – spuentował Louvain biblijnym cytatem.

– Sobowtór od odbierania nagród! – Rafalski palnął dłonią w meduzę, czyli stół.

– Głos i gestykulację podrobi każdy średnio zdolny parodysta albo aktor...

– Tylko jak to udowodnić? – zamyślił się podkomisarz.

– Nie mógł zmienić tęczy, bo te są jak odcisk palca.

– Dlatego *alter ego* występuje przeważnie w przyciemnionych okularach... Mamy skurwiela!

Stuknęli się szklankami piwa, którego już się nie napili. Wybiegli z artystowskiej kawiarni i czym prędzej wrócili na komendę. Po drodze przez telefon Louvain zwołał nadzwyczajne zebranie grupy operacyjnej. Kazał im rzucić wszystko i natychmiast się stawić. Tylko Halina miała zostać do pilnowania Potockiej.

Dwadzieścia minut później Louvain zakomunikował ekipie, do czego doszli z Rafalskim dzięki poezji współczesnej.

– Grafomański bełkot na coś się przydał! – parsknął któryś szyderczo.

– Swobodne skojarzenia to podstawa burzy mózgów – odpowiedział sucho komisarz. Uleciał już z niego cały nastrój do żartów. – Poważnie wam radzę pamiętać o tym na przyszłość. Może to i głupie, ale działa. A teraz bierzcie w obroty wszystkich paparazzi w mieście! Oni pstrykają foty bez przerwy każdemu celebrycie, więc musieli też ustrzelić sobowtóra Cieślaka w chwili, kiedy ten przypadkiem był bez okularów. Szukajcie ujęć, z których da się zrobić zbliżenie tęczy, a najlepiej dna oka. Gdyby panowie fotoreporterzy się boczyli, nie straszyc, obiecywać im dostęp do każdego miejsca zdarzenia, którego sobie zażyczą, anulowanie mandatów i cokolwiek wam przyjdzie do głowy. Granice rozsądku ustalimy potem. W drugiej kolejności skoczycie na Akademię Medyczną i, żebyśmy mieli materiał porównawczy, wygrzebiecie z archiwum studenckie zdjęcia Cieślaka oraz wszystkie inne, na jakie traficie z czasów, kiedy pan doktor nie był jeszcze sławny i bogaty.

Rafalski rezerwuje laboratorium. Cały sprzęt do analizy obrazu i wszyscy specjaliści mają być najdalej za pół godziny do naszej wyłącznej dyspozycji. Ja tutaj na bieżąco usuwam trudności nieprzewidziane. Frugo, chłopaki!

Godzinę później zaczęły przychodzić pierwsze skany.

Po następnych dwóch godzinach mieli Cieślaka na widelcu, kolejne wzbogacały obraz. Okazało się, że pan doktor osobiście był tylko na konferencji prasowej odbywającej się w czasie, kiedy powieszono Sawicką. Wpadł tam wtedy jak bomba, bez zapowiedzi, zapewne w dzikim pośpiechu, zawiadomiony w ostatniej chwili przez kolegów z sekty, że powinien pilnie pokazać się w miejscu publicznym. To było jego jedyne prawdziwe alibi.

Poza tym zawsze na wszystkich oficjalnych galach występował jego sobowtór o chwilowo nieustalonej tożsamości – ta kwestia mogła na razie poczekać, wypłynęło bowiem coś pilniejszego. Przeglądając zdjęcia, zwrócili uwagę na człowieka, który cały czas kręcił się koło sobowtóra, najwyraźniej rozprawdzał go i uwiarygodniał przed znajomymi doktora, do których sam się zaliczał, personalia były w opisach kilku fotografii – doktor Zenon Malec, kolega po fachu i, zdaje się, biznesowy wspólnik Cieślaka. Wyglądał na osobę ważniejszą i głębiej wtajemniczoną, pytanie: jak ważną dla sprawy? Louvain niewiele myśląc, zdjął Halinę z obserwacji Potockiej i kazał pani aspirant rozpracować tego Malca.

Na koniec dnia komisarz odjechał z krzesłem na środek pokoju konferencyjnego i zapatrzył się w slajd przedstawiający oczy doktora Cieślaka, powiększone przez projektor na całą ścianę.

Wrażenie było niepokojąco schizofreniczne. Śledztwo wyszło właśnie na ostatnią prostą, ale w powiększonych źrenicach zdemaskowanego satanisty nie czaił się żaden lęk, choć powinien. Raczej już jakaś wredna diabelska przewrotność...

Louvaina ogarnęło irracjonalne przeczucie, że właśnie coś spieprzył. Tylko nie wiedział co. Zlecił więc ściślejszą obserwację miejsc oraz podejrzanych i poszedł się z tym problemem przespać.



## CO SZATAŃSKIE SZATANOWI

Dzisiaj miał być ich wielki dzień.

Zebrali się w komendzie punkt dziewiąta, żeby podsumować najnowsze ustalenia i podjąć finałowe decyzje. Brakowało tylko Haliny, która badała nowy trop.

– Cieślak jest zbyt inteligentny, żeby trzymać w domu dowody. – Rafalski optował przeciw pomysłowi natychmiastowego zatrzymania doktora i przeszukania jego mieszkania. – On jeszcze nie wie, że my wiemy, więc powinniśmy poczekać, aż się bardziej wychyli. Niech się cieszy tą swoją pewnością siebie i niech myśli, że nas wydymał. Wtedy prędzej zrobi coś głupiego.

– To ma sens – zgodził się Louvain. – Rysiek, co właściwie z alibi ojca Pawła?

– Podczas ostatniego morderstwa przebywał w Lublinie na rekolekcjach dla księży sedewakantystów. Półlegalna impreza z punktu widzenia Kościoła, ale dla nas sprawa czysta – odpowiedział podkomisarz Szczuka, zwany „Ryśkiem” albo „Kazimierą”, zależnie od tego, czy mówiono do niego, czy o nim.

– Może też tam był jego sobowtór? – rzucił ktoś.

– Nie sądzę. Figurant odprawiał tam mszę trydencką, a że to zasadniczy gość, więc profanowi na coś takiego chyba nie pozwolił.

– Łatwo mógł znaleźć kogoś, kto go zastąpi w Warszawie. – Louvain pomyślał o ekipie fachowych i serdecznych zakonników-komandosów. – Co z alibi ojca Pawła w innych przypadkach?

– Na pewno nie miał go, kiedy zamordowano Sawicką. Zniknął wtedy na cały dzień. Nie odbierał telefonów, a miał jeden z samej kurii. Oddzwonił dopiero następnego dnia. Żeby ustalić alibi w pozostałych przypadkach, musielibyśmy go przesłuchać.

– Gdzie jest teraz?

– W tym domu koło Tłuszcza, który mu doktorek podarował. Wrócił tam z Lublina dziś w nocy.

– Potocka jest w pracy? – Louvain przeniósł wzrok na drugi koniec konferencyjnego stołu.

– Powinna. Upewnię się jeszcze. – Odpowiedzialny za ten odcinek policjant sięgnął po telefon. – Co...? – zdenerwował się po chwili. – Kiedy niby chcieliście o tym zameldować?! – Aspirant Piłski zasłonił dłonią mikrofon. – Potocka nie przyszła dzisiaj do firmy.

– Ustalić, gdzie jest! – warknął Louvain, czując, że robi mu się gorąco. – Ale już!

– Tak jest...

– Pozostali sprawdzać, co jeszcze nam się spierdoliło!

Dziesięć minut później okazało się, że doktor Cieślak dokonał bilokacji i przebywa jednocześnie w dwóch różnych miejscach. Był u siebie w domu i u ojca Pawła...

– Ktoś trochę podobny do Cieślaka właśnie do niego przyjechał.

– Trochę podobny?! Czy ja mam was z powrotem do szkoły w Szczytnie wysłać?!

– Louvain poczuł, że za chwilę wyjdzie z siebie i zacznie się zachowywać jak Adolf Hitler w kultowej scenie filmu „Upadek”. Brakowało tylko ołówka do połamania.

– Mężczyzna o podobnej sylwetce i uwłosieniu kwadrans temu wszedł do domu ojca Pawła w towarzystwie pięciu niezidentyfikowanych zakonników w kapturach, którzy go otaczali i zasłaniali, tak że nie było widać twarzy. Próbowaliśmy go teraz przyfilować przez okna...

Za chwilę wpłynęło kolejne ustalenie.

– Potocka wzięła z samego rana urlop na żądanie. Wezwała taksówkę pod dom. Wiemy, z jakiej korporacji.

– Ustalcie, gdzie kazała się zawieźć!

– Jesteśmy w trakcie. Zaraz będziemy to wiedzieć...

„Zaraz” rozciągnęło się do dokładnie dziewiętnastu minut, bo dyspozytorka zażyczyła sobie wpierv na własne oczy zobaczyć policyjną legitymację.

– Na plac Wilsona. – Usłyszeli wreszcie. – Dokładnie na parking przy Krasieńskiego.

– Poszła do Cieślaka? – zastanowił się Rafalski.

– Albo z nim... – skrzywił się Louvain i podjął decyzję. – Wbijamy do doktora! Weźcie sprzęt do analizy tęczówki. Musimy mieć pewność, czy to aby na pewno on.

– Pojadę! – ofiarował się Rafalski.

– Ty zostajesz ze mną – uciał Louvain. – Będziesz mi potrzebny, jak się więcej spieprzy, czuję, że to dopiero początek...

Przez kolejne dwadzieścia minut czekali na meldunki, siedząc jak na szpilkach.

Najpierw odezwała się ekipa interwencyjna wysłana na Żoliborz.

– Panie komisarzu, melduję, że na miejscu zamieszkania podejrzanego zastaliśmy osobnika podającego się za podejrzanego, którego identyczność z podejrzanym wykluczyła jednak analiza optoelektroniczna tęczówki oka. Co mamy robić?

– Wylegitymować, kurwa! – Louvain był pewien, że właśnie w tej chwili trafiła go apopleksja. Omal nie rzucił telefonem o podłogę. – Co za kretynów tam wysłali?!

– Mówiłem, że dopilnuję... – obruszył się Rafalski. – Może pošlemy Halinę, żeby to ogarnęła? – zaproponował.

– Dobra! Daj jej znać! – Komisarz zgodził się bez namysłu, po czym dopiero dołożył starań, by się uspokoić i zacząć myśleć logicznie. – Ilu naszych obserwuje dom ojca Pawła?

– Dwóch.

– Za mało, żeby zdjąć sektę fanatyków...

Wspomniani przed chwilą policjanci właśnie odezwali się sami. Poprosili o rozmowę z komisarzem.

– Słucham... – Louvain wziął podaną komórkę i przełączył na głośnik.

– Szefie, mamy coś w ramach rehabilitacji. – Rozmówca komisarza z dumą zawiesił głos, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo przeciąga strunę.

– Co? – zapytał Louvain tonem łagodnie aksamitnym.

– Obserwację nagrywamy na bieżąco i właśnie przejrzelśmy na zbliżeniach materiał z wejścia tych zakonników. Stwierdziliśmy, że jednemu z nich, jak szedł po schodach, spod habitu pokazały się na chwilę damskie szpilki...

– Dziękuję, odezwę się. – Louvain rozłączył się i sprawdził godzinę.

Było za późno. Pozostało już tylko nadać bieg czynnościom rutynowym.

– Michał, wzywaj ekipę AT – polecił partnerowi. – Lekarz sądowy niech dołączy też.

– Po ptakach... – domyślił się Rafalski.

Louvain z rezygnacją pokiwał głową.

\*\*\*

W drodze na miejsce akcji inicjatywę przejął nadkomisarz Kruczak – dowódca antyterrorystów.

Policjantom obserwującym dom ojca Pawła zlecił rozpoznanie terenu i wytypowanie miejsc postoju dla grupy szturmowej, wsparcia medycznego oraz

drog podejścia do celu. Tamci zabrali się za to ochoczo i wkrótce ich dialog zrobił się niewywalnie twardejsko-profesjonalny. Nic tylko film kręcić!

Louvain nie wtrącał się w to całe harcerzykowanie. Bez przerwy, wciąż od nowa, liczył, ile czasu stracili, i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Wychodziło mu, że za delikatnie obszedł się z biedną, chorą Potocką... A przecież wiedział, ba, sam mówił to głośno, że ona jest mistrzynią manipulacji. Miał ochotę zgrzytać zębami.

– Jakies konklawe tam mają... – oznajmił nagle obserwator. – Z komina właśnie zaczął lecieć dym.

– Jakiego koloru? – zainteresował się dowódca antyterrorystów.

– Na razie zwykły, szary. Ale chyba trochę za wcześnie na imprezę przy kominku...

– Dajcie znać, gdyby ten dym zrobił się czarny – odezwał się Rafalski, najwyraźniej myślał o tym samym co Louvain, czyli paleniu zwłok.

Tyle dobrego, że pora była pomiędzy godzinami szczytu i pogoda oszczędziła im tradycyjnej listopadowej pluchy. Było sucho, słonecznie, błękitnie. Konwój z Komendy Stołecznej nie utykał w korkach ani nie ryzykował nieplanowego postoju w rowie. Nie włączali syren, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Tak przebili się przez warszawskie przedmieścia i dojeżdżali pod Tłuszcz.

Wtedy zgłosiła się Halina ze swoimi ustaleniami.

– Sobowtór jest czysty! – oznajmiła. – To niejaki Ignacy Sulejuk, absolwent szkoły teatralnej. Nie mógł znaleźć pracy w zawodzie, więc zgodził się na propozycję Cieślaka, do którego z natury był też dosyć podobny. Ani on, ani Malec nie mieli pojęcia, że zapewniają Cieślakowi jakies alibi.

– Tylko co?! – burknął zirytowany Louvain.

– To był projekt ściśle biznesowy, a właściwie promocyjny. Cieślak i Malec planowali stworzyć w USA całą sieć klinik chirurgii plastycznej, znaleźli inwestorów, ale że konkurencja w tej branży jest naprawdę silna, to wymyślili, że posłużą się sobowtórem Cieślaka, którego ujawnią w szczytowym momencie kampanii reklamowej. Na razie szkolili i testowali go w Polsce, oczywiście w największej tajemnicy handlowej. Malec bezpośrednio nadzorował oficjalne występy Sulejuka i tuszował jego wpadki. Obaj twierdzą, że byli całkowicie przekonani, że w tym czasie Cieślak siedzi w domu zamknięty na cztery spusty, żeby im nie zepsuć roboty. Nie ma nawet poszlak, by któremuś z nich zarzucić współudział.

– Dobra robota! – pochwalił ją Louvain i jednocześnie zdał sobie sprawę, że

skłamał. Na pewno nie było dobrze, że Halina nie była tu teraz z nimi, że całą jej energię i umiejętności skierowali w ślepy zaułek śledztwa. Powinna była bez przerwy pilnować Potockiej. Może drugiej kobiety ta sfiksowana rekruterka nie wywiodłaby tak łatwo w pole...?

Na analizę błędów było już jednak za późno. Dojechali.

– Wchodzimy z marszu? – zwrócił się do komisarza szef AT.

– Tak.

– W porządku. Potrzebuję trzech minut, żeby rozstawić ludzi.

Louvain nie skomentował.

– Słuchajcie! – rozległo się w głośniku. – Tam w środku jest... – Radio zaszeleściło i ucichło.

– Co? Kto?! – ponaglił Rafalski.

– Przed chwilą pokazała się twarz w oknie... upewniamy się... Tak, to na pewno on! Ten zaginiony dziennikarz Bilecki! Jest przebrany za mnicha.

Wszyscy obecni w furgonetce oficerowie policji popatrzyli po sobie kompletnie zaskoczeni.

– Co on tam robi?

– Głowy nie dam. Patrzył się przez okno w stronę furtki. Wygląda na to, jakby pilnował domu...

– Dziękuję, bez odbioru! – Szef antyterrorystów obejrzał się na Louvaina i zapytał. – Ten Bilecki to wróg czy przyjaciel?

– Ofiara sekty.

– Dobrze, obejdziemy się z nim delikatnie.

Policyjne samochody zaczęły parkować za rogiem ulicy, przy której stała siedziba sekty ojca Pawła. Na pierwszy rzut oka określenie „siedziba” wydawało się przesadne. Był to zwykły podmiejski domek jednorodzinny, jakich wiele. Architektura współczesna w stylu bawdziewno-plebejskim, czyli płot z lanego betonu, kolumnienki naćkane gdzie się da, dach pokryty panelami z zielonej blachy, imitującymi dachówkę. Balkon pierwszego piętra rozciągnięty do rozmiarów lotniska dla helikopterów otoczono pseudośredniowiecznymi blankami. Brakowało tylko wieży, a byłby klasyczny gargamel. Nic dziwnego, że doktor Cieślak scedował tę nieruchomości na Kościół, bo inaczej kolorowe gazety by mu żyć nie dały, że niby taki światowy król życia, a kompletnie bez gustu.

W momencie, kiedy Louvain i pozostali zobaczyli ten budynek na własne oczy,

unoszący się z komina dym zrobił się czarny. – Pałą trupa – oznajmił komisarz. – Nie ma czasu, wchodzimy od razu!

– Muszę najpierw posłać ludzi na tyły tej posesji i dwóch snajperów na sąsiednie strychy – sprzeciwił się Kruczak. – Nie ma głupich, nie dam się tu wrobić w drugą Magdalenkę! Sam pan komisarz mówił, że to ostra sekta, tam może być wszystko...

Louvain przyznał mu rację, choć się w nim gotowało.

Antyterrorysty zaczęli zajmować stanowiska.

W tym momencie podbiegł do nich jeden z czuwających tu wcześniej obserwatorów.

– Dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś! – zameldował. – Na miejscu tej chałupy była w latach osiemdziesiątych ferma pieczarek. Mają tam podobno zajebiste piwnice!

– Tak się właśnie zastanawiałem, gdzie się w tym domeczku pomieściła cała sekta... – skomentował z przekąsem szef grupy AT.

– Ojciec naszego doktora był badylarzem w tych stronach – przypomniał sobie Rafalski.

– Robot pirotechniczny by nam się przydał... Mam pchać ludzi w podziemny labirynt?

– Ja pójdę przodem! – Louvain nie wytrzymał. – Taki stary zgred przed złomowaniem wystarczy wam za robota!

– A pan komisarz ma broń?

Nie miał. Akurat pistoletu mu nie zwrócili. Inspektor Pięta na odchodne swojemu drogiemu „esbeckiemu skurwielowi” podłożył świnie i nakazał weryfikację pozwolenia na broń, w tym powtórne zaliczenie testów psychofizycznych. Teoretycznie po załamaniu nerwowym tak by wypadało... Louvain nie miał głowy się z tym wozic ani tego odkręcać.

– Chce pan gnata?

– Nie, dziękuję. Nie będę straszyć Bileckiego bronią, nieborak dość już przeszedł.

– Przynajmniej kamizelkę niech pan założy.

– Mam coś lepszego... – Komisarz obmacał kieszenie, odnalazł i włożył na palec pierścień z różańcem. – Może to mu coś przypomni – dodał tytułem wyjaśnienia.

– Możemy wkraczać! – Dowódca AT odebrał ostatni meldunek.

– Wchodzę normalnie od frontu – oznajmił Louvain. – Wy mi torujecie drogę jakby co.

– Tak jest!

Wyszedł z przecznicy, przy której wylocie stali, przeszedł na drugą stronę ulicy i wyprostowany ruszył prosto do furtki. Trzech antyterrorystów podążyło za nim, kuląc się i kryjąc za płotem.

Furtka była zamknięta. Czarny dym z komina zgęstniał. Z tej odległości wyraźnie czuć było palone mięso.

Louvain nie zamierzał korzystać z domofonu.

Jeden z antyterrorystów chyłkiem przysunął się do komisarza i w parę sekund rozprawił się z zamkiem wytrychem.

Louvain przemierzył podwórko, trzy stopnie na werandę, chwycił klamkę. Też zamknięte.

Komisarz od razu odsunął się na bok, schodząc z drogi dwójce AT, która już wzięła rozbieg z taranem. Wywalili drzwi od pierwszego uderzenia. Nie były szczególnie solidne.

Antyterrorysty porzucili taran i sięgnęli po broń. Jeden zaczął rutynowo sprawdzać przedpokój.

Louvain wszedł do środka, nie czekając na ich pozwolenie.

– Stać, bo strzelam!

To był głos Bileckiego.

– Nie mam broni – powiedział komisarz, wkraczając do salonu. Rozłożył ręce, pokazując, że są puste.

– Ani kroku, bo będę strzelał!

– Panie Marcinie, już po wszystkim... – Louvain spojrzał mu w oczy i urwał. Zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z ciężkim klinicznym przypadkiem syndromu sztokholmskiego. Tego człowieka, który teraz stał przed nim, dotąd nie znał. Komisarz napotkał wzrok zimnego mordercy i zdał sobie sprawę, że popełnił kolejny poważny błąd.

– Rzuć broń!!! Kładź się!!! Na podłogę!!! Ale już!!! – rozwrzeszczeli się antyterrorysty, obiegając Louvaina z obu stron. Nagle zrobiło się ich z dziesięciu i było ich wszędzie pełno. Jeden zerwał zasłonę z okna.

W pokoju pojaśniało, a na skroni Bileckiego zatańczyła czerwona plamka laserowego celownika. Nikt jednak nie pociągnął za spust. Obowiązywały poprzednie rozkazy, by traktować byłego redaktora jak ofiarę.

– Zastrzelę go! – wrzasnął Bilecki, mierząc do komisarza. – To wy się stąd

wynośćcie, on zostaje tu ze mną!

Pistolet miał odbezpieczony. Był to P-64, tak zwany Czak z postkomunistycznego demobilu. Pierwsza służbowa broń Louvain. I być może ostatnia, z którą przyszło mu mieć do czynienia... Eksdziennikarz nie wyglądał na wprawnego strzelca, ale z tych czterech metrów raczej nie powinien był spudłować.

Louvain milczał i myślał.

Antyterrorysty, nie mogąc doczekać się na nowe rozkazy, zaczęli okazywać wahanie.

– Wezwiemy negocjatora – powiedział ich dowódca gdzieś za plecami komisarza, po czym dodał, zniżając głos: – Facet powinien pogadać z psychologiem...

Bilecki widząc, że jego determinacja odnosi skutek, uśmiechnął się paskudnie.

– Zostać na pozycjach! – zawołał Louvain. Zabawa z negocjatorem oraz nim samym w roli zakładnika mogła przeciągnąć sprawę nawet o kilkanaście godzin. Tymczasem gdzieś w piwnicach tego domu płonęły dowody zbrodni...

– Zabiję cię! – wrzasnął Bilecki, znów tracąc panowanie nad sobą. Starał się wymierzyć dokładnie w serce komisarza.

Normalnie niedoświadczony strzelec celowałby raczej w środek tułowia albo w brzuch. Bilecki jednak wyraźnie zafiksował się na sercu, na lewej połowie piersi, jakby trzymał się tego, co już dobrze znał...

W tym momencie Louvain domyślił się, kto niewprawnie rznął nożem związaną dziewczynę na cmentarzu Bródnowskim.

A potem myśli komisarza ułożyły się błyskawicznie w doskonale klarowne *flo* – Bilecki trzymał pistolet tylko jedną ręką... zatem chwyt był niestabilny... P-64 miał cholernie twarde spust... Niedoświadczony strzelec, pokonując opór spustu, zwykle odruchowo zadziera lufę do góry... Przeciwdziałało temu uchwycenie kolby drugą ręką... ale Bilecki miał na lewej dłoni opatrunek... – Louvain uświadomił sobie to wszystko w mgnieniu oka.

– Dość tego! – warknął komisarz z wściekłością. Spojrzał Bileckiemu prosto w oczy i zamarkował szybki krok w przód, jednocześnie unosząc gwałtownie ramiona, jakby chciał się na niego rzucić i złapać za gardło. – Ty gnoju!

Padł strzał.

W tej samej sekundzie zagrzechotały beryle antyterrorystów i dziurę w oknie wybił pocisk snajpera strzelającego z drugiej strony ulicy.

Dla redaktora Bileckiego skończyło się drugie średniowiecze. Bezwładnie



odrzucony impetem pocisków, łopocząc habitem, runął pod ścianę pokoju. Wokół niego zaczęła szybko rosnąć plama krwi.

Louvain wciąż stał. Zdarzyło się dokładnie to, co sobie wykalkulował. Bilecki mierząc wysoko, a do tego pospiesznie, i mocno ściągając spust, uniósł za bardzo lufę i kula przeszła nad ramieniem komisarza. Wyraźnie usłyszał jej świst koło lewego ucha. Mimo to wciąż powoli, ostrożnie upewniał się, że żyje, dalej oddycha, a serce mu wciąż bije... Stwierdził też, że w palcach obraca różaniec...

– Zawrócił pan z długiej drogi – skomentował Kruczak, stając obok. – To było zamierzone czy próba samobójcza?

– Załamanie nerwowe! – wychrypiął Louvain.

Wezwano lekarza, który stwierdził zgon redaktora. Antyterroryści rozbiegli się po domu, szukając wejścia do piwnic.

Znaleźli je szybko. Ukryte pod makatką w ściennej wnęcie niewielkie drzwi były solidne i zabezpieczone cyfrowym zamkiem. Na szczęście mieli ze sobą fachowca ze sprzętem. Rozkręcenie obudowy i podłączenie łamacza kodów zajęło mu minutę. Jednak szyfr okazał się niebanalny. Testowany z szybkością miliona prób na sekundę po minucie wciąż trzymał. Informatyk połączył się więc z Internetem, gdzie miał do dyspozycji sieć komputerów połączonych w wirtualny odpowiednik Craya. Teraz wystarczyły dwadzieścia trzy sekundy, aby drzwi do podziemi stały otworem.

Ukazały się wąskie, opadające w ciemność schody.

– Całkiem jak nora Fritzla... – skomentował ponuro Rafalski.

Louvain postanowił nie czekać, aż dowódca grupy AT zacznie zgłaszać zastrzeżenia i mozolnie zabezpieczać teren, tylko od razu zbiegł na dół. W tej chwili komisarz czuł się niezniszczalny.

Na końcu schodów zaczynał się korytarz, długi na jakieś kilkanaście metrów. W jego bocznych ścianach znajdowały się wnęki z drzwiami, te najbliższe, po lewej, były uchylone i wydobywało się zza nich migoczące światło.

Komisarz wszedł tam, antyterroryści za nim.

Sala była prostokątna i obszerna, miała dobre sto metrów kwadratowych powierzchni. Pośrodku, pod rozłożystym stożkowym okapem szumiącego gdzieś wysoko wentylatora, paliło się ognisko, rozniecone na kamiennym podmurowaniu. Bez wątplenia niewielki stos ofiarny. Bardziej w głębi znajdował się ołtarz udrapowany czarną tkaniną, na którym leżała bezwładnie naga, zalana krwią kobieta. Na ścianie nad nią wisiały dwa krucyfiksy – po prawej, nad głową, zawieszony

normalnie, po lewej zaś, nad nogami, odwrócony. Na posadzce pod krzyżami stały liczne płonące świece, odpowiednio z białego i czarnego wosku, otaczające półkręgiem ołtarz.

Wyglądało na to, że Bilecki nie był jeszcze dość głęboko wtajemniczonym członkiem sekty, aby oglądać to miejsce i uczestniczyć w odprawianych tu obrzędach. Dlatego kazano mu zostać na górze i pilnować.

Podziemne sanktuarium od paleniska do ołtarza było przedzielone dokładnie na pół grubą białą linią. Na prawo od niej klęczało trzech zakonników w habitach, po lewej stało trzech nagich mężczyzn. Jednym z nich był doktor Cieślak.

I było już po wszystkim.

Kiedy policjanci wbiegli do środka, Cieślak właśnie naciągał spodnie. Na ich widok spokojnie dopiął rozporek. Pozostali obecni nie ruszyli się ze swoich miejsc, nikt nie stawiał oporu.

– Stać! Nie ruszać się! – Krzyki antyterrorystów wybrzmiały zupełnie niepotrzebnie.

Plamy światła z halogenów pod lufami karabinów tańczyły po ścianach i suficie jak opętane, bardziej przeszkadzając, niż pomagając dojrzeć szczegóły całej sceny.

– Gaśnice! Naprzód! Prędko! – zawołał przytomnie dowódca grupy AT.

Dwóch ludzi doskoczyło do paleniska i stłumiło ogień syczącymi tumanami proszku. Dopiero teraz obecni w sanktuarium sataniści zaczęli zdradzać niepokój, ale antyterrorysty już ich obścapi, powalili i zaczęli skuwać. Zakonnicy po swojej stronie wciąż modlili się na kolanach, więc na razie ich nie ruszano, tylko śledzono uważnie każdy ich ruch.

Louvain ominął dogasające palenisko i postąpił parę kroków w stronę ołtarza. Leżała na nim Beata Potocka z bezwładnie rozłożonymi nogami. Na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby prócz zgwałcenia wyrwano jej jeszcze serce. Choć może była tylko krwią wymazana... Z tej odległości nie dało się tego rozróżnić.

Zabili ją czy nie zabili? Komisarz chciał podejść do dziewczyny, by się upewnić, ale powstrzymał go dialog za plecami.

– Doktorze, co tam jest? – zapytał Kruczak.

– Szczątki dziecka – odparł lekarz, grzebiąc długą pęsetą w palenisku. – Niemowlęcia lub zaawansowanego płodu... Płec chwilowo niemożliwa do ustalenia, ale zachowanego materiału wystarczy na badania DNA. Zdążyliśmy w porę... – Wyjął z walizeczki foliową torebkę i zaczął zabezpieczać dowody.

– To było dziecko grzechu i dlatego musiało zostać oddane szatanowi! – Rozległ się donośny głos ojca Pawła, który właśnie zaczął podnosić się z kolan. – Co należy do szatana powinno mu zostać oddane!

Dwaj antyterrorysty natychmiast skuli mu ręce na plecach, nie opierał się. Potem na znak Louvain odstąpili od duchownego i zajęli się jego akolitami. Ci poddali się bez słowa.

– Jestem w pełni świadom mojej odpowiedzialności wobec władzy świeckiej – zakomunikował ojciec Paweł. – Nie zawaham się jej ponieść. Odtąd może pan liczyć, komisarzu, na wszelką współpracę z mojej strony.

– Proszę nie liczyć na status świadka koronnego – odparł z przekąsem Louvain.

– Nie oczekuję tego...

– Nic na mnie nie macie! – Doktor Cieślak uznał za stosowne włączyć się do rozmowy. – Każdemu wolno podymać w takim *entourage'u*, jaki lubi. Nie mam pojęcia, co te czubki sfajczyły w tym kominku, myślałem, że to jakaś lalka. A spróbujcie tylko zrobić mi proces poszlakowy, to moi adwokaci wdepczą was w ziemię! Media też będą po mojej stronie!

– Znajdzie się coś więcej niż poszlaki – odrzekł spokojnie ojciec Paweł. – Mamy pełną dokumentację video wszystkich naszych poczynań. Używaliśmy kamer z noktowizorami... Wszystkie dowody przekażę panu komisarzowi.

– Ty jebany klecho! – wydarł się Cieślak. – Zgnijesz w pierdлу razem ze mną!

– Wyprowadzić podejrzanych! – zarządził Louvain, jednocześnie dając antyterrorystom znak, że chce jeszcze pomówić z ojcem Pawłem.

– Jedziemy na jednym wózku! – wrzasnął doktor na odchodne.

– Wiem to i jestem gotów na tę ofiarę. Moja misja skończona. Proszę tylko o jedno... – zwrócił się do Louvain a egzorcysta.

– Słucham.

– Kiedy będzie pan rozmawiał z księdzem arcybiskupem, a jestem pewien, że nastąpi to wkrótce, proszę przekazać Jego Ekscelencji, aby zapewnił pannie Beacie godne kierownictwo duchowe. Ja już nie zdołam jej służyć...

Louvain miał już na końcu języka sarkastyczny komentarz, ale nie zdołał go wygłosić, gdyż w tym momencie rozległ się przedziwny odgłos – coś jakby głośnie czknięcie, chrząknięcie i charkot, przechodzący w upiorny śmiech kobiety-demonia.

Potocka żyła, albo raczej zaczynała zmartwychwstawać...

Sądząc po odgłosach, które z siebie wydawała, zdecydowanie to drugie.

Lekarz, który właśnie zmierzał w jej stronę, stanął jak wryty i mimowolnie zrobił krok do tyłu. Cofnęli się też dwaj najbliżsi stojący antyterrorysty. Wyglądali, jakby nie wiedzieli, czy mają się przeżegnać, czy otworzyć ogień. Z pewnością zaś każdy z nich pomyślał w tej chwili o tym, że przydałyby się srebrne kule...

Ożywiony przez złego ducha trup wstawał właśnie z katafalku.

Inaczej tu i teraz nie sposób było tego widzieć ani o tym myśleć.

Ciało Potockiej rzuciło się i zatrzepotało niczym galwanizowany potwór Franksteina. Potem ona uniosła się na łokciu i przez kilkanaście sekund, wpołżejąc pochrząkiwała, krzywiąc się i podrygując spazmatycznie. Poza tym najwyraźniej od dłuższej chwili przysłuchiwała się toczonym tu rozmowom.

– Ja pierdołę! – zaniósł się znów demonicznym śmiechem i konwulsyjnym susem zeskoczyła z ołtarza. – Kurwa! Pierdołę!

Nie była jednak ranna, tylko piersi miała umazane krwią, martwego płodu zapewne. Włosy łonowe wygoliła sobie w kształt odwróconego krzyża. Po wewnętrznej stronie ud obficie spływała jej sperma, połyskująca migotliwie w światłach halogenowych latarek.

Jeden z antyterrorystów, przełamując irracjonalną obawę, podszedł, zarzucił jej plec na ramiona. Niedbałym ruchem strąciła okrycie na ziemię, po czym zupełnie bezwstydna, wyniosła, majestatyczna podeszła do Louvain i ojca Pawła, który teraz spuścił wzrok.

Ona zaś już nie miała oczu zombi. Patrzyła żywo, ale ze świdrującą do szpiku kości nienawiścią. Nagle chrząknęła, zrobiła dziwny grymas, zamachała rękami i przez chwilę walczyła z sobą, starając się opanować.

– Odstawiłam wczoraj leki – zakomunikowała komisarzowi. – Zaraz mi całkiem odjebie... Jebie! Wyjebie! – zaklęła, rzucając głową i wymachując rękami.

– Dlaczego pani się na to zgodziła?

– A co... kurwa!... miałam zrobić?! – Zatrzęsło nią znów. – Miałam czekać, aż zamordują Dorotę i jej dzieci?! Kurwa! Zjebę jedno, jebane! Oni by ją... Tak samo jak Genię... To była najbliższa przyjaciółka Doroty z pracy! Pierdołę! Dołę! W mordę!

Siostra Potockiej też pracowała w Caritasie? Znały się z Bacewicz...? Louvain nabrał ochoty, by z całej siły walnąć czołem o ścianę. Dlaczego tego nie ustalili?! Przecież przesłanki były. Szwagier odwoził Beatę do pracy, bo jej siostra została w domu... zapewne z obawy o życie swoje i dzieci... Wystarczyło choćby tylko zagadać do tego szwagra! Halina z pewnością by na to wpadła! Pomysł, aby przesunąć panią aspirant do innych zadań, jawił mu się teraz iście szatańskim

podszepciem...

– Szantażowali panią? – zapytał głośno.

– Nie musieli... Pierdolę! Sama wiedziałam, że teraz kolej na Dorcię i moich siostrzeńców. Oni mordowali wszystkich, na kim mi zależało, po to, żebym wreszcie pękła. No to wreszcie, kurwa!, mnie mają! Wchodzę w to i jebię... Jebię cały ten świat!

– Dlaczego nie przyszła pani z tym do mnie?

– Ty wiecznie nie nadążasz... – wyszczała jadowicie. – Ty, komisarzuniu, gówno możesz!

Louvain poczuł, że też musi spuścić wzrok.

– Niech się pani ubierze – powiedział cicho.

– Moje ciuchy zostały na górze, z drogi, gnojki! – wrzasnęła na antyterrorystów i ruszyła do wyjścia. Znów narzucono jej koc na ramiona. Tym razem go przyjęła, owijając się niedbale.

– Co z nią robimy? – zapytał cicho Rafalski.

– Trzeba ją przesłuchać w charakterze poszkodowanej – odparł ponuro komisarz i znów zwrócił się do ojca Pawła.

– Czy to, co ksiądz zrobił, miało cokolwiek wspólnego z Ewangelią? – zapytał.

– Nadzwyczajne czasy wymagają nadzwyczajnych środków. Ludzkim umysłem nie sposób osądzać bożych dzieł.

– Bilecki nie żyje.

– Był narzędziem w ręku Boga. Wypełnił swoją misję i doznaje teraz wszelkiego pocieszenia razem ze swoją narzeczoną.

– Wątpię.

– Ja to wiem. Opuściłem mu wszystkie grzechy. Stoi już czysty przed obliczem Pana.

– Po co było łamać życie Potockiej?

– To było jej powołanie. Misja dana jej od Boga. Ona nie mogła tego zadania nie podjąć. Tak musiało być.

– W jakim celu? Pozazdrościliście Niemcom opętanej świętej?

– Anneliese Michel tylko biernie przyjęła opętanie w intencji nawrócenia grzeszników. Beata Potocka poszła krok dalej i czynnie oddała się szatanowi duszą i ciałem, aby go zwieść, wciągnąć w pułapkę i pokonać jego własną bronią. Dzięki niej upadła już jedna satanistyczna sekta, czego był pan tutaj świadkiem. Przyszłe

owoce będą jeszcze większe. To warte jest wszelkich poniesionych ofiar.

– Także wyroku dożywocia?

– Panie komisarzu, będę teraz posługiwać duchowo skazanym. Do osobistych ograniczeń jestem przyzwyczajony, więc moje życie nie zmieni się aż tak bardzo, jak pan sądzi. Zresztą ja tu nie jestem istotny. Najważniejsza jest Beata, jej misja.

– Ona teraz raczej zastąpi Cieślaka.

– Owszem, już stała się jego żoną, formalną dziedziczką jego majątku oraz współniczką firm i nieruchomości. Ten dom też jest już jej. Kościół ofiarował go w darze ślubnym...

– Tutaj odbył się ślub?! – Louvain myślał, że limit zaskoczeń na dziś ma już wyczerpany.

– Udzieliłem go im i małżeństwo zostało skonsumowane. Być może doktor Cieślak myślał, że to farsa, ale tak nie było. Wkrótce on sam przekona się, że było to dla niego zbawienne rozwiązanie, a co najmniej bardzo praktyczne. Nie przewiduję trudności, jeśli chodzi o wszelkie formalne potwierdzenia tego związku. My zaś teraz otoczmy panią Beatę gorącą modlitwą wstawienniczą, zapewnimy jej wszelkie duchowe wsparcie i opiekę...

– Było to zrobić wcześniej! – wybuchnął Louvain. – W taki sposób, jak tego chciała!

– Wola ludzka nie ma żadnego znaczenia wobec nieodwołalnych wyroków bożych. Powołanie jest niczym rozkaz. Beata została posłana Kościołowi jako oręż przeciwko szatanowi. Rozeznałem to i z bożą pomocą doprowadziłem do końca pierwszy etap tego dzieła. Teraz zastąpią mnie inni.

– Ja myślę, że ksiądz po prostu oszalał.

– Mówią o mnie, że jestem charyzmatykiem, to boże szaleństwo. Nie człowiekowi nędznym ludzkim umysłem osądzać dzieła boże. Pan to przecież wie, komisarzu. Ma pan wielkie doświadczenie, ale sprawa pana przerosła, prawda?

Louvain nie mógł zaprzeczyć.

– To znak dla pana, że zetknął się pan z wszechmocą Boga. Zresztą nie pierwszy raz. Został pan już wcześniej dotknięty bożym palcem, dawno temu, jak Szawel w drodze do Damaszku. Od tej pory nosi pan swoje nawrócenie niczym garb. Nie potrafi go pan odrzucić ani w pełni przyjąć.

– Skąd ksiądz to wie?! – Louvain poczuł, że blednie.

– Rozeznałem... – Ojciec Paweł uśmiechnął się pogodnie. – Być może nie darmo

nazywają mnie charyzmatykiem... Proszę, niech pan już więcej nie staje na drodze Boga, gdyż naprawdę niczego pan nie osiągnie.

– Wyprowadzić go, do cholery!

– Proszę się za mnie modlić. Pragnę szczerze odpokutować za wszystkich, których zraniłem zbyt mocno. Żałuję, że musiałem tak czynić. A ze swej strony ja wybaczam panu udawanie opętania. Trochę mnie pan nawet tym rozbawił, jednak, gdyby to tylko ode mnie zależało, odesłałbym pana natychmiast. Jak na opętanie jest pan mimo wszystko zbyt dobrym człowiekiem. Z Panem Bogiem!

Louvain został sam w obłąkańczym satanistyczno-katolickim sanktuarium wśród dopalających się czarnych i białych świec.

– Niczego sobie ekumeniczna spółdzielnia! – Wrócił do niego Rafalski.

Komisarz podniósł wzrok na partnera.

– Jak sądzisz, Michał, wygraliśmy czy przegraliśmy?

– Ci, co powinni siedzieć, będą siedzieć. Zatem wygraliśmy. Formalnie.

– Równie dobrze nie musieliśmy nic robić. Przynajmniej Bilecki by żył...

– Czasem w tej robocie tak bywa, sam mówiłeś.

– Fakt. Bywa chujowo.

– Który z nas dopina sprawie ostatnie guziki?

– Ja.

– Wiesz co, Krzysiek, ja nie chciałbym być teraz na miejscu naszego rzecznika prasowego i pisać oficjalnego komunikatu z tej akcji. Biedak pewnie dzisiaj połowę włosów z głowy sobie wyrwie...

EPILOG  
WOBEC TAJEMNICY

Louvain szedł korytarzem kurii.

Pogłos kroków miarowo odbijał się od ścian, pulsował pod sklepieniem. Prowadzący komisarza kleryk był śmiertelnie przerażony. Nie patrzył w oczy, kulił się, chował głowę w ramiona. Pewnie nasłuchiwał się plotek, że ma do czynienia z opętanym, i teraz boży głupol zastanawiał się pewnie, jak Louvain wywlecze z niego duszę – zrobi to od razu na żywa czy uprzednio przegryzie mu kark...

Był już późny wieczór, po wszelkich liturgiach. Arcybiskup tym razem nie robił show, tylko zgodził się przyjąć komisarza na prywatną rozmowę bez ceremonii. To źle wróżyło zamiarom, z którymi Louvain tu przyszedł. Lepiej było rozmawiać w gabinecie niż prywatnych apartamentach Jego Ekscelencji. Ale pał to sześć! Podjął mocne postanowienie, że nie będzie niczego odpuszczać i nie da się Ekscelencji przegadać. Nie po to wydobywał się z otchłani, w którą hierarcha raczył być go strącić. Zamierzał być aroganckim esbeckim skurwysynem!

Na początek więc zignorował nieznacznie uniesioną dłoń z biskupim pierścieniem.

Mieli rozmawiać w cztery oczy. Kleryk przewodnik, wychodząc, miał w oczach czystą grozę. Niewątpliwie bał się, że musi zostawić zwierzchnika samego z kimś takim.

Tym razem naprzeciw biskupiego fotela przygotowano już krzesło dla gościa. Louvain usiadł, nie czekając na pozwolenie.

– Proszę, niech pan komisarz spocznie. – Arcybiskup udał, że tego nie widzi.

– Ekscelencjo...

– Proszę pozwolić zacząć mnie. – Hierarcha łagodnie wszedł mu w słowo. Wyglądało na to, że też dobrze przygotował się do tej rozmowy i nie zamierzał dać się wyprowadzić z równowagi.

– Słucham, Ekscelencjo. – Louvain ustąpił pierwszy krok.

– Najpierw chciałbym się przyznać do niesprawiedliwości popełnionej wobec pana. Mieliśmy złych doradców i działaliśmy zbyt pochopnie. Kościół zwykle tak nie czyni. Jednak sugerowano nam, że działamy pod presją czasu i wobec



nieprzychylnych nam mediów.

Mówiąc „my”, Eksceleńcja miał na myśli *pluralis majestatis* czy kolegów z episkopatu?, zadał sobie pytanie Louvain, ale nie powiedział go głośno.

– Tymczasem stare procedury byłyby najwłaściwsze i należało się ich trzymać. Proszę więc przyjąć przeprosiny za duchowe rozterki, które sprawiliśmy panu komisarzowi.

– To bez znaczenia, Eksceleńcjo. Przychodzę w innej sprawie.

– Jest mi ona znana. Przekazano mi prośbę ojca Pawła dotyczącą pani Beaty Potockiej-Cieśla k. Zapewniłem jej już kierownictwo duchowe osoby, do której pani Beata miała zawsze pełne zaufanie.

– Chodzi o księdza Jana? – Louvain zmarszczył brwi.

– Owszem. – Hierarcha lekko klasnął w dłoń i za nim bezszelestnie otworzyły się drzwi, widać już wcześniej uchylone.

– Szczęść Boże, panie komisarzu! – Do pokoju wszedł ksiądz Jan i stanął za arcybiskupem.

Nie należało wątpić, że egzorcysta faktycznie wrócił z Włoch. Był wyraźnie opalony. Solarium należało wykluczyć. Kim by nie był i co by o nim nie mówić, nie był aż tak próżny.

– Dzień dobry. Miło mi księdza widzieć. – Louvain skłamał.

– Mnie pana komisarza też – odpowiedział ksiądz Jan beznamiętnym głosem.

– Czy wróci ksiądz także do egzorcyzmowania?

– Sprawowaniem tej posługi zajmie się kto inny – odparł arcybiskup. – Aktualna misja stojąca przed ojcem Janem jest zbyt wielkiej rangi i powagi, aby czas na nią przeznaczony dzielić z innymi obowiązkami.

– Kierownictwo duchowe Beaty Potockiej-Cieślak... – wycedził powoli, słowo po słowie, komisarz.

– Tak, to bardzo wzniosłe zadanie – zapewnił były egzorcysta. – W pokorze przyjmuję ten zaszczytny ciężar.

– Nie przychodzę tu jednak jako posłaniec ojca Pawła! – oznajmił stanowczo Louvain.

– A cóż jeszcze? – Arcybiskup wyraził życzliwe zainteresowanie.

– Pragnę zwrócić uwagę Waszej Eksceleńcji, że w prowadzonej przeze mnie sprawie pozostał jeszcze jeden niewyjaśniony aspekt.

– Jaki, panie komisarzu?

- Ustalenie ojcostwa dziecka zamordowanej Eugenii Bacewicz, Ekszelencjo.
- Straszne zdarzenie. Nałożyłem surową pokutę na wszystkich duchownych, którzy w jakiś sposób się do tego przyczynili.
- Także na księdza Piotra?
- Ksiądz Piotr został zwolniony z funkcji mojego osobistego sekretarza i asystenta, a także oddalony z pałacu arcybiskupiego. To on był tym złym doradcą, o którym wspominałem.
- Chcę go przesłuchać.
- W jakim celu?
- Podejrzewam, że to ksiądz Piotr jest ojcem dziecka zamordowanej Eugenii Bacewicz.
- Poważne podejrzenie.
- Ustaliłem, że oboje znali się i kontaktowali wielokrotnie, także na stopie prywatnej. Poza tym to ksiądz Piotr wielokrotnie pośredniczył w kontaktach pomiędzy Waszą Ekszelencją a ojcem Pawłem. Chcę sprawdzić, czy przypadkiem nie byli też współnikami. Dlatego zamierzam pobrać od księdza Piotra próbkę DNA w celu potwierdzenia lub wykluczenia ojcostwa. Gdyby się ono potwierdziło, będę zmuszony przesłuchać go w charakterze podejrzanego o współudział w tym morderstwie. Nie mogę wykluczyć, że ksiądz Piotr, mówiąc kolokwialnie, „wystawił” pannę Bacewicz sekcje ojca Pawła, żeby się jej pozbyć i uniknąć kłopotów. Możliwe też, że przebieg zdarzeń był jeszcze gorszy, a mianowicie ksiądz Piotr celowo uwiódł Eugenię Bacewicz, aby za jej pośrednictwem wpłynąć na morale Beaty Potockiej i ją złamać.
- Straszne rzeczy pan komisarz mówi.
- Ekszelencjo, chcę wyjaśnić tę sprawę do końca.
- Bardzo chwalebny zamiar, panie komisarzu, ale obawiam się, że byłoby to mnożeniem kłopotów, których ostatnio wszyscy mieliśmy aż nadto.
- Wiem, że ksiądz Piotr zniknął z Warszawy. Proszę zatem Waszą Ekszelencję, aby go wezwał z powrotem, żebym mógł przeprowadzić z jego udziałem wspomniane wcześniej czynności śledcze.
- To będzie trudne, panie komisarzu. Ksiądz Piotr przebywa obecnie na Ukrainie. Ze względu na ogólnie znane niepokoje w tym kraju kontakt z nim jest znacznie utrudniony.
- Zatem aż tak polska ziemia paliła mu się pod stopami, że wołał Dzikie Pola! –

parsknął Louvain. – Nie wątpię jednak, że ksiądz arcybiskup potrafi go tam odszukać i sprowadzić.

– Ale w jakim celu? Nie widzę w tym żadnego pożytku dla Kościoła.

– O pożytku rzeczywiście trudno mówić, Ekscelencjo. Można sobie jednak wyobrazić mniejsze zło...

– Co miałyby być złem większym?

– Kolejna fala krytyki, że Kościół ukrywa przestępców w sutannach.

– Sam pan komisarz mówił, że ksiądz Piotr jest tylko podejrzany. Jeśli ma coś na sumieniu, to rzecz do rozstrzygnięcia pomiędzy nim, Bogiem i spowiednikiem.

– Zatem ksiądz arcybiskup odmawia?

– Chyba wystarczająco wyraźnie dałem to panu komisarzowi do zrozumienia. Naprawdę dość już było zamieszania w związku z całą tą nieszczęsną aferą.

– Przypominam Waszej Ekscelencji, że dostałem wolną rękę jeśli chodzi o sposób prowadzenia tej sprawy...

– I już zakończył ją pan komisarz chwalebny aresztowaniem wszystkich głównych winowajców. Został pan nawet znów bohaterem mediów, o ile mi wiadomo. Pogratulowałbym, gdyby takiej marności gratulować wypadało.

– Media nie wiedzą wszystkiego.

– Bogu Jedynemu niech będą dzięki!

– Przypominam, że są jeszcze ustalenia polityczne...

– Były, panie komisarzu. Polityka to rzecz ze swej natury bardzo zmienna. Ustalenia polityczne zatem zaistniały już nowe.

– Znów miałbym zostać odsunięty? Zaczynamy więc wszystko od początku, Ekscelencjo?

– Myślę, że nie zaczniemy, panie komisarzu. Pan też ma coś do stracenia.

– Ksiądz arcybiskup mi grozi?

– Ja? To raczej pan komisarz sugerował rozpętanie kolejnej medialnej nagonki przeciw mnie i całemu Kościołowi świętemu. Zapewniam, że to nie będzie dobry krok.

– Dlaczego?

– Ponieważ pan nie chce odejść na emeryturę, choć już dawno zyskał pan do niej wszelkie prawa. Nie potrafi pan i nie chce robić niczego innego.

– Psy tak mają – rzucił zaczepnie Louvain.

– Mądry pies powinien jednak czasem wykazać trochę rozumu, jeśli chce nadal

psem być. Źle postąpiliśmy, przymuszając pana do odejścia na emeryturę. Nie daliśmy panu wyboru i to wyzwoliło w panu desperację, która ogromnie nas zadziwiła i zaskoczyła. Teraz więc już nie zamierzamy tak bezceremonialnie przypierać pana do muru. Ma pan wybór. Może pan sam ocalić to, co kocha pan nade wszystko i bez czego nie wyobraża sobie życia, a więc pracę w policji. Rolę psa, jak pan to ujął.

Louvain milczał. Szukał repliki i nie znajdował jej. Faktycznie arcybiskup dotknął najwrażliwszego miejsca w jego duszy. Proponował mu kompromis, który był mniejszym złem...

– Panie komisarzu, naprawdę nie musimy przysparzać sobie nawzajem trosk – powiedział pojednawczo hierarcha.

Louvain już wiedział, że przegrał, tylko jeszcze nie potrafił przyznać tego głośno.

Arcybiskup ze swej strony nie zamierzał go upokarzać i stawiać kropki nad „i”.

– Cieszę się, że wyjaśniliśmy sobie otwarcie i szczerze nasze intencje. Bardzo pana szanuję, panie komisarzu, i zawsze będę otaczać pana moją modlitwą. Życzę panu adwentu bogatego we wszelkie łaski. A teraz ksiądz Jan zechce już odprowadzić naszego drogiego gościa...

– Pójdźmy! – zakomunikował były egzorcysta, wychodząc zza pleców zwierzchnika.

Louvain przyklęknął i ucałował pierścień. Nie zamierzał dąsać się jak dziecko. A niech sobie Ekszelencja myśli, że go złamał...

Ksiądz Jan otworzył komisarzowi drzwi na korytarz i puścił go przodem.

– Przykro mi, że księdza zawiodłem – powiedział Louvain, kiedy znaleźli się sami.

– W niczym mnie pan komisarz nie zawiódł – zapewnił spokojnie eksegzorcysta.

– Wszystko potoczyło się po mojej myśli.

– Przecież ksiądz prosił mnie, abym nie pozwolił skrzywdzić Beaty Potockiej – przypomniał zdziwiony Louvain. – Tymczasem ja spóźniłem się wtedy po raz drugi.

– Dopilnowałem, żeby pan się spóźnił.

Komisarz stanął jak wryty. W ponurym olśnieniu skojarzył fakty cząstkowe oraz ten najważniejszy, że teraz nie miało to zupełnie żadnego znaczenia dla sprawy. Bo sprawy już nie było.

– Co ksiądz mówi?! – właściwie zapytał retorycznie. Zadał to pytanie, aby z niedowierzaniem złagodzić poczucie kłębki, które właśnie w całej pełni objawiało

się w jego świadomości.

– To ja powiedziałem pannie Beacie, że nie powinna na pana komisarza liczyć. Ona zadzwoniła do mnie w chwili swej duchowej rozterki. Pomogłem jej podjąć właściwą decyzję.

– Właściwą? – powtórzył jak echo Louvain.

– Dla mnie – uściślił swoim zwyczajem ksiądz Jan. – Dzięki temu ona została przyszłą świętą, a ja jej duchowym kierownikiem. Byłem tym od początku zainteresowany.

– Zatem to ksiądz powiedział Potockiej, że ja się zawsze spóźniam? – Komisarz wciąż przeciągał chwilę niedowierzania. Gdyby tego nie zrobił, musiałby wybierać pomiędzy nagłym pragnieniem wyrżnięcia z hukiem czołem o ścianę a uduszeniem rozmówcy gołymi rękami. To nawet nie byłoby takie głupie rozwiązanie... Louvain poczuł, że dłonie same zaciskają mu się w pięści.

Ksiądz Jan przyglądał mu się nieprzeniknionym wzrokiem. Bez żadnych uczuć.

Komisarz zaczął mówić, nie poznając własnego głosu.

– Wiem, że ksiądz nie potrafi odczuwać zbyt wielu emocji, ale zadowolenie z udanej realizacji tak skomplikowanego planu chyba nie jest księdzu obce. To się nazywa satysfakcja, prawda?

– Powinien był pan stale pamiętać, że jestem psychopatą.

– Tak, powinienem był... – Louvain wciąż nie podjął decyzji. Złamanie prawa było w tej chwili jedynym sposobem, aby sprawiedliwości stało się zadość. Ważył to w sobie, a jednocześnie wciąż mówił, bo gdyby przestał słyszeć własny głos, puściłyby wszystkie hamulce... Więc mówił: – Powinienem był, ale w pewnym momencie zapragnąłem jednak uwierzyć, że ksiądz ma dobre intencje. Stał się ksiądz moją ostatnią nadzieją, więc zapomniałem o podejrliwości...

– Wiedziałem, że tak będzie.

– Kłamał ksiądz, mówiąc, że nigdy nie zamierzał rywalizować z ojcem Pawłem. To była kluczowa manipulacja, którą ja kupiłem bez zastrzeżeń.

– Ależ nie powinien pan sobie tego wyrzucać, komisarzu. Znajdował się pan wtedy w dość szczególnym stanie ducha.

– Zatem jak było naprawdę?

– Chyba powinienem poczuć się tym pytaniem rozbawiony. Liczy pan znów na moją szczerłość?

Louvain nabrał tchu. Zrobił to bardzo głęboko, powoli, aż do bólu żeber.

I wypuścił powietrze, ale jego wściekłość i żal nie zmniejszyły się ani trochę.

– Myślę, że teraz już potrafię dostrzec nieszczerłość. – Usłyszał własny głos, jakby jakaś istota podjęła decyzję za niego. Nie wiedział tylko, czy to anioł czy diabeł.

– Zapewne, panie komisarzu. Skoro pan sobie tego życzy, proszę spróbować. Wbrew pozorom dostrzegłem i doceniłem od razu wielkość wizji ojca Pawła. Świadomie przyjął opętanie, ale nie po to, by umrzeć za grzeszników, ale żeby zwieść samego szatana, to naprawdę wielka idea. Powinienem tu chyba użyć określenia „ekscytująca”, ale nie chcę używać słów, które nic dla mnie nie znaczą. Uważam zatem, że polski Kościół powinien móc szczylić się tak niezwykle świętą. Odkąd Jan Paweł II odszedł do domu Ojca, brakuje nam wielkich postaci, zdolnych poruszyć wiernych aż do głębi.

– Ciemny lud wszystko kupi.

– Pan jest chyba cyniczny, komisarzu. Mnie to uczucie jest całkiem obce.

– Zatem jak było z ojcem Pawłem? Postanowił ksiądz przejąć jego ideę, udając zrazu, że ma inny pogląd na tę sprawę. Ojciec Paweł zaś zachował się zgodnie z przewidywaniami jak charyzmatyk. Uznał, że wszelkie środki są dobre dla osiągnięcia tego celu. Posunął się więc do wszystkiego.

– Tak.

– Charyzmatyk kontra psychopata... – Louvain zastanowił się, czy mówi to z sarkazmem czy z podziwem.

– Tak, to był szczególny pojedynek duchowy, w którym Bóg dał zwycięstwo mnie.

– Ksiądz wie, że ja już nie mogę tu oficjalnie niczego zrobić, ale muszę przyznać, że takiego wyrachowania w mojej karierze policyjnej jeszcze nie widziałem.

– Myślę, że zdarzają się ludzie znacznie przewrotniejsi ode mnie – odparł skromnie ksiądz Jan. – Ja przecież nikogo nie zabiłem. Nawet starałem się ograniczać zbędne ofiary. Liczyłem, że pannę Sawicką pan jednak ocali.

– Akolici ojca Pawła byli szybsi.

– Niestety, tak. Niech spoczywa w pokoju.

– Posłużył się ksiądz nami wszystkimi. Ojcem Pawłem, Potocką, mną...

– Jestem tylko tym, kim jestem. Skoro tak się stało, widać chciała tego wyższa wola.

– Można stracić wiarę, rozmawiając o tym z księdzem.

– Myślę, że jednak wręcz przeciwnie, panie komisarzu. Oto dane panu było dotknąć prawdziwej, wykraczającej poza ludzki umysł tajemnicy. Proszę sobie wyobrazić, że ja też byłem tu tylko narzędziem...

– Wolalbym nie.

– My, kapłani, tyle razy powtarzamy ludowi w świątyniach, że zamysły i decyzje Boga są ponad wszelki ludzki rozum, że nie należy mierzyć ich ludzką miarą, bo to jednocześnie i grzeszne, i śmieszne. Teraz właśnie zetknął się pan z czymś wykraczającym poza ludzkie pojęcie. Nie mała ludzka sprawiedliwość, ale wielkie boże plany są najwyższym prawem. Cóż nam maluczkim pozostaje oprócz pogodzenia się z tym?

– I ksiądz się godzi... Może jeszcze uważa to za szczególną łaskę Ducha Świętego?

– Panie komisarzu, ja się czuję prawie wzruszony, tak jakby to uczucie do mnie docierało. Proszę tylko spojrzeć, ja z moją psychiczną ułomnością... Taki niepełny człowiek... Kamień odrzucony przez budujących... A oto staję się kamieniem węgielnym gmachu nowej ewangelizacji... Dzięki mnie spełniają się marzenia naszego świętego papieża, aby z ziemi polskiej wyszła iskra, która odmieni oblicze świata. Pani Beata jest tą iskrawą i od niej zapłonie epoka nowej wiary!

– Drugie średniowiecze – skrzywił się Louvain.

– Redaktor Bilecki oddał za to życie.

– Ja mu je odebrałem...

– No i sam pan widzi, komisarzu! Sam pan widzi, że ja chyba nie zasługuję na zbyt surowy osąd, zwłaszcza z pańskiej strony. Powtórzę, nikogo nie zabiłem. Wypełniłem moją misję najlepiej, jak umiałem i potrafiłem ją pojąć. Gdzież pan tu widzi zło?

Komisarz milczał. Zdał sobie sprawę, że w istocie już nie wie, czym jest dobro, a czym zło. Był tylko mrok.

W milczeniu doszli do drzwi na ulicę.

– Cóż, nie pozostaje mi nic innego, tylko zachować się jak mężczyzna. – Louvain wyciągnął rękę. – Gratuluję!

Ksiądz Jan odwzajemnił uścisk.

– Proszę, aby pan komisarz przyjął na pożegnanie jedną dobrą radę. Niech pan już więcej nie staje na drodze Boga...

Louvain zaciął usta i odwrócił się bez słowa. Ruszył w grudniową ciemność,

której jakoś nie były w stanie rozproszyc uliczne latarnie. Mrok w nim i mrok wokół niego miały jednakową gęstą, lepka konsystencję. Jak mgła, która miesiąc temu spowiła tory kolejowe na pograniczu Woli i Bemowa, od której się wszystko zaczęło.

Komisarz pojął, co czuł maszynista Kowalik, kiedy się szedł powiesić...

– Z Bogiem, panie Krzysztofie! – zawołał za nim ksiądz Jan.

KTL

*Warszawa, luty–czerwiec 2014 r.*



Copyright © Konrad T. Lewandowski, 2014

*All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone*

Redaktor

*Julia Paduszyńska, Editio*

Projekt graficzny okładki

*Izabella Marcinowska*

Wszystkie postaci, zdarzenia, miejsca i organizacje występujące w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób, żyjących lub zmarłych, jest zupełnie przypadkowe. Wszystkie prawa zastrzeżone, żadna część niniejszej publikacji nie może być kopiowana i wykorzystywana w żadnej formie bez zgody wydawcy i/lub właściciela praw autorskich.

ISBN 978-83-7785-614-7



Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j.

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. [61 853 27 51](tel:618532751), [61 853 27 67](tel:618532767), faks [61 852 63 26](tel:618526326)

Dział handlowy, tel./faks [61 855 06 90](tel:618550690)

[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)

[www.chimaera.pl](http://www.chimaera.pl)

[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

